ROK PISMA TRZYNASTY.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA:

KAZIMIERZ OKAZ.

Nowa Serya

TOM V.

WE LWOWIE.
Z DRUKARNI KAROLA BUDWEISERA.
1872.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie V. „Dzwonka"
z półrocza 1872.

Gwiazdka * na początku oznacza, że dodany jest obrazek.

I. Powiastki, gawędy, opowiadania, rozprawki i obrazki historyczne.

II. W i e r s z e.

III. Rzeczy gospodarskie i przyrodnicze.

VIII. Sprawy gminne.

Nr. 1. **1. Stycznia 1872.** **Tom IV.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Cały nakład pierwszego numeru „Dzwonka“ został przez c. k. Prokuratoryę Państwa zabrany, przezco się wydanie spóźniło.

Przed stu laty.

Widzicie! oto kraj nasz szeroki,
Jak zastawiony dla gości stół!
Różnowzorowym kryty kobiercem,
Na nim chleb biały i sól i miód;
Jak siwy gazda z otwartem sercem
Łańcuch gór śnieżnych wystąpił wprzód,
Puharem stoi jedno — drugie morze....
Mój Boże — mój Boże!..

A na tej ziemi lud się położył,
Lew, co przed światem straż trzymał wciąż,
Gdy wstrząsnął grzywą, gdy brew nasrożył
Kłębem się zwijał pogaństwa wąż;
A żywot jego jako stal twardy
I w słońcu wiary błyskał jak stal.
Przed Bogiem korny, sąsiadom hardy
Rozrastał w sławie — toż szumem fal
Klaskało jemu jedno — drugie morze....
Mój Boże — mój Boże!...

Kornel Ujejski.

Stuletnia rocznica.

Sto lat mija, jak Moskale napadli na Polskę. Odtąd zaczęło się srogie prześladowanie, wygnali z kraju tysiące ludu daleko na północ, w zimny Sybir, innych zamknęli w ciemnych lochach, jakby na zgnicie, a ci, co zdołali uciec, muszą się błąkać po obcych i dalekich krainach, i szukać chleba u Francuzów lub Anglików, albo nareszcie u niewiernych Turków. Prusacy znów powykupywali podstępem grunta i od szlachty i od chłopów, a ci musieli wychodzić z własnej ojcowizny i szukać chleba za granicą w obczyźnie. I dotąd jeszcze w ten sam sposób postępują, a niedawno Kaszubi i Polacy wyszli do Francyi. I błąkają się też nasi po całym świecie, nieprzymierzając jak żydzi, jak to przepowiedział błogosławiony ksiądz Skarga.

Jak dobry syn co roku w dzień zaduszny przynajmniej przypomina sobie nieboszczyka ojca i niesie krwawo uzbierany grosik na mszę świętą do kościoła, aby ojcu wyjednać ulgę w cierpieniach zaziemskich; a jak w mieście i na wsi jest zwyczaj, że po utracie drogich osób ludzie noszą żałobę, a kościół nawet jako znak żałoby uważa kolor czarny; tak też i my rozpamiętujmy w smutku, modlitwie i pracy tak smutną pamiątkę. Toć też i pierwszy numer Dzwonka przywdział czarną sukienkę.

Polacy wszyscy postanowili nie bawić się w zapusty. Że zaś praca i nauka cudów dokazują; że większa część Polaków, naszych chłopków, potrzebuje tej nauki, więc będą zbierać składki na szkółki wiejskie, na nagrody dla pilnych nauczycieli i dzieci wieśniaczych — a grosz do grosza, da Bóg, uzbiera się taka suma, że staną w całym kraju szkółki, owe przybytki, co to po kościele najmilsze są Bogu, i da Bóg, owa żałoba zamieni się w radość.

Pogadanki.

Ciężkie czasy, zła dola, bieda, co raz trudniej żyć na świecie, powtarzają gospodarze od źródeł Wisły aż do Czarnego morza, a jest wszystkich kilkadziesiąt milionów, co tak narzekają, a narzekają od roku do roku, od miesiąca do miesiąca, od rana do wieczora. To prawda, że ciężkie czasy i bieda coraz większa. Podatki rosną, zarobku coraz mniej, ludzi coraz więcej, a tu nie wiedzieć zkąd grosza dostać. Ale popatrzcieno wyżej: tu Prusak, tam Moskale siedzą w kraju naszym ojczystym, a choć nie sieją ani orzą, ani gruntu nawet nie mają, toć siedzą rozparci na wygodnych miękkich stołkach, w malowanych wielkich pokojach, i jedzą co najlepsze potrawy, i piją zagraniczne wina i palą drogie cygara, i śmieją się do rozpuku i śmieją, i powiadają: głupi Polak płać? — i zbierają grosze i robią majątki i śmieją się jeszcze więcej. A tu niejeden chudzina całuje ich po rękach, kłania się niziutko aż do samej ziemi, i jeszcze mu się zdaje, że Moskal lub Prusak, to jego najlepszy, najserdeczniejszy przyjaciel, że to jego opiekun i oswobodziciel.

Domki biedne, obdarte, pochylone ku ziemi, zaledwie od wiatru się nie powalą; ścianami i oknami wiatr jak przez przetak wieje, dach przegniły, stodoła się wali, stajni nie ma, w chacie z bydlętami mieści się gospodarz z gospodynią i kilkorgiem dzieci obdartych, bez butów i ciepłej odzieży — a tu przednowek, nie ma i jednego grosza na sól. A więc ostatnia krówka idzie na jarmark, albo kożuch do żyda, albo też gospodarz drżącą ręką, znakiem krzyża świętego kreśli swoje imię na papierze u żyda, i za kilka lub kilkanaście reńskich sprzedał jakby swoje życie, bo swój grunt i chudobę. Podpisał on pismo, czyli jak to ludzie nazywają, weksel na sto, a wziął zaledwie 50 złr. i jeszcze przyobiecał płacić wysokie procenta. Nadchodzi czas zapłaty, a tu nie ma pieniędzy, więc w prośby do żyda. Ten niby to wzruszony litością, powiada, że zaczeka, ale trzeba inne pismo na sto pięćdziesiąt podpisać. Gospodarz wzdycha, poskrobie się w głowę, czasem łza mu w oku stanie, ale cóż robić? — trza podpisać, bo

nie ma. Kto już raz dostał się w takie pazury, ten już nie wylezie prawie nigdy. Czasem dłużej, czasem prędzej niż się spodziewał traci wszystko, jak do tego, czy dług był większy, czy mniejszy, czy gospodarstwo małe, czy wielkie. Bo kiedy nareszcie żyd miarkuje, że już biedny chłopek wywinąć się nie potrafi, wyrabia u sądu egzekucyę i biedaczysko ani się obejrzy, jak go wyrzucą z chałupy, zabiorą grunt, a jego puszczą na żebry z całą rodziną. Za to w wiosce takiej karczem cztery albo pięć, dokoła każdej stodoły wielkie i zasobne, pełno w nich zboża wszelakiego rodzaju, a oprócz tego jeszcze stoją na podwórzu sterty siana i pszenicy, starannie okryte, co się w stodole pomieścić nie mogły. W komorze arendarzowskiej pełno dostatku i zasobów, że i ptasiego mleka prawie nie brak. W izbie sypialnej bety (pierzyny) pod samą powałę a w szafach pełno przyodziewku — a pieniądze! Pieniędzy arendarz w domu nie trzyma, kupił sobie grunta, drugie odnajmuje od dworu i gospodarzy, a resztę rozpożyczył. W karczmie wprawdzie brudno i niechlujnie, ściany obszarpane, stoły i ławy błotem pokryte, ale za to w sypialni jak w pudełku. Arendarz pokorniutki, zdaje się słodki jak miód, zawsze się uśmiecha, nigdy prawie nie gniewa, wita zawsze serdecznie wszystkich znajomych, pogada, pożartuje. W dnie powszednie chodzi obtargany i brudny, ale zobaczcie no go w sobotę! jakie futra, suknie czapki i pasy, niech się i dziedzic schowa. Niejeden biedaczysko czasem sobie pomyśli: zkąd u niego takie dostatki? przecież nie orze, nie żnie, nie młóci, nie pracuje w pocie czoła jak ja, a tak bogaty! — widać już takie przeznaczenie — Zapytaj teraz o szkółkę i kościół. Szkółka wprawdzie jest, ale cóż kiedy do niej nikt nie chodzi, a przynajmniej bardzo mało dzieci i rzadko; nauczyciel dobry, ale gromada go nie lubi, bo mu musi płacić, a jej się zdaje, że nie ma za co; na sprzęty szkolne brak zawsze pieniędzy, dachu i domu nie chcą naprawiać, póki nie wyjdzie nakaz z becyrku. Kościółek maleńki, zaledwie połowa ludności może się w nim pomieścić, pochylony, opuszczony, podobnie jak chaty.

Opodal znów się bielą ładne domki, czyściutkie, nowiutkie na oko, budowane z cegły, pokryte dachem, ustawione

rzędem, do koła każdego i stodoły i brogi i stajenki dostatnie, i koniki i bydełko piękne, i gospodarze czysto i porządnie ubrani, jednem słowem widać, że zamożni i ochędodzy. Na środku wioski prawie stoi okazały budynek, jakby dwór jaki: to szkoła, a ztąd niedaleko kościół wspaniały. Jakoś to jednak wszystko nie po naszemu wygląda, bo i dzwonnicy i sygnaturki nie widać; ale posłuchajmy! właśnie wychodzą ludzie z kościoła, coś nie zrozumiale rozmawiają, szwargocą jakimś dziwnym językiem — oj, z pewnością to nie nasi! to osanicy Niemcy, przybysze z obcych, dalekich krajów, co tu polski chleb zjadać przyszli; ów kościół nie katolicki, to zbór luterski.

A przecież grunta obu wiosek prawie graniczą z sobą; i tu i tam ziemia jednakowa i jednaka niemal suma morgów wypada na każdego gospodarza. Dlaczegoż to jedni tak biedni, a drudzy zamożni? I znów niejeden sobie i pomyśli i powie: widać takie już przeznaczenie!

Gdzieindziej znowu wioska na oko z daleka okazała, domy wielkie, często nawet murowane, widać, że tu bywają targi, coś to niby jak miasteczko. Ale dachy przegniły, mury się walić poczynają, chaty popodpierane lichemi słupami, jednem słowem, wszystko jakby po pożarze lub po napadzie nieprzyjacielskim. A tu, dzięki Bogu, ognia nie było od dawna i spokój w kraju panuje od wieku. Cóż się tedy stało, że mieszkańcy tak zubożeli? Oto powiadają sami: dawniej robiliśmy płótna, dymki i drelichy, chodziło się od jarmarku do jarmarku, wszędzie byli kupcy, był więc i zarobek i grosza podostatkiem. Jakoś to przy małym kawałeczku gruntu i żyć było można i chatę opatrzyć i rodzinę odziać przyzwoicie. Dziś o płótno nikt nie zapyta, bo z zagranicy piękniejsze i tańsze, tak że trzeba było wyrobu zaprzestać. Kawałątko gruntu nie wystarcza na wszystko, więc i chaty się walą i żyć nie ma z czego.

Były u nas niegdyś wielkie i potężne miasta, były wsie bogate, chleba podostatkiem i pieniędzy dużo; dziś ani śladu dawnej zamożności, miasta w ruinach, a nędza zagląda do domów.

Niegdyś od morza do morza kraj nasz się rozciągał, bogaty, poważny i potężny; dziś żyjemy w poniewierce u innych, co się z nas urągają i wyśmiewają, co wyciskają ostatni grosz z chaty na to, aby się zbogacili. Jednym odebrali ziemię i puścili ich na żebry, drugim odmawiają wszystkiego, a nawet nie pozwalają im mówić po polsku i wiarę naszą nam wydzierają.

Niegdyś wiedzieli wszyscy i szlachta i mieszczanie i chłopi, że są polakami; Rusini razem z ludem mazurskim walczyli o swobodę, wyznawali jednakową wiarę i nie łączyli się z swoimi nieprzyjaciołmi: z Moskalami. Dziś powaśnieni kłócimy o to, czego nie mamy sami; brat bratu nie wierzy i chciałby go w łyżce wody utopić.

I zapyta niejeden: Czy się też polepszy kiedyś nasza dola? Polepszy się z pewnością polepszy! odpowiedział mi chłopek, skromnie, ale czysto ubrany, co siedział obok mnie przy jednym stole i kończył szklankę piwa. I dziwiłem się niezmiernie i ucieszyłem, i pytam dalej: Ale w jakiż sposób?

— Przez naukę i pracę, odpowiada,

— A odzyskamy też cośmy utracili?

— Oj, odzyskamy z pewnością — mówi chłopek dalej.

— A jak? — pytam znowu.

— Przez naukę i pracę.

— Czy się nie damy obdzierać cudzym przybyszom; czy nie odbiorą nam naszej mowy i wiary; czy szczęście i zamożność zawitają do chat wieśniaczych: czy bracia pogodzą się znowu?

— Nie damy się obdzierać przybyszom i szachrajom, nie odbiorą nam naszej mowy i wiary, szczęście i zamożność znów zawitają do naszego kraju, a bracia pokochają się, jak Bóg przykazał, ale dojdziemy do tego jedynie: przez naukę i pracę.

Tak niespodzianie zagadnięty, uścisnąłem serdecznie Macieja za rękę, jakby był moim znajomym od dzieciństwa, a tu

dopiero pierwszy raz go widziałem. Tak jest, największym nieprzyjacielem ludu naszego, najpodlejszym doradcą, najgorszym gospodarzem, najokrutniejszym wrogiem: to ciemnota. Ona to przyczyną nieszczęść i nędzy, ona prowadzi lud nasz na bezdroża, ona wiedzie do karczmy, namawia do zbrodni, a nawet kieruje na szubienicę. I jakże ją pobić i wykorzenić? Oto znów: przez naukę. A pierwszym początkiem nauki, czyli jak mądrzy ludzie nazywają, oświaty, to szkółka wiejska, owa skromna, opuszczona szkółka; to nauka czytania i pisania, to książka drukowana, co podaje pożyteczne wiadomości. Więc na czytaniu i pisaniu jeszcze nie koniec. Kto chce nauki, kto chce być oświeconym, kto chce, aby był prawdziwie człowiekiem, ten musi znać i wypełniać obowiązki i powinności względem Boga i rodzinnej ziemi, względem rodziców swoich i bliźnich — a tego może się z książek mądrych nauczyć.

Niezmiernie uradowany, żem znalazł chłopka, co tak dobrze i mądrze umiał odpowiadać, rozgadałem się z nim na dobre. Minęła godzina jedna i druga, a pogadanki ani końca. Jakaż była moja pociecha, gdy się dowiedziałem, że wszyscy gospodarze w tej wiosce podobnie myślą i czują, że wszyscy prawie zamożni i pracowici.

I któż was tego nauczył? — zapytałem nareszcie.

— A jużci Marcin Królewiak — odpowiada Maciej. Niedaleko ztąd stoi jego chata, niby dwor jaki, taka czysta i ładna. Oj dziwny to człowiek, ten Marcin! Pamiętam jeszcze za nieboszczyka ojca u nas we wsi tak było jak i gdzieindziej: bieda, głupota, z przeproszeniem, i pijatyka. Kiedy się zjawił Marcin, to jakby anioł z nieba. Jak zacznie zacznie mówić, to aż serce skacze, i perswaduje i opowiada i dopomoże uczciwemu gospodarzowi, tak że po latach dwudziestu anibyś poznał naszą wioskę. Stanęły domy jakby murowane, wystawiliśmy szkołę, poprawili kościół, zrobiliśmy śpichlerz wielki, zsypali zboże, zaprowadzili kasę gminną — ot jednem słowem wszystko się zmieniło jakby cudem jakim, a wszystko za namową i pomocą Marcina. Czy to chrzciny, czy wesele, czy obżynek, Królewiak był wszędzie; coś przemówił, pouczył, a tak mądrze,

tak uczciwie i serdecznie, że nikogo nie przymuszał, a przecież wszyscy go usłuchali. Pomału począł zwoływać i zapraszać co niedziela do siebie gospodarzy ze wsi. Jedni przychodzili, drudzy nie dali sobie nawet wspomnieć, bo to, jak mówili, jakiś przybysz Bóg wie zkąd i po co. Ale że miał majątek ładny i grosza nie skąpo, i dwa grunta, a nie żałował niczego, aby tylko swoich braci, jak mawiał, czegoś nauczyć i dopomódz im, więc schodzili się potem gromadnie. I tak jakoś samo to przyszło, że za kilka lat i chaty nowe się pobudowały, i szkółka stanęła, i wszystko się zmieniło na lepsze.

Bardzo byłem rad poznać owego Marcina Królewiaka i prosiłem Macieja, aby mnie tam zaprowadził. Tak się też stało. A że kolega mój, u którego przez tydzień na wakacyach przebywałem, mieszkał niedaleko, więc codziennie odwiedzaliśmy go i polubiliśmy się jak bracia. Kiedym go zapytywał, w jaki też to sposób chłopków w swojej wiosce tak wiele nauczył i do takiej zamożności doprowadził, wyjął z szafy dużą księgę i powiada:

— Tu spisałem sobie wszystko na wieczną pamiątkę, co się działo przez lat piętnaście w tej wiosce, cośmy mówili wieczorami: jak to z początku nikt mi nie chciał wierzyć i jak nareszcie wszyscy mię posłuchali, i jak myślę, na dobre wyszli. Toć to za długie byłoby może dla was, ale trudno — najlepiej dowiecie się, kiedy przeczytacie.

Prosiłem go, czyby mi nie mógł pożyczyć owej księgi na czas dłuższy do drukowania.

Jać tam pisarzem, co prawda, nie byłem nigdy, ale kiedy to może wyjść komuś na pożytek, to wam ofiaruję. Bodajby wszystkim tak posłużyło jak moim sąsiadom. Spisywałem tę książkę bez porządku, ot tak jak się to u nas działo. Raz o tem, drugi raz rozmawialiśmy o czem innem, a ja w pamięci w wolnym czasie spisałem owe pogadanki.

Podziękowałem mu serdecznie za tak wielki dar, a że mi się zdaje, iż wiele rzeczy w tych pogadankach może was nauczyć i zabawić, że wiele się wam rzeczy wyjaśni, o jakich

na samym początku mówiłem — tedy podaję je drukiem na wasz pożytek.

Piosnka parobczaka.

Nie zazdroszczę ja ci Janie
Żeś wziął dziewkę jak jagodę,
A z dziewuchą w sutem wianie
Woły, krówki i zagrodę.

Boć z kobietą bieda święta
Jak tam jaka gwarzy stara
I kłopoty i lamenta,
W domu dziatek co niemiara,

Nie masz to jak chłopiec młody
Gdy swobodnie goni, lata,
Ładny z serca i urody
I dla Boga i dla świata.

Serce czyste, spokój w duszy
Zawsze rześki i wesoły
Bieda głowy mu nie suszy
Zawsze szczęśliw — chociaż goły.

Jest sukmana z pętlicami
Czapka z wstęgą krasą siwa
Złotkiem z ucha ślni piórami
W kiesce grajkom trzy grosiwa.

U l.

Gwarno i rojno; w promieniach słońca,
Pszczółki jak gwiazdki migają złote;

Tam i napowrót krążą bez końca,
I dalej swoją wiodą robotę.
Ta na kwitnącej lipie usiada,
I z kwiatu wonne wysysa miody,
Ta komóreczki z wosku układa,
I praca idzie raźno wśród zgody,
Więc i my w pracy pochylmy czoła,
Niech nam przykładem przyświeca pszczoła,
A zanim groźna nadejdzie zima,
Już ul zapełnia zapas obfity,
Choć w polu nigdzie kwiateczka niema
Niedozna głodu rój pracowity.

Zawiślak.

A spisz ty Maćku?

Oj gdzietam spię, tak mi jakoś markotno i straszno, że się boję i oko zmrużyć.

— Toć i mnie tak jakoś strach przejmuje. Człek się napracował przez dzień cały aż pot ciurkiem kapał, a tu w nocy jeszcze nie ma spokoju i ruszaj na straż na gościniec.

— Jeszczećby to było pół biedy, gdyby warta była taka jak dawniej. Ot tylko zahuczeć na trąbie, póki wójt nie zasnął, a potem chrapaliśmy spokojnie w karczmie aż do samego rana.

— Zjadłby licha Maćku, ktoby teraz usnąć potrafił. Toć w becyrku wyraźnie pan naczelnik zapowiedział, że się teraz wszędzie po drogach Polaki kręcą, a to jak powiadają straszni mają być ludzie.

— Jeszcze nas Symku zabiją albo zabiorą do Moskala. Maćku schowajmy się za drzewo i przykucnijmy, noc ciemna dosyć, to nas nikt nie zobaczy.

— A kiedy wyszedł taki nakaz, aby całą noc i cały dzień stać przy karczmie i nie puszczać nikogo, chyba że ma pismo przy sobie. A jakbyś nie stał, a doniosło się do becyrku, to straszna kara; rózgi albo koza.

— Ej, co tam o to, obiją toć przecie wytrzymam, zamkną, to nie na rok i jeść muszą dać, ale jak Polaki złapią i powieszą?

— Za cóżby tam mieli wieszać, gorzej jeśli każą iść na Moskali — człeka kulka nie ominie, boć tych niedowiarków, jak prochu na gościńcu, a tylko gdzieniegdzie Polak się pokaże. A strzelają z armat, że aż ziemia huczy; człek ani się opamięta, kiedy go na tamten świat wyprawią.

— Słyszałem, że pono wójt Zawiślak z Polakami trzyma, to nie będzie tak bardzo doglądał warty.

— Żeby tylko on sam, ale i Marysia jego córka nie da sobie nic powiedzieć i srodze się na mnie pogniewała, kiedym raz coś na nich powiedział. Odtąd ani na mnie spojrzy, a mnie aż serce się kraje, bo dziewczyna jak anioł. Jak popatrzysz na nią tylko raz, jużeś przepadł na wieki.

— Ej co tam pleciesz Maćku, toć i ja na nią patrzałem, a przecież mi się nic nie stało. Zapewne musiała cię oczarować, albo urzec.

— Tak ci się to zdaje, ale ja ją znam od maleńkiego dziecka i tak się jakoś do niej przyzwyczaiłem, że mi się aż przykrzy, kiedy jej nie widzę.

— Masz przecie grunt nielada i chałupę dla ciebie ojciec niedawno wystawili, toż i Zawiślak córki ci żałować nie będzie.

— Jeszczem ci go nie nie prosił, ale kiedy ojciec mój wspominali o tem, jakoś nie bardzo się ucieszył i powiedział, abym zaczekał i między ludźmi się jeszcze więcej otarł.

— A cóż ona na to powiada?

— Cóżby miała mówić: jak ojciec każe to musi; któryż to nareszcie parobek może mi zrównać majątkiem?

— Rozgadaliśmy się mój Maćku, a tu coś turkocze gościńcem od miasta. Schowajmy się, albo uciekajmy.

— Przecież nie wiesz jeszcze, kto jedzie, a nuż żyd jaki albo kto ze wsi, a takiego bać się nie potrzebujemy.

— A kiedy jaki Polak przebrany, bo Kasper Podrywka opowiadał, że oni rozmaicie się udają, to za żyda, to za chłopa, to za urzędnika. Ale, ale — przypomniałem sobie: biegnijmy czemprędzej do Podrywki i powiedzmy mu, że powstaniec jedzie; wiesz jaki on zacięty na nich i jaki chciwy na

pieniądze. Zaraz będzie myślał, że dostanie zapłatę. A może i nam się coś okroi.

— Lećmy lećmy! Prędzej Maćku, aby nie uciekł — jutro pohulamy w karczmie, kiedy nam dadzą pieniędzy. A zwijajże się — pędź! — Bierz go! chwytaj! łapaj!

— Nie krzycz hoc Szymku, jeszcześ nie przeskoczył.

— Co mi tam bajesz — Podrywka to mi zuch — on go schwyci, będziemy mieli grosze.

— Nie my, tylko on Szymku.

— Jak to nie my? My! my! mybyśmy mu i z gardła wyciągnęli.

— Niech tylko złapie.

— Biegaj!

— Ruszaj!

Wartownicy stanęli przed chatą Podrywki. Było ciemno, więc widać, że gospodarz spał na dobre. Zapukali do okna i poczęli krzyczeć: Kasprze, Kasprze, wstawajcie! — powstańcy idą! — a krzyczeli tak silnie, że i umarły byłby się zgrobu podniósł.

W to graj Kasprowi. Szybko zerwał się z łóżka, zaciągnął buty, wdział kożuch i czemprędzej wybiegł za próg.

— Witajcie mi parobcy!

— Bóg zapłać Kasprze, twardo spicie, pukaliśmy długo do okna.

— Co tam słychać chłopcy?

— Powstańcy jadą!

— Powstańcy? gwałtu! gwałtu, chwytajcie! gore, pali się!

— Ależ nie krzyczcie tak mocno panie Podrywka, cała wieś się zbudzi.

— Gwałtu! gwałtu!

— Cicho! odezwie się Maciej, toć się nie pali, powstańców nie widać.

Podrywka był to człek przewrotny, chciwy, złośliwy, a przytem pijak, jakiegoby w całej wiosce napróżno szukał. Sprzedałby i rodzonego ojca za kilka groszy, lub wódki flaszkę. Wszyscy go nie lubili, bo każdego albo oszukał, albo obmówił, albo zdradził — ale wszyscy go słuchali, jakby

księdza proboszcza lub starosty, bo się go bali, jak złego ducha. Ale w jakiejkolwiek złej i nieuczciwej sprawie, to Podrywka najlepszy przyjaciel i największy zuch. Przyznawali mu, że to mądra głowa, i wybierali go, czy to do rady gminnej, czy to do powiatu, a raz omal że posłem nie został. Tylko Zawiślak otwarcie nim gardził, nigdy mu ręki nie podał, nigdy nawet, choć nie był dumny, nie przemówił do niego. A często bardzo szukał Podrywka jakby zaczepki, często nawet wprost do Zawiślaka zagadał, ale kiedy ten się odezwał, to nigdy do niego, tylko do gromady. A mówił zawsze prawdę, otwarcie, szczerze, śmiało, tak, że Podrywka wkrótce w najciemniejszy kącik się chował, a gromada jak jeden szła za Zawiślakiem.

Toć Podrywka bał się go jak ognia, i wszędzie, gdzie tylko mógł, tajemnie dołki pod nim kopał. A zdawało mu się, że teraz najlepsza chwila po temu, bo jak wszystkim było wiadomo, Zawiślak zawsze mówił, że jest Polakiem, tak jak i wszyscy, co polsku mówią — a tu starosta Polaków łapać nakazał.

Czemprędzej tedy z oboma parobkami wybiegli na gościeniec. Fura nadchodziła powoli, Podrywka położył się w rowie po jednej stronie gościeńca, a parobków usadowił w drugim i rozkazał im tosamo robić, co on będzie robił, kiedy nadjedzie fura. Wreszcie zbliżyła się. Czemprędzej wyskoczył Podrywka z rowu i począł krzyczeć na cało gardło:

— Stój, stój! gdzie jedziesz? Paszport!

A parobcy za nim z drugiej strony, krzyczą jak opętani:

— Stój! stój! gdzie jedziesz? — Pas! (C. d. n.)

Bóbr.

Ze wszystkich zwierząt gryzących bobry są bezsprzecznie najużyteczniejsze.

Ciało bobra jasno-kasztanowate, z wierzchu tj. na krzyżu i po bokach jednostajną i w dotknięciu miękką szorścią pokryte, na podbrzuszu zaś podwójnem futrem słomianego ko-

loru opatrzone, a to w ten sposób, że pod dłuższemi włosami kryją się krótsze, miękkie i wełniaste. Nogi przednie bez płetwi, tylne zaś dłuższe i grubsze mają palce, błoną do pływania spojone; nareszcie zielonkowaty ogon jak u ryby łuskowaty.

Bobry należały dawniej w Polsce do pospolitych zwierząt. Żyły one nietylko nad brzegami wszystkich wielkich i małych rzek, lecz także znajdowały się przy stawach i bagnach, jak dzisiaj szczury. Dawne przywileje, darowizny, zamiany lub kupna majątków, ciągle o nich wspominają. Stały też i pod opieką ustaw i zwyczaju. Czacki pisze, że przywileje z XIII. wieku świadczą o egzystencji urzędników bobrowych nad Nidą i Marwią; wspomina o rejestrze bobrów z roku 1229 w księstwie Mazowieckiem. Widać w tym inwentarzu, że te bobrownie, bobrowe góry, czyli żeremnie, były porządnie prowadzone, i tak dobierano stada, aby były jednego koloru. Szczególniej za Pułtuskiem była osada czyli żeremnie czarnych bobrów sztuk 251. Prawo rozciągało i nad niemi swoją opiekę.

W następujących wiekach stopniowo ginąć poczęły; jednak jeszcze na początku teraźniejszego stulecia znajdowało ich się niemało nad brzegami Bugu, Narwi i Sanu.

Od r. 1820 do 1838 już tylko pojedyncze kolonie żyły samotnie nad Bugiem, mianowicie przy zjednoczeniu Bugu z Narwią koło Zegrza, pod Serockiem i w Terespolu; a w Galicyi w Rodatyczach koło Gródka nad Wisznią i koło Trójcy nad Styrem.

Dziś ani słychu o nich, użyteczne bobry ustąpiły z kraju, a na ich miejsce dostaliśmy przy wodach uciążliwe i szkodliwe przybysze, szczury wędrowne, które przybyły z Indyi do Europy około 1750 r., i pozajadawszy dawny gatunek szczurów zwyczajnych, pochodzenia amerykańskiego, tak się te nieproszone goście w naszym kraju wpieleszyły i rozmnożyły, że się pewnie nigdy jak bobry wyrugować nie dadzą. Trudno zrozumieć, jak można było tak do szczętu wygubić zwierzęta, tyle użyteczne, które nasi ojcowie półułaskawione jak domowe hodowali i zapisywali w majątku.

Ciekawa, dlaczego nikomu z naszych panów nie przyszło na myśl założyć bobrownie u nas, podobnie jak to uczynił n. p. książę Schwarzenberg w Wittigen w Czechach. Kosztowałoby tu tylko pierwsze urządzenie, a więc tylko początek by był trudny.

Do tego celu potrzebaby poświęcić miejsce, około 20 morgów przestrzeni mające, nad rzeczką jaką; tutaj zrobić staw 5-morgowy, a nad stawem wysadzić lasek z olszyny, topól, jew, rokicin, i innych wierzb.

W bliskości stawu, w lasku, wystawić ładny domek z czterema przegrodami; w dwóch mieszkałby dozorca, a drugie dwa służyłyby do początkowego przechowywania sprowadzonych a jeszcze nieprzyzwyczajonych bobrów. Staw i lasek powinnyby być oparkanione i rowem obwiedzione. W tym pierwszym możnaby także utrzymywać użyteczne ryby, tudzież niektóre gatunki nowszych paradnych kaczek. Wyżywienie bobrów nicby nie kosztowało; bo te zwierzęta niczem nie żyją, tylko korą z drzew, a przeto rybom nic nie szkodzą.

Mało mamy zwierząt, któreby tyle użytecznemi były jak bobry. Dorosły samiec daje 30 funtów dobrego mięsa, prócz smakowitego ogona. Mięso to ma być wyśmienite. Ogón należał dawniej do przysmaków na stołach naszych senatorów i magnatów; ma to być wyborna tłustość biała i jędrna, trochę balsamicznego zapachu. Odzież zimowa bobra daje pyszne gęste i ciepłe futro, z którego robią kołnierze do płaszczów i czapki bobrowe; skórki z czarnem futrem są najdroższe. Z włosów letnich wyrabiają kapelusze, rękawiczki itd., a ze skórki trzewiki.

Najważniejszym jednak jest tak zwany strój bobrowy, tłustość żywiczna, smaku gorzkawego i zapachu przenikliwego, znajdująca się z tyłu w dwóch torebkach w ilości 16 — 20 lutów. Jeden łut kosztuje 120 — 140 złr. w. a.

Z młodu wychowany bóbr ułaskawia się z czasem i na zawołanie przybiega; w niewoli jada chleb, bułkę itd. Głos bobra jest smętny, do płaczu podobny, i ztąd urosło zapewne przysłowie: spłakał się, lub płacze jak bóbr.

Wszyscy naturaliści i myśliwi zgadzają się, że bobry są

to niezmiernie ostrożne źwierzęta, które niebezpieczeństwo daleko wietrzą i zaraz uciekają do nor podwodnych. Zwyczajnie mało kiedy się oku ludzkiemu pokazują, gdyż wychodzą na żer tylko szarą godziną. Z tych przyczyn bardzo być może, że się jeszcze gdzie w naszym kraju i dziś ukryte znajdują, tylko o nich nie wiemy. Koło Buska ubito ostatniego bobra w roku 1862.

Teraz miejsce bobrów zajęły przy wodach nieznośne i szkodliwe szczury.

Rozmaitości.

* O pokrzywie. Roślina ta, nieszczęśliwa może dlatego tylko, że żadnej z sobą nie pozwala poufałości, użyteczną jest jednak nad wszelki wyraz. Liść, łodyga, nasienie i korzeń; ze wszystkiego liczne przemyślny i gospodarny człowiek ciągnąć może korzyści. Łodyga włóknista wybornej i najdelikatniejszej dostarcza przędzy. Przysposabia się zaś takim samym sposobem, jak len zwyczajny.

Nasienie mięszane koniom do obroku nadaje im postać wesołą i sierć połyskującą. Kurom udzielane sprawia, że więcej jaj niosą.

Korzeń pokrzywy wygotowany i zmięszany z ałunem i solą daje wyborną żółtą farbę.

Dla rogatego bydła pokrzywa wyborną daje strawę; tem dogodniejszą, że i najwcześniej i najczęściej da się zbierać i nie boi się szarug wczesnych ani przydługich słót, i rodzi się bez żadnej pomocy i uprawy poprzedniej. Na wiosnę najpierwej wybujać zaczyna, latem 5—6 razy się kosi, byle tylko łodyga zbyt nie stwardniała, gdy się ma zbierać na potraw; przeciwnie pozwala się jej rość do dojrzałości, jeśli ma być do innego użycia przeznaczoną.

Od redakcyi.

Przyszły numer „Dzwonka“ t. j. drugi, wyjdzie w Poniedziałek dnia 29 stycznia, numer trzeci we środę dnia 31 stycznia, a numer czwarty wyjdzie trzeciego lutego, i odtąd czytelnicy jak najregularniej „Dzwonek“ odbierać będą a mianowicie: 1go, 10go, i 20go, kazdego miesiąca.

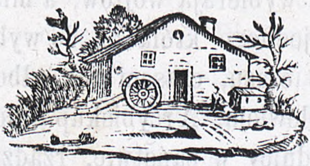
Upraszamy o nadsyłanie przedpłaty, aby można wiedzieć, ile egzemplarzy drukować. Listy przekazy i reklamacye adresować należy:

„Redakcya Dzwonka“ ulica Kopernika Nr. 21.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 2. 10. Stycznia 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

Wiadomo wam zapewne, że dawniej w polskich krajach nie było stojącego wojska, a rekrutów nigdy nie brano. Zdarzało się jednak często, że niezgodni nasi sąsiedzi — z jednej strony Moskale, a z drugiej Niemcy, wpadali do kraju i pustoszyli po swojemu. — Trudna rada, trzeba się było koniecznie bronić, bo nareszcie toby i ostatnią koszulę ściągnęli z człowieka. Otóż takie było prawo, że kiedy nieprzyjaciel wypowiedział wojnę i w padł do kraju, król z Warszawy wydawał rozkaz, aby każdy szlachcic polski brał za broń i szedł bić wrogów ojczyzny. — Czy bogaty, czy biedny, stary, czy młody, musiał słuchać rozkazu królewskiego i iść na wojnę. — Włościanie całkiem byli wolni od wojska. Służba wojenna ciężkim była obowiązkiem, bo nieraz trzeba było porzucić żonę i dzieci, i iść pod rozkazy hetmana, a do tego jeszcze własnym kosztem uzbroić się i utrzymywać. — W nagrodę za te trudy miała szlachta polska liczne prawa i przywileje. — Sama rozsądzała swoje sprawy, wybierała urzędników i posłów na sejm, a co najważniejsze, każdy miał prawo wybierać króla. — W Polsce nie szło królestwo z ojca na syna, tylko zawsze

po śmierci króla zbierała się szlachta i wybierała nowego — tak jak dziś gminy wybierają wójtów, a miasta burmistrzów. — Od chwili śmierci jednego króla aż do wyboru nowego, minął nieraz spory szmat czasu, czasem rok albo i więcej. Czas ten nazywał się bezkrólewiem. Arcybiskup gnieźnieński i senatorowie, najwyżsi urzędnicy w państwie, rządzili wtedy królestwem i pilnowali, aby panował ład i spokój i mocny nie krzywdził słabego.

W dzień śmierci króla Zygmunta zjechał do Warszawy prymas Wężyk, arcybiskup gnieźnieński. Nazywał się z łacińskiego prymas, to znaczy: pierwszy. I w samej rzeczy po królu był pierwszym w całem państwie polskiem. Po zgonie króla objął zaraz rządy, a kiedy się naradził z senatorami, naznaczył pierwszy sejm na dzień 22. czerwca 1632 roku. Pierwszy sejm po śmierci króla odprawiany, nazywał się konwokacyjny — na tym sejmie naznaczano czas do wyboru nowego króla. Dnia 22. czerwca pozjeżdżali się z całego królestwa posłowie i senatorowie i załatwili różne sprawy i naznaczyli wybór króla dopiero za trzy miesiące, na dzień 27 września. —

Dwieście lat temu, w czasie, kiedy się to działo, nie było jeszcze nigdzie ani kolei, ani telegrafów, co to w jednej chwili roznoszą wiadomości po całym świecie. Zanim z Warszawy doszła jaka wiadomość na granicę królestwa — minęło czasem kilka tygodni, a nieraz i miesiąc. Trzeba więc było zostawić dużo czasu, aby każdy dowiedział się o śmierci króla Zygmunta i mógł choćby z najdalszych okolic nadjechać pod Warszawę na wybór nowego króla. Kiedy się już zbliżał czas obioru, czyli jak dawniej mówiono elekcyi, ze wszystkich stron królestwa ściągała się szlachta pod Warszawę. Bogaci panowie, senatorowie, wojewodowie i kasztelani jechali w złoconych, kosztownych karetach — koło powozu jechali zbrojni kozacy. Z tyłu ciągnął się cały szereg wozów z kuchnią, służbą i zapasami różnego rodzaju. Im większy pan, tem więcej wiódł żołnierzy, czy to kozaków, czy też husarzy, okrytych żelaznemi blachami, z szerokiemi mieczami przy boku. Gdzie niektórzy mieli nawet swoje armaty — i prowadzili po kilka tysięcy zbrojnych, jakby na jaką wojnę.

Biedniejsza szlachta jechała konno: gdzie niektóry wiózł ze sobą jednego lub dwóch luzaków do swej posługi. Byli wreszcie i tacy, co na piechotę ciągnęli pod Warszawę na plac wyborów. — Po lewej stronie Wisły, między wsią Powązki a Wolą, ciągnie się długie, szerokie, a równe pole. Tam odbywały się wybory królów. — Dnia 27. września warto tam było być, aby się wszystkiemu przypatrzyć. Całe pole nabite było ludźmi, a każdy wystrojony jakby na wielkie święto do kościoła. Jedni dawnym zwyczajem w bogatych kontuszach i jedwabnych żupanach, w wysokich czapkach z drogiego futra, a przy boku długi pałasz, drudzy na francuzką modę w trzewikach, jedwabnych pończochach do kolan, w obcisłych spodniach i jedwabnych, albo aksamitnych surdutach i cienką szpadą przy boku, podobną do rożna. Innej broni, jak naprzykład strzelb, albo pistoletów, nie wolno było przynosić na wybory. Także i wojska wszystkie, które panowie polscy i litewscy przyprowadzili ze sobą, musiały zostać na trzy mile od pola wyborczego. Prawo takie, dlatego było postanowione, aby nikt podczas wyborów nie mógł robić gwałtów i nie przerywał narad. W środku pola była szopa na słupach drewnianych. Przed tę szopę raz wraz zajeżdżały powozy świecące i złociste, ciągnione czwórką lub szóstką pięknych koni, a z nich wysiadywali bogato przystrojeni panowie: wojewodowie, kasztelani, arcybiskupi i biskupi, i szli do szopy na radę. Szopa ta nie miała ścian tak, że każdy mógł się przypatrzyć, co się dzieje i jak idą narady — tylko w razie deszczu opinano ją dokoła płótnem. Ozdób też żadnych na niej nie było tak, że raz z tej przyczyny śmieszny zdarzył się wypadek, o którym później opowiem.

Kiedy wszyscy senatorowie i posłowie się pozjeżdżali, zaczęli radzić, w jakim porządku mają się odbywać wybory. Narady te trwały dzień cały. Nad wieczorem rozchodzili się panowie i senatorowie, jechali na noc do bliskiej Warszawy, do swych pałaców; biedniejsi mieścili się, jak kto mógł, w gospodach albo w klasztorach. Największa część została na polu, porozbijała namioty, by się chronić od słoty, i tam nocowała. Nawet wielu bogatych panów koszowało w polu,

bo nie mogli miejsca znaleść w Warszawie dla wielkiego natłoku. Na drugi dzień rano, jeszcze dobrze się nie rozwidniło, aż tu kilku ze szlachciców, co opodal rozbili swoje namioty, ujrzeli, że w szopie, w której wczoraj odbywały się narady, pali się jakiś ogień. — Biegną tedy czemprędzej i widzą, że jakiś kucharczyk rozłożył sobie tam ogień i zabiera się do gotowania śniadania.

— A cóż ty tu robisz? woła jeden z nich.

— Toć Waszmościowie przecież widzą co robię— odpowiada kucharz — gotuję śniadanie dla pana Potockiego, wojewody bracławskiego.

Dopiero tedy ci co nadbiegli dalejże, z góry na niego: a ty taki, owaki, to ty będziesz tu sobie kuchnię zakładał, gdzie ma radzić sejm i senat — ruszaj stąd czemprędzej.

Kucharz w wielkim strachu zaczyna się prosić.

— Darujcie panowie, darujcie, nasz pan wojewoda kazał na tem polu taką samą szopę postawić, a że jeszcze trochę ciemno, to zabłądziłem i tutaj zaszedłem.

Szlachta się zaczęła śmiać, puściła zastraszonego kucharzynę i kazała mu zgasić ogień i pozabierać naczynia. W chwili wszystko uprzątnął i wynosił się czem prędzej ze swemi garkami, rad w duszy, że na strachu się skończyło. C. d. n.

Pogadanki.

— Zauważyłem, że w całej tej księdze nigdzie Marcin nie mówi o sobie: *ja*, jeno tak, jak gdyby to nie on sam był, tylko kto inny, i pisze o sobie zawsze Marcin, albo też Królewiak. Opowiada i o zdarzeniach, jakie w wiosce zaszły, i o dawnych czasach, i o tem, co się właśnie w chwili rozmowy działo — słowem o wszystkiem, co widział i czego zię wyuczył, ale zawsze ma na myśli, aby nauczyć czegoś pożytecznego i dobrego swoich sąsiadów. Rozmowa toczy się raz u niego samego, to znów na jarmarku przy piwie, to u jakiegoś z sąsiadów, a nawet czasem i u księdza proboszcza, albo wreszcie u nauczyciela. My też podajemy wam co najważniej-

sze opowieści w takim porządku, w jakim zapisane są w owej książce.

I.

— Były imieniny u Marcina. Gospodarz zaprowadził zwyczaj obchodzenia imienin na Podwalu — tak się nazywała owa wioska, w której Marcin mieszka, — ale odkładał je zawsze na niedzielę, aby czasu daremnie nie tracić. Sąsiedzi zeszli się licznie i gwarzyli głośno, jak zwyczajnie: o biedzie, wielkich podatkach, drożyźnie i braku pieniędzy; sąsiadki opowiadały sobie bajeczki najnowsze, a dziewczęta chichotały w ostatnim rogu długiego stołu i spoglądały ukradkiem na dorodnych chłopaków, przyszłych gospodarzy i kmieci, usadowionych na przeciwnej stronie stołu, ale także na końcu, bo u Marcina pierwszeństwo szło podług wieku, gdyż jak mawiał: kto starszych nie szanuje i sam się starości nie godzien doczekać. Marcin z początku zajęty przyjmowaniem gości, nie mięszał się do rozmowy. Dopiero gdy się już nikogo więcej nie spodziewał, usiadł przy stole. Wypili wszyscy jego zdrowie szklaneczką miodu, bo wódki i do ust nigdy nie wziął, i dalej rozmawiali. Wreszcie Wojciech Biernat, co to w całej wiosce za wielkiego mędrca i dobrego gospodarza uchodził, odezwał się w te słowa:

— Dziwno nam Marcinie, że tak często opowiadać lubicie o starych dziejach. Co było, to było, a jeśli tego teraz nie ma, to i nie warto o tem mówić.

— Słusznie mówicie Wojciechu — odezwał się Kasper Kamizela — ot lepiej pomyśleć nad tem, jakby tu teraz biedzie zaradzić; jakby to podatku umniejszyć, i na te tam szkoły i inne nauki nic nie dawać.

— Chwała Bogu, że ja nie sam taki jestem, — powiada Walenty Hamulec, — i ja dawno już rozmyślałem nad tem: co nam z tego przyjdzie, że tam będziemy wiedzieć, jak to dawniej było, co nasi przodkowie robili, albo co się tam działo, lub dzieje w innej wiosce, co to tak samo mówi, jak my. Choćby ich tam i do naga obdzierali, byle tylko nam dobrze się powodziło, to zresztą wszystko niczem.

— Powoli, powoli, — mówi Marcin — za wiele się od razu pytacie, i za wiele chcecie naraz wiedzieć.

Wszyscy ucichli, jakby makiem posiał, bo wiedzieli, że Marcin lubi opowiadać o starych dziejach i wyszukuje często rozmaite dawne historye, a nie mogli zrozumieć, dlaczego to robi. Marcin zaś po chwili powiada:

— Czy też kochacie moi mili sąsiedzi waszych rodziców?

— Oj, Oj! — odzywają się prawie wszyscy — jakżeby też można posądzać nas o niewdzięczność?

— A waszych dziadków i pradziadków?

— Toć my przecież nie poganie i Turki, Marcinie! abyśmy ich nie mieli kochać i szanować. Człek nie żałuje i modlitwy i grosza na wypominki i mszę świętą, aby im tylko dopomódz na drugim świecie, a tu na ziemi tylko wyrodki mogliby nie szanować rodziców. A zresztą — powiada Hamulec — jak my kochamy naszych rodziców, tak nas kochać będą nasze dzieci.

— Słusznie i sprawiedliwie mówicie wszyscy — rzekł Marcin — ale jakoś nie bardzo zastanowiliście się nad tem, co powiadacie. Bo i cóż to są stare dzieje? Toć nic innego, jeno historya o naszych dziadach, pradziadach, i prapradziadach. Co oni robili, jak żyli, jak nas bronili od nieprzyjaciół, a nawet ich błędy i winy: wszystko to w starych dziejach zapisane. Jeśli zatem rozpamiętujemy stare dzieje, to przez to czcimy tylko naszych rodziców; jeśli czytamy lub słuchamy o ich cnocie, pobożności i waleczności na wojnie — toć i w nas serce żywiej uderzy i my czujemy ochotę, aby się stać podobnymi do nich, bo nie chcemy być odrodnymi synami, — a kiedy nawet o ich błędach słyszymy, to wtenczas mamy naukę, abyśmy podobnych błędów sami nie popełniali. Bo błąd każdy, wina każda, karę za sobą pociąga, więc i my, jeśli to na przykładach naszych ojców i dziadów widzimy, staramy się takowych wystrzegać — stajemy się przez to lepszymi, cnotliwszymi.

Któż nie kocha zresztą swoich dzieci? Toć każdy radby im i nieba przychylił, każdy radby się zapewnić, że w całem życiu będą szczęśliwe. Ale, jak to już powiedziałem, błędy

i winy sprowadzają karę, — a kara ta spada częstokroć dopiero na synów i wnuków; jakżeż więc mamy nasze dzieci zabezpieczyć od nieszczęść i kar, jeśliśmy się z starych dziejów nie nauczyli, co to są za błędy, i jak ich można uniknąć. Częstokroć już na nas samych kara spada za nasze własne błędy, a my dziwimy się i oskarżamy Boga. Gdybyśmy byli wiedzieli, jak postępowali nasi przodkowie, bylibyśmy złemu umieli zaradzić. Pamiętacie sami, jak to niedawno perswadowałem Ostrowianom, aby gruntów po nieboszczykach ś. p. Chałupie i Baranie nie sprzedawali Niemcom, bo to obcy pozybysze, chciwi na grosz i o naszych nie dbają. Gdzietam!... jak się uwzięli, tak sobie ani powiedzić słówkiem nie dali, że źle robią. I oto teraz połowa gruntów Ostrowskich należy do Niemców, a zamożni niegdyś gospodarze poszli z torbami, lub proszą się u przybyszów za parobków. I zkądżeż to można było przewidzieć, że źle robią Ostrowianie? Gdybyście czytali stare dzieje, wiedzielibyście, że u Niemców, dawniej jak u nas byt dobry i przemyślność i nauki zapanowały, że oni zatem przebieglejsi, chytrzy i zawsze naszego w pole chcą wyprowadzić, bo im ani bratem, ani swatem.

— Co prawda, to prawda — odezwał się Wojciech Biernat — myśmy wszyscy myśleli, że Ostrowianie dobry zrobili interes, bo to Niemczyska grubo im zapłacili. Któżby się był tego mógł spodziewać, że to takie nieszczęście na wieś sprowadzi?

— Albo i ten nasz Skałuba stary. Jak zaczął mędrować i mędrować, jak zaczął prawić, że córki nie wyda za prostego chłopa, tak sprowadził nareszcie zkądś Niemca, a podobno nawet z Ostrowa i ożenił go. Ma też teraz za swoje: wygnał go zięć z chałupy, i starowina włóczy się teraz po świecie, o żebranym chlebie, a choćby się może czasem przed zięciem chciał poskarżyć i upomnieć go, to ten go nie rozumie i wypycha za drzwi.

— Mnie się zaś wydaje, — odezwie się Kasper Kamizela — że to tylko tak w Ostrowie się stało, i że tam wszyscy Niemcy nie są tak bardzo na naszych zajadli. A zresztą co

się tam w jednym Ostrowie stało, to się wszędzie nie uda — toć przecież Ostrów, nie kraj cały, ani świat.

— Co się w Ostrowie stało, to się stało w Ostrowie, a nie u nas — wyrwał się Walenty Hamulec. Niech tam Ostrowianie robią co chcą, byle tylko nam się dobrze wiodło — to i koniec na tem.

Wpatrzyli się wszyscy na Walentego zdziwieni, i znać było, że się po cichu śmieją z nieboraka. Walek po tej mowie obejrzał się w około, — zczerwienił się jak burak — wydało mu się bowiem, że głupstwo powiedział — i cichutko poprawia ogień w fajeczce i kuli się za plecy Biernatowe ze wstydu. (C. d. n.)

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

— Co to jest? — co to jest! gwałt! rozbój! rabuśniki! krzyczał żyd skurczony we dwoje na wozie i przysuwał się pomału do swojego furmana Bartka Czapeli, gospodarza z pobliskiej wioski.

— My tu nie rabuśniki żydzie — my tu stoimy z rozkazu. Stój! pokaż pas! — odezwie się Podrywka — bo kiedy zobaczył, że to z żydem sprawa, nabrał odwagi i z gęstą miną zbliżył się do wozu.

— Ny, ja mam pas — ja człek spokojny — ja nic nie winien — ny ja mam pas z becyrku — jadę do Radłowa na jarmark.

— Zaraz zobaczymy — odezwał się zuch Podrywka, — zobaczymy! Pokażno to pismo, — my tu czytać umiemy, — kto wie, czy masz pozwolenie do Radłowa?

— Jak to do Radłowa? — ja mam pozwolenie do całej Galicyi, ja z tem pismem mogę jechać i do Lwowa.

— Co nas tam obchodzi Galicya, albo i Lwów — my tu chcemy wiedzieć, czy masz pozwolenie do Radłowa?

— Kiedy ma pozwolenie do Lwowa — zagadnął nieśmiało furman Bartek — toć może jechać i do Radłowa, bo to przecież w tym samym kraju.

— Jaki mądry? — odpowiada Podrywka — on nas będzie uczył!.... a pewnie dostał od żyda dużo pieniędzy i teraz go broni. Kto wie, co on tu wiezie?... może to nie żyd, tylko przebrany powstaniec — o! my! co to czytać umiemy, nie damy się wywieźć w pole. Hej chłopcy! przetrząśnijcie no słomę na wozie, może tam są harmaty na spodzie.

Żyd biedaczysko wyjął paszport z kieszeni i trzymał w ręku, zlazł z wozu wraz z furmanem i stanął na gościeńcu. Podrywka nagle wydarł mu pismo, założył poważnie na nos okulary, i zapalił siarnika, i niby to począł czytać. Mruczał przytem coś niezrozumiale pod nosem, zapalał coraz to nowe siarniki, obracał papier na wszystkie strony, obmacywał go, jakby się chciał przekonać, czy dość gruby, i czy jakie czary nie są w środku zalepione, kiwał znacząco głową i przewracał oczyma. Prawdę mówiąc, uczył on się w młodości u organisty czytać na książce do modlenia — ale od owego czasu wszystko mu z głowy wywietrzało i tylko udawał, że coś umie, a nawet książkę do kościoła nosił. Choć ciemny jest jak tabaka w rogu, udawał mądrego, i powiada:

— O, my się tu znamy na takich figlach! ten pas fałszywy — trzeba tedy będzie przez noc w śpichlerzu się przespać.

Z początku głośno żyd wyrzekał, nie chciał nawet wierzyć, że Podrywka naprawdę chce go aresztować, był bowiem pewny swego; przedstawiał i powiadał, że to gwałt, napad, że wartowników oskarży, że będą surowo ukarani. Ale wszystkie przedstawienia i mowy nie pomagały. Podrywka uparł się przy swojem. Żyd począł prosić, błagać, zaklinać się, przysięgać, obiecywał pieniądze na wódkę — wszystko nadaremie. Kasper zaślepiony nienawiścią i ciemnotą, a przytem chciwy grosza, był pewny, że złapał powstańca. Słyszał on, że czasem paszporty są fałszywe, zdawało mu się więc, że i ten musi być koniecznie fałszywy; słyszał, że się czasem ludzie przebierają, a więc i żyd musiał być przebrany i udawał tylko. Chodziło mu zaś przedewszystkiem o to, aby dokuczyć Zawiślakowi,

aby dostać pochwałę z urzędu — więc też nie wiele pytał o to, co nastąpi. Wiedział, że wójt wyjechał do Tarnowa i dotąd nie wrócił, więc teraz w jego ręku, jako podwojciego, najwyższa w gromadzie zostawala władza.

— Kiedy nie pomoże prośba, to pomoże groźba, pomyślał furman Bartek Czapela — i dalej że się kłócić i grozić parobkom. Żyd nabrał odwagi, bo mu się zdawało, że może w ten sposób wymknie się z rąk parobków. Od przezywań i groźby, byłoby przyszło do bójki. Ale Podrywka nie miał ochoty do wojowania, od urodzenia już niezmiernie był bojaźliwy, choć przed ludźmi niezmiernego śmiałka udawał. Pobiegł zatem czemprędzej ku wiosce i począł wołać co siły:

— Gore — pali się — ogień! (C. d. n.)

Nasza wiara.

Wierzymy Panie! o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że Ty gwiazdy siejesz
Po naszej drodze, żeś Ty naszym świadkiem,
Że chociaż czasem słabymi zachwiejesz,
Jednak nas wszystkich chronisz przed upadkiem;
Żeś aniołami otoczył otchłanie,
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, żeśmy syny światła,
Że nasze wrogi są dziećmi szatana,
Że on im stoi na czele, i matła
Twą świętą wiarę, co niepokalana,
Z tryumfem skończy z nim swe bojowanie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, za synowie pychy
Silni są złością, ale słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze przypniesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zgrzytanie
Wierzymy Panie!

Wierzymy Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce.
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmiesz królowanie,
Wierzymy Panie!

Kornel Ujejski

Drętwa.

Pisarze Dzwonka nie raz wam już opowiadali o elektryce, o tem jak to pioruny i błyskawice powstają, o owych drutach telegraficznych, przywiązanych do słupów przy gościeńcach i kolejach, co to w jednej chwili przenoszą myśl ludzką na sta i tysiące mil. Wiecie już zapewne, że kiedy do ciała naelektryzowanego przytkniemy palec, to wyskakuje iskra czasem tak silna, że i najtęższego wołu zabić może. Słyszeliście, że taka elektryczność powstaje przez tarcie szkła lub bursztynu, przez zetknięcie płyt, np. miedzianej i cynkowej.

Najdziwniejszemi jednak są ryby elektryczne, tak zwane drętwy. Żyją one daleko od naszego kraju, w bagnach zwanych Bera i Rastro, w Ameryce południowej. Podobne są do naszych węgorzy, tylko daleko większe, a długie od pięciu do sześciu stóp, czyli do trzech łokci. Z wierzchu żółtawe, śliskie, ciało mają silne, muskularne; w niem to objawia się elektryczność tak silna, że i najtęższego konia za dotknięciem niewidomą ową siłą zabić mogą. A wydobywać mogą tę elektryczność na całem ciele, gdziekolwiek zechcą.



Drętwa.

Częstokroć spokojny rybak siedzi nad brzegiem bagniska i łowi ryby na wędkę. Sznur zamoknięty jest, jak wiadomo, dobrym przewodnikiem elektryczności. Jeżeli w wodzie znajdują się drętwy, wtenczas połów może się stać nader niebezpiecznym. Bowiem którakolwiek z nich, skoro tylko wędkę

spostrzeże, zbliża się, wypuszcza elektryczność. Ta po sznurze, jako dobrym przewodniku, uderza rybaka, i choć go najczęściej nie zabija, pozbawia go jednakowoż na dłuższą chwilę zmysłów i przytomności. Nawet inne ryby nie lubią mieszkać w pobliżu tak niebezpiecznych sąsiadów, i skoro się tylko drętwy w jakiemś jeziorze lub bagnisku w większej ilości pojawią, uciekają ztamtąd czemprędzej.

W Ameryce nie było przedtem koni. Dopiero kiedy ludzie z Europy odkryli tę część świata i zawojowali, i konie też razem z nimi przybyły i rozmnożyły bardzo licznie, i żyją teraz dziko w ogromnych stadach. Mają one tam jednakowo licznych i srogich nieprzyjaciół: polują na nie dzikie drapieżne zwierzęta, jak: jaguar, amerykański lew, puma, i inne; poluje krokodyl, a do bardzo niebezpiecznych nieprzyjaciół należy również i drętwa. Kiedy koń wstępuje w wodę uderza ona w niego niewidzialną siłą elektryczną: Koń parska, jeży grzywę, ucieka, ale po kilku uderzeniach traci przytomność i siły i tonie. Zdarzało się nawet, że ludzie musieli opuścić drogę prowadzącą stepami. W rzeczułce bowiem stepowej nagromadziło się tak wiele drętw, że prawie wszystkie konie, któremi rzeczułkę ową trzeba było przejeżdżać, tonęły, zabite od owych ryb. To też nikt wkrótce tamtędy nie mógł jechać, aby nie utracił swego dobytku, a nawet i życia.

Nader zajmującem i ciekawem jest polowanie na te dziwne stworzenia. Do jeziora albo bagna, w którem się drętwy chowają, spędzają tamtejsi mieszkańcy, Indyanie, muły i konie, i dokoła bagno obstępują. Krzyk i hałas niezwykły drażni drętwy i gniewa. Stawają tedy odważnie do walki. Podobnie wężom uwijają się na wodzie, podstępnie podchodzą koniom pod brzuchy i uderzają je ową ukrytą iskrą elektryczną. Znaczna zwykle liczba koni ginie i tonie, oszołomiona ową tajemniczą siłą. Z najeżoną grzywą, błyszczącymi oczyma, parskają konie, biegną pędem do brzegu, ale Indjanie długiemi tykami z trzciny bambusowej napędzają je na środek jeziora.

Pomału słabnie zaciętość walki. Znużone ryby, podobnie jak chmury po burzy, rozpraszają się na wszystkie strony. Po tak wielkiem wysileniu potrzebują one dłuższego spokoju, wiele pożywienia, aby znów zebrać elektryczność w swojem ciele; takowa bowiem po każdem uderzeniu coraz więcej słabnie. Wystraszone okrzykiem ludzi i uderzeniem kopyt końskich, przybliżają się drętwy do brzegu, a Indyanie przebijają je kończystemi żelazami, harpunami, podobnemi do ości na ryby i wyciągają suchemi tykami na brzeg. Tak się kończy dziwna walka ryb z końmi.

Sól jak dawać bydłu.

Każdy gospodarz wie już dziś, że sól bydłu potrzebna. Bydło, które dostaje sól, staje się zdrowsze i żywsze. — Sól przyczynia się wiele do trawienia i czyści krew. — Krew bydląt dostających sól jest rzadszą i czerwieńszą jak tych, które soli nie jedzą. — Nawet na zewnątrz widać skutki soli: sierść robi się miękka, gładka i połyskująca, oko żywe i wesołe. — W jaki sposób, kiedy i w jakiej ilości dawać należy bydłu sól, zawisło od różnych okoliczności, n. p. od paszy, od pory roku, od wieku zwierząt, i kraju, w którym żyją. — Jeśli bydło dostaje karmę z liści buraków lub rzepy, słomy owsianej, koniczyny albo zwykłego siana łącznego, wtedy wcale bez soli obejść się może. Pasze te bowiem mają już same w sobie dostateczną ilość soli, którą rosnąc wciągnęły w siebie zapomocą korzeni z ziemi. Zato łubin, ziarna strączkowe, jak: groch, bób, wyka, dalej kukurudza, pszenica, ziemiaki, owies, wreszcie słoma pszenna, koniecznie soli potrzebują. Pokarmy te w sobie soli nie zawierają, a do tego jeszcze trudne są do strawienia — potrzebują więc soli, aby się łatwiej w żołądku rozpuściły. Uważać także należy na wodę, którą się bydło poi — czasem woda sama jest już słona, w takim razie wszelkie dalsze dodawanie soli jest już niepotrzebne. W krajach nadmorskich, na przykład w królestwie Holandyi, zkąd pocho-

dzi piękna rasa holenderskiego bydła, nigdy przecież inwentarzowi nie dają soli.

Woda morska jest słoną. Przy pogodzie woda ta paruje, w całym więc powietrzu nadmorskim znajduje się ogromna ilość drobniutkich cząstek soli. Powietrze jest, można powiedzieć, słone. Przez samo oddychanie wciąga już w siebie bydło sól. — Nie dość jednak na tem — z deszczem, z rosą, sól z powietrza pada na rośliny — roślinami temi karmi się bydło — znowu więc dostaje sól. Łatwo więc pojąć, że w takich nadmorskich krajach dalsze dodawanie soli do karmy jest niepotrzebne.

W młodszym wieku, kiedy zwierzę dostaje pokarm silny i pożywny, należy mu też i więcej soli dawać — tak samo i w starości należy pomnożyć porcyę soli, aby trawienie i przyspieszyć i uregulować. Niechęć do jedzenia także najlepiej się usuwa, dodając bydłu soli. — W lecie sól jest potrzebniejszą jak w zimie — robi pragnienie i zmusza bydło do picia wody — wypita woda chłodzi i chroni do różnych chorób. — Nieraz się zdarza, że gospodarz mimo najlepszej chęci musi bydłu dawać lichą strawę i nie wiele. Strawa taka posypana solą, lepiej bydłu smakuje i nie tyle mu szkodzi. Przekonano się naprzykład, że siano zmulone albo spleśniałe, z którego bydło najczęściej się zamotylicza, pomoczone słoną wodą, nie pociąga tych szkodliwych skutków, a inwentarz zjada go nawet dość chętnie. Sól chroni bydło od chorób i robi go wytrzymalszem. Słota zimno, licha pasza, niewygody, nie tyle mu szkodzą, ile bydłu, które nie dostaje soli. — Ile krowa, koń, lub owca na dzień ma dostać soli, nie da się stałą liczbą oznaczyć. Mniej więcej liczą na konia średniego wieku, którego paszą jest siano i owies, dziennie 3 łuty. Bydłu rogatemu dają dziennie łut lub dwa, w niektórych okolicach nawet cztery i więcej. — Owca powinna dostawać codzień $^1/_2$ łuta, a skopy przeznaczone na tuczenie łut; pokazało się bowiem, że wtedy daleko prędzej się tuczą. Świnie także bardzo chętnie pożywają sól — na tuczenie nie robi ona jednak żadnego wpływu. Najlepiej tak urządzić dawanie soli, żeby bydlę jadło, ile potrzebuje. Ma ono swój rozum i pewnie nie przeje się.

Bryły soli kamiennej stawia się w stajni w takich miejscach, aby bydło mogło wygodnie przystąpić i zlizywać tyle, ile potrzebuje. Jest to najlepszy sposób, lepszy od posypywania solą paszy, lub pojenie bydła słoną wodą. Soli mniej wychodzi i jest pewność, że bydło się nie obje za nadto. — I o tem bowiem trzeba pamiętać, że dostateczna ilość soli bydłu służy, — tak znowu przeciwnie za wiele, działa szkodliwie, sprowadza rozwolnienie i osłabia bydlę. Ci gospodarze, co mieszkają w zachodniej części naszego kraju, koło Wieliczki, gdzie kopią sól kamienną, mogą tej soli łatwo dostać. Nie tak łatwo o taką sól we wschodniej części kraju — trzeba sobie więc inaczej radzić. Najlepiej kupować tak zwane omoki solne. Jest to sól w mniejszych i większych kawałach — prawie tak twarda i zbita jak sól kamienna. Omoki także kładzie się w stajni, a bydło pomało je zlizuje. — Gdzie i tych omoków dostać nie można — tam trzeba zwykłą solą od czasu do czasu posypywać paszę bydłu. Dwa razy na tydzień jest całkiem dostatecznie. Niektórzy gospodarze tak robią, że wodę, w której solono mięso lub wieprzowinę, dają bydłu do wypicia. Nie radzę nikomu robić tego. W wodzie takiej znajduje się bardzo wiele drobnych cząstek tłustości, które się spłukały z mięsa. Tłustość ta bardzo jest bydłu szkodliwą, i zawsze prawie sprawia rozwolnienie. Młode cielęta, napiwszy się za dużo takiej solanki, czasem nawet zdychają. — Zamiast oszczędzić na soli, można tym sposobem łatwo stratę ponieść.

Paweł z pod Rudek.

Rozmaitości.

* W Grudziądzu przybył do składu narzędzi jakiś porządnie ubrany mężczyzna i zażądał nożyczek. Ponieważ żadne nie przypadły mu do smaku, przeto właściciel pokazał mu rysunki, ażeby podług tych wybrał sobie nożyczki, jakich szuka. Nieznajomy kazał sobie zrobić parę nożyczek podług najdelikatniejszego wzoru. Po kilku dniach przyszedł je odebrać. Zaciekawiony właściciel zapytał go, do czego używa tak delikatnych nożyczek. Zapytany odpowiedział z uśmiechem, że mu tylko na ucho może powiedzieć, i objąwszy go, jedną ręką, szepnął: „Do najdelikatniejszych kradzieży!“ Poczem szybko skład opuścił. Właściciel odurzony stał przez chwilę, aż mimowoli sięgnął do kieszeni, aby zobaczyć, która godzina—i o zgrozo! przekonał się, że jego odbiorca mówił prawdę, gdyż przeciął łańcuszek od zegarka, a zegarek uniósł ze sobą.

LUTY ma dni 29.

Dni		święta rzymskie	święta ruskie
1	Czwart.	Ignacego Biskupa Męcz.	20 Jeuftymyia Wełyk.
2	Piątek	**Oczyszczenie NMP.**	21 Maksyma Prepod.
3	Sobota	Błażeja Biskupa Męcz.	22 Timoftea Apost.
4	Niedziel.	**5 Mięsopustna** Weron.	23 **N. 3 po Bohola** Kły.
5	Poniedz.	Agaty Panny Męcz.	24 Xenyi Prepod.
6	Wtorek	Doroty Panny Męcz.	25 Hryhorya Bohosł.
7	Środa	Romualda Opata	26 Xenofonta Prepod.
8	Czwart.	Jana de Matha i Maryny P.	27 Joanna Złatoust.
9	Piątek	Apolonii Panny Męcz.	28 Jefrema Prepod.
10	Sobota	Scholastyki Panny	29 Ihnatia Jepisk. Mucz.
11	Niedziel.	**Zapustna** Hipol. i Eufro	30 **N. 4 po Boh. Trie.**
12	Poniedz.	Modesta Męcz.	31 Kyra y Joan Mucz.
13	Wtorek	Juliana Męcz.	1 *Luty* Tryfona Muc.
14	Środa	*Popielec* Walent. Kapł. M.	2 **Strytenyie Hosp.**
15	Czwart.	Faustyny i Jowity MM.	3 Symeona Bohopr.
16	Piątek	Julianny Panny Męcz.	4 Isydora Prepod.
17	Sobota	Sabina Biskupa	5 Ahaftyi Mucz.
18	Niedziel.	**1 Wstępna** Konstanc. P.	6 **N. 5 po Boh**. Wukoła
19	Poniedz.	Konrada Wyznawcy	7 Parftenya Prepod.
20	Wtorek	Leona Papieża	8 Fteodora Mucz.
21	Środa	*Suchedni* Eleonory Panny	9 Nykyfora Mucz.
22	Czwart.	Kated. S. P. w Antio i Pas.	10 Charałampya Mucz.
23	Piątek	*Suchedni* Florentego Wyz.	11 Własya Jepisk.
24	Sobota	*Suchedni* Eberharda Wyz.	12 Mełetya Archiepisk.
25	Niedziel.	**2 Sucha** Macieja Apost.	13 **N. 6 po Boh**. Marty.
26	Poniedz.	Wiktoryn. i Wiktor. MM.	14 Auxentia Prepod.
27	Wtorek	Aleksandra Biskupa	15 Onysyma Apost.
28	Środa	Anastazyi Panny	16 Pamfyła Mucz.
29	Czwart.	Romana Opata	17 Fteodora Mucz.

Zmiany księżyca.

Ostatnia kwadra d. 2 o g. 11 m. 0 rano. Nów d. 9. o g. 2 min. 37 rano. Pierwsza kwadra d. 16 o g. 7 m. 9 rano. Pełnia d. 24 o g. 11. m. 41 przed południem.

Od redakcyi.

Dla wygody naszych czytelników podawać będziemy każdego 20go spis uroczystości i świętych na miesiąc przyszły. Również podamy w jednem z przyszłych numerów czas odchodzenia i przybycia pociągów kolejowych.

Dawnym czytelnikom rozsyłamy jeszcze numer drugi z roku 1872. Jeśli sobie nie życzą prenumerować nadal Dzwonka, zechcą nam numer ten zwrócić. Tym, którzy dotąd przedpłaty na rok 1872 nie złożyli dalszych numerów rozsyłać nie będziemy.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 3. 21. Stycznia 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

(Ciąg dalszy).

W kilka godzin później, znowu pozjeżdżali się do tej szopy senatorowie i posłowie, i rozprawy rozpoczęły się na nowo. Skoro dostatecznie naradzono się nad tem, jak mają być przeprowadzone wybory — zostali w szopie tylko sami senatorowie, zaś posłowie z różnych części królestwa polskiego, Rusi i Litwy, odeszli na bok, aby sobie wybrać marszałka, który miał nad nimi utrzymywać porządek. Było z początku między posłami trochę sporu, ale wreszcie wybrano na marszałku Jakóba Sobieskiego, ojca Jana. Jan ten później został królem polskim i wybawił miasto Wiedeń od Turków.— Marszałkowi do pomocy dodano dwunastu posłów, aby wszystko zapisywali, co sejm ustanowi: czterech z Polski, czterech z Rusi, a czterech z Litwy. Dla marszałka i dwunastu wybranych rozbito namiot płócienny, aby tam i podczas deszczu mogli odbywać swe czynności. — Dokoła namiotu stała reszta posłów, a dalej za nimi szlachty co niemiara. Całe koło, w którym był namiot, posłowie i reszta szlachty, otoczone było rowem i wałem.— Trzy wielkie tablice z napisami pokazywały, gdzie są miejsca

dla szlachty polskiej, ruskiej i litewskiej. Skoro wszyscy pozajmowali swe miejsca, rozpoczęły się obrady. — Najpierw powtórzono dawne prawo, aby nikt na wybory nie przyprowadzał wojska, ani też innej nie przynosił broni, chyba tylko szablę albo szpadę. Potem radzono nad tem, co zrobić z lutrami i innymi heretykami, których ostatniemi czasy wiele się w Polsce namnożyło. Wiele o to było sporów i krzyków, aż wreszcie i to załagodzono.

Po ukończeniu tych spraw stanął przed posłami Sokołowski, sekretarz królewicza Władysława, syna zmarłego króla Zygmunta i upraszał, by cały sejm, to jest posłowie wraz z senatorami, wysłuchali jego Pana, który się stara o koronę polską. — Szopa, w której się zwykle gromadzili senatorowie, była za małą, aby pomieścić wszystkich posłów, senatorów i tych wszystkich, którzy z królewiczem Władysławem i jego braćmi mieli nadejść. Posłuchanie nastąpiło pod gołem niebem. Dla senatorów i posłów wyznaczono miejsca z tyłu; za nimi pozasiadała szlachta w ten sposób, iż zrobił się półksiężyc. Skoro wszyscy pozajmowali swe miejsca, nadszedł królewicz Kazimierz z braćmi i licznym dworem. Najpierw przemówił Jan Kazimierz, brat Władysława i powitał zebranych senatorów, posłów i całą szlachtę królestwa polskiego. –

Potem prosił o głos biskup przemyski, Henryk Firley, i w pięknej mowie polecił Władysława na króla. Prymas i Jakób Sobieski, marszałek, odpowiedzieli na tę mowę i ze swej strony wychwalali i wynosili Władysława pod niebiosy. Na tem się skończył pierwszy dzień. — Senatorowie wrócili pod szopę — a posłowie i reszta szlachty do swego koła, czyli jak to nazywano, do okopu.

W następny dzień znowu zeszli się senatorowie ze szlachtą i posłami, aby wysłuchać mowy posła papieskiego. Siedział on po lewej stronie prymasa; najprzód w imieniu Ojca świętego pobłogosławił wszystkich zebranych, a potem w mowie łacińskiej polecił na tron Władysława, jako księcia bogobojnego i nadzwyczaj walecznego — Sobieski i tym razem odpowiedział, a to po łacinie, poseł bowiem papiezki nie umiał po polsku.

Trzeciego dnia przemawiał za Władysławem poseł austryjacki.

Dzień niedzielny przerwał obrady, a w poniedziałek stanął przed połączonym sejmem poseł króla Szwedzkiego, Gustawa Adolfa. Szwed hardo sobie poczynał. — Powiedział wpradzie, że Pan jego chce utrzymać pokój z Polską, ale także dodał, żeby nie wybierano Władysława, bo to mogłoby sprowadzić wojnę. Całkiem słusznie, spokojnie i z godnością odpowiedział na to Jakob Sobieski, że Polska i jej mieszkańcy nie chcą wojny, ale nie pozwolą na to, żeby im ktoś obcy dawał rozkazy i zrobią tego królem, którego uznają za najlepszego i najwaleczniejszego. Tak tedy musiał Szwed odejść jak niepyszny i nic nie uzyskał.

Po tych różnych posłuchaniach rozdzielono się znowu, a szlachta w swych okopach zaczęła radzić o różnych mniej ważnych rzeczach.

Wiele było sporów, wrzawy i krzyków. Kilka dni tak zeszło, a mało co uradzono. — Aż tu naraz dochodzi wiadomość, że car moskiewski myśląc, że w czasie bezkrólewia Polska będzie bezbronną, wpadł z wielkiem wojskiem na Litwę, niektóre miasta już zabrał i popalił, a Smoleńsk, wielkie i ludne miasto, otoczył dokoła swem wojskiem. — Trzeba więc było czemprędzej kończyć wybory i iść pędzić i bić Moskala. Prymas napominał i 8my listopada naznaczył na ostatni dzień wyborów. — W dniu tym pamiętnym zeszedł się znowu senat ze szlachtą w jeden wspólny sejm. — Ugodzono się, że głosowanie odbywać się będzie województwami. Województwo znaczyło w dawnej Polsce, tyle co u nas powiat, tylko że województwo było daleko większe jak powiat; niektóre miały tyle mil kwadratowych, jak trzy lub cztery powiaty, inne znowu, jak n. p. województwo podolskie albo kijowskie, były tak wielkie, że i dziesięć naszych powiatów mógłoby się w nie wygodnie zchować. — Najwyższym urzędnikiem w województwie był wojewoda, w razie wojny dowodził szlachtą, która w jego województwie mieszkała. — Jak mówiłem, postanowiono, że najpierw każde województwo osobno, to jest wszystka szlachta, senatorowie i biskupi, którzy

w niem mieszkają zgodzą się, kogo chcą mieć królem, a o tem, na co się zgodzili, dadzą znać prymasowi przez swych posłów. — Wtedy prymas zaśpiewał; „Przyjdź Duchu święty"; wszyscy uklękli, zdjęli czapki i nabożnie śpiewali pieśń świętą, a głos kilkudziesięciu tysięcy ludzi z pokorą proszących Boga, by król, którego mieli wybrać, był sprawiedliwy, bogobojny i waleczny, by dał szczęcie narodowi, wznosił się do stóp tronu Najwyższego stwórcy, przed którym nie ma nic skrytego, który zna myśli nasze i widzi uczynki.

Po odśpiewaniu całej pieśni, ruszyły się województwa. Najpierw szło województwo krakowskie. Na przedzie senatorowie, dalej posłowie, urzędnicy, w końcu reszta szlachty wojewódzkiej. Za krakowskiem szło województwo sandomirskie, również ze swymi senatorami na czele. Potem następowała reszta województw polskich, ruskich i litewskich. Wszyscy szli do o k o p u, gdzie każde województwo miało już wyznaczone swe miejsce. Tam mieli się naradzać, kogo obwołać królem. Ale szlachetny, waleczny i cnotliwy królewicz Władysław, syn zmarłego króla Zygmunta, dawno już wszystkich serca sobie pozyskał. Łatwa więc była zgoda. Każde województwo chciało Władysławowi oddać koronę. W pół godziny w tym samym porządku wracały województwa z okopów przed szopę, gdzie już prymas na nie czekał. Najpierw prymas, biskupi, wojewodowie, kasztelani i senatorowie oświadczyli, że chcą oddać koronę polską Władysławowi. Potem występowali posłowie z województw, jeden po drugim i każdy w imieniu swego województwa oddawał głos na królewicza Władysława.

Szczęśliwie tedy i zgodnie w jednym dniu obrano sobie króla. Radość była ogromna: „Niech żyje król Władysław!" rozlegało się po polu, a ludzie, choć sobie nie znani, ściskali się i całowali z wielkiej uciechy, że wybór odbył się tak dobrze i gładko i bez żadnych zwad albo bijatyk.

W kilka dni potem przysięgali posłowie króla Władysława za swego Pana, że praw, jakie są w Polsce, Litwie i na Rusi, ściśle pilnować będzie. Było to 13go listopada. Jak

zwykle w tym czasie deszcze ciągłe rozmoczyły ziemię, a przez chodzenie nanosiło się niemało błota.

Mimo to, jak cały wybór, tak też i przysięga odbywały się pod gołem niebem. Siedmdziesiąt tysięcy szlachty, i sześćdziesiąt tysięcy wojska, po części piechoty, po części konnicy, w bogatych, złoconych strojach, stało po obu bokach. W środku, w infule i ornacie biskupim, prymas trzymał krzyż w ręku. Przed nim rozesłany był wielki kobierzec, aby posłowie nie potrzebowali klękać w błoto. Nadeszli posłowie Władysława uklękli i ręce podnieśli do przysięgi. Cisza się zrobiła do koła, że można było usłyszeć brzęk muchy. Każdy stał jakby z kamienia i słuchał słów przysięgi. Kiedy posłowie ukończyli przysięgę, przemówił prymas donośnym głosem w te słowa:

„Z urzędu mego mianuję królewicza Władysława Zygmunta, pierworodnego syna Króla Zygmunta III., królem, którego zgodne i wolne głosy obywateli Polski, Litwy i Rusi na ten urząd powołały."

To samo mniej więcej powtórzyli marszałkowie Polski i Litewski swoim województwom.

„Niech żyje król Władysław"! rozległ się krzyk po tych przemowach.

Trębacze rozstawieni na trzech pagórkach zagrali w trąby, a na ten znak kanonierzy zaczęli walić z armat, a około sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy wystrzeliło z karabinów.

Wystrzały z armat i z karabinów dały znać Warszawie, że król już wybrany. Zaraz też, aby okazać radość, że kraj już nie sierotą, że znalazł pana i obrońcę przed Niemcami i Moskalami, uderzono we wszystkie dzwony.

Kto żyw ubierał się czemprędzej, jakby na jakie święto i biegł za rogatkę, na wieś zwaną Wolę, aby się dowiedzieć, kto też został królem.

Tam tymczasem ukląkł prymas, a za nim wszyscy, panowie i szlachta cała, i zaśpiewali piękną pieśń świętego Ambrożego: „Ciebie Boże chwalimy," dziękując Bogu, że ich natchnął zgodą i jednością i dał im wybrać króla bogobojnego, dobrego i walecznego.

Potem, że już był wieczór, zaczęli się rozchodzić: jedn jechali na noc do Warszawy, inni znowu zostawali na polu wyborczem i mieścili się gdzie kto mógł, pod namiotami, albo nawet pod golem niebem grzali się w chłodnej nocy przy rozłożonem ognisku.

Nazajutrz rano odbyła się w Warszawie msza uroczysta o duchu świętym. Arcybiskup gnieźnieński celebrował. Po mszy przysięgał już teraz sam król Władysław, że praw wszystkich święcie dochowywać będzie, i nikogo w królestwie swem nie da ukrzywdzić. Po przysiędze oddał prymas królowi papier, ozdobiony różnemi pięknemi kolorowemi rysunkami, wyśrebrzany i wyzłacany. Było tam opisane, jak Władysław został na króla obrany, a papier taki nazywał się dyplom elekcyjny.

Dyplom ten oddał prymas królowi, skoro tenże wstał od przysięgi, i powiedział do Władysława te słowa: „U ołtarza Wasza Królewska Mość odbierasz dyplom elekcyjny, abyś wiedział, że królestwo jest katolickie, i że masz bronić praw katolickich.

Po tych słowach za przykładem prymasa znowu wszyscy uklękli i znowu zaśpiewali: „Ciebie Boże chwalimy“. Na tej kościelnej uroczystości skończył się wybór króla.

Wszyscy wyszli z kościoła, a marszałkowie polski, i litewski, odprowadzili Władysława do zamku królewskiego. W kilka dni później nastąpiła koronacya króla w Krakowie. Jak to się działo, opiszę w następnym numerze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

Na krzyk tak wielki pozrywali się gospodarze i przelękli powychodzili przed chaty i słuchali. Podrywka, kiedy sądził, że ich już dość do pomocy, zmienił hasło i krzyczy.

— Powstańcy jadą! chwytaj! łapaj! Za mną, kto tylko żyje!

Jedni poczęli uciekać co tchu do lasu, inni spokojnie stali na progu, gdzie niektóry wyrwawszy drąg lub kół z płotu, biegł ku gościeńcowi. Śmiałków takich zebrało się do dziesięciu i z Podrywką na czele wyruszyli ku karczmie, gdzie żyd ze strachu trząsł się jak osika i odmawiał pacierze, jakby jego ostatnia wybiła godzina.

Skoro zobaczyli na wpół umarłego żyda i furmana znajomego z pobliskiej wioski, jedni poczęli się śmiać, a drudzy dalejże na Podrywkę, że ich w polo wyprowadził.

— Oto mi się zna dopiero na warcie nasz podwójci! każe nam żyda łapać i chłopów — mówił Jan Bielus.

— Kasprze — powiada Sobek Gajda — weźcież do pary i naszego arendarza, będzie ich więcej nocować w śpichlerzu, a może i mojego kuma Czapelę zechcecie także zamknąć do kozy?

— Za wiele jak widzę — mówił Walenty Makosz — zaglądaliście dziś Macieju do kieliszka, kiedy się wam w nocy takie cuda przyśniły, żeście całą wioskę zbudzili.

Kasper zawstydzony zamiast poprawy i przyznania się do błędu, tem srożej się zaciął i uparł przy swojem, a jak wiadomo, na upór nie ma lekarstwa.

— Co mi tam plecie jeden z drugim — zawołał — ja tu jestem wójtem teraz, czytałem paszport, jest fałszywy, tedy nie ma żadnej wątpliwości, że to jakiś niebezpieczny człowiek, i na tem koniec. Hej chłopcy! bierzcie go!

Stało się według rozkazu podwójciego, i niewinnego handlarza zamknęli na całą noc w śpichlerzu.

Pomału uspokoili się gospodarze i uśmiawszy się z głupoty podwójciego i jego uporu znów się spać na nowo pokładli. Nie jeden miał nogi pokaleczone i zmęczony był jak po najcięższem żniwie i klął w duchu Podrywkę, że to wszystko przez niego się stało, ale przyznać się nie chciał, że przed strachem próżnym uciekał.

I Podrywka także poszedł do domu. Przedtem jednakowoż przysięgał przed Szymkiem i Maćkiem, że złapał powstańca i rozkazał się zbudzić, skoro tylko coś drugiego się zdarzy.

— Nie głupim — powiada sobie w duchu Maciek— sam chce zarobić na pochwały i pieniądze śpiąc w chałupie spokojnie na łóżku, a nam każe ślęczeć i wartować.

Tak Maciej jak i Szymek mową podwójciego byli przekonani, że to był żyd przebrany. Kiedy pierwszy raz schwytanie powstańca, jak sądzili, tak dobrze im się udało, więc nabrali ochoty i odwagi, i już więcej do Podrywki nie myśleli o pomoc się udawać. Postanowili więc każdego, kto się tylko nawinie, chwytać i aresztować.

Noc była chłodna i ciemna, dopiero nad ranem chmury poczęły się rozpierzchać i księżyc, jak srebrny bochen chleba, wyjrzał z po za chmur. W około cisza, żeś słyszał prawie jak trawa rośnie. Oba parobcy na sianie i wyrwanem ściernisku ułożyli się obok siebie i drzymali. Wtem naraz gdzieś w oddali huknął jakiś przytłumiony głos raz, drugi i trzeci, jakby ktoś biczem trzasnął lub z klucza strzelił. Trzaskanie to coraz częściej i gęściej się powtarzało. Wreszcie naraz huknęło coś silnie, przeciągle, ale tak gęsto jakby ktoś grochem sypał, tylko że głośniej i raźniej. Maciej i Szymon zerwali się na równe nogi.

Na niebie w stronie północnej, za rzeką, gorzała szeroko czerwona łuna. Widać było, jak pożar coraz więcej się szerzy, jak dym z iskrami unosi się w górę nakształt ogromnych słupów. A wśród tego słychać było ów ustawiczny trzask i jakieś niby głosy ponure, niemiłe, przerażające, jakby duchów podziemnych. Parobkom nogi zadrżały w kolanach, stali przelękli i żaden słowa przemówić nie mógł.

— Zle z nami, wybełkotał Szymek, uciekajmy, uciekajmy!

— Boże zachowaj nas od głodu, ognia i wojny, cicho szeptał Maciej.

— To Moskale biją Polaków, powiada Szymek. Jak widać kilka wsi od razu się pali.

Jeszcze chwilę stali tak i dumali, a żaden z miejsca nie ruszył, bo strach odjął prawie przytomność, i nogi nie chciały chodzić. Głosy owe tymczasem coraz to cichły, łuna się

umniejszała, strach omijał parobków i obaj zmęczeni znów na tem samem miejscu się położyli i usnęli.

Marysia pilną była dziewczyną. Raniutko obchodziła zawsze chatę dokoła, dawała koniom obrok, opatrywała stodołę i pasiekę, czy Boże broń jakie nieszczęście się nie przydarzyło. Potem wychodziła na kępę, aby dla krówek świeżej trawy do podoju użąć.

Tak też i dzisiaj, z sierpem w ręku i płachtą przepasana przez ramię, świtem szła ku Wiśle.

Przechodząc przez gościeniec zobaczyła śpiących, Maćka i Szymka.

— A to mi pilni wartownicy! w nocy krzyczą jak opętani, a już nad rankiem śpią jak zabici — i lekko jednego i drugiego sierpem uderzyła.

— Kto jedzie?! zawołali oba prawie równocześnie, przecierając oczy. To ty... kochana Marysieczko moja, mówił Szymek, dokądżeś to tak rano się wybrała?

— Idę na kępę po trawę dla krówek, a wiesz, że to bardzo daleko, prawie pół mili. Oj Szymku! nie dobry z ciebie człowiek; mówili tatuś, żeście niesłusznie zamknęli owego żyda do śpichlerza, i że będzie kara.

— Czy już ojciec twój wrócili z Tarnowa?

— A tak, wrócili i wypuścili aresztowanego, ale ten się odgraża i grozi procesem.

— To nie ja, tylko ten Podrywka, a zresztą cóż mnie to obchodzi — kazali łapać, to łapię, kogo zobaczę.

— Pamiętaj Szymku, że nic nie będzie z twoich zamysłów, boś ty człek niedobry i udajesz jakiegoś tam Niemca. Bądź zdrów, ja muszę iść dalej.

Dzwonki wiejskie.

Jest w wioseczce kościółek
Na cześć Bogu stawiony,
Płotem w koło grodzony
Jakby jaki ul pszczółek.

Pod kościółkiem kaplica,
Przed kaplicą dzwonnica,
A w niej dzwonią dzwoneczki,
Na cześć Boskiej dzieweczki.

Lecz nietylko cześć bożą
Dzwonki tutaj tak głoszą:
Co dzień rano do szkółki
Wabią dziatki, jak pszczółki:

Idźcie, idźcie dziateczki,
Na naukę do pracy,
Hej dziewczęta, chłopacy,
Idźcie już do książeczki!

A gdy pożar się zjawi,
I płomieniem rozkrwawi,
Dzwonki jęczą żałośnie,
Głosząc ogień rozgłośnie.

A gdy chory ktoś kona
W Bogu jego obrona,
Dzwonek dźwięczy i głosi
I o pomoc dłań prosi.

Dzwońcie, dzwońcie, dzwoneczki,
Od wioski do wioseczki;
Chrońcie od nieszczęść kmieci,
Pędźcie do szkoły dzieci!

Floryan ze Lwowa.

Ignacy Marchocki,

sławny dziwak.

Jak między prostaczkami, tak i między panami zdarzą się nieraz dziwnego usposobienia ludzie, a szczęście dla bliźnich, jeźli dziwactwem swojem nie wyrządzają im przykrości i kłopotu.

Do takich dziwacznych, a nieszkodliwych ludzi, należał pan Ignacy Marchocki na Podolu.

Podole, najżyźniejsza ziemia, leży w połowie w naszym kraju na północno zachodniej stronie, w połowie w moskiew-

skiem państwie. Przez środek Podola idzie więc granica galicyjska, a na granicy po stronie Podola moskiewskiego leży wieś Mińkowce. W niej mieszkał w samiutkim końcu przeszłego wieku Ignacy Marchocki, jako pan dziedziczny, potomek bardzo możnej rodziny szlacheckiej.

A że pochodził od bogaczów, już od maluczkości wiele myślał o swoim rodzie i godności, bo wmawiano w niego bez przestanku, że takie i takie należą się mu tytuły, przez co spaczyło się jego wychowanie.

Będąc później panem na swoją rękę, nie przestał zajmować się ulubionemi myślami, aż nakoniec pomięszało się mu w głowie i w chorobliwym stanie opanowało go dziwactwo.

Zdarzyło się prawie, że dostał nakaz, by dostawiał przybory dla wojska moskiewskiego. Jakoż odwiózł je na wielu wozach. Kiedy z niemi do domu wracał, wymarzył sobie drogą, że jest księciem i jako taki powinien udzielnie panować w państwie. To też gdy tylko stanął w swojej dziedzicznej wiosce, zaraz nazwał majętność swoją księstwem i jako książę zaczął w niej panować. A ponieważ majętność jego rozciągała się na samej granicy państwa austryackiego, kazał na pograniczu Galicji, kraju naszego, powbijać słupy, a na nich porobić napisy:

„Granica państwa mińkowieckiego od państwa austryackiego.“

Z drugiej zaś strony swojego księstwa kazał także popostawiać słupy z napisami:

„Granica państwa mińkowieckiego od państwa rosyjskiego.“

A kiedy słupy stanęły w oznaczonych miejscach, zbudował niby miasta, pałace letnie i książęce, i każdemu z nich najdziwaczniejsze podawał nazwiska.

Wśród gęstego lasu wznosiła się wysoka góra. Na niej wystawił zamek i nazwał go Ostrokowem. Mieszkanie letnie nazywało się Belmontem.

Założył przytem wielki i wspaniały ogród, który Przytuliją zamianował. W nim było wiele zabudowań, i tu też

udzielny książę najwięcej przepędzał czasu. W ogrodzie tym wychowywał swoje dzieci bez nauki.

W państwie zaś całem nie było uciemiężenia, a więc nie było i pańszczyzny.

Pan Ignacy Marchocki udzielał rozmaite przywileje i wypisywał na nich miejsca, z których je wydawał, tudzież kładł rok swojego panowania i podpisywał się śmiesznie: Hrabia Ignacy Ścibor Marchocki, herbu Ostoja, książę na Mińkowcach, Bełmoncie, Otrokowie i grodach przytulijskich pan.

W państwie swojem sam nie załatwiał spraw ani osobistych, ani poddanych swoich, jeno zwoływał sejmy. Na sejmowych zapraszał najstarszych kmieci, a co ci wspólnie uchwalili, obowiązkiem było dla wszystkich. Sejmy takie odbywały się zwykle w ulubionym ogrodzie Przytulii. Dla sejmowych były tam urządzone ławki, a te w czasie narad pokrywano zielonem suknem.

Sejm był dwojaki. Oprócz tego miał pan Marchocki radę stanu czyli władzę ustanawiającą prawa w państwie minkowieckim i trybunał czyli najwyższą władzę sądowniczą bez apelacji, to znaczy, że nie wolno się było odwoływać, ale poprzestawać na wydanym wyroku. Trybunał więc rozsądzał najważniejsze sprawy bez odwoływania się do innej władzy. Tak rada stanu, jak i trybunał sądowniczy był złożony ze samych kmiotków, najpoważniejszych i najuczciwszych starców z majętności pana Marchockiego. (Dokończenie nastąpi).

Klon.

Obrazek przedstawia wam liście i kwiat tak powszechnie znanego klonu. Rośnie on w Europie, Azji i Ameryce. Drzewo to jest tak dobrze prawie każdemu znane, a przecież mało komu przyjdzie na myśl, że z niego wyrabiają napój do wina podobny, lub cukier. Gatunków klonu jest kilka i tak: klon zwykły, czyli biały, francuski, czerwony, kończasty, tatarski, polny, chropawy, pręgowany i cukrowy.

Klon biały czyli zwykły jest drzewem wyniosłem, dochodzącem niekiedy do 100 stóp wysokości, a 4 stóp w przecięciu.

W czasach pogańskich doznawał z powodu swej okazałości czci boskiej; osobliwie, gdy go ścinać miano, skrapiali kapłani pogańscy korzenie winem i na klęczkach prosili, aby bogowie udzielili im swego drzewa i obiecywali się odwdzięczyć. Działo się to dlatego, że dostarcza wybornego materyału, szczególnie na wyroby tokarskie, łatwo się bowiem wygładzić daje.


Klon.

Klon kończasty, tak zwany od ostro zakończonych liści, jest również pożytecznem drzewem, nietylko na opał, jak niemniej dla napoju, jaki z niego wyrabiają mieszkańcy Szkocji. Na wiosnę robią otwór w drzewie, z którego obficie sok wypływa i wyrabiają z niego napój do wina podobny.

Najważniejszym jest klon cukrowy. Rośnie w północnej Ameryce, osobliwie około półwyspu Kanady. Dochodzi 50 do 60 stóp wysokości, a gruby na 2 stopy. Zawiera w sobie bardzo wiele soku, z którego to cukier wyrabiają w ten sposób: Wiercą w drzewie niezbyt wysoko nad ziemią otwory. Z jednego takiego otworu w przeciągu 24 godzin, wypływa ośm konwi soku cukrowego, który należycie wygotowany, daje funt cukru. Używają go także świeżo, niegotowanego, jest to bowiem chłodzący i bardzo przyjemny napój. Drzewo jego jest podobno o wiele lepsze i użyteczniejsze niż innych klonów.

Inne gatunki klonu dostarczają tylko materjału na wyroby, albo służą na opał.

Szczur.

Nie każdemu zapewne jest wiadomem, że szczury nie były dawniej znane w Polsce. Za panowania Piastów nie było jeszcze ani jednego szczura w naszym kraju, a Popiela musiały zjeść myszy. Dopiero po odkryciu Ameryki zjawił się pierwszy gatunek, tj. szczur zwyczajny w Europie, zapewne przywieziony na hiszpańskich okrętach, około r. 1577 — a do nas przywlókł się daleko później. Wkrótce się jednak te wstrętniki okropnie rozmnożyły, co trwało aż do r. 1750, w którym to czasie przywędrował znowu drugi gatunek, tj. rudy szczur wędrowny, straszny nieprzyjaciel szczura zwyczajnego; toż wszędzie, gdzie się tylko pokaże, zaraz stacza ze swoim kuzynkiem amerykańskim zacięte pojedynki i boje, a ponieważ jest większy i silniejszy, to najczęściej zwycięża i miejsce pierwszego zajmuje.

W naszych czasach stał się dawniejszy szczur zwyczajny już dosyć rzadkim, mianowicie po miastach, szczególniej nad wodą leżących, ustąpił zupełnie szczurowi wędrownemu.

Wszystkie szczury nad brzegami rzek płynących przez miasta, w wielkim dobrobycie żyjące, należą do tego ostatniego gatunku.

Niedawno odkryty został na Bukowinie i na Podolu (mieszkający zresztą także i na Węgrzech) jamnik ślepiec. Jest on wielkości szczura zwyczajnego, tj. ma długości ciała 7 do 9 cali. Szczególne to zwierzątko odznacza się na pierwszy rzut oka brakiem zupełnym ogona i maciupeńkiemi, prawie niewidzialnemi oczkami; barwa jego popielata, koło pyszczka białe plamki, czasem i na twarzy. Mieszka w norkach podziemnych, rzadko wyłazi na wierzch. Żywi się korzonkami i cebulkami.

Zbieranie składek na szkoły.

Wszyscy już teraz wiedzą, że Polska upadła dlatego, ponieważ lud wiejski nie miał wolności i nie był oświeconym. Gdyby owe miliony ludu wiedziały były, że są Polakami, gdyby były miały

oświatę i wolność, żadna moc ludzka zmódzby nas nie potrafiła. Ale od stu lat jeszcze nie poprawiliśmy się; jeszcze są miliony, co ani czytać ani pisać nie umieją, jeszcze jest kilka tysięcy gmin, co nawet szkoły nie wybudowały. A szkoła wiejska, to pierwszy początek oświaty, a oświata to jedyna broń do podźwignięcia się z upadku i zaradzenia niedoli.

Otóż w stuletnią rocznicę rozbioru zebrali się najznakomitsi mężowie z całego kraju i uradzili, że będą zbierać składki na szkoły wiejskie i nazwali się zgromadzeniem do zbierania składek, czyli z łacińskiego Komitetem. Po całym kraju mianowali swoich pełnomocników, czyli delegatów. Ci będą zbierać składki od każdego, kto ochotny, ofiarny i czuje, że oświaty potrzeba. Wezwali następnie cały naród do ofiary takiemi mniej więcej słowami:

„Od dawna poznali wszyscy, iż oświata, jest głównym warunkiem do podźwignięcia się z upadku.

Czas już, abyśmy to wszyscy czynem udowodnili.

Oświecajmy lud, aby stał się narodem, oświecajmy lud, aby przestał być nieszczęśliwą ofiarą wyzyskiwania, dźwignął się moralnie i materyalnie.

Luźne usiłowania częściowo tylko zaradzają potrzebie oświaty. By jej zaradzić skutecznie, potrzeba przedewszystkiem podnieść szkoły.

Mamy w kraju naszym ledwie dwie szkoły na 5 gmin.

Mamy 3500 gmin bez szkół. Na 100 dzieci, co obowiązane są chodzić do szkoły, chodzi tylko 20.

Przeszło 600.000 przyszłych obywateli rośnie bez najmniejszego wykształcenia, bez nauki czytania i pisania, a liczba ich wzrasta z każdym rokiem o 14 tysięcy.

Nauczyciele ludowi z płacy swojej żadną miarą wyżyć nie mogą.

Oto takie są szkoły w naszej prowincji, i to tworzy nieprzepartą zaporę do dźwignienia się z niedoli moralnej i materjalnej.

Nim sejm, który w pierwszym rzędzie do tego jest obowiązany, uchwali przeciw temu środki — niech ofiarność ludności samej, przyjdzie w pomoc oświacie. Niech ta ofiarność będzie dowodem, iż dążymy do usunięcia biedy i niedoli.

Każdy grosz na ten cel wydany, stokrotnie się wynagrodzi. Nie szczędźmyż grosza na ugruntowanie pomyślności naszej.

Ofiarą tylko dźwiga się naród upadły. Ponośmyż ją ochoczo, ona niewątpliwie lepszą nam zapewni przyszłość.

Oszczędzajmy się w wydatkach mniej potrzebnych, a grosz oszczędzony rzucajmy do skarbnicy oświaty ludowej. Składajmy

groszami, ale często, ale wszyscy, bez wyjątku, ale przy każdej sposobności. Fundusz tak zebrany zostanie użyty bądź na jednorazowe zasilenie szkół — bądź na trwałe uposażenie już istniejących, lub wreszcie na założenie nowych.

Podpisani zawiązali się celem zbierania tego funduszu w komitet, który zatwierdzony przez c. k. namiestnictwo dnia 21. stycznia rb. do l. 319 rozpoczyna czynność swoją przez mianowanie komitetów po większych miastach, a delegatów we wszystkich powiatach do zbierania składek. Nazwiska członków komitetów i delegatów podane będą do publicznej wiadomości.

Nim to nastąpi, można wszelkie datki nadsyłać pod adresem: „Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe“, na ręce p. Franciszka Zimy, dyrektora galicyjskiej kasy oszczędności we Lwowie.

W przekonaniu, iż wszyscy obywatele kraju naszego, przejęci są potrzebą dźwignienia oświaty ludu — komitet pewnym jest, iż od tej ofiarnej a pożytecznej pracy nikt z mieszkańców nie usunie się. i wedle możności swojej przyczyni się do podniesienia oświaty.

We Lwowie, d. 30. stycznia 1872.

Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe.

Podpisano: Przewodniczący: *Alfred Młocki*. Zastępca: *Aleksander Jasiński*. Członkowie komitetu: *Włodzimierz Dzieduszycki*, *Piotr Gross*, *Maurycy Kabat*, *Kornel Krzeczunowicz*, *Oktaw Pietruski*, Rabin *Bernard Loewenstein*, *Adam Sapieha*, *Ludwik Skrzyński*, *Seweryn Smarzewski*, ks. *Dalmacy Ufryjewicz* Przeor OO. dominikanów, *Karol Wild*, ks. *Feliks Zabłocki* Kanonik; *Florjan Ziemiałkowski*.

Sposób zbierania składek. Komitet do zbierania składek na szkoły ludowe zamianuje w całym kraju delegatów, tak, by przynajmniej każdy powiat miał jednego, każde miasto powiatowe drugiego delegata.

We Lwowie i Krakowie będa osobne komitety miejscowe.

W miastach odbywać się będą kwesty od domu do domu.

W miejscach publicznych, w sklepach, kawiarniach, cukierniach, wreszcie w domach prywatnych będą się znajdować puszki z napisem: **„Na szkoły“**.

Puszki te rozdawane będą przez delegatów, którzy je swą pieczęcią zaopatrzą. Co miesiąc delegat otworzy każdą puszkę, pieniądze przeliczy i zapisze, i puszkę napowrót zapieczętuje.

Delegaci są obowiązani co miesiąc wszelkie zebrane składki przesyłać do komitetu głównego, wraz z dokładnym spisem.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 4. 28. Lutego 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Władysław Łokietek i Wicek Szamotulski.

(Napisał ks. Wojciech z Zaleszan).



Władysław Łokietek.

Było to dobrze w polskim kraju, kiedy był królem Władysław Łokietek, co to był na łokieć jeno wyrosły, ale za to miał główkę nielada, a w tej główce było tyle mądrości, ile maku słodkiego w makówce. On sobie siedział w pałacu w Krakowie i gazdował w kraju, jak mądry i pobożny gazda na swoim kawałku.

Ale bo też i królowa, jego żona, była strasznie miluchną i miłosierną panią. I nie dziw temu, bo była już takiego rodu: ojciec jej Bolko, był nazwany pobożnym i siedział w mieście Kaliszu, ni to jaki zakonnik, a matka jej Helena została świętą, a święto jej przypada u nas na same wielkie żniwa. Toć to święta prawda, co gadają wszyscy Polacy: Jaki młynarz, taki młyn, jaki ojciec, taki syn; jaki przodek, taki zad. — Toż sam Ojciec św. aż w Rzymie znał dobrze króla i królowę z pobożności, a sam król za młodu chodził na jubileusz św. do Rzymu piechotą, a to droga daleka, moi dobrzy, bo z Krakowa szedł on przez Węgry ku południowi, nim stanął w Rzymie na sam czas. A jak wiecie, to dobrym i pobożnym ojcom, daje Bóg błogosławieństwo w dom i po za dom.

Tak też dał Bóg i królowi Łokietkowi wszystko dobre na jego stare lata, a całe błogosławieństwo swoje zlał na jego syna Kazimierza, a ten był jedynakiem i tak dobrym królem, że go do dziś pamiętają Polacy i żydzi, i cały świat, a od polskich chłopów jest on nazwany: królem chłopków.

Otóż jak ten jedynak króla Łokietka podrósł już na dobrego chłopaka i znał się dobrze na wszystkiem, to Ojciec stary i siwiutki mówi:

Dajmy naszemu królewiczowi jaką część do gospodarstwa, aby się przy nas wyuczył dobrze i pobożnie gospodarzyć, aby sobie potem dał radę, jak nas Bóg pozabiera z tego świata. I ułożyli sobie oboje starzy, król i królowa, posłać dorosłego jedynaka Kazia do Wielkopolski, oddać mu tam panowanie i przypatrzyć się dobrze jego rządom.

W Wielkopolsce gazdował wtedy z nakazu króla niejaki Wincenty Szamotulski, co był tam jenerałem polskim i doglądał granicy od północy, aby tamtędy nie leźli do Polski na rabunek Krzyżacy. I było tam temu jenerałowi Wincen-

temu bardzo dobrze, bo gdzie gazda stary, dobry i pobożny, tam i sługom dobrze! Bo co to dla tego Wincentego było, mieć tyle kraju polskiego od Jasnej góry, gdzie stoi nasza Częstochowa, aż ku północy, gdzie znowu leży nasz Gdańsk, dokąd nasi idą na flis, a potem znowu od miasta polskiego Poznania, aż ku Warszawie naszej prześlicznej? To nie żart mieć jakie sto mil ziemi tam i nazad i na wszystkie boki, a do tego mieć lasy, wody z rybami, wsie z młynami, miasta i kościoły a także pieniążki wielkie, żeby się nie wlazły do jednej kieszeni. Toć to było miejsce jedyne na całym świecie dla takiego Wicka, i było jeno dobrze doglądać wszystkiego, robić ludziom dobrze, Boga chwalić, a króla starego szanować i ręce mu całować. Ale gdzie tam było to na myśli Wincentemu Szamotulskiemu. Otóż tak chciał sobie Wincenty z królem, staruszkiem pobożnym, źle postąpić. Ale król posłał swego jedynaka królewicza do owego Wicka i powiedział mu pięknie:

— Oto mój Wincenty jenerale! posyłam ci moje jedyne i ukochane dziecko, doglądaj go jak oka swego, radź mu na dobre jak ojciec i ucz go gazdować, aby po mojej śmierci był dobrym gospodarzem w polskim kraju, a ja to kiedyś tobie albo twoim dzieciom odpłacę!

Ów Wincenty przyjął niedobrze królewicza, bo nie chciał mieć nikogo przy sobie, aby mógł robić, co jeno sam żywnie zechce, potem rozgniewał się strasznie na starego króla, że mu odbierał dozór nad takiemi krajami i tak się zażarł, że jeno chodził po całych nocach i rozmyślał, coby tu zrobić takiego, aby się pozbyć owego królewicza. I dobrze to mówią:

Kto się na kogo gniewa,
Taki Boga w sercu nie ma;
On by i sprzedał drugiego,
Aby się pozbyć jego.

— Otóż i ten niedobry Jenerał Wincenty dumał i dumał, ale dumał i wymyślał grzesznie, toć i przedumał. Zmówił on się na królewicza z drugimi niekrajanami i przybłędami i powiedział im tak:

— Pomóżcie mi w nocy napaść na tego Kazia, jak on sobie będzie spał na dobre, a tak go wyciągniemy z łóżeczka żywego, zwiążemy mu ręce i nogi, a potem zrobimy z nim, co nam się żywnie spodoba.

I zmówili się cichutko Krzyżacy z Wickiem, aby złapać żywego królewicza, a potem go zabić, albo wytargować za niego od starego ojca i biednej matki, co jeno będzie można.

Ale to do takiego grzechu strasznego nie należał żaden wtedy Polak, ani ksiądz, ani pan, ani chłop, ani żyd, jeno sam jeden jak palec ów Wicek i rozmaici przywłoki do polskiego kraju.

I ułożyli sobie noc i godzinę i miejsce, gdzie się mieli zejść, a potem razem wpaść do miasta i zabrać królewicza, a rzeczy jego zrabować. Ale dobrze to mówią pobożni:

> Bóg strzeże niewinnego
> I stróż Anioł jego;
> I we śnie twardym mu opowie,
> Co się gotuje na jego krzywdę i zdrowie.

Otóż tak się stało i z owym Kaziem młodziutkim. Przed tym napadem, na jaki tydzień, przychodzi sobie do pałacu królewicza jakiś dziaduś polski, siwiutki jak kreda, a milutki jak aniołek i pochwalił pana Jezusa, i powiada:

— Zawołajcieno mi, słudzy dobrzy, waszego dobrego pana, a polskiego królewicza, bo ja mu mam coś do ucha powiedzieć, jeno prędziutko.

I wyleciał zaraz do dziadusia królewicz na dwór, powitał go pięknie, wydobył z kieszonki dukata jasnego i mówi:

— Oto masz, mój staruszku, jałmużnę, a proś Boga, aby mi dał zdrowia i moim ojcom starym. (C. d. n.)

Narodowość.

Zapewneście to już sami nieraz zauważali, że jest nie mało takich rzeczy na świecie, o których człowiek wie i doskonale to czuje, że są, chociażby mu nikt jeszcze należycie tego na rozum nie wyłożył. Któż z nas nie wie naprzykład,

że mu Bóg wszechmocny dał duszę? Zna to każdy, bo sam czuje to w sobie najlepiej, że przez nią tylko żyje, a przecie wypowiedzieć mu to jest trudno. Otóż podobnie ma się rzecz i z narodowością, którą Bóg również z osobna każdemu ludowi nadał. Wie o niej każdy i doskonale w sobie ją czuje, chociażby mu nigdy jeszcze do gadania o niej nie przyszło, i chociażby może tego wyrazić nie zdołał.

Narodowość ludu, to naprzód, jest jego własna osobna mowa, która jak od wieków po ojcach mu przyszła, tak i na wnuki i prawnuki jego przejść ma. Bo i jakżeby to bez onej własnej mowy i Panu Bogu serdeczną chwałę oddać, i przy okazyi ochoty zażyć, i z żałościami wzajemnie się wynurzyć. Wszakże to krom tego, w tej tylko jedynej mowie, czy to dzieciakom, czy podrosłemu ludowi, łacniej jest i zrozumieć wszystko, co jest potrzebne, poduczyć się czegoś nowego, boć to mowa własnego naszego rozumu i serca, więc też zaraz i serce na jej głos się otwiera i w głowie bez trudu jakoś od razu świta.

Narodowość ludu, to ziemia jego z osiadłem na niej to z osobna, to po rozległych siołach i miastach jakoby jednem rodzeństwem. Ziemia dlań uświęcona i droga, bo jak żywiła jego ojców i dziadów i przechowuje ich kości, tak żywić będzie ich dzieci i wnuki, i kiedyś również do spoczynku ich przyjmie. A jakoż mógłby się ostać i dom nasz boży i cmentarz, i własna zagroda i zagon, jeżelibyśmy ziemi własnej nie mieli. Oj biednyż to, biedny lud ten, którego tak już Pan Bóg pokarze, że mu aż ziemię jego odejmą. Już jemu nie zapanować na swojem; iść musi na służalstwo i poniewierkę i hańbę, i przychodzi mu na to, że mu w ostatku i samego siebie jest wstyd. Kochajmyż więc i szanujmy tę ziemię naszą, i pilnujmy jej, jakoby oka w głowie.

Narodowość ludu, to i strój i strawa jego według nieba, pod którem mu Pan Bóg naznaczył mieszkanie, i pieśń i taniec, i zwyczaj i obyczaj jego, według własnego rozumienia i serca, a i to i tamto całkiem od innych ludów odmienne. To też popytajcie tych, co to im przyszło przez czas dłuższy zdala od swoich i wszystkiego swego się tułać, a z płaczem

rozpowie każdy, jak to mu tam gorzko dzień za dniem upływał, a nie jeden z onej tęsknoty tam nawet i umarł.

Narodowość wreszcie, to i wszystkie od najdawniejszych czasów ludu pamiątki, i wszystkie jego na przyszłe czasy nadzieje. Dobre i złe, chluba i srom, przez jakie go Bóg dotąd już przeprowadził, i rozmaite powodzenie, jakiego ta jego ziemia już doznała: wszystko to on nosi wiernie w swojej pamięci i w sercu, i przekazuje to dzieciom, i rozochaca tem i siebie i swe potomstwo, ażeby nie żałowali starania dla wspólnej pomyślności, i przebłagiwali i upraszali Boga, iżby na przyszłość samo już tylko dobro i chluba dla wszystkich była.

Patrzcie więc, jakie to drogie dla każdego człowieka są rzeczy, które narodowością zowiemy. Wszakże to mieszczą się w niej wszystkie jego na tym świecie uciechy, bo wszystko, co i najbliższe jest jego sercu i co on najlepiej rozumie. Ludzie zaś jednakiej narodowości, to jest, których mowa, zwyczaje i różne powszednie potrzeby są do siebie podobne, którzy czy to w myślach, czy w smutkach lub radościach swoich na wskroś się rozumieją, i których połącza ze sobą jeden interes, jedna pamięć doli wespół od wieków przebytej i jedna nadzieja na przyszłość, i którzy mają na ten sposób jakoby jedną myśl i jedno wspólne serce: ludzie tacy stanowią jeden naród.

A jeżeli każdemu z nas, skoro mu się zdarzy na obczyznę zabłąkać, trudno nawyknąć do onych tam i zwyczajów i strawy i twarzy, i chodzi śród nich jak gdyby niemy, i tęskni za swoimi i dać sobie rady nie może, a trzyma się tylko nadzieją, że kiedyś pomiędzy swoich powróci — to cóżby to było dopiero, gdyby człek i pośród swoich tych upragnionych uciech żywota według własnego serca i myśli nie mógł już znaleźć, jak skoroby naród narodowość swoją utracił, lub skoroby mu onej swobodnie używać nie było wolno.

Lud bez narodowości, to istne ciało bez duszy, to jakby garnek rozbity, co to już ani za uderzeniem nie zadzwoni dźwięcznie, ani zeń jakiś rzetelny pożytek być może.

Ignacy Marchocki,

sławny dziwak.

(Dokończenie).

Podczas sejmu i zebrania Rady stanu, albo trybunału, był pan Marchocki, jako naczelnik, ubrany po rzymsku, w długiej, w krwisto-czerwonej sukni; siadał na krześle podobnego koloru, przed stolikiem, który również taką szkarłatną materją był nakryty.

Wyglądał on pięknie i uroczyście, do czego przyczyniała się jego długa, bielutka broda, wielki kapelusz na głowie, złocista laska w ręku i aksamitny płaszcz, na togę zarzucony.

Każdą sprawę roztrząsano szczegółowo; głosowano za nią lub przeciw niej, a potem z pewną uroczystością ogłaszano prawa i wyroki, od których nie wolno było uchylić się nikomu.

Udzielny książę w swojem państwie, pan Marchocki, kazał dla dogodności robić nawet papierowe pieniądze, i te miały wartość w całem jego państwie. Można było za nie sprzedawać i kupować towary.

Rolnictwo kwitnęło w owem dziwnem państwie, bo pan Marchocki szczególnym był jego opiekunem. Powymyślał jakieś święta rolnicze i te obchodził z całą okazałością. Kiedy na wiosnę znikły śniegi i lody, a ptactwo przelotne oznajmiło, że uprawę ziemi rozpocząć można, spraszał pan Marchocki ludzi swoich wiosek i wyruszał z nimi w pole. Tu, jak ów cesarz chiński, który podług przyjętego zwyczaju corocznie pierwszy zaoruje pługiem ziemię po uroczystem nabożeństwie także pierwszy poruszał ziemię pługiem, poczem gorącemi słowy przemawiał do ludzi wiejskich. Ci potem gromadzili się u niego, a on częstował hojnie i nakazywał uprawę ziemi.

W jesieni znowu obchodzili święto Cerery, bogini, którą czcili pogańscy Grecy i Rzymianie, i uważali ją za opiekunkę zbóż i owoców, a więc karmicielkę ludów.

W święto Cerery odbywały się obżynki w minkowieckiem państwie. Uroczystość to była wielka. Dziewczęta ze wszystkich wiosek, najschludniej poubierane, z wieńcami z złotych kłosów pszenicy na głowie, okalały Cererę, którą udawała jedna z córek pana Marchockiego. Sam książę minkowiecki, najwspanialej ustrojony, postępował wśród licznie zgromadzonych gospodarzy i sędziów trybunału. Cała taka procesja udawała się w pola i tam przed ustawionemi ołtarzami odprawiały się rozmaite nabożeństwa.

Bogini Cerera nie chodziła piechotą, ale siedziała na wielkiem krześle, a to krzesło nosiły dziewczęta wiejskie. Procesya postępowała z pewną powagą, bez żartu i pustoty. Oprócz kmiotków znajdowali się na niej i goście z okolicy.

Po ukończeniu dziwnego obrzędu w polach, szli wszyscy do mieszkania pana Marchockiego, gdzie rozpoczęła się suta uczta, śpiewy i tańce. Każdy też bawił się w wesołości, bo i było się z czego weselić, ale nie można było odznaczyć się jakiem grubijaństwem albo bitką.

Tak to rządził pan Marchocki w swojem państwie. Córki jego nie mogły sobie same wybierać mężów, ale musiały zgadzać się z wolą ojca i pójść za tego, którego on przedstawił na męża. W ten sam sposób chciał sobie postąpić z synem swoim, niby następcą tronu. Ale nieposłuszny synal wybrał sobie małżonkę pokryjomu. Miał też za to cierniową koronę od rodzica swego do znoszenia.

Książę Marchocki nie znosił w swojem państwie zalotników, ale jak mówiłem wyżej, sam dla dziewcząt wybierał mężów.

Zdarzyło się atoli razu pewnego, że do ogrodu przytulijskiego zakradł się był jeden śmiałek, który zobaczył córkę pana Marchockigo, upodobał ją sobie i ośmielił się prosić o jej rękę.

Pan Marchocki wziął tę sprawę za wielką obrazę i owego śmiałka kazał uwięzić w zamkowych lochach. Następnie zwołał zgromadzenie wszystkiego ludu i kazał mu sądzić, albowiem śmiałek ów lekkomyślnością swoją obraził dziewczęta minkowieckiego państwa.

Zapadł wyrok. Sproszono dziewczęta, jako obrażone. Wtedy pan Marchocki kazał wypuścić więźnia. Każda z dziewcząt splunęła na niego za obrazę, a potem wszystkie wypędzały go na wieczne czasy z minkowieckiego państwa.

Pomimo tych dziwactw, był jednak pan Marchocki dobrym Polakiem. Żył z wszystkimi w okolicy w wielkiej przyjaźni i miał u nich dobre oko.

Gdy były wybory, nie obeszło się na nich bez Marchockiego. Jeździł na każde i ciął się do ostatniego za słuszność i prawdę. Z tego powodu nie szczędzono mu pochwał i chętnie słuchano jego rady. Zresztą umiał sobie tyle nadać powagi, że jenerałom na znak uszanowania, dawał ręce do całunku, a oddałby się Bogu, ktoby się odważył z nim zadrzeć.

Każdemu harde stawiał czoło. Nawet z rządowemi figurami, jak z gubernatorem i ajentami, darł koty bez przestanku.

Owe słupy graniczne uchodziły mu więc płazem, choć każdy je widział. Pan Marchocki żył sobie na prawdę jakby jaki książę i nikt mu nauki i poczciwości nie odmawiał.

Rządził w swojem państwie dosyć długo. Aby jednak w niepamięć nie poszły jego dzieje, utrzymywał na dworze swoim umyślnego pisarza, który miał obowiązek spisywać wszystkie jego czyny i słowa wymówione.

Wybudował nareszcie kościół i kazał go pokryć słomą. Co niedziela śpiewał w nim pieśni swojego układu i psalmy Dawida, które podobno sam tłumaczył z języka hebrajskiego, czyli żydowskiego. Potem wychodził na ambonę i karcił ludzi za rozmaite wady i przywary.

Te i tym podobne sprawy doprowadziły do tego, że pana Marchockiego uwięziono w Kamieńcu podolskim, które to miasto jest stolicą Podola rosyjskiego.

Kiedy właśnie wtenczas przyjechał na Podole car Aleksander I., pan Marchocki uciekł z więzienia.

Car Aleksander powiedział do swych urzędników:

— Uwolnijcie tego człeka; on ma pomięszanie w głowie i nie może dziwactwami swemi szkodzić ludziom!...

I puszczono na wolność Marchockiego. Przybył do swojego państwa, urządził prześliczny ogród i znowu panował po dawnemu.

Po śmierci jego objął syn majątek zadłużony.

Józef z Bochni.

Stach i Marysia.

STACH.

Marysia ma droga,
Moje sto tysięcy,
Nie wiem, czy odemnie
Kocha cię kto więcej? . . .

Powiedz tylko słowo,
A pójdę do matki,
I ty pójdziesz za mnie,
Pójdziesz do mej chatki! . . .

MARYSIA.

Że mię kochasz, o tem
Gadają chłopacy,
Aleś ty, mój miły,
Nie skory do pracy.

I cóż mi po mężu,
Coby tylko siedział? . . .
I nic nie pracował
O niczem nie wiedział? . . .

Nie pomoże miłość,
Gdy praca nie składa;
A gdzie w chacie bieda —
Tam będzie i zwada. . .

STACH.

Jak te mrówki drobne,
Co to wznoszą kopiec,
Taki pracowity
Będzie ze mnie chłopiec:

Będę wcześnie wstawał,
Późno szedł do łoża,
Tylko mi daj słowo,
O Marysiu hoża!

MARYSIA.

Pierwej się mi popraw,
Ja ci się nie zmienię;
A potem z ochotą
Dam ci przyrzeczenie.

Dziś nic jeszcze z tego
Na później ślub zwlekam;
Popraw się mój miły,
To na cię poczekam!

Józef z Bochni.

Ciemiernik.

Ciemiernik czarny, znany jest u nas w kraju, szczególniej w Karpatach, gdzie rośnie w cienistych lasach. Jest to roślina trwała, to jest wytrzymująca zimę. Z korzenia wyrastają łodygi, a z tych w lutym i w marcu, gdy jeszcze śniegi pokrywają ziemię, rozwijają się kwiatuszki koloru białego. Ciemiernik jest to roślina jadowita; najwięcej jadu zawierają włókna, rozchodzące się od korzeni. Ich zapach jest mocny i nieprzyjemny, smak zaś z początku nieco gorzki i tak mocno palący, iż po skosztowaniu, język zdaje się być skołowaciały. Świeży korzeń przyłożony na ciało sprawia zaognienie i naciąga pęcherze; zadany wewnętrznie, sprawia ból w



Ciemiernik.

żołądku, gwałtowne wymioty, kurcze, mdłości i krwiotoki. Proszek sporządzony z korzenia, wciągany do nosa jak tabaka, wzbudza mocne kichanie. Pomimo tych szkodliwych własności, używają w aptekach korzenia tej rośliny do różnych leków konowałowie zaś przeciw nosaciźnie i dychawicy u koni.

Przystęp pospolity.

Roślina ta wszystkim zapewne znana, rośnie u nas po ogrodach, gdzie czepia się płotów i okrywa je zielonością.



Przystęp pospolity.

Przypatrzcie się jej na rycinie, a poznacie zaraz. Liście przystępu niby wykrojone w łapki, po obu stronach kosmate, pręt gibki i wspinający się wysoko do góry, z wąsikomi dla chwytania się do płotu, albo innych gałęzi, kwiat zaś z kielichami ząbkowanemi. Z kwiatów tych rozwijają się i dojrzewają w jesieni okrągłe jagody wieloziarniste. Korzeń nareszcie wielki, nieraz grubości kolana, wytrzymuje największe mrozy. Smak jego jest przykry, a zapach nieprzyjemny.— Zażyty wewnętrznie, sprawia nudności i zawrót głowy. Dawniej używano go w aptekach do różnych leków, teraz jednak nie ma żadnego znaczenia. Ostatniemi czasy zaczęto robić z korzenia, który jest mięsisty i biały, krochmal, nieustępujący w dobroci krochmalowi z ziemniaków.

Zamek Odrzykoński.

Niedaleko miasta Krosna wznoszą się na wysokiej skale ruiny zamku Odrzykońskiego. Zwaliska takie spotykamy prawie wszędzie rozrzucone po całej Polsce. Służyły one za obronę przeciwko Turkom, Tatarom i Niemcom. Kiedy nasi sąsiedzi niezgodni napadli na kraj i pustoszyli go ogniem i mieczem, kiedy palili chaty, a ludność uprowadzali do niewoli, wtedy zamki te były jedynem schronieniem okolicznego ludu. Tam on znosił cały swój dobytek, sprowadzał rodzinę i najczęściej uchodził szczęśliwie przed powszechnym nieszczęściem.

Inne czasy — inne zwyczaje — inni ludzie; napady ustały, ustała więc i potrzeba zamków i rozsypały się wszystkie w ruinę, i stoją nagie, opuszczone, przypominając nam dawne czasy i dawne dzieje.

Ludek okoliczny opowiada sobie przeróżne gadki o skarbach zaklętych, o zaczarowanych księżniczkach, o walecznych śmiałkach, co je wybawiali, i ztąd często dla siebie piękną wyciąga naukę.

Sławny pisarz polski, Jakób Gordon, zebrał i spisał powiastki o zamku Odrzykońskim, a ponieważ są piekne i pouczające, więc je tu przytaczamy na pożytek i naukę naszym czytelnikom:

Niegdyś w lasach odrzykońskich miała być ukrytą jaskinia rozbójników, z której robili wyprawy na okolicę: palili i rabowali sioła, a po drodze odzierali kupców, jadących na jarmark do pobliskiego miasteczka Krosna.

Łupy znosili na kraniec lasu, gdzie oczekiwał koń, i obładowany zrabowanemi towarami, uchodził w głąb puszczy do ukrytej pieczary, a był dobrze do tego przyuczony.

Tam dopiero zdejmowali z niego towary.

Wieśniacy okoliczni, gdy im się rozbójnicy dali we znaki, zebrali się w liczną gromadę, zrobili obławę, wyłapali zbójców i wywieszali ich na najwyższych jodłach; — konia zaś

wyuczonego wspólnika, odarli ze skóry i puścili na postrach złym ludziom.

Potem ten las na górze wykarczowano; stanął na tem miejscu ogromny zamek, a koń, jak gdyby pokutnik, nie mógł zdechnąć; żył długo i wałęsał się odarty około zamku.

Odtąd wioskę i zamek nazwali ludzie Odrzykoniem.

Zamek miał wystawić magnat Bonar. Ten miał dwóch synów, więc jako poczciwy ojciec wybudował dla nich zamek podwójny, czyli dwa zamki o jednym dziedzińcu i jednej studni wspólnej, aby z niej bracia czerpali wodę w jedności i zgodzie.

To się atoli nie udało.

Bracia, jak się to zdarza między ludźmi, poważnili się z sobą o ową wspólną studnię i jeden drugiemu wejście na dziedziniec zamurował.

Rozgniewany do wściekłości brat, kazał wojsku swemu mury zburzyć; oba stoczyli z sobą przy studni bitwę i oba polegli bratobójczą dłonią. Ciała ich wrzucono do tejże samej studni, a ta zaraz się zasypała; zamek częścią się rozwalił, częścią zgorzał. I zobaczyli ludzie ową krwawą parę rodzonych braci, ulatującą w płomieniach gorejącego zamku, a od krwi bratniej czerwieniło się zachodzące słońce.

Odtąd w każdą rocznicę dnia tego krwawo słońce zachodzi i odziewa zwaliska czerwoną łuną; lud klęka i modli się za duszę Bonarów, bo w podziemiach słychać szczęk szabel i okropne jęki.

Jakiż to straszny przykład kary za krew przelaną w okropnej walce brata z bratem! A bratem naszym, to każdy bliźni, podług nauki Chrystusa, a przedewszystkiem ten, co jednakową z nami mówi mową, co na tej samej ziemi mieszka, co jednaką z nami wyznaje wiarę.

Inna powiastka, równie piękna i nauczająca, jaką sobie okliczny ludek opowiada, jest taka:

Wojewoda Firlej, pan możny i dumny, miał śliczną, ukochaną córkę jedynaczkę. Lubiła ona przesiadywać w wieżyczce, bo z tamtąd spoglądała na świat, gdy w zamczysku było jej ciasno, smutno i ponuro.

Jednego poranku przyprowadzili jakiegoś rycerza i wtrącili go do lochów podziemnych pod wieżą wojewodzianki.

Więzień tak pięknie śpiewał, że wojewodzianka zakochała się w śpiewie, choć nie widziała śpiewaka.

Raz pozwolił jej ojciec, aby go w dzień imienin o coś prosiła, a on wszystko dla niej uczyni. Prosiła tedy, aby wolno było więzionemu rycerzowi choć przez godzinę dziennie oddychać świeżem powietrzem.

Prośbę ojciec wysłuchał i przyjął.

Wyprowadzali odtąd nieszczęśliwego na jedną godzinę co dzień; on zaś siadał pod wieżą swojej opiekunki i coraz piękniej, coraz tkliwiej i tęskniej nucił swe piosenki, tak, że ptaszki zatrzymywały się w locie, aby się im przysłuchać.

Wojewodzianka uczuła, że bez niego żyć nie potrafi i nie taiła się z tem przed nikim.

Oburzony ojciec tak niestosowną miłością córki, kazał natychmiast więźnia stracić.

Za pół godziny wywiedli go z kaźni na dziedziniec. Na pożegnanie śpiewał smutną dumkę, gdy drżąca wojewodzianka w oknie wieży stała i ręką mu niebo ukazywała. Skoro zaś rozległ się odgłos od cięcia toporu, nieszczęsna wyskoczyła oknem i dwa duchy złączone uleciały w obłoki.

Dziewczęta widują dotąd śliczną twarz wojewodzianki, jak wygląda z okna wieżycy, i słyszą smętną nutę jej kokochanka.

(Dok. nast.)

Złote ziarna.

Książka dobra i nauka
Wiara w sercu, rozum w głowie
Statek w pracy, stałość w słowie:
W tem niech lud wolności szuka.

Jak kruk na brzydkie kiedy padnie ścierwy,
Oczy wykłuwać poczyna najpierwej,
Tym szatan kształtem, łowczy ten nie głupi,
Naprzód człowieku duszne oko łupi.

Jak wiatr mierzyć, czas gonić, groch na ścianę miotać
Próżna; tak o to, co się nie wróci, kłopotać.

MARZEC ma dni 31.

Dni	święta rzymskie	święta ruskie
1 Piątek	Albina Biskupa Wyz.	18 Lwa Papy Rym.
2 Sobota	Heleny Cesarzowej	19 Subota zadusz.
3 Niedziel.	**3 Głucha** Kunegundy C.	20 **N Miasopust.** Lwa
4 Poniedz.	Kazimierza Kr. Pols. Wyz.	21 Tymoftea Prepod.
5 Wtorek	Fryderyka Opata	22 SS. MM. w Ewhen.
6 Środa	Kolety Panny i Marcyana B.	23 Połykarpa Jepis. M.
7 Czwart.	Tomasza z Akwinu Wyz.	24 Obrit. Hław. Joan.
8 Piątek	Jana Bożego W. i Beaty P.	25 Tarasia Archiep.
9 Sobota	Franciszki Rzym. Wdowy	26 Porfyria Archiep.
10 Niedziel.	**4 Środopostna** 40 Męcz.	27 **N Syropust.** Prok.
11 Poniedz.	Konstantego W. i Bogumiła	28 *Post. Weł.* Wasyłya
12 Wtorek	Grzegorza Pap. Wyz.	29 Kassyana Sergia
13 Środa	Krystyny Panny M.	1 *Marca* Jewdoki Mucz.
14 Czwart.	Zacharyasza i Matyldy Kr.	2 Fteodota Mucz.
15 Piątek	Izabelli i Leoncyi Panien	3 Jewtropia Mucz.
16 Sobota	Cyryaka Dyakona	4 Harasyma Prepod.
17 Niedziel.	**5 Biała** Gertrudy Panny	5 **N 1 Wstupna** Kon.
18 Poniedz.	Aleksandra B. M. i Edwarda	6 SS. 42 Mucz.
19 Wtorek	Józefa Obl. NMP.	7 Wasyłya Mucz.
20 Środa	Eufemii i Teodozyi MM.	8 Fteofyłykata Prepod.
21 Czwart.	Benedykta Opata Wyz.	9 SS. 40 Mucz.
22 Piątek	*7 Boleści NMP.* Katarz. Kr.	10 Kondrata Mucz.
23 Sobota	Oktawiana Męcz.	11 Sofronia Prepod.
24 Niedziel.	**6 kwietnia** Gabr. Arch.	12 **N 2 Postu** Fteofana
25 Poniedz.	SS. 262 Męczenników	13 Nikyfora Patryar.
26 Wtorek	Teodora Biskupa	14 Wenedykta Prepod.
27 Środa	Jana Pust. i Ruperta B. W.	15 Ahapia Mucz.
28 Czwart.	*Wiecz. Pańska* Syksta Pap.	16 Sawyna Mucz.
29 Piątek	*Wielki* Eustazego Opata	17 Alexia Prepod.
30 Sobota	*Wielka* Kwiryna Męcz.	18 Kyryłła Archiep.
31 Niedziel.	**Wielk. Zmart.** Balb. i K.	19 **N 3 Postu** Chrys.

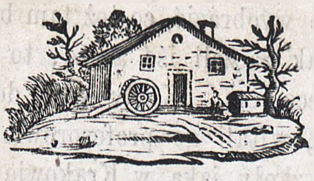
Zmiany księżyca (w marcu).

Ostatnia kwadra d. 2 o g. 8 m. 13 wieczór. Nów d. 9. o g. 1 min. 38 po południu. Pierwsza kwadra d. 17 o g. 3 m. 10 rano. Pełnia d. 25 o g. 2. m. 28 rano.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 5. **1. Marca 1872.** **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wybór i koronacya króla Władysława Zygmunta.

(Dokończenie).

Z powodu zimnicy król Władysław spóźnił swój odjazd o dni kilka. Dopiero kiedy ozdrowiał, wybrał się na koronacyę. Koronacya ta odbyła się, jak zwykle, w Krakowie, a to dnia 2. lutego 1633 roku po narodzeniu Chrystusa Pana. Już przy wjeździe królewskim do tego starożytnego miasta rozpoczęły się wspaniałe uroczystości. Miasto przystroiło się i odnowiło. Ludzie poubierali się jak od święta. Nadszedł wreszcie upragniony dzień, a wszystko co żyło wybiegło za miasto. Było też na co się popatrzyć. Przodem szło trzystu mieszczan krakowskich jednakowo ubranych w pięknych, niebieskich, jedwabnych sukniach, dalej szlachta na koniach, na każdym pełno złota i drogich kamieni, wreszcie wojsko. Między wojskiem znowu najpiękniejszy był oddział królewski. Chłop w chłopa, jak dęby, na rosłych koniach, w czerwonych mundurach z złotemi wyszyciami, a przez plecy skóra tygrysia. Za tem wojskiem jechał dopiero król na ślicznym koniu, a koło niego tłum senatorów, wojewodów, kasztelanów i innych wysokich urzędników.

Możecie sobie wyobrazić, co też tam było wojska, szlachty i narodu, kiedy jak zaczęli iść a iść, to szli od 11 godziny rano, aż do 6 wieczorem. Kiedy król dojechał do kościoła świętego Floryana, witali go profesorowie akademii krakowskiej, najwyższej szkoły, jaka w Krakowie się znajduje. Ztamtąd jechał król dalej, a kiedy wjechał w bramę floryańską, zagrzmiały wszystkie armaty na znak, że król już wjechał do miasta. Przy wjeździe w rynek wystawiona była śliczna brama, umajona choiną i ozdobiona różnemi napisami. Na bramie był przymocowany, sztucznie bardzo zrobiony, orzeł biały, który głowę ku królowi nachylał i skrzydłami ruszał, a skoro król przejechał, obrócił się za nim. Władysław wjechał do pałacu, a zsiadłszy z konia, udał się piechotą do kościoła św. Stanisława, gdzie długi czas nabożnie się modlił. Na dzień przed samą koronacyą, idąc za dawnym zwyczajem, odbył w tymże samym kościele spowiedź i przyjął komunię świętą. Nadszedł wreszcie tyle upragniony dzień koronacyi. Koło godziny dziesiątej rano wyszedł król Władysław piechotą ze swego pałacu. Przed nim postępowali senatorowie, za nim poseł wysłany od Ojca świętego i inni posłowie od różnych cudzoziemskich królów i książąt. Odezwały się na raz wszystkie dzwony Krakowa. Przed drzwiami kościoła czekali na króla: biskup kujawski i poznański, i wszyscy księża krakowscy. Zaprowadzono króla do pobocznej kaplicy, i tam Władysław przebrał się w uroczyste szaty królewskie. Potem stanął przed wielkim ołtarzem i rozpoczęła się koronacya. — Kościół cały był nabity. Pełno było panów, szlachty i mieszczan, a wszyscy w świątecznych strojach. Prymas, to jest arcybiskup poznański, namaścił go olejem świętym, potem włożył mu na głowę koronę, a w rękę dał berło i jabłko. Król dobył z pochwy miecza i machnął nim trzy razy w powietrzu, na znak, że bronić będzie Polski i świętej wiary katolickiej. Wystąpili wtedy obydwaj marszałkowie, polski i litewski, i ogłosili ludowi, iż koronacya już się odbyła. Wszyscy zaczęli wychodzić z kościoła, a król ze senatorami, posłami cudzoziemskimi, wojewodami i kasztelanami, szedł na zamek, gdzie już był wielki obiad przygotowany. Przez cały czas obiadu

siedział król w uroczystym ubiorze z koroną na głowię. — A obiad też ten, jak sami poznacie łatwo, nie był tam lada jaki, kiedy trwał od trzeciej po południu, aż do ósmej wieczorem.

Tak to dawniej obierano i koronowano królów polskich. Opisałem to wam pokrótce, boć wszystko, co się dawniej działo na tej ziemi, gdzie mieszkamy, która nas żywi i okrywa, powinniśmy wiedzieć. Może kiedyś później opowiem wam jeszcze, co też ten król zrobił dla narodu, gdzie wojował i jak panował.

Paweł z pod Rudek.

Król Władysław Łokietek i Wicek Szamotulski.

(Napisał ks. Wojciech z Zaleszan).

(Dokończenie).

Ale dziaduś powiada:

— Ja tu nie przychodzę po prośbie, bo ja mam z łaski Boga i króla naszego na tyle do życia; jeno przebąkują sobie ludziska nasi, że coś się źle robi na ziemi polskiej, i to pono na waszą zgubę, nasz królewiczu! Otóż wysłali mię tu polscy chłopi do was, aby was przestrzedz przed tym niedobrym Wincentym i tymi Krzyżakami Niemcami, co to mają ubranie białe, jak nie przymierzając jacy anieli, i krzyż wielki wyszywany niciami czarnemi na piersiach, a to pono nie są ani księża, ani zakonnicy, ani dobrzy wojacy, ani pobożni ludzie, jeno krzywdziciele i napastnicy, jakich świat nie widział.

Królewicz rozpłakał się na to, że są tacy dobrzy, życzliwi i pobożni polscy kmiecie, i pyta się dziadusia zaraz:

— I cóż to takiego gadają sobie Polacy o Wincentym i Krzyżakach?

A dziaduś mu powiada:

— Cóżby innego, jak nie to, że się mieli zmówić z tym zażartym Wincentym ci niedobrzy Krzyżacy i mają pono napaść na wasz dwór i zrabować go albo spalić, a was mają posadzić na konia i zawieść daleko od ojca i matki, gdzieś tam

aż do morza, aby za wami płakali ojcowie wasi i pomarli z utrapienia wielkiego, i abyśmy znowu płakali za wami, że wam taką krzywdę zrobili niewinnie, ci niedobrzy ludzie!

Królewicz Kazimierz pogłaskał dziadka i gada:

— Bóg wam zapłać za to, moi polscy kmiecie, że stoicie tak o waszego króla. Kiedy ja będę królem po ojcu, to ja wam to wszystko odpłacę w dziesięcioro! A teraz idźcie sobie do domu, a ja się także zabiorę do Krakowa, aby mi się co złego nie stało od tych niedobrych ludzi.

I uciekł szczęśliwie królewicz przed czasem do Krakowa, a ów Wincenty w zmowie z Krzyżakami narobił tyle psoty i złego w Wielkopolsce, że razem jakie dwadzieścia miast spalili i drugie tyle wsi i folwarków.

Kiedy się o tem wszystkiem dowiedzieli Polacy, że to ów Wincenty narobił tyle biedy i nieszczęścia, i to przez złość na króla starego, to wszyscy gadali:

— A to mi dopiero zdrajca i Judasz drugi, ten Wincenty Szamotulski! to on chciał wydać Krzyżakom naszego królewicza! Jemu się zachciało być królem, aby nas krzywdził z Krzyżakami, aby nas potem zaprzedał tym Niemcom! To on sobie ułożył w swej głowie, abyśmy z Polaków przeszli pomału na Niemców i szwargotali potem po nijakiemu, i chodzili kuso, i zapomnieli na dziadków naszych, co tu leżą na polskich cmentarzach i tu pomarli jak prawowierni Polacy!

Tak wyklinali na tego Wincentego, co się wlazło, a drudzy znowu dogadywali:

— Ani do niego gadać, ani na niego pozierać, ani go powitać nie trzeba, jak gdzie kogo spotka—a gdyby umarł na polskiej ziemi kiedy, to takiego zdrajcę nie pochować między Polakami, jeno go wywieść gdzie za dziesiątą granicę, i tam go wronom i krukom do żarcia zostawić.

Ale inni radzili tak:

— Chodźmy do króla, aby nam dał wojsko jakie na ratunek, bo inaczej wygubią nas do jednego ci Krzyżacy i ten Wincenty z nimi!

I poszli do starego króla Łokietka, do Krakowa, i tam stanęli i gadają:

— Królu i ojcze nasz! ratuj naszą pracę, bo zginiemy bez twej pomocy!

A król stary powiada im:

— Koło świętego Michała, jak sobie pozbieracie z pola wszystko, to ja tam przyjdę z wojskiem, abyście nie mieli szkody na polu od koni. A z tym Wincentym tak zrobimy: Nie trzeba go wyklinać, ani palcem tykać, ani potępiać z ciałem i duszą, bo to niedobrze i złego tem nie naprawisz, jeno trzeba z takimi mile i cicho i po ojcowsku robić, a to ich najprędzej poprawi. Ja sam poszlę po tego Wincentego, aby przyjechał do mnie i pogadam sobie z nim pięknie i łagodnie, i daruję mu wszystko, skoro Bóg uratował moje dziecko jedyne od zaguby. Zobaczycie, że Wincenty padnie mi do nóg, że będzie płakał ze wstydu i żalu, że będzie potem najlepszym Polakiem.

Ale Polacy wołają na króla:

— Gdy już sam rodowity Polak będzie stał na zdradzie drugiemu Polakowi, i jak go za to nie ukarzą, to co to będzie z tego?

A król stary mówi słodziutko:

— O! niech Bóg obrania, aby Polak Polaka sprzedawał, aby mu stał za plecyma na zdradzie—takiego niech Bóg sam sądzi, ale ja stary dziad, i już bliski grobu, i bliski sądu bożego, nie chcę potępiać nikogo, jeno chcę dobrym spobem naprawić złe i uratować duszę zgubioną Wincentego niedobrego.

I odeszli Polacy do domu, a król po żniwach wyszedł z wojskiem polskiem i królewiczem na Krzyżaków i na Wincentego zdrajcę, co był w zmowie z nimi.

A skoro już król był gotów do wojny, wtedy posłał do Wincentego Szamotulskiego, aby się stawił do niego, i obiecał, że mu nic złego nie zrobi. Wincenty też na słowo króla przybył, stanął nieśmiały, oczy spuścił na dół, głowę zwiesił, a rękami zatkał sobie całą gębę i nie spozierał na nikogo. A król mówi mu słodziutko:

— Widzicie Wincenty jenerale! Ja wam dał kawałek taki chleba, ja się spuściłem na wasze sumienie polskie, ja

oddałem w opiekę waszą moje dziecko jedyne, a wyście się tak odpłacili? Ale ja stary i nad grobem, nie chcę was potępiać: oto upamiętajcie się, uciekajcie do swoich od tych Krzyżaków, bo to najlepiej między krajanami, a nam pomóżcie, ayśmy wyczubili doskonale tych rabusiów, aby nie załazili na polską ziemię i na rozpustę do nas Polaków.

I rozpłakał się zdrajca Wincenty, klęknął na kolana, złożył ręce, podniósł oczy do nieba i zawołał do króla, do królewicza i do wojska:

— Oto, zgrzeszyłem strasznie, żem się wdał w zmowę z cudzymi ludźmi na zagubę królewicza i kraju polskiego. Boże daruj mi! Królu wybacz mi! i wy Polacy darujcie mi!

Wtedy odpuścił mu król i wszyscy; Wincenty zaprowadził króla na Krzyżaków, i pobili tam pod wsią Płowcami tak Krzyżaków Polacy, w dniu przed wilią ś. Michała r. 1331, że ledwo który żywy uciekł.

A król stary powiedział potem:

— Nie potępiajcie nigdy niewinnie nikogo, nie potępiajcie i winnych, to i was Bóg i ludzie nie potępią nigdy.

Zamek Odrzykoński.

(Dokończenie).

Znów inna powiastka:

W Krośnie pokazują dotąd groby Oświęcimów w kościele OO. Franciszkanów. Jest tam nad lochem kaplica, w niej są obrazy rodziny Oświęcimów, a między niemi Stanisława i jego przyrodniej siostry Anny.

Powiadają, że Stanisław wysłany w dzieciństwie do szkół zagranicznych, zostawił Annę w kolebce.

Gdy powrócił za lat kilkanaście po śmierci ojca, ujrzał ją najprzód w gronie rówienniczek, a nie wiedział, że jest jego siostrą. Zrobiła na nim niewymowne wrażenie. Kiedy się dowiedział o pokrewieństwie, bardzo podobno rozpaczał,

pomimo to nie chciał odstąpić od pierwszej myśli: ożenienia się z nią.

Podali o pozwolenie do Rzymu, ale to nie nadchodziło.

Stanisław udał się osobiście do Rzymu; czynił tam najusilniejsze starania, ale że szło mu trudno, więc nic pomyślnego nie mógł donieść narzeczonej. Nareszcie listy od niego dochodzić przestały.

Ze zgryzoty życie Anny z każdem ulatało tchnieniem.

Razu jednego, gdy siedziała przy krosienkach i zajmowała się haftem, wyszywając pas dla swego kochanka, wpada goniec, i przynosi jej list. Ona łamie pieczęć, czyta i pada zemdlona.

List zawierał tyle upragnione pozwolenie na jej związek ze Stanisławem. Zbytnia rodość ze szczęścia, którego się nie spodziewała, złożyła ją na łożu boleści.

Wkrótce Stanisław powrócił z włoskiej stolicy. Już noc była, gdy zatrąbił u bramy zamkowej.

— Siostra moja — rzecze — nie śpi jeszcze zapewne.... prowadźcie mię do niej!... chcę jej sprawić uciechę niespodzianą.

Domownicy nic nie odpowiedzieli, milcząco szli za panem, i tylko z piersi podeszłego wiekiem marszałka wydobyło się głuche westchnienie.

W sali rycerskiej płoną światła i rzucają łunę przez różnokolorowe okna nad drzwiami.

Do sali tej wiodą Stanisława.

Stanisław wstępuje i staje jak piorunem rażony na widok mar jarzącemi okolonych świecami, i komnaty w czarne sukno przybranej.

Na marach widzi swoją Annę z rozmarynową gałązką we włosach, a przy niej dwie zapłakane dziewice, w żałobę odziane.

Rozstając się ze zwaliskami w Odrzykoniu, nie podobna nie wspomnieć o „Prządkach.“

Naprzeciw zamkowej góry jest druga, równie wysoka, oddzielona od tamtej lesistym parowem, a na niej ogromne,

jakby piętrowe domy: Kamienie białe, śliczne, w najrozmaitszych kształtach, „Prządki“ zwane, o których tak starzy ludzie opowiadają;

Niegdyś zuchwałe prządki ośmieliły się pójść z kądzielą do lasu w dzień świąteczny, i w czasie mszy św. skamieniały. Kamienie ich trupów rosną ciągle, i widać je już o mil dziesięć na postrach bezbożnym.

Ziemia w tej okolicy skalista, nieurodzajna, nawet owsa wydawać nie chce. Lud opowiada, że i to jest również karą za niewdzięczność ku Bogu:

Przed wiekami stała na tem miejscu wieś bogata, szczęśliwa, mlekiem i miodem płynąca. Ale mieszkańcy jej odpłacali się Bogu najczarniejszą niewdzięcznością. Cała osada była zgorszeniem dla sąsiadów, miejscem zbrodni, bezbożności i rozpusty. Pan Bóg nie mogąc doczekać się poprawy, zesłał straszną karę dla przykładu całego kraju: ziemia się rozstąpiła i pochłonęła tę Sodomę, a na miejscu zamożnej i ludnej wioski, został tylko grunt skalisty, który później zarósł lasem i manowcami.

Gdy raz przelatywali tamtędy aniołowie, zapłakali nad potępionem siołem, a łzy ich ciekące kamieniały.

W święta lud odrzykoński krąży między ruinami zamczyska, jako i między „Prządkami.“

Lud kocha te rumowiska, te kamienie. Owe gadki są to wielkie prawdy ludowe; wierny starodawnym przypowieściom wyciąga on z nich moralną naukę.

NĘDZA.

Jak zimno matulu. — Utulcie się dzieci
Bóg dobry, narzekać nie trzeba!
Powróci wasz ojciec i ogień roznieci,
Białego przyniesie wam chleba.
Jam chora widzicie, lecz zwlokłam się z łoża
I znoszę cierpliwie, wszak w tem wola Boża,
Nie płaczcie, bo czuwa Pan nieba.

Dziecino kochana, tyś chora i drżąca
Spójrz na mnie, uśmiechnij się mile!
Rączęta jak z lodu, a główka gorąca
Ach czemże cię biedną posilę?
Przytulę do piersi mojego anioła,
Powróci nasz ojciec, lekarza przywoła,
Czekajmy on wróci za chwilę.

Na placu, gdzie lud się gromadzi roboczy
Stał człowiek ubogo odziany,
Wiatr mroźny ze szronem zasklepiał mu oczy
Rozwiewał podarte łachmany —
Lecz nikt nie zażądał słabego ramienia......
Padł wreszcie rozpaczą złamany.

W izdebce pod strychem bez skargi i jęku
Daremnie na niego czekali
I skonał chłopczyna na matki swej ręku
I ludzie trumienkę mu dali.
Więc będzie mu lepiej! Skrzydłami białemi
Już leci ku niebu aniołem z tej ziemi,
Lecz biada tym, którzy zostali!

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(Ciąg dalszy).

Po tych słowach Marysia szybkim krokiem szła dalej i nie uważała, co powiedział Szymek.

— Ależ, co ci się przyśniło? — mówił on — ja nie Niemiec Marysiu, zkąd ci się to do głowy przybrało? ja nie Niemiec! Marysiu! zaczekaj, pogadaj, uciekasz jak gdybyś mnie więcej widzieć nie chciała.

Stróża się skończyła, bo już nadeszli nowi wartownicy gospodarze, kumowie i przyjaciele Podrywki: Wojtek Hebda i Jan Gubryś. Szymek i Maciej opowiedzieli im owe nocne widziadła i odeszli do domu. Ucieszyli się niezmiernie nowi wartownicy Jan i Wojciech, byli bowiem pewni, że w nocy musiała zajść bitwa i połów dzisiaj pójdzie wyśmienicie i pieniążki same wejdą do kieszeni. Nawet z Kaspra Podrywki,

kuma i przyjaciela poczęli już żartować, że o niczem nie wie, i nic nie zarobi.

Na pochwałę mieszkańców Podwala — tak się nazywała wioska, w której się to działo — trzeba jednak powiedzieć, że nie wszyscy byli tak źli i przewrotni jak Kasper Podrywka, Jan Gubryś, Wojtek Hebda i inni. Przeciwnie takich niedobrych i chciwych gospodarzy, coby to za grosz i rodnego ojca sprzedali, było bardzo mało. Ot zwyczajnie jak między ludźmi, byli uczciwi i nieuczciwi — ale zawsze tych ostatnich bywa mniej. Boć świat musiałby dawno już przepaść, gdyby więcej było złych jak dobrych ludzi. Tylko jak to w świecie bywa, przewrotni ludzie, co to mają nieczyste sumienie zawsze więcej krzyczą i hałasują, aby zagłuszyć robaka, co ich wewnątrz gryzie, i często się im uda, że i najpoczciwszych obałamucą. Tak też działo się i na Podwalu. Kiedy się zebrała Rada gminna, hałasowali i krzyczeli gospodarze najmniej uczciwi dopóty, dopóki na swojem nie postawili, a uczciwi i cnotliwi siedzieli w kącie, nie śmieli się odezwać, a choć im często coś niedobrem się zdawało, zagłuszeni krzykiem, zgodzić się musieli. Ale działo się to tylko wtenczas, gdy na zgromadzeniu Rady przewodził Podrywka, to jest, gdy Zawiślaka wójta nie było w domu. Ten zawsze mówił spokojnie i poczciwie, tak, że każdego chwytał za serce. Źli chowali się w kąt, gospodarze rzetelni nabierali odwagi — i tak wszyscy na końcu godzili się na to, co pan wójt powiedział: źli z przymusu, aby się złymi nie wydać, a dobrzy z całem sercem.

— Coś niedobrego się święci — powiadali gospodarze Podwala — Podrywka chodzi od chaty do chaty po swoich znajomych, i szepcze coś do ucha, i gada bezustannie, i rękami macha, i okulary poprawia — a tak jakoś sekretnie i cicho, że aż mory przechodzą do kości.

I wójt nawet coś zamyślony i jakoś ostro patrzy mu z oczu, i widać, że poczciwina wiele będzie miał roboty.

Marysia raniutko jakoś zadyszana przybiegła do chaty, szeptała coś po cichu ojcu do ucha — a ten to się uśmiechał, to całował swoją ukochaną córeczkę jedynaczkę, to znów przykładał rękę do czoła, a potem podparł głowę ręką i nad stołem długo myślał a myślał.

— Zawołaj Marysiu Szymka — niech zaprzęgnie konie, pojedziemy oboje na kępę.

— Tatusiu, tatusiu! ja się boję bardzo; tatusiu, nie jedźcie! ja się lękam jakiego nieszczęścia.

Ostro spojrzał Zawiślak na zafrasowaną twarzyczkę swojej jedynaczki, a potem powiada:

— A gdyby to był brat twój rodzony, a gdybyś była matką i on był twoim synem, czybyś się i wtenczas jeszcze bała?

— Oj nie! nigdy!

— Toć wiara nasza naucza cię, że każdy człowiek jest twoim bratem, a tem bardziej ten, który jednakową mową mówi, i ten, co wojował w obronie naszej wiary świętej.

— Tatulu kochany, toć ja tylko ciebie po Bogu najbardziej miłuję i o ciebie się bałam.

— Wiem zawsze, co robię, kochana Marysiu, a o mnie się nie troskaj.

Po tych słowach ucałował Zawiślak swoją jedynaczkę i jeszcze raz na nią się popatrzył.

Zapłakana Marysia pobiegła do Szymka, aby powiedzieć, co ojciec rozkazał.

— Czy ja mam jechać? — zapytał Szymek.

— Nie, tatuś ze mną pojadą — powiada Marysia — a nakazali ostro, abyś natychmiast zaprzęgał, bo się spieszą.

Marysia powróciła do chaty. Ojciec coś szybko chodził po izbie. Otworzył szafę, wyjął chleb i masło, i wyciągnął butelkę wódki, którą zaledwie raz do roku i to w nadzwyczajnym jakimś wypadku zwykł był wyjmować, ze skrzyni wydobył kilka bielutkich koszul, dwie płachty, nową płóciankę, kapelusz, następnie buty i inne rzeczy do ubrania. Wszystko to Marysia związała w płachtę; wyszli oboje przed chatę, gdzie już czekały zaprzągnięte konie i wsiedli na wóz. Za-

wiślak wziął bat do ręki, zrobił na ziemi znak krzyża i ruszył w drogę. Po chwili stanęli u kępy. Gęste zarośla z wikla rozciągają się po obu stronach Wisły, za niemi piasek przysypany kamykami, a dalej jak srebrna wstęga płynie nasza wspaniała polska rzeka. Znał Zawiślak wszystkie przejścia, drogi, ścieszki i ścieżyny wśród gęstych zarośli. Toć gdy mu córka paluszkiem wskazała, mówiąc:

— Tam tatusiu! — skręcił końmi na lewo i długiem kołem jechał wśród wikla. Stanął nareszcie; konie przywiązał, zsiadł z wozu, kazał Marysi wziąć zawiniątko i pokazywać drogę, a sam powoli szedł za nią, często upominając:

— Tu nie przejdziesz — na lewo droga.

Znowu po chwili mówi:

— Tam odparzelisko, wielkie bagno, trzeba skręcić na prawo.

Choć Marysia wprawdzie odkryła to, czego teraz oboje szukali, jednak inną teraz szli drogą, a Marysia nie znała dokładnie kępy. Spamiętała sobie tylko dobrze okolicę, a resztę w skutek przestrachu zapomniała.

— Tu, tu! tatusiu — woła Marysia na przedzie — tu go widziałam.

Zawiślak szybko odchylił krzaki i stanął wkrótce na miejscu.

Była to mała łączka, dokoła gęstą otoczona wikliną, z jednej tylko strony, od Wisły, otwarta. Na zielonej trawie widać było ślady, że tu przed chwilą ktoś spoczywał, a gdzieniegdzie murawa wyglądała jakby od słońca wypalona; była to krew świeżo zaschnięta.

— Gdzie ten ranny? — zapytał zafrasowany Stanisław — może pobłądziłaś Marysiu? albo ci się przywidziało.

— Gdzieżtam, kochany tatusiu, tu był niedawno, tu go widziałam, zapewne skrył się gdzieś w krzaki.

— Są ślady krwi, widać, że sobie rady dać nie może — powiedział Stanisław — musi być niedaleko, szukajmy! Oboje obchodzili wikliną dokoła łąkę, wołali, prosili, wreszcie Marysia krzyknęła.

— Tu jest, tu! Jezus Marja, ratujcie!

Zawiślak przybył czemprędzej. Wśród krzaków, na bujnej trawie, spoczywała postać człowieka. Był to chłopiec nie więcej jak dwudziesto-kilko-letni, w ubiorze powstańczym, blady jak chusta; zdaje się że spał, albo leżał omdlony. Dokoła broczyła się krew i zarumieniła trawę. Obok niego leżał karabin i torba.

Stanisław ukląknął, Marysia rozwiązała zawiniątko i na rozkaz przyniosła wody w kapeluszu ojcowskim. Ten nachylił się nad rannym i lekko począł obmywać zbroczoną twarz.

Ranny otworzył oczy, popatrzył niemo na twarz Zawiślaka i cichym powiedział głosem:

— Zlitujcie się, i nie bierzcie mię ztąd człowieku... już mi nie wiele do śmierci... weźcie pieniądze, co mam na piersiach w koszuli..... i odejdźcie.

Serce się ścisnęło poczciwemu wójtowi na takie niedobre posądzenie, łza mu stanęła w oku, ale kiedy ranny znów zamknął oczy, począł go ze smutkiem rozbierać. Bok prawy, ręka i noga lewa były przeszyte kulą. Krew jeszcze się sączyła. Stanisław rozdarł płachtę, uskubał na prędce drobnych szmatek, obmył wodą rany, przyłożył szarpie, i polał wodą twarz leżącego. Ten ocknął się, otworzył oczy, a Stanisław powiada:

— Nie bójcie się paniczu, my nie Moskale, ani źli ludzie, myśmy was przyszli poratować.

Przyłożył następnie butelkę do ust chorego, a ten chciwie kilka razy pociągnął. To go otrzeźwiło, napił się potem zimnej wody, przeprosił Stanisława, zjadł trochę chleba z masłem i próbował się podnieść, co mu jednak było trudno bez pomocy Zawiślaka.

— A gdzież inni ranni? — pyta po chwili Zawiślak.

— Muszą być wyżej, pewnie ich już zabrali do dworów, albo do więzienia, bo przeszli Wisłę pod tamtą wioską.

Stanisław nie pytał więcej, gdyż widocznie rozmowa męczyła rannego. Pomału ściągał z chorego ubiór powstańczy, a wdziewał chłopski. Marysia tymczasem obchodziła dokoła kępę, szukając, czy jeszcze jakiś nieszczęśliwy nie potrzebuje pomocy; nie znalazła jednak nikogo. Powstaniec już był

przebrany. Oboje poprowadzili, a właściwie ponieśli go prawie do wozu. Stanisław usiadł na przodzie; za nim ranny razem z Marysią, na miękkiem posłaniu ze słomy i siana, i wszyscy troje wyruszyli ku wiosce. Jakby jakiemś poczuciem wiedziony Zawiślak, nie pojechał zwykłą drogą, i krótszą i lepszą, ale zrobił wielkie koło ku wiosce. Istotnie, kiedy jechali do domu, widać było, jak gromada ludzi z kijami, drągami i cepami, szybko posuwa się od wioski. Na przodzie w zawiesistej czapce, długiej kapocie sukiennej, szedł jakiś człowiek szerokim krokiem, i ustawicznie coś machał rękami, i pokazywał, i odwracał się do tych, co szli za nim.

— To zapewne podwójci tam idzie — powiedziała Marysia — coś się stać musiało dziwnego.

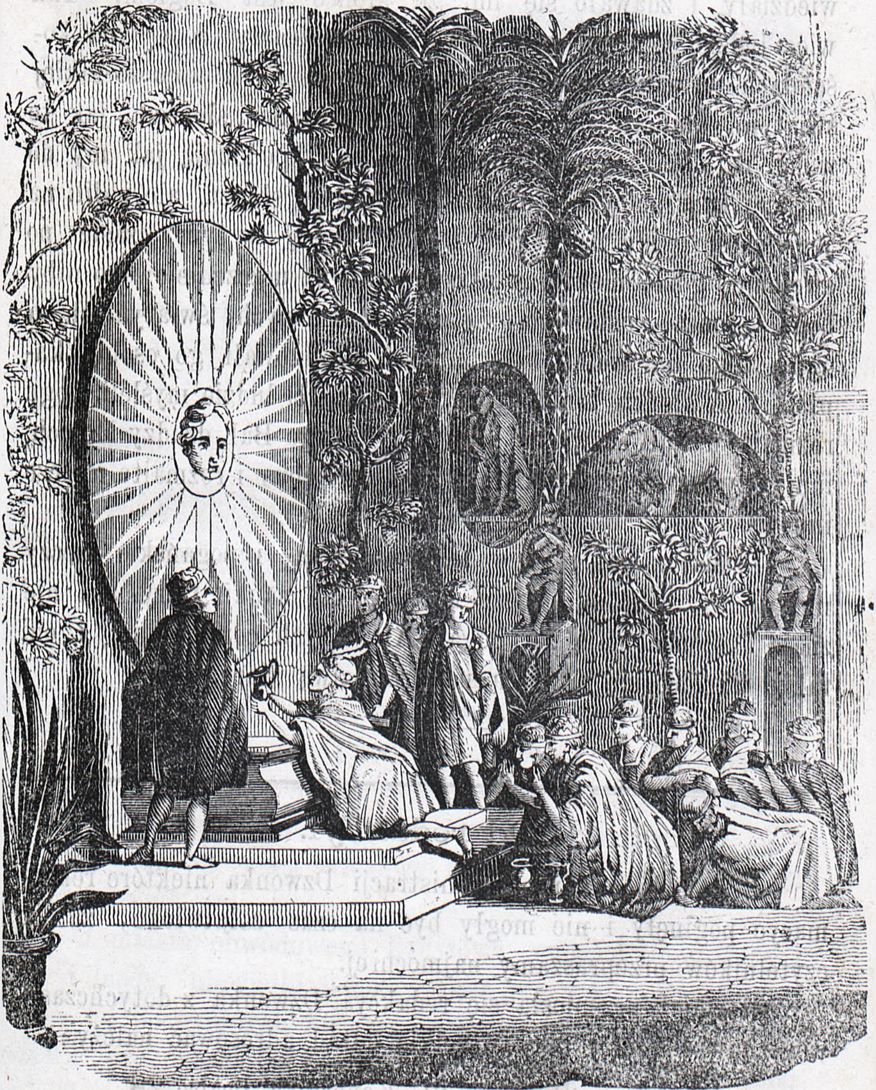
— Zgadłaś Marysiu, to nikt inny tylko Podrywka — niespokojnie odrzekł Zawiślak. — Zasłoń rannego tak, aby go nie widzieli.

Szczęśliwie zajechali do chaty i tu dopiero dowiedzieli się, że ich domysły były sprawiedliwe, i że w tym czasie coś niezwyczajnego się zdarzyło. Bowiem cała prawie gromada wyruszyła z domów. Kobiety, dzieci wszystkie niemal, stały na końcu wioski i spoglądały ciekawie ku Wiśle: parobcy i gospodarze, jedni poszli za Podrywką, drudzy spokojniejsi i rozumniejsi, zostali w wiosce, stanęli za kobietami, rozmawiali żywo, śmiali się i czekali co to z tego dalej będzie. Już od samego rana dziwne rzeczy działy się w wiosce. Wartownicy, Jan Gubryś i Wojciech Hebda, zatrzymali jakiegoś podróżnego, który się bardzo odgrażał i szwargotał po niemiecku, a był ubrany jakby jaki wielki urzędnik. Jan i Wojciech nie bywali nigdy w mieście; toć i nie znali, co tam kto znaczy i jak się ubiera. Więc choć mały ów człowieczek w czapeczce krzyczał i powiadał, że on ich naczelnik, że ich do kozy każe zamknąć, nie pytali na to, jeno zaprowadzili go do podwójciego. Podrywka stał właśnie w progu chaty i skoro tylko zobaczył czapeczkę z złotym sznurkiem i orzełkiem, począł się niziutko kłaniać, i kłaniał się ustawicznie aż do samej ziemi. Zmiarkowali wartownicy, co się święci i bez długiego namysłu dali drapaka, że się aż kurzyło drogą.

Nim się spostrzegł naczelnik, a był to niemiec, który po po polsku nic prawie nie umiał, już ich widać nie było; ochłonął z przestrachu i krzyczy:

— Ty klop, warta, halt! ja do aresztu trze kaszu zamykać! (Dalszy ciąg nastąpi).

CZCICIELE SŁOŃCA.



Nic dziwnego, że w bardzo dawnych czasach, kiedy jeszcze ludzie pogrążeni byli w ciemności i zabobonach,

kiedy nie znali prawdziwej nauki Chrystusa, czcili rozmaite bałwany i bóstwa, a pomiędzy niemi i słońce. Każdy pojmuje i czuje, ile dobrodziejstw mamy od słońca. Ono ogrzewa ziemię, przyczynia się do wzrostu roślin, sprawia, że mamy dzień, że się widzimy wzajemnie, słowem dobrodziejstwa, jakie za jego pomocą otrzymujemy, są niezliczone i nieocenione. — Ale my wiemy, że Bóg stworzył słońce, a to ludy dawne nie wiedziały, i zdawało się im, że słońce jest Bogiem. Tak więc ludzie ci stawiali mu świątynie, kościoły, a w tych kościołach wymalowane było słońce. Przychodzili więc do takiej świątyni, kłaniali się przed owem malowanem słońcem, jak to widać na obrazku, modlili się do niego, podobnie jak my do Boga. Inni znów nie stawiali kościołów słońcu, ale palili na jego cześć ognie na górach i modlili się w tym czasie po swojemu; gdzie niektórzy utrzymywali na uczczenie owego niby boga słońca, ustawiczny ogień w osobnych świątyniach, a ognia tego nie wolno było zagasić, i pilnowali go osobni kapłani. A słońcu tomu, czyli jak sobie ci ludzie myśleli, bogu rozmaite dawali nazwiska: jedni nazywali go Bal, drudzy Moloch, inni Ozyris, to znów Mitras, Apollo, Febus i rozmaite jeszcze imiona.

Dzisiaj z nas nikt w takie zabobony i pogańskie rzeczy nie wierzy, choć są jeszcze narody, co nauki Chrystusa nie znają i słońce mają za boga. Ale i tych coraz mniej, i oni także wkrótce się nawrócą na prawdziwą wiarę.

Od redakcyi.

Z powodu zmiany administracji Dzwonka niektóre reklamacye poginęły i nie mogły być na czas załatwione, za co czytelników przepraszamy najmocniej.

Również przeniosła się redakcya Dzwonka z dotychczasowego mieszkania i listy wszelkie odtąd adresować należy:

Redakcya Dzwonka ul. Kopernika liczba 28.

Redaktor odpowiedz. i wydaw. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 6. 11. Marca 1872. **Tom V.**

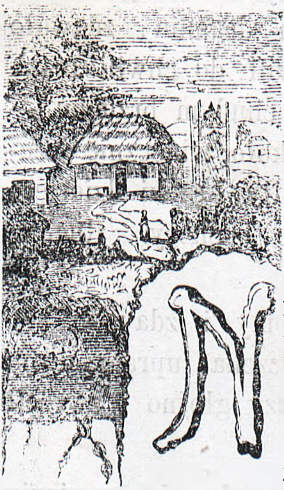
Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.



ZBRODNIA i KARA.

(Zdarzenie prawdziwe).

Niedaleko miasta Rzeszowa jest wieś Woliczka, nie wielka i nie bardzo bogata: chaty wcale ubogo wyglądają, niskie i słomą pokryte, a obok małe stogi na zboże i liche budyneczki gospodarskie. Parafialny kościołek nie wygląda na świątynię Pańską, choć co dzień rano dzwonek wieżowy kilka tysięcy ludzi na modlitwę zwołuje.

Od miasta obwodowego Rzeszowa widać było u wstępu do wsi biały, niewielki domek; choć nie wspaniały, odbijał jednak od pochylonych ku ziemi chatek włościańskich. Już budowa jego odmienną była od sąsiednich chałup: zamiast wązkich i nizkich drzwi posiadał szerokie wrota, a pod niemi wisiało godło wiejskich miejsc do zabawy i rozpusty, to jest, słomiany wiecheć. Była to karczma wiejska. Na pro-

gu zaraz stał gospodarz domu, jak zwykle u nas, wyznawca religii mojżeszowej, pan Izak Orgiel (jak to widać na stronie następnej na obrazku). Wysokiej postawy, w długim hałacie, z ręką za pas włożoną, był on podobny do wszystkich karczmarzy naszych. Na pozór w niczem się nie różnił od wszystkich innych arendarzy. Kto się jednak bliżej przypatrzył twarzy jego i zajrzał pilniej w jego oczy, ten z przerażeniem odwracał głowę, jak gdyby ujrzał jakieś widmo z grobu pobu powstałe, lub w ludzkie ciało przebranego szatana. Twarz jego była wychudła i blada, broda długa i ruda. Głęboko zapadłe oczy, zasłaniały ruchliwe powieki. Jeżeliś jednak przypatrzył się oczom żyda w chwili, gdy spokojnie wzrok wlepił w jaki przedmiot, mogłeś zajrzeć aż w głąb duszy i zdawało ci się, jakbyś ujrzał czarnych węgli kupę, z których wymykały się dwa ogniste, błędne płomyki. Wargi Izaka, wydęte i grube, nie ustawały w ciągłem drganiu, zdawało się jakby coś wiecznie liczyły. Od chwili do chwili Izaak cmokał wargami i ręką się głaskał po chudym brzuchu — oczy szeroko roztwierał i spoglądał w około, widocznie oczekiwał gości. Z brudnej sionki dochodziły krzyki dziecięce i gruby głos Ruchli karcącej niesforne bachory. Ruchla, była to żona Izaka.

Długo stał Izak prawie nieruchomy i zdawało się, jakby już stracił nadzieję, że się doczeka upragnionych gości. Poprawił pasa, mruknął kilka razy głośno i zwrócił się ku sieni.

Wtem z po za rogu karczmy wysunęły się w cieniu dwie postacie i zbliżyły się szybko ku drzwiom wchodowym. Usłyszał kroki Izak, odwrócił niby od niechcenia głowę i przywitał przybyłych wcale nieserdecznie.

Gdy weszli do wnętrza karczmy, gospodarz zamknął drzwi na rygiel i zgasił światło w pierwszej wielkiej izbie. Gości wprowadził Izak do przyległego alkierza, gdzie już Ruchla razem z dziećmi spoczywała na brudnem łóżku.

Goście zasiedli za stołem tak śmiało i swobodnie, jak gdyby w własnym znajdowali się domu.

— No Icku... stawiaj garniec — zawołał Piotr, (tak się nazywał jeden z przybyłych).

Izak niechętnie rzucił okiem na Piotra i nie ruszył się z miejsca.

— A popatrzno Icku — odezwał się Piotr po raz drugi — popatrz, co my tu przynieśli.



Izak Orgiel, karczmarz.

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni dwa piękne pudełka i postawił je przed Izakiem.

*

— Oj, ciężka była robota, a droga daleka — mówił jeszcze Piotr.

Ale Izaka nie było już w alkierzu. Rzucił tylko okiem na to, co goście jego przynieśli, nie mruknął ani słowa i wybiegł szybko.

Za chwilę powrócił w jednej ręce z garncem wódki, a w drugiej trzymał kawał pszennego chleba, kilka kugli roboty jego Ruchli i inne przysmaki na zakąskę.

— No, posilcie się... doleka była droga, a ja się przypatrzę tym zabawkom, coście tu przynieśli.

Przybyli wyrwali z rąk żyda napój, który po zapachu z daleka poznać było można i z namiętnością podając sobie na przemian, zalewali wyschłe gardła prawdziwym spirytusem.

Żyd siadł opodal, wziął do rąk pudełko, szarpnął zawiaski, aby zobaczyć, czy spólnicy dobrze się spisali. Pod silnym naciskiem pękło wieko szkatułki, a białe jak śnieg perły posypały się po podłodze.

Zajęci wódką wieśniacy, ani nie uważali, jak żyd chciwie rzucił się na ziemię i czołgając się po niej, zbierał pojedyncze perełki i chował je szybko do kieszeni kaftana. Zebrał prawie wszystkie, siadł znów przy stole i przypatrywał się chwilę biesiadującym. Pewny, iż nie widzieli niczego, złożył rozerwane pudełko napowrót i wziął drugie do ręki.

Pomiędzy Piotrem i Michałem, (tak się nazywał brat i towarzysz Piotra) cicha toczyła się rozmowa.

Jakkolwiek bracia, zupełnie do siebie byli niepodobni. Piotr starszy wiekiem, postawą niższy od Michała. Na szerokiej, wydętej i opuchłej od opilstwa twarzy, rozsiadł się plaskaty, a wielki nos. Małe oczka głęboko osadzone, nie miały żadnego wyrazu. W całem obliczu nie było śladu myśli, tylko sińce pod oczami i spalone wargi. Rozpusta i opilstwo pozostawiły widoczne ślady na ciele.

Michał przeciwnie, zdawał się być myślącym i trzeźwym człowiekiem. Śmiałe ruchy, jakaś powaga w chodzie, cała w ogóle postać okazywała pewną godność. I nie szko-

dziło temu wcale liche odzienie, wyszarzana świta, popruta, wysoka czapka czerwona, jaką lud w Rzeszowskiem nosi, i buty pełne dziur i łat. A mimo to o wiele był przyjemniejszym jak Piotr, chociaż porządnie odziany i z pełną w kamizelce kaletą. Gdyś na Piotra patrzał, mimowoli czułeś odrazę od tego bogatego pijaka. Michał tylko współczucie budził.

Oczy jego były łzawe, blask ich przyćmiony, ruchy nieśmiałe. Na twarzy wieczny gościł smutek, a częste westchnienia pokazywały, że Michał nie był szczęśliwym. Ciężko musiał walczyć z losem, bo czoło miał poorane zmarszczkami, a usta wykrzywiały mu się do smutnego uśmiechu.

— Cóż ty tam myślisz ciągle jeszcze nad tem głupstwem — zaczął Piotr, podając Michałowi pełny półkwaterek. — Co się stało, już się nie odstanie. Ot! wolałbyś się cieszyć, że masz co dać żonie i dzieciom, a nie myśleć o jakimś tam niby grzechu.

— Oj! nie gadaj tak bracie; grzech ci to jest zawsze cudze dobro naruszać i Pan Bóg ciężko karze złodziejów. A nasza dziedziczka taka dobra, a te dyamenty i złoto, to jej ostatki. Nie będzie miała czem podatku zapłacić, a Izak jej nie pożyczy, bo wie, że nie ma zkąd oddać.

— Bierz Michale, co ci Pan Bóg daje — odpowiedział Piotr i pociągnął spory łyk gorzałki. — Jużci ona biedna — mówił dalej — ale my biedniejsi. A djabli wiedzą, zkąd te pieniądze wzięła, co je gdzieś w obcych krajach zmarnowała... niechże teraz bieduje.

— Bo to widzisz — mówił Michał — ona dobra pani. Albo to raz mnie poratowała, i doktora zapłaciła, jak moja baba chorowała, i dziecko do siebie wzięła... to mi ją żal obierać do ostatka.

— Zrób jak chcesz. Nie chcesz cudzym groszem siebie ratować, to idź skarż mnie do sądu i giń z biedy.

— Ny! idź, idź!.. kiedyś taki głupi — zawołał arendarz Orgiel Izak. — Co ty myślisz, że ja chcę takiego spólnik! Aj waj! ja ziebym ino chciał, to sam wójt poszedłby kraść dla mnie, bo ja dobrze płacę.

Michałowi oczy zabłysły gniewem, chciał chwycić żyda w silne swe dłonie i rzucić o ziemię. Sumienie silnie się w nim odezwało — już był na dobrej drodze...

Ale niestety kusiciele nie spali.

Żyd — widać poznał, jaką walkę toczył ze sobą samym nie zupełnie jeszcze zepsuty Michał, bo niespokojnie ruszył wargami i przysunął nowy kieliszek wódki.

— Nie krzycz — nie hałasuj Michale! Ot lepiej pogadajmy rozsądnie.

— A niech Cię diabli porwą, ty niewierna duszo! zawołał Michał i ruszył ku drzwiom.

Dwaj spólnicy, co niespokojnie patrzali na Michała, równocześnie prawie zawołali:

— A co twoja żona powie? Michale!

Na te słowa Michał zbladł jak chusta i jęknął: Żona.... żona..... dzieci..... chleba..... odzienia..... i usiadł znowu na ławce.

Piotr i Michał Worosze, byli wspólnikami Izaka: Piotr złodziej z nałogu, Michał z nędzy.

Klejnoty i złoto, które Worosze przynieśli, były własnością dziedziczki wsi Świlczy, gdzie oba bracia mieszkali; kradzież popełnili za namową Izaka. Ten miał odkupić zdobycz.

Gdy przyszło do oglądania zdobyczy i do obrachunku wspólnego — pokazało się, że jedno pudełko było próżne.

Wiemy już dlaczego Izak przysięgał się i zaklinał, że Worosze takie przynieśli. Oni się sprzeciwiali. Byłoby może przyszło do kłótni i bitki, ale złodzieje wiedzieli dobrze, coby z nimi było, gdyby sprawa wyszła na świat. Ugodzili się więc między sobą. Izak zapłacił Woroszom 40 papierków i pożegnał się z nimi serdecznie. (C. d. n.)

Mądry sędzia

Kupiec odjeżdżał w dalekie kraje dla zakupna towarów i dla innych sprawunków. Miał on dużo pieniędzy uzbieranych,

a że nie był żonaty i nie miał ojca ni matki, więc zebrał złoto w spory woreczek i oddał go swemu przyjacielowi do przechowania. Po roku powrócił i idzie do owego przyjaciela po złoto. Ten klnie się na Boga i duszę i na zbawienie swoje, że pieniędzy ani woreczka nie brał. Bezczelność taka rozgniewała niezmiernie kupca — przyszło do wyrzutów i kłótni i w końcu postanowił udać się do sędziego.

„Byłeś więcej rzetelnym, aniżeli roztropnym“ powiedział sędzia kupcowi. „Nie powinieneś był powierzać twojego majątku człowiekowi, któregoś nie doświadczył. Trudno teraz będzie wydobyć od oszusta twoje złoto, dałeś mu je bowiem bez świadków. Uczynię jednak wszystko, co tylko w mojej mocy. Idź jeszcze raz do niego, proś go, aby ci dobrowolnie oddał pieniądze, mów jednak tak, aby nie poznał, że byłeś u mnie; jutro o tej samej porze przybądź do mnie.“

Stało się według rozkazu sędziego. Zamiast pieniędzy usłyszał wszakże kupiec tylko obelżywe słowa. Kiedy się jeszcze sprzeczali i kłócili, nadszedł służący i zaprosił oszusta do domu sędziego. Natychmiast przebrał się oszust świątecznie i poszedł. Sędzia przyjął go nader uprzejmie, jakby najznakomitszego gościa, zaprowadził go do najpiękniejszego swego pokoju, rozmawiał z nim o sprawach miastowych, schlebiał jego zacności, mądrości i szlachetności, tak że pozyskał zupełne zaufanie przeniewiercy. „Zaprosiłem cię — mówił sędzia, — kochany mój przyjacielu, aby ci powierzyć ważną bardzo tajemnicę i okazać ci zarazem moją przyjaźń, szacunek i zaufanie. Ważne bardzo sprawy zniewalają mnie do kilkumiesięcznej podróży do stolicy. Wiesz, że nie mam żony, ani wiernych przyjaciół w tem mieście; sługom moim nie ufam zupełnie, boję się, aby mnie nie skrzywdzili. Zebrałem sobie znaczny majątek w złocie, kosztownościach i pieniądzach, a teraz nie mam go komu powierzyć. Całe miasto mówi o twojej uczciwości i zacności — i ja więc proszę cię jak najusilniej, abyś mi nie odmówił małej przysługi i przechował skarby moje u siebie aż do mego powrotu. Wdzięczność i przyjaźń moja będą wiecznemi dla ciebie. Jutro w nocy przyszlę do ciebie niepozorną skrzyneczkę

z złotem i kosztownościami przez służącego i powiem mu, że to jakiś drobny podarunek dla ciebie. Upraszam cię również o najgłębszą tajemnicę.“

Zabłysnęły oczy u przeniewiercy jakby u kota, uśmiechał się serdecznie i już w duszy liczył ogromne zyski. Ukłonił się kilkakrotnie, podziękował za tak wielkie zaufanie, jak mógł najładniej, przyrzekł, że będzie skarbów pilnował jak oka w głowie, pożegnał sędziego i wyszedł.

Rankiem na drugi dzień przyszedł kupiec do sędziego i opowiedział, że ów dawny przyjaciel żadną miarą skarbu powierzonego wydać nie chce. „Idź jeszcze raz do niego — rzekł sędzia — proś go o oddanie, a gdy się będzie upierał, powiedz mu, że go przedemną oskarżysz o sprzeniewierzenie i kradzież; sądzę, że skarb odzyskasz.“

Kupiec przyszedł po raz trzeci, prosił, zaklinał, błagał swego dawnego przyjaciela o oddanie woreczka — nic nie pomogło. Wreszcie oświadczył, że go przed sędzią oskarży. Mrowie przeszło przeniewiercę, zląkł się, jak złodziej złapany na uczynku — ale w tej chwili oprzytomniał i powiedział sobie w duchu: przecież skarby sędziego będą więcej warte jak woreczek kupca — gotów jeszcze sędzia uwierzyć mu i nie przysłać swojej skrzyni. „Kochany przyjacielu — powiedział po chwili — jakżeś mię mógł posądzić, ażebym był tak nieuczciwym, i nierzetelnym, abym ci cały twój majątek wydarł. Żartowałem tylko, chciałem cię doświadczyć i przekonać się, jak wielka nasza przyjaźń. Cały skarb twój zajduje się u mnie — nie pozwoliłem, aby ci grosz miał zginąć“. Kupiec śmiał się w duchu, udawał jednak, ze wierzy wszystkiemu. Przeniewierca wyszedł i za chwilę przyniósł ów woreczek zupełnie nienaruszony i oddał go przyjacielowi. Dziękował mu nibyto serdecznie kupiec, ale serdeczniej dziękował sędziemu, za tak mądrą i wspaniałomyślną radę.

Nadeszła noc. Przeniewierca z iskrzącemi chciwością oczyma siedział przy stoliku, co chwila patrzył na zegarek i oczekiwał niecierpliwie, rychło nadejdzie służący z skrzynką od sędziego. „Zapewne jeszcze się nie wybrał sędzia — my-

ślał sobie, kiedy północ minęła — albo może chce się pierwej przespać i rankiem odjechać, może pakuje rzeczy i potrzebuje służących. Tymczasem mijała godzina za godziną — a tu nikogo nie widać. Czekał jak na mękach, to obliczał zyski przy stoliku, to znów za najmniejszym szelestem wybiegał na podwórze i natężonym okiem spoglądał ku domowi sędziego. Całą noc spędził bezsennie, trawiony piekielną chciwością zyskania skarbu.

Zmęczony takiem czuwaniem, skoro tylko dnieć poczęło, poszedł do mieszkania sędziego. Pewny był, że go już nie zastał i zdawało mu się, że to zapewne służący nie chciał nocą odnosić owego podarunku, i że odłożył to aż do rana. Odchylił drzwi i powiedział do służącego: „Czy nie możesz mi powiedzieć, dlaczego cię sędzia wczoraj do mnie nie przysłał“? Tymczasem sędzia, który był w drugim pokoju i słyszał jego zapytanie, otworzył drzwi i powiedział: „Dlatego nie przysłałem skrzynki, gdyż dowiedziałem się od znajomego kupca, że jesteś przeniewiercą i złodziejem bezczelnym; nie ominie cię należyta kara, skoro tylko jeszcze jakakolwiek skarga podobna na ciebie powstanie“. Skłonił się oszust i uciekł jak zmyty. Tymczasem rozeszła się wieść o całem zdarzeniu, a że to był człowiek zamożny — więc całe miasto palcami go wytykało, wszyscy zwali go oszustem, tak że prawie nigdzie z domu wyjść nie mógł. Dręczyło go niezmiernie nie tyle własne sumienie, ile raczej pośmiewisko ludzi, tak, że go wkrótce w ciężką popadł chorobę i umarł.

Jadwiga, królowa Polska.

Wielką nam biedę Litwiny niosły,
Codzień po Bugu*) pluskały wiosły,
Wiosły pluskały, łodzie szumiały,
Cierpieli wielcy, biadał lud mały.

*) Bug, rzeka wpływająca do Wisły, był w owym czasie granicą między Polską a Litwą.

Co ona Litwa nabrała branek,
Co nadwiślanek, co nadbużanek.
Stałoć i Polsce na dość rycerzy,
Lecz naszych Litwa zawsze ubieży,
Nie tyle wilcy czynią nam szkody,
Co ona Litwa z za Bugu wody.



Hej ! hej ! Polacy otrzejcież lica,
Jadwiga wasza cudna dziewica,
Takiej urody Litwa nie znała,
Jak zorza cicha, jako mgła biała.
Co jeno Polska ma w sobie krasy,
Co blasku wody, co cieniów lasy,
To się na licu odbiło onej:
I blask wiślany i gaj cieniony.
Taką to sobie księżniczkę młodą
Starzy Polacy na Panią wiodą.

Jednego razu w pośród weseli
Smutkiem się lice dziewy zabieli,
Z lesistej strony od lasów Buga,
Po niebie łuna ciągnie się długa.
Na łunę krwawą, co w nocnej porze
Jak pożar lasu stoi na borze
Księżna Jadwiga rzuci oczyma,
A w białej piersi płaczu nie wstrzyma.
I ubogiemu ludowi rzeka:
Co księżny złotej pod wroty czeka:
I cóż ja mogę?... Weźcie me szaty
Niech przyodzieją spalone chaty.
Niech się w nie nędza ludzka otuli
A mnie zostawcie w jednej koszuli.
Ażci rycerze i lud ze sioła
Zgodnemi głosy ku niej zawoła,
Jak sznur żurawi na wiosnę loty:
Książęciu Litwy daj pierścień złoty;
Niech nam ta Litwa krzywdy nie czyni,
Pod ciebie wszyscy pójdą Litwini.

Ciężko jej było z onej przygody,
Bo serce w piersi skakało młodej,
I że już jeden książę potężny
Pozyskał miłość i serce księżny.
Ciężko jej było... przeci się skłonić
I łzę zostawia na białej dłoni.
Z paluszka ściągnie pierścionek blada,
Oczy ociera, sobą nie włada;
Lecz gdy rzuciła okiem raz wtóry,
Na oną łunę, na one bory,
W sercu wytrysły litości źródła,
I pierwsza miłość już się rozwiodła.
Z serca ofiarę Jagielle czyni,
Odtąd nam braćmi, bracia Litwini.

Teofil Lenartowicz.

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

— Toć ja nie winien panie naczelniku, powiada Podrywka — ja nic nie winien, to tak przypadkiem się stało;

nie znają Jaśnie Wielmożnego pana Naczelnika, uniewinniał się, i zrobili z przeproszeniem despekt.

— Jusz dobre, dobre — tu nie ma buntowniki w tej wioska.

— Niema, proszę Jaśnie Wielmożnego pana Naczelnika, uniewinniał się podwójci, tylkośmy schwycili tej nocy Polaka, co się prebrał za żyda i siedzi w śpichlerzu.

— Ja gut! dobre, dobre! mówił ów naczelnik, dostaniesz Belobung i geld, weź klucze i marsz ze mną.

Natychmiast usłuchał Podrywka, wbiegł do chaty i ubrał się czemprędzej, i wziął klucz i z wielką radością biegł z naczelnikiem do śpichlerza.

— Jakże się zdziwił pan naczelnik, kiedy po otwarciu drzwi zobaczył znanego sobie żydka Mośka, handlarza zbożem.

— Aj wąj! gewałt! krzyczał Mojsiek — oni mię chcą zabić, woni mnie już dawno zamordowali.

— Ratunku! ratunku, gewałt!

Naczelnik coś po niemiecku mruknął do żyda. Ten oprzytomniał, przetarł oczy, uspokoił się widocznie i nuż opowiadać po niemiecku, co go spotkało za nieszczęście. Gadał tak szybko i tak zaciekle, jak gdyby kto zboże pytlował. Przytem macał się co chwila po głowie, rozkładał ręce, płakał i lamentował. Wyjął nareszcie paszport z kieszeni i oddał naczelnikowi i powiada już po polsku, aby i chłopi słyszeli:

— Woni nie słuchają pana naczelnika, woni się sami buntują, woni nie szanują podpis pana naczelnik — ja im pokazywał, a woni udawali, że czytać umieją i powiedzieli, że to podpis fałszywy. Ja stracił majątków, ja będę skarżyć — aj! waj! gewałt, a gdzie moje zboże, a gdzie pieniądzów!... ja będę umierać.

Znów mruknął coś naczelnik po niemiecku, żyd się uspokoił i stanął z prokorną miną: Naczelnik wyciągnął z kieszeni książeczkę, wyjął ołówek, zapisał nazwisko obu wartowników, Macieja i Szymka, Wojtka Hebdę i Jana Gubrysia. Rozkazał dać żydowi furmankę do miasta i więcej go w drodze nie napastować. Następnie z Podrywką po-

szedł do chaty i długo coś rozmawiał. Podwojciemu oczy się świeciły z radości, skrobał się co chwila po głowie i kiwał rękami. Wreszcie wybiegł z chaty, i jak to już opowiedzieliśmy, obchodził sąsiadów i przyjaciół swoich i opowiadał im jakąś tajemnicę do ucha. Tajemnicą tą była walna wyprawa na Polaków. W nocy bowiem dostał naczelnik wiadomość, że nad Wisłą stoczyli powstańcy bitwę z Moskalami i rozbici schronili się do Galicji. Naczelnik postanowił schwytać ich co do jednego i w tym to celu zawezwał pomocy podwójciego i jego przyjaciół. Uzbroili się więc wszyscy w drągi, kije, cepy, siekiery i inne narzędzia zabójcze i wyruszyli pod przewództwem Podrywki ku Wiśle. Za nimi o kilka tysięcy kroków w tyle jechał odważny naczelnik. Dlatego to większa część kobiet i gospodarzy z Podwala wyszła za wioskę, aby się przypatrywać, co to będzie za nowina.

Zawiślak tymczasem szczęśliwie bardzo uciekł z rannym przed obławą. Umieścił go w małej izbie, i nie pozwalał do niej nikomu wchodzić, oprócz Marysi i żony. Szczęście zdarzyło, że w czasie przyjazdu Marcina nikogo nie było, ani w domu, ani w pobliskich chatach. Szymek nawet wyszedł za Podrywką.

Po obiedzie zaprzągł Marcin konia i siadł na wóz i pojechał ku miastu, a nikomu nie powiedział po co.

Właśnie w tejże samej chwili powracali z smutną miną, zafrasowani i zmęczeni przyjaciele podwójciego do domu. Widać obława źle się powiodła, bo nikogo z sobą nie prowadzili. Toć i gospodarze uczciwi, którym się serce krajało, gdy widzieli takie zaślepienie u swoich współbraci, oburzeni i zagniewani, nie żałowali żartów i przycinków, i pełno było śmiechu wśród gromady za wioską, gdy rycerze owi tak niepocieszenie wracali.

Panie Podwójci — mówił Michał Gawełek, gospodarz znany z prawości i rzetelności — cóż wam powiedziały zające na kępie? Nie mówiłem wam, że trzeba było wziąć z domu dwa funty soli, bo to na polowaniu nie żarty, jak nie posypiesz solą, to zając nie poczeka.

Któż widział — żartował znów Jan Kamizela, wybierać się z cepami na kuropatwy. Toć przecie nie strzelba, chyba skrzydła sobie trzeba było przyprawić.

— Ej, bo widzicie kumie — powiada znów inny — nasz Podrywka tak myśli jak ów żyd, co z łokcia chciał wilka zastrzelić: jak pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

— To prawda — odezwał się znów Michał Gawełek — najsprawiedliwiejby było, gdyby się kij sam obrócił na owych napastników i wygarbował im plecy.

Po każdej takiej przemowie śmiała się głośno gromada gospodarzy i kobiet, a obławnicy nic nie odpowiadając, jak zmyci uciekali do domów. I odważny Niemiec, naczelnik powiatowy, wracał także do miasta, ale już nie przez wioskę, bo go wstyd było, tylko przez pola, krótszą drogą. A furmanowi nakazywał, aby mocno koniki zacinał, bo się nie chciał z nikim spotkać i wystawić na pośmiewisko.

Przez drogę rozważał, jakby tu zachować powagę swego urzędu i wytłumaczyć chłopom, że to nie z jego winy wyprawa tak śmiesznie wypadła.

— Podrywka winien — pomyślał sobie wreszcie w duchu i uderzył się ręką po czole, aż czapeczka z złotym sznurkiem w tył się pochyliła — niechże tedy Podrywka pokutuje. Ale szkoda!... on jeszcze coś gotów wyszukać... może jeszcze uda się zarobić na order.

A po chwili znów tak sobie powiada: Trudno! nie ma co mówić, trzeba powagę zachować, niech podwójci odpowiada... co tam! nie będzie jego, będą inni.

Tak sobie mruczał pod nosem po niemiecku, a furman zacinał koniki i pędził co sił stało, żegnając się co chwila. Zdawało mu się bowiem, że Niemca musiał zły duch opanować, kiedy tak zajadle szwargcze, więc chciał co prędzej pozbyć się kłopotu. Stanęli wreszcie przed powiatem; naczelnik wysiadł, a parobczak aż ręce zatarł z radości, że już raz pozbył się towarzystwa złego ducha.

Nad wieczorem powrócił Zawiślak z miasta i przywiózł lekarza. Pokazało się, że rana nie była niebezpieczna, tylko

że z powodu znacznego upływu krwi ranny troskliwej potrzebuje pomocy.

Po wieczerzy zamknął się wójt z lekarzem i obaj długo coś i żywo rozprawiali. Doktor powiadał, że rannego trzeba będzie odwieźć gdzieś do dworu albo do miasta — wójt zaś upierał się przy swojem, aby go w jego zostawić chacie.

— Dzięki Bogu stać mnie na tyle, iż mogę, nieszczęśliwemu dopomódz. Toć to nasza wiara i nasza sprawa, więc wszyscy na nią składać się powinni.

— Ale jakże go tu u was przechować, co chwila może nadejść niedobry człowiek, doniesie do powiatu, zrewidują chatę i wy, i on będziecie mieć kłopot.

— Otóż w tem sęk i nad tem trzebaby się namyśleć i dobrze uradzić.

Dobrym zamiarom Bóg zawsze pomaga. To też wpadli niedługo na szczęsliwy pomysł. Chory miał pozostać w domu Marcina, bo ten na przenoszenie w żaden nie chciał przystać sposób. Ojciec żony, Zawiślak, mieszkał w wiosce oddalonej od Podwala blisko dwie mile, a miał kilku synów młodych jeszcze i nie ożenionych, których na Podwalu prawie nikt nie znał. Otóż Marcin miał wyjechać nazajutrz do krewnych i tam wziąć ze sobą jednego z tych synów.

Ten kiedy wjadą do Podwala miał udawać, że się w drodze potłukł mocno, że choruje i stęka. Rozumie się, że w takim razie Marcin musi go wziąść do swojej chaty i tak długo utrzymywać, dokąd nie wyzdrowieje. Reszty łatwo się domyślić.

Pożegnali się serdecznie z lekarzem po tej naradzie, a nazajurz rano wójta nie było już w domu. Opowiadali sobie sąsiedzi, że Zawiślak wyjechał do swych krewnych.

(C. d. n.)

Rozmaitości.

Gdy Piotr Wielki obsypywał dobrodziejstwy założoną przez się stolicę Petersburg, kosztem starego „świętego grodu“ Moskwy, obraz

Matki Boskiej przeniesiony do nowej cerkwi w Petersburgu zaczął płakać z żalu.

Cud się zjawił.

Tłumy pobożnych zbiegały się ze wszech stron w świętej gorliwości, wołając, że N. Panna nudźi się straszliwie bez Moskwy. Car znajdował się pod tę porę na Łododze. Ale zawiadomiony o tem co się stało, pędził przez całą noc, dopóki nie stanął na miejscu cudownem. Obejrzawszy okazany mu przez popów obraz, rozkazał zanieść go do monarszego pałacu.

Znalazł najprzód maleńkie, zaledwie dostrzedz się dające dziurki w oczach obrazu Matki Boskiej. Car obrócił go, wyjął z ramy, odjął własną ręką płótno, którem był z tyłu nakryty, i ucieszył się, kiedy spostrzegł, że nie zawiódł się w domysłach; odkrył bowiem źródło łez biednego obrazu. Było to drobne wydrążenie zrobione w desce blisko oczu, i znajdowało się w niem jeszcze kilkanaście kropel przygotowanej poprzednio oliwy.

— To mi skarb! — zawołał Piotr Wielki — oto źródło cudownego płaczu!

Po tym wykrzykniku rozkazał zbliżyć się znacznej liczbie przytomnych, ażeby ich przekonać o popełnionem oszustwie.

Następnie tłumaczył wszystkim sztuczny przyrząd, który ich w błąd wprowadził, uważając za rzecz naturalną, że skrzepła oliwa utrzymywała się w miejscu chłodnem, i że dopiero przeciskać do oczu zaczynała, gdy się rozgrzała za pomocą zapalonych świec, stojących na ołtarzu.

— Wszyscyście widzieli na własne oczy — dodał — źródło jakoby łez Boga Rodzicy. Rozgłoście o tem wszędzie! Niechaj ono będzie wystawione na pośmiewisko!

— Piotr użył wszelkich tajemnych środków dla odkrycia sztukmistrza, którego dzieło tyle mu sprawiło niepokoju, a złowiwszy go na koniec, ukarał po moskiewsku.

— Od tej pory, za jego panowania cuda się nie zjawiały.

J. Gordon.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek" Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 talar 15 sr. gr., półrocznie 23 srgr., kwartalnie 12 srgr.

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.

Nr. 7. 1. Marca 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kościuszko w Szwajcaryi.

Było to na początku roku 1815, gdy się w Solurze dowiedziano o bliskiem przybyciu Kościuszki. Natychmiast wybrała rada krajowa dwóch z pośród grona swego najznakomitszych urzędników, dla przywitania tego wielkiego męża i oświadczenia mu swych względów i uszanowania. Obywatele Solury starali się okazać mu swój szacunek w przyjęciu go z honorami, na czele strzelców miejskich; atoli Kościuszko unikający wszelkiego odznaczenia się, i życząc sobie aby go nie inaczej jak tylko za przyszłego współmieszkańca Szwajcaryi uważano, upraszał, iżby mu wolno było zamieszkać w domu przyjaciela swego Zeltnera.

Odkąd tamże zamieszkał, niezmordowana dobroczynność jego spływała bez przestanku na otaczających go mieszkańców: jego litość ku ubogim i nieszczęśliwym objawiała się w sposób poruszający w zdarzeniach codziennego życia. Nie mógł on nigdy znieść widoku nędzy bliźniego. Przez cały czas pobytu w Solurze, wyszukiwał sam często nieśmiejących o jałmużnę prosić ubogich. Odwiedzał schronienia nieszczęśliwych i łączył pociechy do swych dobrodziejstw.

Skoro się dowiedział, że jaki ubogi chorobą złożony został, przysyłał mu natychmiast lekarstwo, i dostarczał mu wszystkiego, co tylko do jego uleczenia potrzebnem było.

Przyzwyczajony przejeżdżać się codzień konno, kiedy mu czas i zdrowie pozwalały, brał z sobą pospolicie luidora, t. j. 10 złr. drobnemi pieniądzmi, i te dzielił pomiędzy ubogich na swej przechadzce. Koń jego tak się był przyzwyczaił widzieć go dającego jałmużnę, że się sam zaraz zatrzymywał na widok ubogiego, proszącego o litość.

Jednego razu Kościuszko, wstrzymany chorobą, nie mógł sam nawiedzić ubogich, którym tego dnia miał dać jałmużnę. Wiedząc zaś, że oni zapewne go oczekują, posłał im wsparcie przez jednego poczciwego wieśniaka, i dał mu nawet swego konia, żeby tylko tam jak najprędzej się dostał. I wieśniak sprawił wszystko należycie, ale bardzo późno powrócił, i tak się przed Kościuszką tłumaczy: „Przepraszam ja Was, panie Jenerale, ale na tego konia już w życiu mojem wsiąść nie chcę, jeżeli mi razem i worka swego z pieniądzmi nie dacie.“ Kościuszko zdziwił się i zapytał wieśniaka, co to znaczy. Wieśniak mu zaś tak odpowiedział: „Ile razy mnie jaki biedny człowiek napotkał i kapelusz zdjęty trzymał, a o jałmużnę prosił, to koń zawsze stanął, i nie można go było z miejsca ruszyć, dopókim ubogiemu jałmużny nie dał. A miałem tylko przy sobie kilka groszy, którem wydał, musiałem potem ze wstydem udawać, jakobym ubogiemu do kapelusza co wrzucił.“ (jak to widać na obrazku).

Dwie ubogie familie w Solurze, podczas ciężkiej zimy roku 1816 przyszły do ostatniej nędzy, i wyprzedały najpotrzebniejsze sprzęty i odzież dla zaspokojenia dopiekającego głodu, zagroził im jeszcze do tego urząd, iż jeżeli w przeciągu 24 godzin nie wypłacą zaległego podatku, natenczas z miasta oddalone, sprzęty zaś ich na uiszczenie i zaspokojenie długu sprzedane zostaną. Kościuszko uwiadomiony o tem, dostarczył summy potrzebnej do spłacenia długów tych dwóch ubogich familij, prosząc, ażeby natychmiast, lubo już było dosyć późno w nocy, zanieśli im to wspomożenie. Byłby

się do nich sam udał, gdyby mu stan osłabiony jego zdrowia wyjść pozwolił: „Nie zwlekajcie, dodał, i gdyby nawet spali ci ubodzy ludzie, obudźcie ich; spokojniej będą spoczywać, skoro mieć będą pewność, że im jutro nie potrzeba opuszczać miasta i że nie zostaną ogołoceni z swych rzeczy.“



„Przepraszam was panie jenerale, ale już na tego konia w życiu mojem wsiąść nie chcę.“

Ciężka zima w roku 1816 i 1817, która powszechną drożyznę do Szwajcaryi sprowadziła, podała mu sposobność okazania swej dobroczynności w najświetniejszym blasku. On to osobiście zbierał składki, on to codziennie więcej niżeli 50 ubogim rozdawał liczną jałmużnę w pieniądzach i żywności,

w czasie, gdy nędza mieszkańców do najwyższego doszła stopnia i wiele familij zupełnie zubożałych przymuszone były żywić się korą drzew i wygrzebanemi z pod śniegu korzonkami roślin. Tysiące łez wstrzymanych jego ręką zaświadczą w późnych potomkach o wielkim i dobroczynnym Polaku i imię Kościuszki powtarzać będą następne pokolenia wdzięcznych Szwajcarów.

Podczas jednego dnia — było to 3. grudnia 1816 — rozkazał Kościuszko rano o godzinie ósmej okulbaczyć swego konia, a nie zważając na przełożenia przyjaciół, iż niebezpiecznie było wśród takiej zamieci i burzy oddalać się od domu, udał się w drogę. Aż do godziny trzeciej czekano na niego z obiadem, lecz jeszcze nie powrócił, i dopiero, gdy już noc zaszła, przybył cały zmoczony i przeziębły do domu. Troskliwi o jego zdrowie przyjaciele, dowiadywali się, czy mu się jaki przypadek nie zdarzył, i gdzieby tak długo przebywał? „Odwiedziłem pewnego mojego przyjaciela na wsi“— to było całą i jedyną jego odpowiedzią. Po kilku dniach dopiero dowiedziano się prawdziwej przyczyny, a tą była dobroczynność. Pewien lekarz na wsi, o dwie mil od Solury mieszkający, dowiedział się od jednego z swych chorych, że go często odwiedza jakiś pan z Solury, mający już siwe włosy i ubrany w granatowym surducie, i ten mu dostarcza potrzebnych zasiłków w pieniądzach i pokarmach, lecz że nie wie, jak się dobroczyńca jego nazywa. Lekarz ten, chcąc poznać osobiście człowieka tak zacnego charakteru, przybył do wspomnionego chorego wyrobnika o umówionej godzinie, a miarkując, że dawca nie chciał być od nikogo widziany, ukrył się w pobliskiej komórce i z tamtąd przez szczeliny ściany widział szanownego dobroczyńcę w osobie Kościuszki.

Nie na samych jałmużnach ograniczała się dobroczynność Kościuszki. Ktokolwiek tylko potrzebował jego rady albo wsparcia, udawał się z ufnością do niego, a on gdziekolwiek mógł, dokładałw szystkich swych usiłowań, aby być użytecznym swym bliźnim. Pewna młoda, uboga panienka, przedsięwzięła zostać zakonnicą. Że zaś w Solurze żadna zakonnica przyjętą być nie może do klasztoru, póki pewnej

summy nie złoży, nie mająca wspomniona dziewica żadnego majątku, udała się z prośbą do Kościuszki, aby ją raczył zapomódz i ułatwić dopełnienie przedsięwziętego zamiaru. Zastanawiając się nad jej młodym i niedoświadczonym wiekiem, rzekł do niej w tonie łagodnym: „Moja córko! niechętnie wprawdzie widzę, gdy młoda dziewczyna zagrzebuje się w klasztorze, dlatego naznaczam ci rok jeden do namysłu, a tymczasem masz tu cokolwiek na utrzymanie się przez przeciąg próby; jeżeli po upłynionym tym czasie nie zmienisz twojego zamysłu, nie omieszkam ci dostarczyć żądanej summy.“ Dziewica ta, wierna swojemu pobożnemu powołaniu, stawiła się po upłynionym terminie, a wtenczas wręczając jej potrzebne pieniądze, był sam przytomny przy jej obłóczynach.

Lubo znał swoją wartość i był zawsze przedmiotem poszanowania u ludzi, z którymi żył, nikt jednak nie był nad niego skromniejszym. Unikał starannie honorów, które mu czynić chciano, a nienawidził dumy i pogardzał ludźmi zaślepionymi tą namiętnością, bez żadnego względu na ich stopień i znaczenie. Gdy ubogi prosił go o jałmużnę, trzymając czapkę w ręce, kazał mu najprzód nakryć głowę, a potem dopiero dawał mu wsparcie. Nie mógł patrzeć bez przykrego uczucia na dwóch rozmawiających ludzi, z których jeden trzymał kapelusz w ręce, a drugi stał z nakrytą głową, jakakolwiek zachodziła pomiędzy niemi różnica godności i majątku. (C. d. n.)

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

Choć tak srodze zawiedziony i od wszytskich wyśmiany, nie próżnował jednak Podrywka i nie zeszedł z nieuczciwej drogi. Był u niego Szymek wieczorem i opowiadał, że Zawiślak przedwczoraj przed ową wyprawą wyjeżdżał gdzieś z Marysią ku Wiśle, że coś tajemnie oboje szeptali,

że nie wiedzieć kiedy wrócili i dodał, że do drugiej izby nikogo nie wpszczają, choć dawniej tego nie było.

— W tem coś być musi — powiada Podrywka.

— I mnie się zdaje — wtóruje Szymek.

— Może oni kogoś przechowują u siebie..... może tam siedzi powstaniec. Wiesz co Szymku, powiedz, żeś zapomniał kożucha w drugiej izbie i idź go poszukać, a przekonasz się, czy kogo niema.

— Kiedym kożucha nie zostawił — powiada Szymek.

— Głupiś! powiedz, żeś zostawił i już; oni tam tego nie wiedzą.

— Ale wiedzą — upiera sie Szymek — wiedzą najdokumentniej.

— Ale skądże mają wiedzieć? toć przecie nie pilnują, gdzie twoją przyodziewę zostawiasz.

— No juźci, że nie pilnują, to prawda, ale ja kożucha nie mam.

— A to dopiero mędrek, zatem powiedz, żeś buty zostawił.

— Toć je mam przecież na nogach.

— Czyć oszalał Szymku, czyś taki głupi jak cielę tygodniowe? Powiedz, żeś zostawił czapkę, albo kamizelkę albo płociennicę, albo koszulę, albo tasak, którego ci potrzeba do sieczki, albo młotek, albo siekierę, — mów nareszcie co chcesz, a idź do tej izby.

— Wtem właśnie sęk, boć oni mnie tam nie puszczą choćbym i głowy zapomniał.

— To co innego Szymku — czegożeś od razu tego nie powiedział — a to mi dopiero nowina! Co tu zrobić? Może z becyrku żandarmów zawołać, albo ze znajomymi przemocą drzwi wyłamać?

— A może tam nikogo nie ma? — znów będzie nowy kłopot i pośmiewisko, a mogą i do kozy zamknąć. Może naczelnik już nie da pomocy? bo tyle razy się zawiódł.

— Wiesz co Szymku, zaczajmy się dzisiaj pod oknami wieczorem i będziemy penetrować, co tam jest w tej izbie. Niechby tylko było coś niebezpiecznego, to już ja tam poselę wójtowi, że i ruski rok zapamięta.

— Tak mi się wydaje, że to będzie najlepiej; jak zobaczymy, że tam są harmaty, albo jaki powstaniec, to myk do becyrku i koniec. O wtenczas Marysia będzie śpiewać jak jej zagram, i wójt nie będzie taki uparty. Panie podwójci, z was to taka mądra głowa, że aż miło — boć wkrótce, jak mi się widzi, i na wójta się wykierujecie; tymczasem bywajcie mi zdrowi, bo czas konie napoić, a wieczorem przyjdę znowu.

— Bywaj zdrów, i idź z Bogiem, a pamiętaj, co ci mówiłem.

Niecierpliwie oczekiwał Podrywka, rychło nadejdzie wieczór. Obchodził kilka razy chatę Zawiślakową, opatrywał ją na wszystkie strony. To znów wysyłał żonę swoją, niby to po ogień i przykazał jej, aby pilnie przypatrywała się wszystkiemu, co się w domu wójta dzieje.

Wszystkie te usiłowania były jednakowo daremne; co się działo wewnątrz owej tajemniczej izby, było jakby zaczarowane.

Nadszedł wreszcie ów upragniony wieczór; Szymek stawił się podług umowy.

Chyłkiem, cichutko, zbliżyli się szpiegi pod okno chaty wójtowej. Szymek podparł się pod ścianę, a Podrywka jakby po drabinie wdrapał się w górę po jego barkach i zaglądał do okna. Na nieszczęcie okno było zasłonięte płachtą, ale słabe światło przebijało, więc podejrzenie było na pół sprawdzone. Podrywka postanowił podsłuchiwać, czy kto nie rozmawia i przyłożył ucho do szyby. Ale Szymkowi widać było tego zawiele; bolały go ramiona, stękał po cichu naprzód, a wreszcie z cicha woła:

— Dla Boga! Kasprze! popuście, już dłużej nie wytrzymam!

— Cicho, cicho!... szepcze Podrywka, to dopiero z ciebie paniczyk!

Tymczasem i pies zaczął szczekać i zbliżył się do okna, a Szymek stęka po cichu.

— Kruczek! kruczek, chodź tu. Panie Kasprze!... ja uciekam — i zsunął się z pogródki, a podwójci jak długi runął o ziemię.

Nim się zerwał nie było Szymka i znać, już go i pies szarpał za nogę nie na żarty, i Marysia wybiegła za kruczkiem. Ale Podrywka zerwał się ziemi i biegnie, co mu sił staje; pies za nim, szarpie go, to za nogi to za płotniankę, a Marysia również go ściga i woła z całego gardła: Chwytaj, łapaj, złodzieje! złodzieje!

Jakby na większe utrapienie Podrywki, od chałupy wójtowej pędzi kilku chłopów wprost za nim, co nie wiedzieć zkąd tak prędko się wzięli, boć to zaledwie chwila od owego upadku z pogródki. Ale czas kary jeszcze nie nadszedł na niego. Biegł co tchu i sił, a na skręcie drogi zawinął się gdzieś tak między chaty, że i śladu po nim nie było — wpadł jak kamień w wodę. Nawet kruczek wkrótce ślad stracił i powrócił skomląc żałośnie; snać że podwójci mocno go musiał uderzyć. Ścigający pochodzili jeszcze chwilę, poszukali po zbożu, pod chatami i gdzie tylko mogli i powracali ku chacie Zawiślakowej, opowiadając wszystkim gospodarzom, co zbudzeni hałasem powychodzili na drogę, że złodziej chciał się włamać do chaty wójtowej, i że gdzieś tak zniknął, że go znaleźć nie można. Nikomu jednak ani przez myśl nie przeszło, że to był podwójci, i nikt też przez długi czas o tem nie wiedział.

Ale cóż to byli za gospodarze, co tak prędko się zjawili ni ztąd ni z owąd, i pomagali Marysi ścigać złodzieja? Rzecz tak się miała.

Kiedy Podrywka na barkach Szymkowych stał i zaglądał do owej izdebki, wracający Zawiślak już był w wiosce i stanął przed karczmą. Na wozie leżał zawinięty w płótniankę i kożuch, ów brat jego żony i udawał, że chory niezmiernie. Wójt wszedł do karczmy, zafrasowany mocno i rozkazał żydówce wynieść półkwaterek wódki dla chorego.

Co za chory? kto chory? panie wójcie, — pytali się gospodarze, co siedzieli jeszcze za stołem przy piwie.

— Tak to bywa, nieszczęście po ludziach zwykle chodzi i nikogo nie mija, ale co tam o tem mówić, trzeba iść do wozu i zawieźć biedaka jak najprędzej.

Wójt wyszedł — ale za nim wyszło także kilku ciekawych, i szli około wozu razem z wójtem, który im opowiadał, że w drodze wóz się wywrócił tak nieszczęśliwie, iż jego krewny bardzo się potłukł i poranił, że zapewne kilka tygodni będzie musiał przeleżeć u niego, bo i miasto blisko, i o lekarza nie trudno.

Właśnie kiedy tak rozmawiali, kiedy ów niby chory na wozie stękał i jęczał, usłyszeli ów krzyk Marysi: złodziej! chwytajcie! i puścili się w pogoń.

Kiedy powrócili do chaty wójtowej, chory leżał na łóżku i spał. Chcieli go zobaczyć, ale Zawiślak mówił, że go sen pokrzepi. Powiadał również, że jeszcze tej nocy pojedzie po doktora, skoro tylko konie wypoczną. Chwilę posiedzieli gospodarze i rozeszli się do chat swoich. Chory zebrał się czemprędzej, przywitał i pożegnał się z siostrą swoją, i oba już pojechali do miasta. Zawiślak zaciął koniki i spieszył czemprędzej, aby opowiedzieć doktorowi, że ów zamysł tak pięknie się udał. W mieście pożegnał się z bratem swej żony, podziękował mu za pomoc, udarzył go śrebrnym cwancygierem, a ten czemprędzej pospieszył do rodziców. (C. d. n.)

Rolnik.

Ze mgły porannej zabłysnął dzionek,
I cała wioska ze snu się budzi.
Dzwięczną piosenkę śpiewa skowronek,
Wierny towarzysz wieśniaczych ludzi.
Już pilny rolnik ręką strudzoną
Prowadzi siwe woły na pole,
Uprawia ziemię pługiem i broną,
Złociste ziarna rzuca na rolę.

O dobry Boże! — niechaj to ziarno
Okryje kłosem nasze zagony,
Niech praca nasza nie będzie marną,
Ale stokrotne wyda nam plony!
Błogosławieństwa Twego potrzeba,
By powszedniego nie brakło chleba.

Wł. Bełza.

ZBRODNIA i KARA.

(Zdarzenie prawdziwe).

Bracia Worosze nie byli Polakami. Przyszli oni do kraju naszego lat temu dwadzieścia z górą. Zkąd byli — gdzie ich ojczyzna — ludzie dobrze nie wiedzą. Z początku źle im szło z mową, i nie mogli się z ludźmi oswoić. Ale powoli przyzwyczaili się do języka i do zwyczajów, jakie u nas ludzie zachowują. Starszy Piotr trudnił się to handlem, to przemytnictwem i tak jakoś dobrze mu poszło, że kupił grunt i chatę i przyodział się uczciwie i zagospodarzył. Nie długo trwało to jego gospodarstwo — bo jak raz się czegoś dorobił — to myślał, że mu już na całe życie wystarczy. Żył tedy wesoło, a nic nie robił, tylko cały dzień w karczmie, a przy hulance — o robotę niech się tam Pan Bóg stara.

Tak myślał Piotr, i marnował dobytek i siłę do pracy. A jak raz nauczył się pić i próżniaczyć — tak już trudno mu było wrócić do pracowitego życia. Ani wiedział, kiedy i kędy poszło bogactwo. Potrzeba było myśleć, co robić dalej.

— Pracować mi się nie chce, mówił często Piotr sam do siebie, albo to ja się mało już narobił. I miałem już dość złota w kaletce i grunt kupiłem nie zgorszy, i chudoba była porządna. A teraz.... tfu!.... do czarta! gdzieś się wszystko podziało. Ale też żyło się trochę. Jadła było nie skąpo, a gorzaliny nie żałowało się — a ten arak u Icka!..... ej!..... dobre to były czasy. Nie zawsze się wprawdzie uczciwym bywało — no! ale cóż! nikt mnie nie złapał na gorącem.

— Oj nie tak to łatwo porzucić te wygody i dostatek dlatego tylko, aby być uczciwym i pracować jak na gospodarza przystało. — Ot! lepiej przypomnieć sobie dawne czasy i tak po mojemu..... na szczęście zapolować — ludzie głupi..... nie pilnują.... będzie czysty interes.

Śliska do przepaści droga. Kto raz zejdzie z drogi uczciwej na jeden krok — ten się nie łatwo podźwignie. Piotr za-

pomniał pracować — a chciał żyć wygodnie. Kradł dawniej — to i łatwo mu było powrócić na nowo do dawnego rzemiosła.

Inaczej było z Michałem. Już to od młodości bracia nie żyli z sobą w wielkiej miłości i zgodzie. Bo Michał z natury pracowity i trzeźwy -- ganił, choć był młodszy, Piotra, ile razy zobaczył, że się Piotr mija z uczciwością.

Do naszego kraju przyszedł Michał z niepróżną kieszenią, a że był chłopak przystojny i pracowity — nie źle mu się wiodło. Gospodarze lubili go, to też i na zarobku nie brakło.

Ale szczęście zawsze niestałe. I Michałowi nie długo się też szczęściło. Przy ostatniej stawce wzięli go do wojska i zmarnował trzy lata na tułaczce po świecie.

Dobre ziarno — choć na suchą rolę padnie — nie zmarnieje. Tak i Michał nie zepsuł się w wojsku, choć z lada jakimi ludźmi przestawać musiał i nie jednemu złemu zbliska się przypatrzył.

To też jak wrócił do wsi, chwycił się na nowo pracy i znalazł tę samą życzliwość w sercach ludzi dobrych.

— Przecież to nie źle na tym bożym świecie — dumał sobie Michał jednego razu — ludzie mają serca, a byle im dobrze robić, to przyjmą człeka za brata. Nie miałem ci ja nikogo na świecie, tylko Piotrusia, — a i ten, pożal się Boże! ot, nie ma ani co myśleć o nim.

I obtarł łzę, co mu się gwałtem do oczu cisnęła. Bo Piotr nie był dobrym bratem. Ani z nim pogadać, ani się poradzić.

— A tu ludzie inni, dumał Michał dalej, obcego przy błędę, jak swoje dziecko uważają. Ot! gdyby jeszcze Kasia.....

Tu przerwał Michał myśli swoje, tak go nastraszyły. Ale po chwili uśmiechnął się znowu i zdawało mu się, że niby dziwnego nie było, gdyby się kopnął w swaty do Kasi.

Kasia była nie brzydką dzieweczką. Wesoła, figlarna, nie raz przy robocie, to przy zabawie zaczepiała smutnego chłopaka. Ale Kasia była jedynaczką bogatego gospodarza i nie tacy się tam do niej puszczali, a każdemu odmówili.

Michał kochał Kasię od dawna. Nieśmiały z natury, nie mógł się zdobyć na odwagę, aby się puścić w zaloty. Kasia poczciwa dzieweczka — prędko się domyśliła, że ona jest przyczyną smutku Michała. A że Michał był chłopakiem urodziwym, a serdecznym i poczciwym — nie ma się czego dziwić, że i Kasia łatwo się w nim rozkochała.

Widziała Kasia, co się dzieje w sercu Michała biednego, bo umiała czytać w jego smutnych oczach. Zaczęła go więc ośmielać i zagadywać. Tak od słówka do słówka przyszło aż do tego, że Michał i Kasia powiedzieli sobie, że się kochają.

Minął tak czas jakiś. Michał jeszcze bardziej posmutniał, a Kasia także jakoś nie była już tak wesołą i figlarną.

— Ej ty Michale niedobry — mówiła Kasia — ty tobyś chciał, żebym ja za tobą latała i wołała: Michale! Michale! a ożeń się ze mną — bo mnie już nikt nie chce za żonę, a mnie pilno iść za mąż.

— Kasiuniu! oj nie gadałabyś ty tak — bo każde słowo rani mnie, jak gdybyś nożem kłuła — żalił się Michaś — Albo ty nie wiesz, jak ja ciebie kocham. Tylko pomyśl sobie Kasieczko, że ja biedny chłopak — przybłęda jakiś, a mam tylko dziesięć palców do roboty. A ty i ładna taka, jak zorza i dobra jak anioł i bogata, jak dziedziczka.

— Cicho, cicho — Michale. Już nic nie gadaj — jak nie chcesz, żebym się na śmierć pogniewała na ciebie. Mówisz, że ja ładna i dobra — to cię słuchać lubię — ale jak zaczniesz stękać i narzekać, to wolałbyś nic nie mówić.

— Bo to moja Kasiu — mówił znowu Michał — ludzie są różni. Albo ja tam wiem, czy twój tatuś tak myślą, jak ty.

— O! co to, to się nie strachaj darmo — zawołała Kasia. To już moja rzecz. Ot, chodźmy lepiej zaraz do niego, a zobaczysz, czy mi odmówi.

I wzięli się za ręce i pobiegli do starego, a jak Kasia zaczęła go męczyć i prosić, całować i klękać przed nim, tak stary nie mógł się oprzeć.

I odbyło się weselisko. Suto tam było jadło i napitku — a ludu siła.

Młodzi ochoczo hulali — śmiejąc się i śpiewając. Starzy znów w drugiej izbie zasiedli do miodku i gwarzyli o tem i o owem.

— Ależ to z nich dobrana para! — a kochają się, jakby dwa gołąbki — mówi jakiś stary gazda do sąsiada.

— E, co tam, czy ładna para czy niełądna — prawił znowu sąsiad — byleby żyli uczciwie, a mieli żyć z czego. Już to ten Michał, to poczciwina; do roboty nie ma lepszego we wsi — a Kachna, to tylko do rany przyłóż. Będą z nich ludzie.

I tak ciągnęła się pogawędka starych, a młodzi sobie hulali i bawili się ochoczo.

Dobrze przepowiadali starzy. Michał z Kasią żyli jak przystało. Dobytek i szczęście nie omijało ich chaty. Pobłogosławił ich pan Bóg ładnym chłopakiem i dziewczynką — i żyli dość długo w szczęściu i zgodzie. Tylko na chwilę zaćmiło się słonko nad ich głowami — bo stary ojciec kochany poszedł do grobu.

Uspokoili się z czasem w żalu, a nie przestając się kochać — cieszyli się życiem i szczęściem.

Tak to trwało jeszcze lat kilka. (C. d. n.)

Gospodarstwo wiejskie

O roli i płodozmianie.

O roli. Ziemia, którą człowiek uprawia, zowie się r o l ą, a ten który ją uprawia, nazywa się r o l n i k i e m.

Role są rozmaite: piaszczyste, gliniaste, wapniste, marglowate, próchnicowe, i tak dalej.

P i a s e k składa się z ziarn suchych, kamiennych, to jest: z pokruszonego kamienia, skały czyli opoki; przeto woda ziarn tych nie przesiąka, ale szybko w głąb ziemi przechodzi i łatwo wysycha.

G l i n a przeciwnie jest tłusta i spoista, więc jak gąbka wodę w sobie długo zatrzymuje.

W a p n o polane wodą rozgrzewa się, pali i rozsypuje.

M a r g i e l jak klej spaja ziarna piasku.

P r ó c h n i c a czyli czarnoziem, jest to próchno powstałe ze zgniłych roślin i zwierząt.

Na samym piasku, ani na samej glinie, ani wapnie, ani marglu, ani próchnicy nic dobrze się nie rodzi; do urodzaju dobrego trzeba, żeby to wszystko stosownie pomięszane było.

Roli zbyt piasczystej trzeba dodać gliny, a roli zbyt gliniastej trzeba dodać piasku, i na zimę tak ją podorać, żeby skiby na wierzch sterczały, to mróz je pokruszy.

Wapno znajduje się w każdej glinie; glina z wapnem zmięszana, tworzy margiel.

Wapno w roli gliniastej bardzo jest pożyteczne, bo glinę kruszy.

Margiel, ale taki, w którym więcej gliny niż wapna, najlepiej spaja piasek, przez co woda i wilgoć dłużej się w roli utrzymują.

Próchnica, czyli czarnoziem, jest najużyteczniejszą w roli, bo ona żywi rośliny, podobnie jako gnój czyli nawóz roślinny i zwierzęcy. Wszystko co zestarzeje się, umrze, zgnije, — jak liście, trawy, słomy, krzewy, drzewa, zwierzęta, co od stworzenia świata na ziemi rosły, lub po ziemi chodziły, zmieniają się w próchnicę na pożytek roli. Im więcej tej próchnicy, tem rola lepsza. Brak jej zastępuje rolnik gnojem, który w rozmaity sposób przyrządza.

Chcąc przekonać się, ile czego jest w roli, trzeba wziąć bryłę tej roli, skruszyć ją na proch, przesiać, odrzucić kamyki i inne części grubsze, wsypać w naczynie szklanne lub gliniane, nalać wodą, mocno zamącić i zostawić, aż ziemia ustoi się i osiądzie. Potem wodę zlać, a ziemię w naczyniu wystawić na słońce, żeby dobrze wyschła. Po stłuczeniu naczynia wyraźnie widzieć będzie można, jak się każdy gatunek ziemi osobno oddzielił. Na samym spodzie będzie warstwa najcięższa piasku, potem warstwa gliny z wapnem, a na wierzchu, najlżejsza warstwa ziemi, czyli próchnica, która jest jakby oliwą, masłem czyli okrasą roli. Tym sposobem, tak zwani bonitorowie, rolę rozpoznają, oceniają i na klasy ją dzielą.

O płodozmianie. Płodozmianem zowie się zmiana płodów roślinnych, sianych lub sadzonych kolejno na tejże samej roli.

Najzwyczajnieszy płodozmian u nas jest trzyletni, czyli gospodarstwo trzypolowe; w roku pierwszym, czyli w pierwszem polu ozimina, w drugiem jarka, a w trzeciem ugór. Ale w innych krajach, a w części i u nas, gdzie gospodarstwo lepsze, ugoru wcale nie ma; bo ziemia nie męczy się jak człowiek i wypoczynku nie potrzebuje, tylko trzeba ją zasilać gnojem i nawozami. Ziemia przytem przez zmianę roślin zasila się jakby była gnojoną lub ugorem leżała. Nigdy więc nie siać dwa razy jedno ziarno z rzędu. Najlepszy płodozmian u nas jest taki:

Podzielić grunt na, równe części czyli pola i siać jak następuje:

	Pierwsze pole	Drugie pole	Trzecie pole	Czwarte pole	Piąte pole	Szóste pole
Rok pierwszy	Jarzyna i kartofle	Groch	Ugór	Koniczyna	Ozimina	Ozimina z koniczyną
Rok drugi	Groch	Ozimina z koniczyną	Ozimina	Ugór koniczynny	Jarzyna i kartofle	Koniczyna
Rok trzeci	Ozimina z koniczyną	Koniczyna	Jarzyna i kartofle	Ozimina	Groch	Ugór koniczynny
Rok czwarty	Koniczyna	Ugór koniczynny	Groch	Jarzyna i kartofle	Ozimina z koniczyną	Ozimina
Rok piąty	Ugór koniczynny	Ozimina	Ozimina z koniczyną	Groch	Koniczyna	Jarzyna i kartofle
Rok szósty	Ozimina	Jarzyna i kartofle	Koniczyna	Ozimina z koniczyną	Ugór koniczynny	Groch
W roku siódmym siać jak w pierwszym	Jarzyna i kartofle	Groch	Ugór koniczynny	Koniczyna	Ozimina	Ozimina z koniczyną

W krajach, gdzie ziemi mało, a ludności i pieniędzy wiele, nikt nie pyta: czy to jest ogrodowa ziemia pszenna, żytnia albo owsiana? — bo każdy tak ją sobie przerobi i doprawi, jak mu potrzeba. U nas to być jeszcze nie może, więc płodozmian ziemię zasilający, tem jest konieczniejszy.

KWIECIEŃ ma dni 30.

Dni	święta rzymskie	święta ruskie
1 Poniedz.	**Wielki** Hugona Biskupa	20 Prepod. Otec. w Ob.
2 Wtorek	Franciszka z Pauli Wyz.	21 Jakowa Prepod.
3 Środa	Rycharda Biskupa Wyz.	22 Wasyłya Jepisk.
4 Czwart.	Izydora Biskupa Wyz.	23 Nykona Prepod.
5 Piątek	Wincentego Ferer. Wyz.	24 Zacharya Prepod.
6 Sobota	Celestyna Papieża	25 **Błahowiszcze**
7 Niedziel.	**1 Przewodnia** Epifani.	26 **N 4 Postu** Sobor H.
8 Poniedz.	**Zwiastow. NMP.** Dyo.	27 Matrony Mucz.
9 Wtorek	Maryi Egipc. Pokutnicy	28 Iłariona Prepod.
10 Środa	Ezechiela Proroka	29 Marka Prepod.
11 Czwart.	Leona Papieża	30 Joanna Łystwycz.
12 Piątek	Juliusza Papieża	31 Ipatya Jepisk.
13 Sobota	Justyna Męcz.	1 *Kwiecień* Maryi Jehyp.
14 Niedziel.	**2 Grobu Jezusa** Waler.	2 **N 5 Postu** Tyta P.
15 Poniedz.	Ludwiny i Kasyldy PP.	3 Nykyty Prepod.
16 Wtorek	Lamberta Męcz.	4 Josypa Prepod.
17 Środa	Rudolfa Biskupa Męcz.	5 Fteodota Mucz.
18 Czwart.	Apoloniusza Męcz.	6 Jewtychia Jepisk.
19 Piątek	Antonii Panny i Wernera M.	7 Heorhia Prepod.
20 Sobota	Agnieszki Policyanki Panny	8 Irydiona Apost.
21 Niedziel.	**3 Opieki S. Józ.** Anselma	9 **N 6 Postu** Jewpsy.
22 Poniedz.	Sotera i Kaja MM.	10 Terentia Mucz.
23 Wtorek	Wojciecha Arcybisk. Męcz.	11 Autypy Jepisk.
24 Środa	Jerzego Męcz.	12 Czetwer. Wełyk. Was.
25 Czwart.	Marka Ewangielisty	13 **Piatok Welyk**
26 Piątek	Kleta i Marcella B. MM.	14 Subota Weł. Mart. P.
27 Sobota	Anastazego Pap. i Teofia B.	15 Arystarcha Apost.
28 Niedziel.	**4 po Wielk.** Witalisa M.	16 **N Woskres** Ahapii
29 Poniedz.	Piotra Męcz.	17 **Pon. Switły** Symeo.
30 Wtorek	Katarzyny S. Panny	18 **Wto. Switły**

Zmiany księżyca (w kwietniu).

Ostatnia kwadra d. 1 o g. 4 m. 5 wieczór. Nów d. 8. o g. 2 min. 5 rano. Pierwsza kwadra d. 15 o g. 11 m. 45 wieczór. Pełnia d. 23 o g. 3. m. wieczór; ostatnia kwadra 30. o g. 9 m. 54.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 talar 15 sr. gr., półrocznie 23 srgr., kwartalnie 12 srgr.

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 8. 10. Marca 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wiece.

Człowiek rozumny, pierwej nim coś zrobi, zawsze poradzi się innych. Dobry gospodarz poradzi się i żony swojej, i starszych swoich dzieci, bo zawsze rada nie zaszkodzi, a dwie głowy, to nie jedna.

Jeżeli trzeba, aby wieś cała albo gromada coś zrobiła dla siebie, to muszą naprzód zebrać się ludzie stateczni i naradzić się pomiędzy sobą, jak to byłoby lepiej i korzystniej zrobić. Takie zgromadzenie się ludu na naradę nazywa się po staropolsku wiecem.

Za bardzo dawnych czasów w Polsce wiece odbywały się często. Lud kmiecy, jeszcze wolny, lubił zgromadzać się i rozprawiać o wszystkich swoich sprawach. Były te wiece mniejsze i większe. Zbierali się kmiecie na naradę z jednej wsi albo z kilku wsi sąsiednich, albo nawet z całej okolicy. Czasami nawet i król przyjeżdżał na taki wiec.

Ale później ci, co z królem jeździli i wojowali, ludzie rycerscy, inaczej szlachta, sami zaczęli o wszystkiem radzić, a kmieciom powiedzieli: niech was głowa o nic nie boli, my

za siebie i za was radzić będziemy, a wy pilnujcie tylko, aby nam chleba nie brakło.

I kmiecie na własną biedę przystali na to. Schlachta, co uradziła, to uradziła tylko na własną korzyść i porobiła z kmieci chłopów dla siebie.

A kto temu winiem? — Jużci sami kmiecie. Bo gdyby byli mądrzy i powiedzieli szlachcie od samego początku: i my przecież mamy głowy, a w głowach rozum, dlaczegoż więc nie mamy radzić ze wszystkimi? — nie byliby dopuścili iż porobiono z nich chłopów.

Dzisiaj zmieniły się czasy: niewola nauczyła nas rozumu. Zrozumieliśmy, iż mocno trzeba trzymać się razem, aby obronić się od wrogów naszych i odebrać napowrót to, co nam zdradą i gwałtem wydarli.

Najlepiej zrozumieli to nasi bracia, co to Prusak zabrał ich pod siebie. Tam też największe niebezpieczeństwo grozi naszym braciom. Niemcy wydzierają im wiarę, język i ojcowiznę, starych ludzi puszczają z torbami po świecie, a dzieci przerabiają po swojemu, ażeby później wyśmiewały swoich ojców i swoje matki.

Kiedy posłowie nasi z zaboru pruskiego upominali się w przeszłym roku na sejmie niemieckim w Berlinie o krzywdy, jakie wyrządzają naszemu narodowi, wyśmiali ich Niemcy, a kanclerz pruski Bismark powiedział: „To wy szlachta tylko taka niespokojna, wy tylko krzyczycie, że wam nie dobrze, a chłopi milczą, toć znaczy, że im wszystko jedno, czy mają być przy polskim, czy też przy niemieckim języku. W tym roku Bismark to samo powtórzył, ale nie miał prawa już tak mówić: od przeszłego roku włościanie i mieszczanie zaczęli się głośno dopominać, ażeby Niemcy nie wydzierali im mowy, którą mają nie z łaski jakiegoś kanclerza lub króla, ale z woli najwyższej samego Boga.

Tegoroczne słowa Bismarka mocno zagniewały naród wielkopolski. I zaczął on zbierać się na wiece, i radzić, i dopominać się u króla o prawa swoje. Co tydzień w dwóch, w trzech miejscach odbywa się wiec. Aż miło czytać, jak naród się rozruszał. Nasi zaczęli nabierać otuchy, a Niemcom

co nas nie mieli za Boże stworzenie, łydki ze strachu drżeć poczęły.

Nie będę wam opowiadał o wszystkich wiecach, bo to dużoby bardzo czasu zajęło, ale opowiem wam tylko trochę o wiecu, jaki się odbył w Ostrzeszowie, małem miasteczku. Zwołał ten wiec piekarz z Ostrzeszowa, Urbański, na środę przed Wielkanocą, która przypadała 27. marca, na godzinę czwartą po południu. Trzebaż takiego nieszczęścia, że we środę śnieg zaczął padać i wiatr zimny począł ludziom dokuczać. Nie przeszkodziło to wszakże mieszczanom i gospodarzom wiejskim i w ogromnej liczbie zebrali się na wiec. Wszystkiemi drogami spieszył do miasteczka naród, jakby na odpust jaki. Szły gromady piesze, jechały wozy żniwne, pełne ludzi. Na wiecu nie było ani szlachty, ani księży, byli tylko sami mieszczanie i sami włościanie. Byli tu mieszczanie w rogatych czapkach z Ostrzeszowa, Mikstatu, Grabowa, Kobylej góry, byli wiarusy w chłopskich kamizelach z Olszyny, Bukownicy, Siedlikowa, Meszyn, Rojowa i innych wsi. Zebrali się wszyscy w piekarni Urbańskiego, ale w izbie zmieścić się nie mogli, więc wielu stało w sieniach, a wielu musiało pozostać na dworze.

Przemówił pierwszy piekarz Urbański, i zachęcał do porządku przy naradzaniu się. Później mówił Franciszek Degurski, przedstawiając, jaką to wielką krzywdę sprawia zaprowadzenie języka niemieckiego w szkołach. — „Dziecko nasze, mówił Degurski, idzie do szkoły, a tam Niemiec nauczyciel uczy go po niemiecku. Czyż dziecko takie może się czego nauczyć? Oczywista, że nie. Majętniejsi mogą za pieniądze trzymać nauczyciela w domu, a my ubodzy, niczego się nie nauczymy i nic też znaczyć w świecie nie będziemy, bo dziś tylko nauka popłaca. I takiego głupiego oszuka lada żyd, lada Niemiec. My nie chcemy być głupimi, niech o tem wie dobrze książę Bismark. Krzywdzi nas, kiedy powiada, iż to nas szlachta buntuje. Czyż my jesteśmy już tacy głupi, że nie zrozumiemy krzywdy własnej?! — Na to inni zakrzyknęli: Oj rozumiemy my dobrze! — A włościanin Adamski z Olszyny tak przemówił: „Kiedyśmy się dowiedzieli, o co tu chodzi,

toć też każdy podpisze podanie do rządu o zaprowadzenie polskiego języka, bo my wszyscy chcemy, by dzieci nasze po polsku się uczyły. Niech tam sobie każdy gada, jak mu się podoba, Niemiec po niemiecku, żyd po żydowsku, a my po polsku.“ Włościanin zaś Franc z Rojewa wniósł, aby napisać list do posłów naszych w Berlinie z podziękowaniem, iż dobrze i prawdę mówili, a Niemcom nie dawali się zastraszyć. I zaraz też napisali list do Bismarka, iż chcą, aby w szkołach po polsku uczono, — do posłów napisali, iż wszyscy im dziękują za dobre i odważne upominanie się o język polski, — i listy te wszyscy podpisali, bo wielkopolscy włościanie umieją wszyscy pisać.

Po skończonym wiecu jeden drugiego zaprosił na miodek, i długo jeszcze w miasteczku rozprawiali ludziska o tem, co każdego boli, powtarzając często: „kochajmy się i niedajmy się!“

Otóż i namby czas pójść za przykładem braci Wielkopolan. Nam wprawdzie wolno uczyć się w tym języku, jaki nam Bóg przeznaczył. Ale mamy mało szkół, nauczyciele nasi bez chleba, nie mamy za co kupić książek. I też po wsiach naszych lud ciemny: krzywdzi go każdy oszust, obałamuca go każdy szalbierz. I zawsze drzeć nas będą jak łyko, a oszukiwać jak baranów, dopóki nie nabierzemy rozumu Trzeba więc temu zaradzić. Teraz wszyscy u nas w całej Galicyi myślą o podniesieniu naszej ludowej oświaty i zbierają na ten cel pieniądze. Mieliżby tylko włościanie nie pomyśleć o własnym swoim pożytku?! Nie bracia, tak niepowinno być! Idźmy w ślad za naszymi braćmi Wielkopolanami i Szlązakami, zwołujmy wiece, radźmy, zbierajmy pieniądze, — a jeżeli każdy z nas da jednego tylko centa, to od pięciu milionów zbierzemy pięćdziesiąt tysięcy guldenów. Więc wezwawszy imienia Boskiego, zaczynajmy. *)

Wasz brat *Łotysz, Janko Płakań.*

---

*) W każdym powiecie, jak to już raz pisaliśmy, znajdują się ludzie, co mają prawo zbierać podobne składki, w kościołach będą puszki, do których pieniądze na ten cel wrzucać można. (P. r.)

ZBRODNIA I KARA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(ciąg dalszy)

Pamiętają dobrze ludzie wojnę z Prusakiem przed sześciu laty.

Okropna to była wojna i siła ludu naszego tam wyginęło, — bo Prusacy dobrze strzelać umieli i zawsze tak obsaczali Austryaków, że nie wiele ich cało ujść mogło.

Toż ciekawość była po naszych wioskach, kiedy powrócił do zagrody rodzinnej chłopak jaki i rozpowiadać zaczął o tej strasznej wojnie, co tyle dzieci polskich rodzicom wydarła.

Do wioski, gdzie mieszkali Worosze, z zimą po wojnie wróciło kilku żołnierzy Przodował im Jan Pawlik, chłopak dorodny i śmiały, a w rozpowiadaniu nikt mu nie dostał. Całą gromadę umiał zabawić, kiedy zaczął opisywać, co to on widział i jakie to on rzeczy wielkie robił.

Jan był synem ubogiego gospodarza i nie był jedynakiem. Miał starszego brata i siostry.

Ojciec wcześnie go odumarł, a Jan nie wiele dostał w spuściźnie.

Nie bał się jednak biedy, — bo był chłopakiem przemyślnym i odważnym.

— Po co ja mam tu siedzieć we wsi — mówił sobie Pawlik. — Tutaj niczego się nie dorobię. Ot, lepiej pójdę do miasta i przyuczę się się jakiego rzemiosła, i będę sobie panem, a nie sługą cudzym.

Jak powiedział, tak też zrobił. Miasto niedaleko — więc zaraz wybrał się w drogę. Przez znajomych dostał się do szewca, człowieka porządnego i pracowitego, Łatwy miał początek i wnet się nauczył, jakto szyć buty.

Kilka lat minęło; w mieście nie źle mu się przez ten czas wiodło.

Ale wkrótce zmieniły się rzeczy. Jan dostał się w złe

towarzystwa hulaków i próżniaków, i jak to to mowią „z jakim się wdawał, takim się stawał.“

Zasmakowało mu życie próżniacze i zabawy nocne i zapomniał o pracy i pilności dawnej. Nauczył się grać w karty i w rozmaite inne gry, a że nie był głupim, więc i w grze wiodło mu się i nie jeden raz ograł dobrze tych, którzy go grać nauczyli.

— Nie lepiej to żyć sobie tak wesoło i łatwym sposobem zarabiać pieniądze, niż siedzieć tam za stołkiem i męczyć się szydłem i dratwą.

Tak rozumował Pawlik i brnął dalej w rozpuście i grzechu.

Gdy wojna wybuchła, Jan przystał do wojska. Bo i tu mu się podobało. Nie dbał o to, czy go tam kto pochwali albo zgani, byle mieć co zjeść i w co się przyodziać, a pohulać trochę, wtedy Jan był już szczęśliwym i nie pytał o nic więcej.

Nie bił się też tak jak inni.

— Głupibym był — rozumował Pawlik — pchać się naprzód, gdzie kule świszczą. Niech tam inni się biją. Ja wolę żyć i używać.

Toż nie dziw, że Pawlik cało wrócił z wojny.

Rozpowiadał dziwy całemi dniami, a ludzie go słuchali i kiwali głowami, kiedy się chwalił i pysznił.

W niedzielę zaszedł też czasem do karczmy i Michał z Kachną i przysłuchiwali się oboje temu, co wojak opowiadał.

Kachna szczególnie była ciekawą, bo Janek umiał ładnie gadać, a był jej krewnym dalekim i od dziecka znali się dobrze.

— Straszne to rzeczy działy się na tej wojnie — mówił Jan. — Raz napadli nas Prusacy w nocy, i jak zaczęli strzelać i rąbać szablami, to aż iskry leciały, a ludzie padali jak muchy. Byliby całą kompanię wymordowali, żebym się nie był zerwał i nuż na Prusaków. Kiedym ci machnął szablą kilka razy, to zaraz trzech Prusaków trupem koło mnie leży. I tak się przestraszyli, że dalej w nogi — a ja za nimi, i dalej rąbię i siekam.

Tak mówił Jan, a Kasia go podziwiała, że takie wielkie rzeczy dokazywał.

Pawlik także inaczej umiał się chwalić.

— Kompania nasza — mówił — stała kwaterą w górach na granicy. Ze wszystkich stron obsaczyli nas Prusacy. I ani rusz się wydobyć, ani chleba zkąd dostać. Przez całe cztery dni nic my nie jedli — aż człowiek osłabł z głodu i pragnienia. A tu Prusacy jeszcze wciąż nas niepokoją i spać nie dadzą, ani odpocząć. Było też tam biedy nie mało.

Tu Kasi aż łzy w oczach stawały, tak się litowała nad biednym Pawlikiem.

Janowi Kasia bardzo jakoś do serca przypadła, bo najwięcej się do niej przysiadał i dla niej zawsze najładniejsze miał historye do opowiadania. I nie dziw. Kasia była i ładna i bogata, a Jan chudzina i próżniak, patrzył tylko, gdzieby się pożywić łatwym sposobem.

Kasia znów miała dobre serce, i litowała się nad biednym krewniakiem. Często go zapraszała do siebie i uczęstowała go zawsze gościnnie.

Jan korzystał z tego i umiał Kasię tak zająć sobą, że poczciwa kobieta już zapominać zaczęła o męźu i dzieciach, a tylko zawsze i wszędzie była z Pawlikiem.

— Kasiu — żalił się Michał — coś ty za nadto przestajesz z Pawlikiem. To nicpoń i próżniak. On nie wart twojej litości. Zawróci ci głowę i zapomnisz o męźu i dzieciach.

— Nie gderałbyś mi nad uszami — odparła Kasia — już ja wiem co robię. Ty patrzaj swego, a do moich rzeczy nie wtykaj nosa.

Pierwszy to raz Katarzyna tak odpowiadała Michałowi na jego żale. Widać, że nie była ona już tą Kasią, co dawniej. Robak zepsucia wkradł się już do jej serca.

Michał zawsze spokojny, nie chciał swarzyć się z żoną i ustąpił. Biedny, nie przeczuwał nawet, jak wiele złego sobie i Kachnie wyrządził, pozwalając robić, co się jej spodoba.

Katarzyna odkąd się z mężem pogniewała, szła już z zawiązanemi oczyma ku przepaści.

Litość jej i przychylność dla Pawlika zamieniły się wkrótce w namiętną miłość. Nie umiała się oprzeć natarczywym prośbom i zaklęciom Jana i dała się uwieść jego słówkom pochlebnym.

Za złamaniem wiary małżeńskiej poszły inne zdrożności. Próżniactwo i hulatyka Jana znęciły i Katarzynę. Dzieci, zapomniane i zaniedbane, zostały na opiece Boskiej. O gospodarstwie ani myślała Kasia, a cały dzień siedziała w karczmie i marnotrawiła pieniądz i zdrowie, i imię nczciwej kobiety.

Widział to Michał i bolało go serce nad upadkiem kobiety, którą ciągle jeszcze kochał tak gorąco jak dawniej.

Biadał nad sobą i dziećmi, ale rady znaleść nie umiał. Bieda zaczęła doskwierać. Chleba już w domu nie było.

Wieczór był pogodny, a Michał siedział przed chatą i dumał jak przed kilku laty, kiedy to dopiero zaczynał żyć szczęściem i miłością.

Dumanie jego przerwał ochrypły głos kobiety, co się zbliżała ku domostwu.

— To ty Kasiu? — zagadnął Michał. — Cały dzień ani cię ujrzeć w domu. Zawsze hulasz i bawisz się, a o swoich ani pomyślisz.

— A cóż to?... znowu mię będziesz turbować zawołała Kasia. — Mało to ja się napracowała, żebym nie mogła pobawić się czasem.

— Alboż ja ci bronił kiedy bawić się Kasiuniu? Nie pamiętasz, jak my to dawniej żyli ze sobą? Cały dzień przy robocie, a wieczorem tyś tak ładnie czytała z tej książki, co ci ją dała nasza pani, albo jak przyszedł który sąsiad, toś rozpowiadała różne historye, a my przysłuchiwali się, i jakoś nam dobrze się działo. Było i wesoło i dostatnio w domu A teraz!....

— A teraz co? Pracuj kiedy chcesz, ja się będę bawiła. Czy to mało mamy, żebyśmy się biedy bali. Teraz to źle, ale będzie lepiej Tylko zapożycz się gdzie, bo mi dziś trzeba pieniędzy, albo nie, to zastawię co z domu. Ale za to jak jak wygramy na loteryi!....

— Na masz, babo! — zawołał Michał już rozgniewany. —

Ta loterya takie nie mało pieniędzy zabrała, a zniej co? Tylko zgryzota, jak nie wygrasz i zgorszenie dla drugich.

Michał chciał dalej mówić, chciał wszystkie swoje żale wypowiedzizć przed żoną, ale Kasi już nie było. Zabrała ostatnią chustkę z domu i pobiegła za Pawlikiem.

(Dokoń. nastąpi.)

Taras Szewczenko.

Na obrazku widzicie poetę ukraińskiego, Tarasa Szewczeńkę. Życie swoje opisuje on w części sam takiemi słowami:

„Jestem syn chłopa Grzegorza Szewczenki. Urodziłem się d. 25 lutego 1814 r. we wsi Kiryłówce. Straciwszy w ośmiu leciech ojca i matkę, znalazłem się w szkole u diaka parafialnego, jako żak-popychadło. Pod koniec szkoły takiej, diaczek wyręczał się mną skoro wypadło czytać Psałterz po po duszach zmarłych, i raczył mi płacić za to dziesiąty grosz jako zachętę. Pomoc ta pozwalała srogiemu nauczycielowi mojemu oddawać się więcej niż kiedy ulubionej butelce tak, że wracając, zastawałem ich zawsze śmiertelnie pijanych. Diak mój obchodził się okrutnie nietylko ze mną, lecz i z innymi żakami, i wszyscyśmy go nienawidzili serdecznie. Zastałem go raz pijanego bez czucia, i o ile wystarczyło mi sił dziecinnych, odemściłem mu za okrucieństwa doznane, i w nocy uciekłem do miasteczka Łysianki.

„W Łysiance wynalazłem nowego nauczyciela malarza dyakona. W przeciągu trzech dni najpotulniej dźwigałem pod górę wodę wiadrami z rzeki Tykicza i rozcierałem na blasze farbę miedzianą. Na czwarty dzień, uciekłem do wsi Tarasówki. Diak powiedział, że jestem do niczego, nawet do szewstwa i kołodziejstwa niezdolny.

„Pan mój, który w tym samym czasie odziedziczył majętność ojcowską, zapotrzebował roztropnego chłopaka, i ja włóczęga odziany zostałem w kurtkę i szarawary.

„Razu jednego, w czasie pobytu w Wilnie, d. 6 gru-

dnia 1829 r., państwo moi wyjechali na bal. Cały dom uspokoił się, zasnął. Rysowałem. Za to, rozkazano furmanowi Sidorce osmagać mię należycie.

„W 1832 r. skończyło mi się lat 18. oddali mię na cztéry lata do cechowego mistrza rozmaitych dzieł malowniczych niejakiego Szyrajewa w Petersburgu.

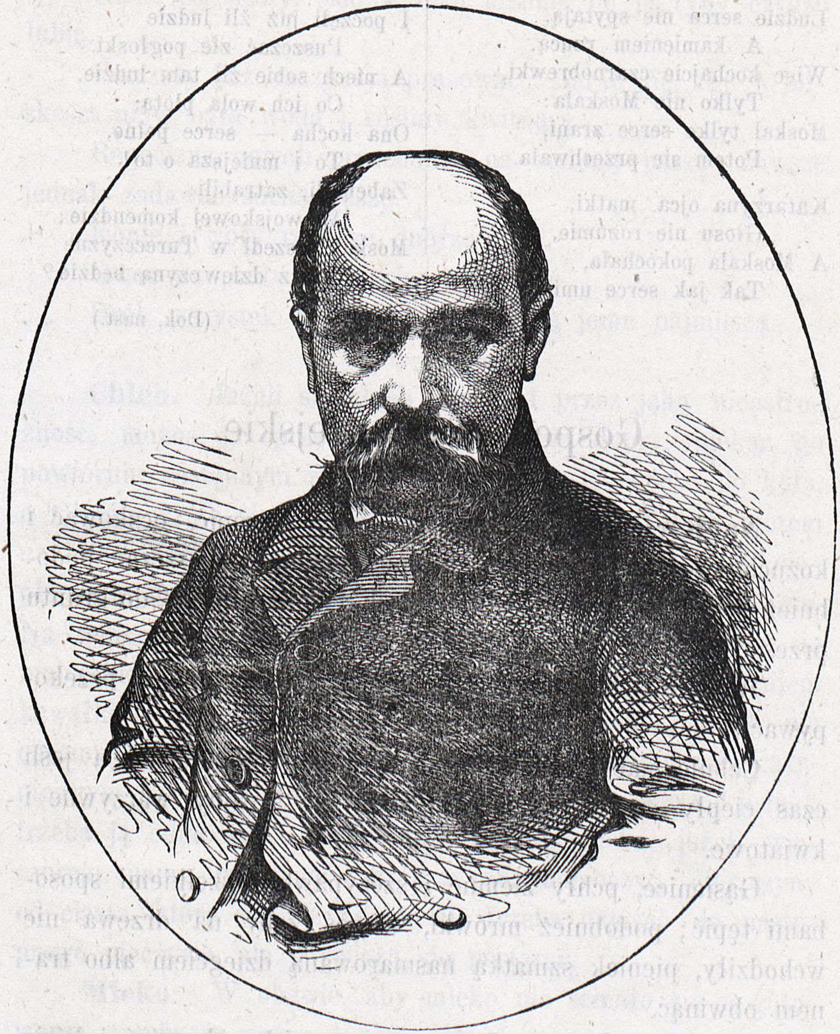
„W 1837 r. Soszenko zaprezentował mię sekretarzowi Akademii sztuk pięknych W. I. Hrehorowiczowi.

„Odtąd zacząłem odwiedzać Akademię.“

Tak gnany losem z kąta w kąt, wśród biedy i nędzy, doszedł nareszcie Szewczenko do kresu swoich życzeń. Nie zapomniał jednak nigdy o swojem pochodzeniu, o swoich rodzicach, o nizkiej chatce ukraińskiej, i o braciach, a za braci uważał cały lud ukraiński i dla niego się też poświęcił. Pisał piosnki dla ludu, aby w nim wzbudzić uczucie godności, aby mu pokazać, jak niegodnie, jak srodze uciskają go Moskale. Ciągle upominał, iż nie potrzeba wierzyć Moskalom, bo to źli i przewrotni ludzie. Nie dziw, że rząd moskiewski srogim zapałał gniewem. Car moskiewski skazał na srogą karę do pułków orenburskich. Porwali go w sołdaty i uwieźli między rozbójników i zbrodniarzy, aby wraz z nimi pracował. Nie pozwolili mu ani pióra, ani ołówka mieć przy sobie. I za cóż to tak strasznie ukarali go Moskale? Oto najprzód za to, że ludowi ukraińskiemu wykazywał w pieśniach nadużycia i zbrodnie Moskali, a przedewszystkiem, że pisał taką mową, jaką lud na Ukrainie mówi. Moskale od dawna chcieli, aby nikt nawet nie wiedział, że Ukraińcy inaczej mówią, że są innym narodem od Moskali, że niesprawiedliwie przywłaszczyli sobie tak obszerny kraj. A przecież miliony ludu ukraińskiego mówią inną mową, nie rozumieją mowy moskiewskiej, jak i my jej nie rozumiemy, nie chcą się przyznawać, że są Moskalami, choć ich gwałtem carski rząd do tego przymusza. Ale to lud ciemny i nie wiele na niego zważali Moskale. Kiedy jednak Szewczenko począł pisać ukraińską mową, kiedy zaczął powiadać, że Ukrainiec a Moskal, to zupełnie co innego, kiedy pieśni jego po całej rozchodziły się Ukrainie, wtedy postanowili zemścić się nad biednym poetą, i oddali go między

zbrodniarzy. Ale pieśni jego już się rozeszły wszędzie i lud przyjął je z wielkim zapałem.

Szewczenko umarł w Petersburgu w roku 1860, a pochowano go około Kaniowa na Ukrainie.



Taras Szewczenko.

Z licznych jego piosnek i powieści przytaczamy tu jedną w skróceniu, z napisem:

Katarzyna.

Ej! kochajcie, czarnobrewki:
Ale nie Moskala:
Moskal tylko serca zrani,
Dusze porozżala.

Swem kochaniem, czy udaniem,
Pożartuje srogo,
Pójdzie w swoją Moskiewszczyznę,
A ty giń, niebogo!

Niby jeszcze, gdyby sama
Skamieniała głazem,
A to nieraz stara matka,
Musi ginąć razem.
Nieraz, nieraz, serce pęka,
Choć się pieśni nucą;
Ludzie serca nie spytają,
A kamieniem rzucą.
Więc kochajcie czarnobrewki,
Tylko nie Moskala:
Moskal tylko serce zrani,
Potem się przechwala.

Katarzyna ojca, matki,
Głosu nie rozumie,
A Moskala pokochała,
Tak jak serce umie;
Ot, bywało, matka woła:
„Córko! na wieczerzę!“
Ona syta ze swym lubym,
Ani sen ją bierze.
I ta miłość jawną była
W oczach całej wioski,
I poczęli już źli ludzie
Puszczać złe pogłoski.
A niech sobie źli tam ludzie,
Co ich wola plotą;
Ona kocha — serce pełne,
To i mniejsza o to!
Zabębnili, zatrąbili
W wojskowej komendzie;
Moskal poszedł w Turecczyznę
Cóż z dziewczyną będzie?

(Dok. nast.)

Gospodarstwo wiejskie.

Na Kwiecień. Drzewa owocowe szczepić, oczkować i kożuchować; stare z mchu gąsienic i wilków oczyszczać, podobnież wszelkie krzewy; młode, jeśli ciepło, puściło do gruntu przesadzać.

W ogrodach warzywnych grzędy, o ile można, przekopywać.

Cebulę siać i sadzić; zasianą deską przyklepać; a jeśli czas ciepły siać i sadzić wszystkie już rośliny warzywne i kwiatowe.

Gąsienice, pchły ziemne i szczypawki wszelkiemi sposobami tępić; podobnież mrówki, a zaś żeby na drzewa nie wchodziły, pieniek szmatką nasmarowaną dziegciem albo tranem obwinąć.

Kwiaty w doniczkach przez gęste sitko skrapiać i liście oczyszczać.

Wysadki w grunt sadzić i podlewać.

Zasiewy polne szybko już prowadzić; również sadzenie kartofli; wcześnie sadzone zawsze są najlepsze, i rzadko podlegają zarazie.

Konopie i trawę siać.

Grunt pod tatarkę uprawiać.

Łąki bezustannie nawodniać i zalewać.

Zagajniki wiechami zatknąć.

Z ogniem w lesie ostrożnie się obchodzić.

Gdzie są stawy, siać w nich mannę, bo ją ryby bardzo lubią.

Pszczoły już zaczynają pracować; starać się, aby w bliskości ulów była woda i rośliny kwitnące.

Rogacizna powoli przechodzi na zieloną paszę; zawsze jednak zadawać suchą paszę.

Konie i woły robocze dobrze paść.

Owce na pastwiska suche wypędzać.

Drób wszystek dobrze karmić paszą jemu najmilszą.

Chleb. Jeżeli się chleb nie udał przez jaką nieostrożność, można go przerobić na zupełnie dobry, piekąc go powtórnie następnym sposobem: obrzyna się skórka do koła, a miękisz kraje się na kawałki, nie tykając zakalca, potem na kilka godzin przed zakiszeniem zalewa się wodą tak ciepłą, jak do samego zakiszenia, a nakrywszy, zostawia się. Na zakiszenie zaś ciasta, do którego te kawałki przydać się mają, bierze się nieco mniej rozczyny i przed zakiszeniem kawałki te rozgniata się drobno. Skórka chleba, jeżeli nie chcemy jej przydać do czeladniego chleba, który od niej czarniejszym się robi, może się skarmić ptactwem, wprzód jednak trzeba ją odmoczyć. Chcąc użyć jej do chleba, jeżeli wieczorem mamy rozczynać, zaraz z rana namoczyć. Rozczyny od ciasta, które się nie udało, nie trzeba używać do następnego pieczywa, ale o świeżą się postarać.

Mleko. W obawie, aby mleko nie ścinało się w gotowaniu, trzeba je naprzód ubić dobrze, potem wsypać miałko tłuczonego cukru i gotować. Po ugotowaniu trzeba je znowu dobrze rozbić. Tym sposobem zatrzymuje dłużej słodycz i ścinać się nie będzie.

Masło. Chcąc długo utrzymać masło w dobroci, bierze się dwie części dobrej, kuchennej soli, jedną część cukru, jedną część saletry, mięszają się razem, i z tej mięszaniny

bierze się dwa łuty na każdy funt masła, ugniata się z niem mocno i zachowuje do użycia. Tak solone masło nabiera tłustej, szpikowatej własności i piękniejszego koloru, nigdy nie smakuje zbyt słono, ani się kruszy, a bardzo długo przechować się daje. Po trzech lub czterech dopiero tygodniach bierze się do użycia, a to, aby się sole dostatecznie rozpuściły i z masłem się zmięszały.

Chcąc masło zjełczałe naprawić, trzeba je rozpuścić nad wolnym żarem, i włożyć do niego skórkę chleba mocno uprażoną.

Sér. Żeby suchy sér dawał się łatwo krajać, trzeba sér świeży zwyczajnym sposobem zrobiony położyć na półce, i przykryć go płótnem gęstem, żeby powietrze do niego nie dochodziło, okien nie otwierać i izby nie opalać. Séry takie trzeba codzień przewracać na drugą stronę, aż pokryją się pleśnią i cuchnąć zaczną, co po dwóch albo trzech tygodniach nastąpi; wtenczas zdjąć płótno na tydzień lub dni dziesięć, by pleśń nieco zczerstwiała, i wymyć séry w serwatce tak gorącej, że w niej rękę zaledwie utrzymać można, odmieniając dwa lub trzy razy serwatkę gorącą, aż dopóki séry do czysta się nie wymyją. Poczem porozkładać séry na czystych półkach, wpuszczając już potrochę wolnego i świeżego powietrza, nie okrywać ich płótnem i koniecznie dwa razy dziennie przewracać. Gdy dobrze obeschną, chować je w życie suchem. Przed użyciem obmyć sér w dwóch albo trzech wodach gorących, i dać mu nieco obeschnąć.

Co się dzieje w świecie?

Dawno to już ponoś nie pisaliśmy wam, co tam w wielkim bożym świecie słychać: czy na coś lepszego się zanosi, czy też może nowe nieszczęścia nam grożą; czy żyją nasi przyjaciele; czy złość wrogów ustała.

Przyjaciele żyją co prawda, boć naszymi przyjaciółmi jedynie: Bóg i nasza głowa i ręce nasze. Pracujcie, uczcie i oświecajcie się, a będziecie ocaleni, powiada z dawien dawna pismo. Toć też w pracy, w oświacie, nauce, oszczędności i zgodzie nasze zbawienie. To są

nasi przyjaciele, nasi najlepsi doradzcy, a ci, jeźli sami nie chcemy, nie zginą i nie zwiodą nas nigdy.

Za to nieprzyjaciele, wrogowie nasi, wzmogli się i rozmnożyli:

Austryaccy Niemcy chcą nam odebrać miasto, co się nazywa Biała, a miasto to, jest na samej granicy Galicyi 8 mil od Krakowa. Odkąd świat światem, odkąd pisma podają i ludzie pamiętają, Biała należała do Polski i nikomu się nawet nie śniło, aby kiedykolwiek ktoś inny miał do niej prawo.

Naród nasz jednakowo od najdawniejszych czasów był miłołosierny, gościnny, pobożny. Kiedy w innych krajach inne ludy prześladowały, dręczyły, męczyły i wyganiały żydów, myśmy ich przyjęli, daliśmy im prawa ludzkie, pozwoliliśmy im gospodarować i zarabiać, jak się im podoba.

Tak samo z Niemcami. Gdzie jaki książę niemiecki obdzierał kupców, zabierał im towary, czatował na nich po drogach i rozbijał, tam krzyczeli Niemcy w niebogłosy, narzekali płakali, i uciekali z własnego kraju. I gdzież tu uciec, kiedy w dawnych czasach prawie wszyscy książęta i panowie niemieccy żyli z rabunku. Oto najlepiej, powiadali sobie, uciekać do Polski; tam naród pobożny, gościnny i uczciwy, nie rabuje, nie kradnie, jak u nas książęta. I przychodzili tysiącami z rodziną liczną i pustemi kieszeniami. A Polacy przyjmowali ich po swojemu, gościnnie i serdecznie, i nadawali im rozmaite swobody i prawa, co się zwało wtenczas przywilejem. Osiadali tedy Niemcy i po wsiach, i po miastach, i dobrze im się działo. Takimi to przybyszami zaludniła się i Biała. I siedzieli tam Niemcy przez długie lata, i dobrze im się wiodło, i dorobili się majątku wielkiego, ale nie postało im w głowie, aby polski kraj oddawać pod cudze panowanie.

Dopiero po ostatniej wojnie po całym świecie Niemcy zadzierają nosy w górę. Owi przybysze do Biały podali prośbę do Wiednia aby ich przyłączono do niemieckich krajów; przewróciło się im tak dalece w głowie, że powiadają, iż im Polacy nie zechcą pozwolić mówić po niemiecku. Co za przewrotność i głupota! To też Polacy z miasta Biały i z okolicy podali do Wiednia zaprzeczenie, że to wszystko fałsz i kłamstwo, i spodziewać się należy, że w Wiedniu Niemcom owym należytą dadzą odprawę.

Owszem nie Białę do Niemców, ale Szląsk do Galicyi przyłączyć potrzeba, bo to kraj od tysiąca lat polski, i naród mówi po polsku i chce się w tej mowie uczyć i modlić i rozmawiać, choć go gwałtem zmuszają do niemieckiego

W Czechach nie było dawniej ani jednego Niemca. Cały naród w tym kraju był czeski i mówił czeską mową. Kiedy jednak Czesi przegrali bitwę pod Białą górą, naszło do Czech tyle Niem-

ców, że ich wszędzie było pełno, a najwięcej po miastach. Dużo Czechów bogatszych przeszło na Niemców, i zdawało się przez dwieście lat, że naród czeski zaginął. Ale w chłopskich chatach utrzymywała się i mowa i obyczaj czeski. Kiedy nastała swoboda, wyszło ze stanu chłopskiego wielu mądrych i uczonych ludzi, wielu rzemieślników i kupców, i znów naród czeski obudził się, jakby ze snu długiego, i pokazało się, że w tym kraju jeszcze o wiele więcej Czechów niż Niemców. I Czesi poczęli upominać się o swoje prawa, o mowę swoją i reprezentacyę sejmową. Możeby już było przyszło do zgody, gdyby znów nie wojna. Kiedy Prusacy pobili Francuzów, to zdało się Niemcom czeskim, że i oni także wielkimi są bohatyrami, i dalejże na Czechów. Tak to — kiedy konie kują, to żaba nogę nadstawia. Więc też teraz po całym kraju przemocą, pieniądzmi, i rozmaitemi sztuczkami zmuszają naród, aby do sejmu wybierano Niemców. Boć kiedy sejm wybierany w Czechach, myślą sobie Niemcy, będzie złożony z samych Niemców, toć najlepszy dowód, że to kraj czysto niemiecki.

Prusacy zabrali przy podziale Polski ogromny obszar kraju naszego i zaraz też poczęli gospodarować po swojemu. Wykupowali grunta i od panów i od chłopów; i puszczali ich na żebry, zabrali na skarb owe ogromne dobra, jakie dawniej do króla polskiego należały i wszędzie osadzali Niemców. Teraz po tej ostatniej wojnie, powiadają, że wszystką szlachtę, księży i chłopów trzeba wytępić, trzeba ich przerobić na Niemców. Sprowadzają więc nauczycieli niemieckich, nakazują po niemiecku gadać i po niemiecku wierzyć. Ale Pan Bóg mocniejszy jak Prusacy, i mowy naszej i wiary naszej z pewnością nam nie odbiorą, bo to mamy od Boga.

Moskale po prostu rabują i niszczą kraj cały, i gwałtem nawracają na syzmę pogańską. Boć to pogańska jest wiara, gdzie car Bogiem się mianuje.

Choćby jednak stokroć większą była złość ich, naród polski nie zginie, a jak niegdyś srogie prześladowanie rzymskich cesarzy nie wytępiło chrześcijaństwa, tak i ów srogi ucisk nie wytępi narodu polskiego, owszem przy pracy i nauce, naród polski żyć będzie i tryumfować kiedyś nad nieprzyjaciołmi.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 Talar 15 sr. gr, półrocznie 23 sr. gr., kwartalnie 13 srgr.

Redaktor i wydaw. odpow. **Kazimierz Okaz.** — Z drukarni Karola Budweisera

Nr. 9. 20. Marca 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 zlr. rocznie, 1 zlr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gminie i urządzeniach gminnych.

Każdy gospodarz, zanim coś postanowi, naradzi się najprzód, jeżeli nie z kim obcym, to przynajmniej ze swoimi — to też i gromada, zanim coś zrobi, czy to pod względem majątku, czy porządku i bezpieczeństwa, musi się najpierw porozumieć i rozmyśleć. Doświadczenie jednak uczy, że zwykle daleko lepiej uradzi mniej głów tęgich, rozważnych i światłych, niż więcej, a słabych i niedoświadczonych. To też już od najdawniejszych czasów powierzali ludzie kierownictwo spraw swoich mniejszej liczbie ludzi, odznaczających się prawem sumieniem i jaśniejszym rozumem — to też i w gminie za naszych czasów istnieje rada gminna, która powinna składać się z najlepszych ludzi w gromadzie. O tej tedy radzie gminnej, o jej składzie i czynnościach, pomówimy w numerze dzisiejszym.

„Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi“, mówi stare przysłowie — ludzie żyjący w gminie, wiedzą o tem najlepiej, kto ma najczystsze sumienie, i kto ma najlepszą głowę; dlatego też stanowi ustawa, że radę gminną wybierają gospodarze w gminie zamieszkali, ponieważ ci najlepiej wiedzieć mogą, kto dobrze i sumiennie ich sprawami pokieruje.

Lecz nie wszyscy zamieszkali w gminie ludzie, mają prawo wybierać radę gminną. Prawo to posiadają tylko członkowie gminy, t. j. gospodarze w gminie osiedli, którzy przynajmniej od roku jakiś podatek, czy to, od gruntu lub domu, czy od rzemiosła, lub od innego majątku opłacają.

Oprócz tego mają prawo wyborcze w gminie duchowni, t. j. księża, rabini żydowscy, urzędnicy, adwokaci, notaryusze, profesorowie, chociaż żadnego podatku nie opłacają, a to dlatego, ponieważ ludzie ci, wiele czasu w życiu swem na naukach straciwszy, radą swą ludziom nieuczonym bardzo przydatni być mogą.

Wykluczeni są zatem od prawa wybierania ci, którzy w gminie tylko krótki czas przebywają — a to dlatego, ponieważ nie znając dobrze ludzi we wsi, nie mogą dobrze wiedzieć, kogo radnym obrać należy.

Oprócz tego wykluczeni są od prawa wybierania ci członkowie gminy, którzy wprawdzie opłacają podatek przepisany, ale którzy dopuścili się rozmaitych zbrodni, lub przestępstw kradzieży, oszustwa i przeniewierstwa. Przyczyna, dlaczego ustawa gminna nie pozwala, aby człowiek karany za zbrodnię, wybierał z uczciwymi gospodarzami, jest jasną. Kto do tego stopnia zapomina o swych obowiązkach względem innych ludzi, że kradzieżą, oszustwem lub może i rozbojem bezpieczeństwo publiczne zakłóca, po tym nie można się spodziewać, aby sumiennie i uczciwie wybierał radnych gminy, Chociaż uwolniony z kryminału, pozostaje zawsze pod piętnem pogardy, na którą sobie z własnej winy zasłużył.

Wyborcy, to jest ci mieszkańcy gminy, którzy mają prawo wybierania, dzielą się na 3, a w małych gminach na 2 koła wyborcze, a każde z tych kół wybiera 3cią część radnych. W pierwszym kole wybierają najzamożniejsi, w drugim i trzecim mniej zamożni.

Oprócz tych członków, których gmina wybrała, należą do rady gminnej w niektórych razach członkowie bez wyboru, mianowicie, jeżeli w gminie posiada kto tak wielką majętność ziemską, lub fabrykę, że opłaca jedną szóstą część podatków przez całą gromadę opłacanych, tedy należy on

i bez wyboru do rady gminnej, a to dlatego, ponieważ zwykle człowiek posiadający tak znaczny majątek, jakieś szkoły pokończył i z tej przyczyny niekiedy co dobrego poradzić może.

Rada gminna wybiera z pośród siebie naczelnika gminy, którego po wsiach wójtem a w miasteczkach i miastach burmistrzem zowią. Oprócz tego wybiera rada 2 asesorów, czyli przysiężnych, którzy mają dopomagać naczelnikowi w jego urzędzie.

Tak naczelnik i asesorowie, którzy nazywają się zwierzchnością gminną jako też i inni radni bywają wybierani na trzy lata.

Naczelnik gminy zwołuje najmniej raz na 3 miesiące radnych na posiedzenie, czyli na sesyę; każdy z radnych obowiązany jest stawić się na tej sesyi, ponieważ nie można zacząć narady, zanim więcej jak połowa się nie zgromadzi, na czem rozumie się sprawy gromadzkie bardzo cierpią. Dlatego też stanowi ustawa gminna, że jeżeli na jedno zebranie za mało radnych przyjdzie, natenczas naczelnik prawo ma opieszałych na karę pieniężną skazać i takową do gminnej kasy ściągnąć.

Zebrania rady gminnej powinny odbywać się bardzo porządnie i przyzwoicie — przepisuje zatem ustawa, że posiedzenia rady nie mają się odbywać w s z y n k a c h, c z y l i karczmach. U nas jednak dzieje się w bardzo wielu gminach wprost przeciwnie, na wielką niekorzyść gromad, które na tem bardzo cierpią. Szynk, karczma, są to miejsca przeznaczone dla zabawy, a zabawa i dobra rada nie zawsze chodzą w parze. Nie obejdzie się tam bez jednego lub drugiego kieliszka, nie obejdzie się bez ochoty, a czasem nawet bez kłótni i swaru tem więcej, że w karczmie najrozmaitsi się ludzie gromadzą, którzy radnym przeszkadzają. Ci tedy nie mogą swobodnie i rozważnie zastanawiać się nad sprawami, które im tak bardzo na sercu leżeć powinny.

O czem ma radzić rada gminna i jakie jest przeznaczenie wójta (burmistrza), o tem opowiemy na przyszły raz.

Mogiła Krakusa i Wandy.

Nasza cała ziemia wyglądała kiedyś całkiem inaczej jak dzisiaj. Gdzie nasze pola, tam wtenczas lasy szumiały. Po łasach dzikie zwierzęta, a było ich tak dużo, że nie potrzeba było orać, samo polowanie wyżywiłoby człowieka. Ludzie wtenczas silni i zdrowi mieli różne sposoby na zwierzęta. Siali jednak miejscami zboże i orali. Wody było dosyć, w wielu miejscach dziś już ani śladu, gdzie dawniej były jeziora na milę i więcej. Po wodach ryb co nie miara. Był i napitek, był miodek od pszczół, a w żadnym kraju nie było go tyle, jak u nas. Bogaty to kraj i wszystkiego podostatkiem, ale nas wrogi obdarli i wyniszczyli.

Ludzie żyli po wsiach, miast było mało. Kupcy przyjeżdżali z zagranicy i mieniali za nasze futra i skóry, za zboża i miody, drogie towary. A i po naukę do nas przyjeżdżali cudzoziemcy. Niemcy uczyli się od nas orać, bo nie umieli. Teraz my już i sami gorzej od nich gospodarujemy. Nie mamy ani takich ładnych domów, jak oni, ani takich koni, ani takich wozów, ani takich pługów, Niechno się nasze dzieci nauczą w szkole, to i nam będzie lepiej i my się z biedy podniesiemy, i my się zabudujemy i zamaimy sadami.

Długo żyli cicho nasi ziemianie w spokoju, wypasali bydło, mieli mleko, sér i masło, spokojnie miód wybierali po lasach i zboże zasiewali. Gdy gość przyjdzie z daleka, to dostanie chleba i soli, mleka i miodku, przez dzień wesoła gawędka, a w nocy wygodne posłanie. Ale obcy wojownicy zabierali i niszczyli wszystko.

Między naszymi znalazł się taki odważny człowiek, co złemu zaradził. Zebrał przy sobie odważnych mężów, dał im topory i łuki do strzelania, posadził na konie i z takiem wojskiem uwijał się po kraju. Bił napastników, uwalniał naszych wieśniaków zabranych do niewoli, gasił pożary, a zawsze zjawił się tam, gdzie nieprzyjaciel dokuczał. Ten odważny i dzielny obrońca uciśnionych nazywał, się Krakus.



Nasz naród wybrał go na króla. Zbudował Krakus miasto i nazwał je Krakowem. Jako król potrzebował także mieć miejsce jedno, gdzieby każdy mógł się do niego udać po radę i ratunek w nieszczęściu. Takiem miejscem był od czasów Krakusa Kraków nad Wisłą. Wojsko jego, to byli rolnicy, chłopi i mieszczanie; wychodzili oni bić nieprzyjaciół, a po wojnie każdy wracał do domu i pracował jak przedtem, aby nikomu nie być ciężarem. Krakus nietylko zasłaniał kraj, ale patrzył także, aby było dobrze w domu.

W kraju naszym była zgoda, a ludzie byli tacy uczciwi, że chociaż kto przy drodze na drzewie powiesił świtę, albo inną rzecz, to mogła wisieć do dnia sądnego i nikt jej nie ruszył.

W okolicach Krakowa rozciągały się ogromne, nieschodzone lasy. Jak się już powiedziało, okrutnie dużo w nich było zwierzyny: jelenie, tury, wilki, niedźwiedzie, dziki i różne mniejsze, na co się wtenczas nikt nie patrzył nawet. Razu jednego zjawiło się pod samym Krakowem jakieś nieznane zwierzę, straszne i ogromnie żarłoczne. Nazywano je smokiem. W jasny dzień dusił krowy, konie, owce, a nawet pożerał ludzi. Nie było przed nim obrony. Wychodzili nieraz na niego polować, ale nigdy z takiego polowania i połowa ludzi nie wróciła. Ani wyjść w pole, ani wypędzić bydła na paszę, ani wyjechać do lasu po paliwo. Kilka miesięcy trwało to nieszczęście. Nieraz i do miasta zapędza się za ludźmi. Przemyśliwał mądry Krakus, jakby zaradzić biedzie i wynalazł na to taki sposób. Zabił barana, kazał wyrzucić wnętrzności i wypchać go niegaszonem wapnem. Gdy to już było gotowe, wiedzieli wszyscy, że trzeba barana podrzucić smokowi. Ale kto to uczyni? Zbliżyć się do smoczej jamy bardzo niebezpiecznie, bo smok może wyskoczyć, a o ratunku ani myśleć. Krakus nie pytał nikogo, tylko wsiadł na konia i kazał sobie podać ścierwo.

Jedzie wolniej po pod jamę i słyszy, że smok się rusza i burczy. Wtenczas spiął konia i pędzi co koń wyskoczy. Smok za nim. Rzucił wreszcie barana, smok do ścierwa, i chciwie połknął. Tymczasem Krakus już daleko ujechał, smok gonił go jeszcze, ale nadaremnie. Szczęśliwie wyszedł Krakus. Smok skrył się w jamie, ale baran z wapnem sprawił mu pragnienie. Wyskoczył tedy i pije wodę z Wisły. Wapno było nie gaszone, a gdy z wodą się zmieszało, kipi i pali wnętrzności potwora. Smok pije wodę, bo go wapno pali, brzuch czem raz bardziej się wydyma, aż nareszcie, rozciąga się, już ustać nie może i brzuch mu pęka.

W mieście przed zamkiem czekali wszyscy, póki Krakus nie powrócił. Ucieszyli się mocno, kiedy im opowiedział,

jak wszystko zrobił. Nazajutrz rano ujrzeli rozciągniętego potwora i wywróconego nad rzeką. Ogromna radość, wszyscy się cisną do Krakusa, dziękują, całują bodaj koniec sukni królewskiej.

Smoczą jamę pokazują jeszcze dziś w Krakowie. Ścierwo zwierzęcia wrzucono do Wisły, do rzeki, co płynie dołem po pod zamek królewski.

Razu pewnego z rana, książę nie wyszedł o zwyczajnej porze. Pewnie zachorował mówili ludzie. Ale on nie zachorował, on spał już na wieki. Przyszli do jego pokoju — na łóżku leży ubrany starzec, spokojnie odpoczywa, jakby spał. Poszli po mieście i opowiadali o śmierci królewskiej, a wszyscy płakali jak za rodzonym ojcem. Położono zwłoki Krakusa do grobu, kapłani odprawili nabożeństwo nad umarłym. Potem zaczęli ludzie sypać grudki ziemi na grób. Każdy niósł garść ziemi, już była na grobie wysoka mogiła. Do dzisiejszego dnia stoi pod Krakowem mogiła Krakusa.

Po śmierci króla przysięgli wszyscy jego córce Wandzie wierność i posłuszeństwo. Wanda przysięgła narodowi rządzić sprawiedliwie i bronić go w złej i dobrej doli. Śliczna jasnowłosa, jakby z nieba aniołek. Oczka ciemne niebieskie, duże i spokojne cała postać jak święta z obrazka.

Swoi i obcy za granicą rozprawiali cuda o naszej Wandzie. Usłyszał o niej także Niemiec Rytyger. Jeszcze jej nie widział, a już mu się bardzo podobała i zachciał dostać ją za żonę. Rytyger panował nad Niemcami, był ich książęciem. Aby ujrzeć naszą przeczystą Wandę, wybrał się przebrany w stronę Krakowa. Z kupcami zajechał do miasta. Zamek królewski nie był tak ogromny i okazały jak za granicą bywały, gdzie królowie i książęta za ludzką krzywdę budują ogromne gmachy i noszą złote korony na głowie. U nas tego nie było, wtenczas dwór córki Krakusa tylko był większy od innych dworów w mieście, całkiem do tamtych podobny i budowany z takiego samego drzewa. Nasza królowa nie zasłaniała się murami, ale piersi ludzkie twardsze od stali były jej najsilniejszą a pewną obroną. Tego samego dnia, kiedy ów książę niemiecki przybył, miały się odbywać sądy. Na

rynku krakowskim, na wzniesionem miejscu, usiadła królowa, a z obu stron sędziowie. Pokrzywdzeni przychodzili, każdy swoję krzywdę opowiedział, królowa zapytywała sędziów, co oni o tej sprawie myślą, a potem wydawała wyrok. Co powiedziała, to było święte i sprawiedliwe, nikt z odchodzących nie mógł nic powiedzieć, każdy czuł, że nie ma krzywdy. Już słońce z południa schodziło, gdy się ukończyły sądy. Rytygier byłby zaraz posłał swatów do Wandy, ale był między obcymi kupcami, może by mu nie uwierzyli, że on książę i panuje nad Niemcami. Zaraz więc wrócił do swego kraju. Zakupił bogate podarunki i posłał to do naszej królowej z prośbą o rękę. Królowa zwołała radę i kazała posłom niemieckim teraz opowiedzieć, po co przybyli, bo ich przedtem nie słuchała. Posłowie odpowiedzieli, że przychodzą prosić naszą królową Wandę, aby przyjęła za męża ich Rytygiera. Przytem przechwalali się swojem bogactwem, chwalili księcia rozum i piękność i co tylko mogli powiedzieć, aby się wywyższyć nad nami, a naszej królowej dać poznać, jakie to szczęście dla niej, że się jakiemuś tam księciu niemieckiemu podobała. Gdy skończyli, obróciła się nasza Wanda do swojej rady i rzekła:

— Nie mam dziś ojca, coby moją ręką rządził i przeznaczył męża. Naród jest mi ojcem. Wy jako najrozumniejsi z narodu, zasiadacie w radzie, zastępujecie kraj cały. Powiedźcie, co o tem sądzicie, co ci posłowie niemieccy powiedzieli. Chciałabym tylko to czynić, co się zgadza z wolą narodu.

A rada odpowiedziała, że tu idzie o jej własną rękę, więc niech królowa postanowi, a naród się zgodzi.

Więc królowa wstała z tronu, jasna jak lilia, białą ręką potarła po gładkiem czole i zaczęła mówić. Czyste słowa wybiegają z czerwonych ustek: „Waszego książęcia nie znam, niemmieccy posłowie. Wierzę wam, co mówicie, że dzielny i bogaty, ale ręki mu mojej nie oddam. Naród niemiecki zawsze napada na nasze ziemie i jest naszym wrogiem. Jesteście daleko, radzibyście tu wszyscy na nas się zwalić i zabrać nam ziemię. Za domem odpędzimy napastni-

ków, ale gdybyśmy ich mieli w domu, toby się bez naszej krzywdy nie obeszło. Jedźcie do swego kraju spokojnie, a powiedźcie swemu panu, coście słyszeli“.

Posłowie niemieccy nizko się skłonili i wyszli spokojnie. Wrócili Niemcy do swego książęcia i opowiadają, jak się sprawili. Rozgniewał się hardy Niemiec i postanowił napaść na nasz kraj z wojskiem, aby zmusić królowę Wandę do małżeństwa. Wojsko niemieckie na rosłych koniach, chłop w chłopa, zdrowy, tęgi, silny.

Już od kilku dni zbierało się nasze wojsko w Krakowie, na wezwanie królowej. Wszystkiemi szlakami idą jakby na odpust, z każdej wioski, z każdej osady pospiesza, kto tylko silny i zdrowy. Na wroga — na wroga, nie na odpusty spieszą, nie ma kobiet tylko sami męzczyźni, po największej części młodzi, niosą topory i łuki i maczugi. Wtenczas jeszcze prochu ludzie nie znali, dlatego nie było ani strzelb, ani karabinów, ani armat. W Krakowie przed białym dworem stanęli, uszykowała ich starszyzna i prowadzi z miasta.

Przodem na białym koniu, jak na łabędziu, postępuje królowa Wanda. Ciemne, niebieskie, duże oko, pogląda łagodnie i miłosiernie, jak pogodne niebo. Śliczna jak obrazek święty. Kieruje koniem na most, za nią postępuje nasze wojsko. Niemcy ruszyli się naprzód, ale i Rytygier i jego wojsko zatrzymali znowu konie, taki urok padł na nich od tej jasnej przeczystej dziewicy. Wanda także zatrzymuje konia i zaczyna mówić:

— Niedawno żyję, a już przezemnie wróg wojnę na nasz kraj prowadzi. Nie ma ojca Krakusa, aby was mężów silnem ramieniem prowadził na nieprzyjaciół. My pójdziemy, wielu zginie, a nasza ziemia napije się krwi własnych synów, przez jednę kobietę, przezemnie. Wy mi wasze życie oddajecie, dlaczegożbym i ja wam swego oddać nie miała? Ja jedna mogę wam wszystkim ocalić życie. Za wroga mojej ojczyzny, za Niemca nie pójdę. Gdy mnie nie stanie będziecie mieli pokój.

Gdy domawiała tych słów, rzuciła się w wodę. Rzucili się swoi i wrogi na ratunek do głębiny, ale bystra woda

uniosła ciało panienki. Popłynęli rybacy z czółnami i daleko złapali utopioną. Zanieśli Wandę do białego dworu, budzili, ratowali, ale ona już na wieki oczka przymknęła, już zastygła na zawsze.



Mogiła Wandy pod Krakowem.

Nasza starszyzna smutne wojsko zatrzymała naprzeciw wrogów. Ale i wrogi się wzruszyli i nie mieli siły bić się z naszymi. Książę Rytygier nawraca konia, prowadzi swoich żołnierzy do domu.

Złożyli ją w ziemi na trzeci dzień — a ile narodu, tyle rąk sypie ziemię. Już dół zasypany, ludzie sypią na wierzch niosąc ziemię z blizka i z daleka, a usypują mogiłę. Już znaczny pagórek, a tu jeszcze nie każdy wysypał swoje. I nie długo urosła taka wysoka góra, jak nad ciałem Krakusa. Jak to widać na obrazku.

SWATY.

Daremnie dziewczyno za piecem się kryjesz,
Przyszły swaty,
Do twej chaty,
Z kubka się napijesz;
Napijesz się dziewczę, coć swaty przynoszą,
I matki i ojca o kieliszek proszą.
Proszą niedaremnie, kieliszka dostali,
Dobrze sobie wróżą — kieliszki nalali,
Przepili do siebie, kum się z kumem wita,
A swach się tymczasem o dziewczynę pyta,
Pyta o dziewczynę, co się za piec kryje,
Pełny kubek nalał i do Halki pije.

Swach.

W listeczki malina,
Za krewnych dziewczyna
Daremnie, daremnie, chowa się przed swachem,
Malinę zerwiemy,
Dziewczę namówiemy
Chorągiewkę zatkniem nad rodzica dachem!
Czemu się pić wzbraniasz,
Oczęta zasłaniasz,
A z boku, z ukosa, poglądasz na Stacha,
Lepiej się uśmiechaj,
Kieliszka nie niechaj.
Kiedy wola Boska, napij się do swacha.

Halka.

Kiedy taka wola Boska,
Ja się nie przeciwię,
Będą kochać mego Stacha,
Bo żyje poczciwie,
Bo żyje poczciwie, na wojenkę chodził,
Swoją Halkę kochał a dziewcząt nie zwodził.

Ojciec i matka.
I my zezwalamy i błogosławiemy,
Czarnej ziemi zagon, za wiano dajemy.
A ty pomnij Stachu, byś wiana nie stracił,
Halce za wianeczek biedą nie odpłacił.

E. Wasilewski.

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

(C. d. n.)

Podstęp udał się najzupełniej i wszyscy uwierzyli, że ranny, wzięty z kępy nadwiślańskiej, jest bratem rodzonym Zawiślakowej. Tajemnicę znał tylko Zawiślak, żona jego, Marysia, lekarz i pani z pobliskiej wioski. Niezupełnie przekonani byli tylko Podrywka i Szymek, a choć ostatni raz tak źle i śmiesznie im poszło, przecież nie zaprzestali tajemnych schadzek i narad: jednego zachęcał zysk i chęć zemsty, drugiego również zysk, a najbardziej i miłość ku Marysi. A miłość ta wzrastała coraz więcej, gdy Szymek widział, jak pilnie, jak szczerze i serdecznie zajmuje się wójtowna rannym.

Choć z razu Szymek marzył tylko o majątku Marysi, choć mu tylko chodziło o wygodne życie bez trosk i kłopotów, to teraz, kiedy widział jak Marysia starannie około chorego się krząta, kiedy widział, jak to nad każdym się ulituje, każdego pocieszy i przemówi mile, to u niego rozbudziło się serce i on naprawdę począł kochać Marysię.

Niepokoił go tylko ów chory. „Gdyby to był brat pani wójtowy — tobym się bać nie potrzebował, ale gdy tak nie jest, cóż mam począć; gotowa przylgnąć do niego.“

— Trzeba się — pomyślał po chwili — samej o to zapytać — tylko ostrożnie i zgrabnie, ale cóż ztąd, wyprze się niezawodnie.

Odtąd jednak przymilał się Szymek na prawdę Marysi. Czy to odpust czy jarmark, zawsze wyrywał się z domu, biegł do miasta i przynosił podarunki Marysi. Ona nie chciała

przyjmować, ale przymuszona prośbami, składała je do skrzynki, a nigdy się prawie w nie nie ubierała.

Ojciec, człek rozumny i uczciwy wiedział o wszystkiem. Z początku Szymkowe zaloty były mu niemiłe. Nie lubił on Szymka, bo był próżniak, hardy i serce miał nie najlepsze. Wiedział wójt, że Szymkowi więcej o majątek, aniżeli o córkę chodzi. Ale znów rozmyślał sobie, że Szymek ma ładny kawał gruntu, dobytek po ojcach nie lada, i córka jego mogłaby z nim nie zaznać biedy, a to przecież u rodziców najwięcej znaczy. To też po wielkiej naradzie z żoną nie wzbraniał Szymkowi starać się o serce i rękę Marysi, ale go też i nie ośmielał.

Kiedy go Marysia polubi, to i sprzeciwiać się będzie trudno — myślał sobie w duchu. Szymek pójdzie za nią, będzie jej słuchał, poprawić się nawet gotów, będzie może z nim szczęśliwą, — a o to mi też chodzi jedynie. Że nie jest dobrym Polakiem, że nie wie jakie obowiązki ma względem bliźnich — bo ciemny, bo się nic nie uczył i nic nie myślał. Nawróci go Marysia i ja go nawrócę. A tu znów ten ranny taki ładny, dobry, przyjemny — może to jaki paniczyk, może dziewczę pokochać go, przywiązać się do niego i gotowe nieszczęście.

Ostatnia myśl najbardziej niepokoiła Zawiślaka i na prawdę więcej już Szymka ośmielał. To pogada z nim, to pożartuje, to mu pozwoli iść na odpust daleki, i do miasta nawet chodzić nie wzbrania. Zauważył to i Szymek dość prędko i ucieszony, jakby go ktoś na sto koni wsadził, pobiegł do Podrywki wieczorem i całą rzecz opowiedział.

— A widzisz nie mówiłem ci, że tak będzie — powiada Kasper — boi się, więc ci pochlebia. Postaw no się ostro, a zobaczysz, że wszystko dla ciebie uczyni.

— Ej kiedy się boję, bo to strasznie mądry człowiek.

— Co tam, na głowę, głowa, na rozum, rozum, a na strach śmiałość. Zobaczysz, jak spokornieje wójt, kiedy ostro natrzesz na niego.

— Ja bo nie o to przyszedłem was prosić panie podwójci — nie śmiało powiada Szymek — Cóż takiego? szybko podchwytuje Kasper — może wiesz gdzie o powstańcach, może ten ranny?... Mówże prędzej co trzeba robić.

— Ej gdzietam, nie o to mi chodzi — panie Kasprze — ale to wielka tajemnica.

Słucham, słucham, kochany Szymonie, — powiada Podrywka — a mówże prędzej, — nie bój się nikogo, ja cię nie wydam; ale jakżebyś mógł pomyśleć o tem, nigdy! — nie wydam cię, bądź pewny.

— Ale.... ale.... jąkał się Szymek ciągle i z trwogą spoglądał na żonę podwójciego — ja się boję...

Dorozumiał się Podrywka pomięszania Szymkowego i tak powiada:

— Chodźże Szymku ze mną, pomówimy na dworze.

Ruszyli z domu. Podrywka nadstawiał już ucha, już przed oczyma widział papierki, guldeny pana starosty. A Szymek mówi i ujął go za kolana:

Ja taki nieśmiały, panie podwójci, że się popatrzeć na Marysię boję. Ona idzie dzisiaj z matką do miasta na jarmark — ja pójdę także. Chodźcież i wy ze mną panie podwójci, i przemówicie mądre słówko i do niej i do matki; może za waszem przyczynieniem Marysia za mną pójdzie. Już o napitek i pieniądze ja się postaram.

— To mi dopiero mądral — jakby sam języka w gębie nie miał. Ot powiedz jej sam: Marysiu, ja mam grunt, mam chałupę i dobytek po ojcach, pójdź za mnie i basta! będziemy gospodarzyć.

— Ej bo widzicie, Marysia, to nie taka jak inne — ona taka mądra, taka uczona, że się jej moje przemówienie nie spodoba i gotowa się jeszcze pogniewać.

Proszę zatem waszej mądrej porady i przyczyny, a nie będę wam niczego żałował. Cóż wam to szkodzi, że pójdziecie na jarmark i tak nie macie tasaka, a potrzebny wam bardzo, to i trzeba kupić. Jak wam nic nie powie, to znak dobry, pójdziecie za mną w swaty.

— Poczęstunek, podarunek, i to wszystko za nic — pomyślał w duchu Podrywka — dobra rzecz i tak miałem dziś iść na ten jarmark!

— Tak mój Szymonie — mówił podwójci głośno — kiedy ci nikt nie pomoże, to ja ci pomogę, Marysia twoja jak amen w pacierzu.

Uściskał Szymek kolana Podrywki i oba wyszli na jarmark. Szymek nakupił czerwonych wstążeczek, korali, pierścionków i innych drobiazgów, i czekał w karczmie na Podrywkę, który tymczasem tasak targował i kukiełki i placki dla dzieci oglądał. Przybył — poczęstunek był serdeczny i dobry tak, iż podwójciemu w głowie się zakręciło. Trzymał się jednakowoż prosto i językiem mełł jak pytlem nieustannie.

Po drodze spotkali wójtową z córką.

— Niech będzie pochwalony — dobry wieczór pani wójtowa.

— Na wieki wieków — witajcie nam panie Podwójci jakże tam jarmark? zapytała Zawiślakowa;

— Bóg zapłać — dobrze, dobrze, toć dzięki Bogu jest z czego i za co? (Dok. nast.)

Rozmaitości.

Ktoby chciał nabyć dziełka ludowe po cenie taniej i dobre, może się udać do „Księgarni polskiej“, która takowe w wielkiej ilości posiada. Między innemi wymieniamy tu:

Anczyc Wł. L. Pijaństwo, zguba i nędza włościan.

— Krótka nauka o ziemi i świecie.

Antoniewicz F. Historja polska z mapa.

Bokiewicz, Hygjena popularna, czyli nauka zachowania zdrowia, dla ludu.

Brodziński, Wiesław, sielanka Krakowska.

Chmielewski, Zbiór pieśni dla szkół ludowych z muzyką Karola Niemczyka.

— Książeczka do nabożeństwa dla szkolnych dzieci.

Chociszewski, Dzieje narodu polskiego dla ludu.
— Cudowny lekarz, powiastka.
— Powieści i podania ludowe.
Chrzciny u Wójta, opisane przez Stacha Dworaka.
Czytelnia dla ludu wiejskiego, 3 książeczki.
Darowski, Katechizm rolniczy dla młodzieży wiejskiej.
Dąbrowski L., Regulamin dla gospodarzy wiejskich.
Elementarz pierwszy, Wyd. Tow. Przyj. oświaty.
Emeser, Księgi dla ludu polskiego 2 tomy.
Estkowski, Żywot człowieka poczciwego.
Fontana, Astronomja ludowa.
Gaszczyński, Rady dla młodzieży rzemieślniczej.
Gawarecki, Włościanin Polski czyli gospodarstwo wiejskie dla użytku mniejszych gospodarstw i szkół rolniczych.
Goczałkowski, Trzy powieści: Trzy krzyże. Nieznajomy. Równość i wolność.
Gregorowicz J. K. Ukryte skarby.
Jan H. Dąbrowski, dowódzca legjonów polskich.
Ostafiej Daszkowic, obrazek z dziejów Zaporoża.
Katolik, pismo religijno-obrazkowe dla oświaty ludu rok 1868.
Kiliński, Pamiętniki.
— Kilka obrazów, kilka nauk, zebranych przed wiejską chatą.
Klonowicz, Flis, t. j. spuszczanie statków Wisłą.
Kochanowski Jan, Psałterz Dawidowy z portretem Kochanowskiego.
Kontrymowicz, Powieści dla ludu.
Koszutski, Żywoty świętych. 1) Św. Wojciecha, 2) Św. Dziewic, 3) Św. Pustelników w Polsce, 4) Św. Wincentego Kadłubka, 5) Św. Cyryla i Metodego, 6) Św. Sług, 7) Św. Stanisława.
Kraszewski, Świat i ziemia.
Krótki rys hodowania zwierząt domowych.
Lamennais, księgi ludu.
Leśniowska, Kolęda dla ludu, 1. 2. 3.
— Wytrwałość w pracy i złym losie.
Łubiński, Wianek z górnego Szląska.
Łyskowski J. Trzy nauki gospodarskie.
— Nauka prawdziwa o płodozmianie.
Maliszewski, Spiewniczek, pieśni nabożnych.
Miarka, Husyci w górnym Szląsku.
Mieczyński, O poznawaniu mleczności krów.
— Gospodarstwo mleczne. (C. d. n.)

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.“

Nr. 10. 30. Marca 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Kościuszko w Szwajcaryi.

Śmierć jego, pogrzeb, przeniesienie zwłok do Krakowa i usypanie kopca.

(Dokończenie.)

Pomiędzy wielu szlachetnemi czynnościami Kościuszki, które trudno wszystkie zebrać, albowiem większa część jego dzieł ukrytą przed oczami ludzkiemi została, ostatnia czynność, przez którą Kościuszko swój szlachetny charakter, jak i rzadką cnotę wykazał, warta jest wspomnienia, gdyż była dla dobra ludzkości dokonana i przynosi mu równie jako człowiekowi i obywatelowi najpiękniejszą zaletę. Dnia 2. Kwietnia 1817, zaprosiwszy przed zgromadzenie i radę krajową rzeczypospolitej kantonu Solury przysięgłego notaryusza, pana Ksawerego Amieth, wezwał go do sporządzenia następującego aktu, przez który wszystkich swoich poddanych wolnością udarował:

„Przenikniony tą prawdą iż poddaństwo przeciwne jest, prawu boskiemu i dobru ogólnemu kraju, oświadczam niniejszym urzędowym aktem, iż wzmiankowane poddaństwo znoszę zupełnie w dziedzicznej wsi mojej w Siechnowicach, w województwie Brzesko-litewskiem leżącej, uwalniając wieśniaków na wieczne czasy od pańszczyzny, robocizny i podatków,

które dotąd względem dziedziców swoich czynić byli przymuszeni. Obowięzują ich tylko, aby dla własnej korzyści i dla dobra kraju stosowną szkołę dla młodzieży założyć i utrzymywać chcieli.“

Dano w Solurze d. 2. Kwietnia 1817 roku.

Tadeusz Kościuszko.

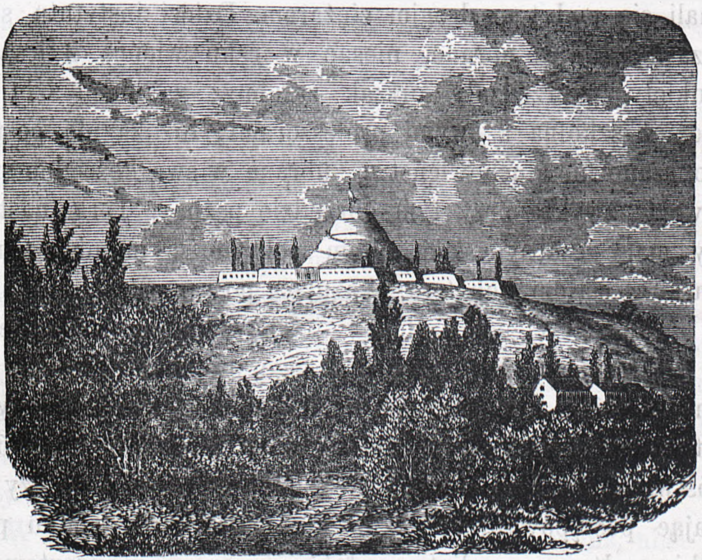
Nie długo jednak mąż ten szlachetny cieszyć się mógł tém przekonaniem, iż się stał dobroczyńcą ludu i wrócił wolność uciśnionym poddanym. Już bowiem zbliżał się ten dzień, w którym życie jego pełne czynów szlachetnych miało się zakończyć, już się ostatnia godzina jego przybliżała. Powrócił on z małej przejazdki do domu, i uskarżał się na boleści. Zasłabł w dniu 1. Października 1817, i położyć się musiał do łóżka, i z tego już więcej nie powstał. Czując się bardzo osłabiony i przeczuwając niejako bliską śmierć swoją, zrobił wcześnie testament, w którym zapisał większą część swej pozostałości ukochanemu przyjacielowi Zeltnerowi, i ulubionej swej Emilii, resztę na szpitale i ubogich przeznaczył. Niemałą także sumę zapisał dla domu sierót w Solurze i oprócz tego wręczył ajentowi i przyjacielowi swemu panu Ksaweremu Amieth znaczne pieniądze, dla rozdania onych pomiędzy ubogich. Wyraźną wolą jego było, aby bez wszelkiej okazałości zwłoki zmarłego pochowano, i żeby ciało jego przez sześciu ubogich do grobu niesione było. Bez najmniejszego przerażenia, bez lękania się, widział coraz bardziej zbliżający się koniec swego życia, a starzec wiekiem nachylony oczekiwał momentu ostatniego zgonu z tą spkojnością umysłu, jak niegdyś w młodych latach, odbywając zawód bohaterczy, nieustraszenie szedł przeciw tysiąc śmierci pociskom.

Dnia 12. października około dziesiątej godziny wieczornej tegoż dnia podniósł się w łóżku, właśnie jak gdyby chciał co mówić. Czuł się bezsilnym, podał prawą rękę przyjacielowi swemu Zeltnerowi, a lewą jego małżonce i wziąwszy tym sposobem ostatnie pożegnanie od trzech najukochańszych mu osób, wydał jeszcze jedno westchnienie — a dusza jego czysta, opuściwszy to śmiertelne ciało, stanęła przed tronem Boga.

Kto podobnie widział umierających, dla tego śmierć nie

ma żadnej okropności, owszem przekonywa on się o tej religijnej prawdzie, że zejście z tego świata sprawiedliwego i cnotliwego człowieka, podobne jest słodkiemu zaśnięciu i przejściem szczęśliwem z życia pełnego trosków do błogiej nieśmiertelności.

Głęboki smutek i przerażenie opanowało wszystkie serca mieszkańców Solury i całej prawie Szwajcaryi, gdyż ani jednego prawie obywatela nie było, którýby nie czuł wielkiej tej straty, jaką wolność poniosła; szczególnie zaś ubodzy i biedni wylewając łzy obfite, widzieli, jak z dniem 15. października, najmocniejsza ich podpora w zwaliskach swoich runęła.



Mogiła Kościuszki pod Krakowem.

W Polsce, w Anglii, Francyi i Niemczech, w Ameryce i gdziekolwiek tylko przebywał, widziano bolesny smutek sprawiony stratą tego wielkiego męża.

Dnia 16. Października otworzono ciało zmarłego. Cała jego pierś była głębokiemi bliznami okryta, a mianowicie najwidoczniejsze były trzy krzyżujące się z sobą cięcia, które w głowę od pałasza odebrał.

Nabalsamowane ciało ubrano w czarną suknię i złożono na łożu paradnem. Pomieszkanie zmarłego napełnione było od świtu aż do ciemnej nocy niezliczonym ludem i mnóstwem

ubogich, którzy jeszcze raz swego dobroczyńcę i anioła opiekuńczego (jak go nazwali) widzieć chcieli.

Dnia trzeciego po zgonie Kościuszki w samo południe odbył się pogrzeb wśród licznie zebranych mieszkańców Solury i poblizkich wiosek. Ze wszystkich wież kościelnych odezwały się dzwony, roznosząc w powietrzu odgłos żałosny, i ażeby orszak pogrzebowy żadnego w drodze nie doznał wstrzymania, zalecił magistrat miejscowy, iżby w czasie pogrzebu nik nie ważył się przejeżdżać przez te miejsca, przez które zwłoki Kościuszki prowadzone będą. Wzruszający był to widok, jak sześciu ubogich starców, niosąc śmiertelne mary, uginali się pod tym drogim ciężarem. Dzieci instytutu sierót w czarną krepę ubrane, niosąc w ręku wieńce z kwiatów i bukiety, poprzedzały orszak żałobny; za niemi szła cała młodzież szkolna z swymi professorami; tuż za nią postępowało szanowne duchowieństwo, ubrane w swe kościelne szaty, śpiewając zwykłe przy tym obrzędzie psalmy. Teraz następowały mary czarnym aksamitem pokryte, a na nich trumna otwarta z ciałem bohatera, okazująca po raz ostatni mieszkańcom Solury czcigodne oblicze tego wielkiego cudzoziemca. Tuż za trumną szedł przyjaciel jego, szanowny Zeltner, otoczony familią i przyjaciołmi; dalej członkowie rady rzeczypospolitej, urzędnicy i obywatele z swemi cechami, za któremi mnóstwo ludu, kobiet i ubogich obojej płci rzewne łzy wylewając postępowało. Po złożeniu ciała na katafalku przed wielkim ołtarzem, zdjęto zwłoki z mar, i w przytomności dwunastu uproszonych świadków, przeniesiono je do innej trumny ołowianej, którą po opieczętowaniu pieczęcią Rzeczypospolitej, złożywszy w drugiej trumnie z drzewa dębowego, spuszczono do sklepu pod wielkim ołtarzem, gdzie zwłoki biskupów i książąt tylko spoczywać zwykły. Żadne wojskowe honory nie towarzyszyły temu obrzędowi; łzy tylko przjaciół i opuszczonych ubogich spłynęły nad jego grobem i zaświadczyły o wielkich przymiotach nieodżałowanego przyjaciela ludzkości.

Później dopiero nadeszła wiadomość o śmierci Kościuszki do Polski. O niczem nie powtarzano jak o tem, iż najlepszy

rodak, najprzywiązańszy syn ojczyzny, najdzielniejszy bohater polski, życie doczesne zakończył. Dzień obchodu żałobnego za Kościuszkę na 14. Listopada przeznaczono. O tymże czasie odprawione były obchody żałobne w całej prawie Polsce.

Zażądano wydania ciała Kościuszki, aby szanowne szczątki bohatera z przyzwoitą czcią i należącemi mu odznaczeniami do Krakowa przewiezione były.

Po wyniesieniu trumny ze sklepu i złożeniu jej przed wielkim ołtarzem, odprawiono powtórne uroczyste żałobne nabożeństwo w przytomności mnogiego ludu. Gdy się ten obchód żałobny ukończył, odprowadziło duchowieństwo zwłoki aż do bram miasta, gdzie oddział kawaleryi szwajcarskiej odprowadził go aż do granic. Ze strony rządu szwajcarskiego wyznaczony był pan Zeltner wraz z synem swoim dla towarzyszenia zwłokom Kościuszki aż do Polski. Śmiertelne szczątki tego cnotliwego męża przyszły Dunajem do Wiednia, a ztamtąd odprowadzono je lądem do Krakowa.

Obrano dzień 23. Czerwca (1818) na obchód pogrzebowy. Na odgłos dnia tego, w którym cześć miano uroczyście oddać czcigodnym obrońcy Polski zwłokom, zebrali się Polacy z najodleglejszych nawet okolic, zgromadził się lud wiejski, a miasto Kraków wystawiało miejsce zjazdu rycerstwa, które posłuszne na głos żyjącego naczelnika, przy grobie jego chciało jakoby odebrać ostatnie rozkazy i nauki: jak kochać należy ojczyznę.

W dniu 22. czerwca, już od samego południa, ulice napełnione były ludem, pragnącym raz jeszcze ostatni oglądać martwe popioły ukochanego rodaka. Przy odgłosie dzwonów w całem mieście, nieustannem dział biciu i wśród żałobnej muzyki, przerywanej smutnemi duchowieństwa pieśniami, trumna na Wawel wniesiona i tamże na ozdobnym katafalku złożoną została.

Dnia 23. od samego rana odprawiało się nabożeństwo w kościele katedralnym. Ks. Wincenty Łańcucki miał mowę do ludu, i wszystkich przytomnych do rzewnych łez poruszył. Wniesione do grobu zwłoki złożono obok popiołów Jana III. i Księcia Józefa Poniatowskiego.

Atoli naród wdzięczny Polaków innym jeszcze pomnikiem, któregoby ani późne czasy, ani nawalnice skruszyć nie mogły, pamiątkę jego uwiecznić pragnął, to jest usypaniem mogiły. Trzy lata pracowano nad tém dziełem, to jest od dnia 16. października 1820 aż do 16. paźdz. 1823 roku, i dzisiaj mogiła Kościuszki na 300 stóp wysoka, wznosi się naprzeciwko mogił Krakusa i Wandy.

Na szczycie wznosi się ogromny głaz z siwego granitu, sprowadzony z gór tatrzańskich, a na nim napis: Kościuszko. Kopiec ten zamienili Austryacy na fortecę i już z daleka czernieją mury, dokoła otaczające mogiłę, jak to widać na obrazku.

ZBRODNIA I KARA.

(Zdarzenie prawdziwe.)

(Dokończenie)

Tak szło co raz gorzej w domu Michała. Z dnia na dzień pogorszało się pożycie jego z Kasią; dzieci pochorowały się; długi urosły, z nikąd uczciwej pomocy.

Wszystkiemu złemu winien był Pawlik. Nie dość mu jednak było zabrać Michałowi żonę, a z nią i szczęście. Zapragnął on jego majątku, i wymyślił sposób, aby zgubić poczciwego człowieka.

Pobudzona przez niego Kasia marnotrawiła majątek i dogadywała Michałowi, gdy jej już pieniędzy nie mógł dostarczyć.

Biedny ten człowiek tak jeszcze kochał Kasię, że nie mógł się zdobyć na tyle śmiałości, aby ją opuścić zupełnie.

Chciał się ratować w biedzie i nieszczęściu. Ale do kogoż miał się udać o pomoc? Spróbował tu i owdzie, wszędzie mu odmówili. Poszedł więc do Piotra, brata swego.

Piotr szczerze go przyjął i pomógł mu. Ale pomógł mu po swojemu.

Wciągnął go do swego towarzystwa i zrobił z niego złodzieja, jakim sam był.

Takim sposobem przyszedł Michał do spółki z Piotrem i popełnił z nim razem kradzież. Izak Orgiel stopił skradzione złoto, a Michał pieniądze zaniósł Katarzynie.

Pawlik wiedział o kradzieży i postanowił skorzystać z tego, aby zgubić Michała.

Najpierw starał się pokłócić spólników między sobą i udało mu się to. Worosze byli pewni, że ich Orgiel oszukał. Zapragnęli zemścić się na nim.

Pawlik przystąpił do ich spółki i podał sposób zemsty.

Za namową Pawlika — i z nim razem, mieli się udać do Orgla i zrabować jego dobytek.

Wiedzieli oni dobrze, że Izak nie przelęknie się byle czego i będzie się długo opierał.

Uzbroili się więc w noże i koły, a dla nabrania odwagi, wychylili sporo kieliszków wódki.

Dzień wyprawy naznaczyli na wilię Bożego narodzenia, bo wiedzieli, że w święto mało kto zajrzy do karczmy, a im potrzeba było spokoju. Zbrodniarz boi się ludzi i spełnia czyn swój w ciemności, bo myśli, że gdy go oko człowieka nie widzi — to jest już całkiem bezpieczny. Zapomina, że Bóg jest na niebie i że w sercu swem każdy człowiek nosi najostrzejszego sędziego, t. j. sumienie.

Mróz był dość silny na dworze, śnieg rzadki sypał płatkami wielkiemi. Wiatr świstał po pustych polach.

Trzej spólnicy szli szybko, bo coś ich w wnętrznościach paliło. Głowy ciągle odwracali, bo zdawało im się, że ktoś stąpa za nimi. Był to tylko odgłos ich własnych kroków.

W poświstach wiatru słyszeli głosy ludzkie, a krzyki wron przestraszały ich.

Milczeli całą drogę.

Worosze głowy pospuszczali ku ziemi i bali się oczu podnieść, żeby się nie spotkać z wzrokiem poczciwego człowieka.

Jeden tylko Pawlik nie tracił odwagi; wódka i namiętność dodały mu śmiałości. Zachęcał Woroszów do zemsty; chciał on, aby zamordowali żyda, i sami również śmierć znaleźli. Jak by mu wtedy dobrze było na świecie!

Mijali kościół. Przez okna błyskał promień światła od lampy przed obrazem Zbawiciela.

Spólnicy mimowoli zwrócili oczy na krzyż drewniany przed kościołem i zadrżeli. Jakiś lęk okropny przebiegł po ciałach zbrodniarzy i głowy ich jeszcze niżej opadły na piersi, wzrok bardziej zdziczał, a czoła zmarszczyły się tak mocno, że zdawało, się jakby popękać miały.

— Nie myślcie ciągle o tem — zagadnął Pawlik — teraz już późno rozmyślać — spieszmy lepiej, bo jeszcze kawał drogi, a zimno' djabelne, zagrzejemy się we krwi żydowskiej.

Oczy Pawlika nabiegły krwią przy tych słowach; Worosze przyspieszyli kroku.

Pawlik zaśmiał się złowrogo i machnął ręką, jakby coś ścinał w powietrzu.

* * *

Za godzinę Worosze z Pawlikiem stanęli u drzwi tej samej karczmy, gdzie przed miesiącem Izakowi sprzedali skradzione złoto i perły.

W karczmie było ciemno. Drzwi zamknięte. Postąpili pod okno alkierza i zaglądnęli do środka.

Na łóżku spoczywał Izak. Sen miał niespokojny, bo rzucał się ciągle, a wargi drżały mu bez ustanku i oczy zdawały się tylko przymrużone.

W tym samym alkierzu spała Ruchla i dwoje dzieci, mała dziewczyna i chłopak dwunastoletni, Abramek. Zresztą w karczmie nikogo nie było.

— Izaku, wstańcie no, przynieśliśmy wam coś nowego — zawołał Piotr Worosz, i zapukał do okna.

Izak zerwał się przestraszony i przyskoczył do okna.

— To wy, Piotrze? — pytał żyd.

— Ja, — odezwał się Piotr — i mam coś takiego dla ciebie, że się ucieszysz jak nigdy....

— Kiedy bo wy nie sami. A któż to tam drugi koło was — zapytał Izak i przypatrywał się Michałowi. Pawlika nie widział.

On stał koło drzwi karczmy i wyciągał z kieszeni kłaki i siarkę, i wpychał kawałki pod słomiany dach.

— To Michał, brat mój — odpowiedział Piotr i uspokoił żyda.

Izak odstąpił od okna, zapalił kaganek i podszedł pod drzwi.

Piotr i Pawlik mówili coś półgłosem, a Michał stał na uboczu.

Tak przeszło chwil kilka — zdawało się, że Izak bał się otworzyć i czekał, czy Worosze nie odejdą.

— No otwieraj Icku! — odezwał się Piotr — tu zimno, chcemy się ogrzać trochę.

Izak drzwi otworzył i podniósł kaganek do góry, żeby się przypatrzyć swym gościom.

W tej chwili błysnęło żelazo w ręku Piotra, a Izak Orgiel z głuchym jękiem padł na ziemię.

Zbrodniarze weszli do wnętrza karczmy. Ciało Izaka zawlekli do alkierza.

Zbudzona krzykiem Izaka Ruchla, była już na nogach. Zobaczyła straszne twarze Woroszów i chciała krzyknąć. Lecz nie miała już na to czasu, bo Pawlik celnie wymierzył nóż swój, i położył obok trupa Izaka — drugi trup żony jego.

O małej żydówce, spiącej gdzieś w kącie, zapomnieli zbrodniarze. Abramka umyślnie zostawili przy życiu. Wywlekli go z łóżka i wciągnęli do izby.

— Gdzie pieniądze żydzie? — zawołał Piotr — widzisz tam twego ojca i matkę na ziemi, jeźli nie chcesz, abym ci tak samo zrobił, to dawaj zaraz....

Abramek martwy ze strachu — nie mógł nic odpowiedzieć.

— Może teraz odpowiesz — zawołał wściekły Piotr i pchnął dziecko nożem w bok prawy.

Abramko jęknął i wyciągnął z szuflady stoła karczemnego kobiałkę z drobniakami.

Piotr pochwycił ją chciwie i zaczął rachować.

Michał niemym był świadkiem całego zdarzenia strasznego.

Za to Pawlik ruszał się ciągle. Wydobył z szynkfasu dwie flaszki wódki i postawił je na stole.

Potem wszedł do alkierza, wyciągnął z łóżek słomę przykrył nią trupy żydów i podpalił.

Zamknął za sobą drzwi od alkierza — rzucił okiem na Woroszów i zawołał:

— No, sprawiajcie się prędko — żeby nas kto nie zaszedł.

Po tych słowach wyszedł z izby do sionki i drzwi zamknął na rygiel.

Piotr przerachował pieniądze, pociągnął spory łyk wódki i rzucił się znów do Abramka.

Ty żydzie przeklęty — myślisz, że mi dość tych kilka szóstek — dawaj więcej, bo śmierć twoja.

I pchnął znów dziecko nożem. Abramek jęknął tylko, i wskazał na dzwi od alkierza.

Piotr trącił drzwi. Płomień buchnął i zapalił na nim odzienie. Rzucił się w tył i chciał uciekać do sieni. Tu drzwi były także zamknięte. Wywalił je, a nowy płomień objął go ze stron wszystkich.

Piotr padł na ziemię i uderzył głową o jakieś ciało martwe. Był to Michał. — Wódka odebrała mu przytomność — dym zaparł mu oddech.

Abramek skorzystał z tej chwili, zebrał resztkę sił i wyskoczył przez okno.

Pawlika przed karczmą nie było.

* * *

Na drugi dzień zjechała komisya rządowa na miejsce zbrodni.

Rozrzucono zgliszcza. Obok trupów dwóch zbrodniarzy i resztek spalonych ciał żydów, leżało biedne dziecko niewinne. Zostawione w alkierzu we śnie, w płomieniach śmierć znalazło.

Konający Abramek zeznał wszystko, co pamiętał.

Udano się w pogoń za Pawlikiem.

Siedział on w chacie Michała, i gwarzył z Katarzyną. Katarzyna nie wiedziała o niczem; zbrodniarz nie śmiał jej powiedzieć, że to on namówił Woroszów do wymordowania

Orglów i że sam ich potem podpalił, aby się Michała pozbyć na zawsze.

Katarzyna, kiedy usłyszała o śmierci Michała — padła bez zmysłów na ziemi. Przywrócono jej zdrowie, spokój sumienia na zawsze straciła.

Pawlik przyznał się do zbrodni i został osądzony.

Tak zbrodnia ta okropna ukaraną została.

Taras Szewczeńko.

(Dokończenie.)

Pokochała Katarzyna żołnierza młodego, pokochała jak serce umiało. Napróżno matka stara oczekuje jej czas dłuższy; doni jak nie ma tak nie ma. Zatrąbiono na wymarsz, czarnobrewy wyruszył. Przeszło pół roku — zaniemogła dziewczyna.. wyzdrowiała i w zapiecku dziecinę kołysze. A kumoszki śpiewają matce starej:

„Donia*) twoja czarnobrewa,
I to nie jedyna...
Patrz, w zapiecku jak piastuje
Żołnierskiego syna.....

Wyzdrowiała Katarzyna, spogląda na ulicę — jak nie ma tak nie ma.... Poszłaby do ogródka popłakać — ludzie się patrzą. Zajdzie słońce — nieszczęśliwa idzie do ogródka, na rączkach malutki synek, oczęta błądzą tam, ówdzie: „Tutaj czekałam na niego, tu rozmawiałam. A bez szczęścia twarzyczka biała — jak kwiatek na polu: słońce go spali, wicher połamie, przechodzeń zdepcze lub zerwie...

Siedzi ojciec, w piersiach starych
Jęki gorżkie tłumi;
I nie patrzy na świat boży,
W posępnej zadumie.
Obok niego matka biedna
Usiadła na stronie.
Ledwie, ledwie, we łzach cała,
Przemawia do doni.
„Cóż, wesele, doniu moja?
Czemuż nie ma pary?
Gdzież są twoi starostowie?
Gdzie drużki i drużby?
Idź do Moskwy, doniu moja!
Tam ich szukaj sobie;
A pamiętaj mówić ludziom,
Że matka już — w grobie.
Przeklęty dzień i godzina,
Gdym cię porodziła!
Niech-by lepiej o północy
Utopiła była...

*) Donia, tyle co dziewczyna.

Zdałabyś się wtenczas gadom,
Teraz — Moskalowi...

Doniu moja, doniu moja.
Kwiatku mój różowy!
Jak jagódkę, jak ptaszynę,
Kochałam, pieściła
Na nieszczęście... Doniu moja,
Cóż ty narobiła?...
Odwdzięczyła!... Idź-że teraz,
Świekry w Moskwie szukaj.
Nie słuchałaś mojej rady,
Dziś tamtej posłuchaj...
Któż tu główkę biedną moję
Pochowa bez ciebie?
Kto zapłacze tu nademną,
Jak dziecię jedyne?
Kto zasadzi na mogile
Czerwoną kalinę?
Kto za duszę biedną moję
Wstawi się do Boga?
Dziecię moje, rybko moja,
Doniu moja droga!
Idź już od nas..."

Odezwał się ojciec stary:
„Nie czekaj niebogo!"
Zapłakało dziewczę biedne,
Całuje go w nogi:
„Przebacz-że mi, ojcze drogi,
To com narobiła!
Przebacz, daruj mój gołąbku,
Sokole mój miły!
—„Daj mi pokój! módl się, doniu!
Boga znajdziesz wszędzie
On przebaczy! idź już sobie
Może mi lżej będzie!"

Ledwie, ledwie powstała nieszczęśliwa dziewczyna, wyszła do ogródka, wzięła okruszynę ziemi rodzinnej, i z dziecięciem na ręku powlokła się przez sioło w pole.

Katarzyna idzie, przymierając, o gorżkim żebranym chlebie. Ciężko oń prosić!... ależ dziecina?... Bywało i tak, że z synem pod płotem zanocowała.....

Wlecze się Katarzyna w mróz i zawieję, — na nóżkach łapcie łyczane, na plecach świcina jedna.

Nareszcie, po niezliczonych cierpieniach, los czy Opatrzność pozwala się jej spotkać z kochankiem.

A po przedzie starszy jedzie,
Okryty szarugą:
„Iwan!.. Iwan!.. och mój luby!
„Gdzieś bawił tak długo!?
I do strzemion mu przypada
Szalona dziewczyna
Iwan spojrzał — i konika
Ostrogami spina.
„Czy uciekasz?... cóż to znaczy,
„Iwanie jedyny!
„Czyż ci z głowy pamięć wyszła
„Twojej Katarzyny!?
„Spojrzyj tylko... to ja... to ja,
„Twoja ulubiona;
„Po co gniewne marszczysz czoło
„I targasz strzemiona?"
On udaje, że niezważa,
I chce pędzić dalej,
I „*Marsz naprzód!*" groźnym głosem
Mówi do Moskali.
— „Ej! Iwanie! ej sokole!
„Nie opuszczę ciebie,
„Jestem twoja Katarzyna!
„Tak jak Bóg na niebie—"
—„*Daj mi spokój szalenico!*
Hej! weźcie ją z drogi!"
Jeszcze gniewniej zmarszczył czoło,
I szarpnął ostrogi.
„Co Iwanie!... ty mię rzucasz?
„Węzeł się rozprzęga?
„A gdzież twoje dobre słowo?
„Gdzie twoja przysięga?"—
—„*Precz mi z drogi! hej żołnierze.*
Zwleczcie ją do rowu!"
Katarzyna, za strzemiona
Chwyciła go znowu:

—„Ze mną czyń jak twoja łaska,
„Ja zniosę męczarnie,
„Ale dziecię!.. nasze dziecię...
„Czyż zaginie marnie?
„Niegub Janku nas oboje,
„Tak być niepowinno,
„Ja ci będę najemnicą,
„Kochaj sobie inną.
„Kochaj sobie choć świat cały,
„Niech się co chce stanie,
„Ja zapomnę dawne lata
„I nasze kochanie.
„Nieporzucisz syna luby,
„Nieporzucisz przecię,
„Pozwól.. ja ci go przyniosę...
„Co za piękne dziecię!"
I od kolan się odczepia,
I do chaty bieży,
Niesie dziecię otulone
W podartej odzieży.
—„Patrz Iwanie!.. patrz na syna!"
Iwan już zdaleka...
„Czyż doprawdy swej dzieciny
„Ojciec się wyrzeka?
„Poczekajcie... poczekajcie,
„Sokoły żołnierze,
„Niech z was który mego syna
„Do siebie zabierze!
„Czy oddajcie go starszynie
„Waszego szeregu,
„Bo jak ojciec bezlitośny,
„Rzucę go na śniegu!"
I z rozpaczy wściekłym krzykiem
Przeklina Iwana:
„Grzechem synu twa godzina,
„Grzechem była dana.
„Rośnij, rośnij na śmiech ludzki,
„Sierocino mała,
„Zostań tutaj szukać ojca,
„Jam długo szukała!!"
I przy drodze dziecię kładzie,
Sama w las ucieka,
A Moskali już za górą
Niewidać z daleka.
A niemowlę dogorywa,
W niebogłosy krzyczy:
Szczęściem krzyki ze swej chaty
Posłyszał leśniczy.
Katarzyna biega, wyje,
Klnie swego sokoła,
I wybiegłszy na pagórek,
Po imieniu woła:
„Wróć się, wróć się drogi Janku,
„Tak powinność każe!"
Ale tylko leśne echo
Odzywa się w jarze.
Obłąkana bieży jarem,
Łapać echo może,
I stanęła bez pamięci
Przy wielkiem jeziorze,
„Przyjmij Boże moję duszę,
„Ty wodo me ciało!"
I na wodzie pod krą lodu
Coś zapluchotało.
Ot i kara, że niesłucha
Matczynej porady,
A wiatr dmuchnął po jeziorze
I zagładził ślady

Gospodarstwo wiejskie.

O łąkach.

Szkoda każdego kawałka ziemi, co żadnego pożytku nie przynosi, szkoda szczególniej złej łąki, kiedy z niej może być dobra. Który rolnik tak gospodarzy, to jakby skarb znalazł; bo kto ma dobrą łąkę, ten ma dużo paszy na przedaż, dobrze wyżywiony inwentarz, dostatek gnoju, a więc dużo chleba i pieniędzy.

U nas prawie wszędzie łąki są liche i mało kto myśli, żeby je poprawić; to też kiedy lato suche, to trawa się wypali i nic nie ma, a kiedy mokre, to siano kwaśne i bydło choruje lub jeść go nie chce.

Kto chce mieć dobrą łąkę, musi około niej jak na roli lub w ogrodzie pracować.

Dobra łąka jest wtenczas, kiedy na niej trawa ani się wypala, ani też nie gnije; kiedy na niej nie mech i chwasty, ale żyzne trawy i zioła rosną, i kiedy na niej niema ani krzaków, cierni, pieńków ani kamieni, mrowisk i kretowisk.

Jeźli łąka sucha, trzeba ją nawodniać, jeźli mokra, trzeba ją osuszyć.

Mech niszczy się przez osuszenie i posypywanie popiołem, wygrabując go potem grabiami lub żelaznemi bronami.

Chwasty, ciernie, krzaki, pniaki, trzeba choć częściowo rok za rokiem wypleniać.

Kamienie wybierać i wywozić, lub jeśli nie potrzebne w głąb ziemi zagrzebać.

Mrówiska i kretowiska ile razy się pokażą, zaraz rozrzucać, a szkody wielkiej nie zrobią.

Co do nawodniania czyli zlewania łąk, to trzeba z pól tak wodę skierować, żeby nie do strugi, lecz na łąki spływała. Woda z pól niesie z sobą gnój, więc jest bardzo żyzna. Jeżeli w sąsiedztwie łąki jest stawek na wzgórzu, to spuść na nią rowkami wodę z niego tak, żeby całą łąkę zrosić można było. Niezmiernie łąkę polepszy, kto może po niej muł z rowów, stawów lub sadzawek rozrzucać, gnojówką i wszelkiemi odchodami polewać, a gołe miejsca trawami i ziołami obsiewać.

Kto nie ma łąki naturalnej, czyli samorodnej, ten sztuczną zaprowadzić powinien. W pierwszym roku nie wielki będzie zysk, ale w drugim trawa już się rozkrzewi i piękne siano wyda.

Pamiętać trzeba, że w tenczas jest najlepszy czas sianożęcia, gdy kwitnie najwięcej kwiatów łąkowych. Wczas sprzątnięte kwiaty w trawie, są dla bydła jakby okrasą w potrawach.

Na maj. Drzewa owocowe oczyszczać z gąsienic i do kołków i krat przywiązywać; świeżo zasadzone co tydzień podlewać; kwitnące, po deszczu lub mgle wielkiej, otrząsać z wilgoci, która kwiatu szkodzi.

Warzywa i rosady podlewać wodą ze stawu albo z rzeki; studzienna powinna się wystać i ogrzać na słońcu.

Ogórki zasiewać rzadko w ziemi pulchnej, żyznej, i polewać w południe; na noc przykrywać słomą.

Grzędy warzywne opielać, a gęsto zarastające rozsadzać; chwasty w dół rzucać na nawóz.

Kwiaty przesadzać, opielać i polewać.

Doniczki z kwiatami, jak tylko minie obawa przymrózków, przenosić do ogrodu.

W polu wszelki siew opóźniony dokończyć.

Kartofle obsypywać.

Pszenicę spasać na zielono.

Zboża opielać i równie jak łąki strzedz od szkód.

Pszczoły koło połowy maja roją się; trzeba na nie uważać, ule i wszystko co do zbioru roju potrzebne mieć pod ręką.

Rogaciznę karmić paszą zieloną.

Koniom po skończonych robotach odpoczynku dzwolić.

Źrebiętom rocznym dotąd sianem żywionym, dodawać pół a przynajmniej ćwierć porcyi zwyczajnej owsa ugniecionego; w zęby im często zaglądać, nogi podnosić, po pysku klepać i całować; a gdy dorosną, bęą spokojne i łaskawe, w zęby sobie przy sprzedaży zaglądać i kuć łatwo się dozwolą.

Drób strzedz od wilgoci i deszczu.

Kaczętom dawać gotowane kartofle, chleb i owies. Gąsięta mogą już być ze staremi pasione.

W polu, w gaju, brzęczy łąka, dźwięczy niwa,
Ptak i pasterz: wszystko śpiewa: Boże daj! Boże daj
Aby wiecznie trwał nam Maj.

MAJ ma dni 31.

Dni		święta rzymskie	święta ruskie
1	Środa	Filipa i Jakuba Apostołów	19 Joanna Prepod.
2	Czwart.	Zygmunta męcz.	20 Fteodora Prepod.
3	Piątek	Znalezienie Krzyża św.	21 Januaria mucz.
4	Sobota	Floryana męcz.	22 Fteodora Sykeota
5	Niedziel.	**3. po W. Krzyżowa** Goth.	23 **N. 1 po Woskr.** Heo.
6	Poniedz.	Jana w Oleju męcz. *Krzyż.*	24 Sawwy Mucz.
7	Wtorek	Domicelli Panny *Krzyż.*	25 Marka Jew.
8	Środa	**Stanisława Biskupa męc.**	26 Wasyłya Mucz.
9	Czwart.	**Wniebowstąpienie Pańs.**	27 Symeona Jepis. M.
10	Piątek	Izydora włoś. Wyz.	28 Jasona Apost.
11	Sobota	Beatryksy Panny.	29 Dewiat Mucz.
12	Niedziel.	**6 po W. N. M. P. Łask.** Ner.	30 **N. 2 po Woskr.** Jak.
13	Poniedz.	Hilarego Biskupa	1 **Maj** Jeremii Pror.
14	Wtorek	Bonifacego Męcz.	2 Aftanasya Alek.
15	Środa	Zofii i 3 Córek Męcz.	3 Tymoftea Mucz.
16	Czwart.	Jana Nepomucena M.	4 Pełahyi Mucz.
17	Piątek	Paschalisa Wyz.	5 Iryny Mucz.
18	Sobota	*Wigilia.* Feliksa Kap. Wyz.	6 Jowa Prawednaho
19	Niedziel.	**Sw. Zesłanie Ducha ś.** Pio.	7 **N. 3 po Woskr.** W.
20	Poniedz.	**Swiąt.** Bernardyna Sen. W.	8 Joanna Bohosła.
21	Wtorek	Heleny Królowej	9 Pren M. Nykoł.
22	Środa	*Suchedni.* Julii Panny Męcz.	10 Symona Apost.
23	Czwart.	Dezyderyusza Biskupa Męcz.	11 Wokia Mucz.
24	Piątek	*Suchedni.* Joanny Wdowy	12 Jepyfania Jepisk.
25	Sobota	*Suchedni* Urbana Papieża	13 Hłykeryi Mucz.
26	Niedziel.	**1 po Swiąt. SSS. Trójcy** F	14 **N. 4 po Woskr.** Isyd.
27	Poniedz.	Jana Papieża	15 Pachomyja Weł.
28	Wtorek	Wilhelma i Madgaleny z Paz.	16 Fteodora Prepod.
29	Środa	Maxyma B. W. i Teodozyi P.	17 Andronika Apost.
30	Czwart	**Bożego Ciała.** Feliksa P.	18 Fteodora Prepod.
31	Piątek	Petroneli Panny	19 Patrykia Jepisk.

Zmiany księżyca.

Nów d. 7 o g. 2 m. 3 po poł. Pierwsza kwadra d. 15 o g. 4 m. 50 po poł. Pełnia d. 22 o g. 11 m. 53 przed północą, przy której widzialne będzie bardzo małe zaćmienie księżyca. Ostatnia kwadra d. 29 o g. 2 m. 58 po poł.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 Talar 15 sr. gr, półrocznie 23 sr. gr., kwartalnie 13 srgr.

Redaktor i wydaw. odpow. **Kazimierz Okaz.** — Z drukarni Karola Budweisera.

Nr. 11. 10. Kwietnia 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gminie i urzędach gminnych.

Wszerz i wzdłuż można przebyć wielki kawał kraju, a nigdzie prawie nie zdybiemy ludzi, żyjących samotnie. Czasem gdzieniegdzie bieleje się pod lasem chatka gajowego, czasem gdzieniegdzie znajdziemy w oddalonem ustroniu karczmę samotną; zresztą żyją ludzie najwięcej w pobliżu, żyją w mniejszych lub większych gromadach, które my w naszym polskim języku wioskami lub siołami zowiemy.

Każdy gospodarz potrzebuje bezpieczeństwa dla swego dobytku i dla swej chudoby, potrzebuje dobrej drogi, aby mógł zwozić żyto lub kartofle z pola, zawieźć takowe do miasteczka lub miasta, potrzebuje wreszcie szkoły, aby tam dzieci jego mogły się uczyć pożytecznych i potrzebnych nauk. Ztąd właśnie jasno się pokazuje, że mieszkający samotnie gospodarz nie mógłby mieć tego wszystkiego, jasną jest rzeczą, że dla porządku i bezpieczeństwa, dla wybudowania i utrzymania drogi i szkoły, muszą się ze sobą rozmówić, naradzić i ugodzić.

Ludzie nie bardzo nawet starzy pamiętają rozmaite czasy. Był czas, że pan czyli dziedzic, mieszkający w przestronnym dworze, kierował i rządził sprawami gminy, czyli gromady

i że mieszkańcy tejże musieli w milczeniu spełniać jego rozkazy; był potem czas, gdzie pan „Becirks Vorsteher“ w powiatowym mieście ustanawiał wójtów po wsiach i nakazywał im, jak postępować mają; — teraz od roku 1866 zaczął się nowy porządek rzeczy. Ustawa sejmowa zatwierdzona przez cesarza, nakazuje, aby sami gospodarze wybierali w każdej wsi radę, która ma zarządzać sprawami gminnemi. Według tej nowej ustawy ma ta rada razem z wójtem wykonywać nietylko to, co jej nakażą, ale powinna działać według własnego rozumu i sumienia.

W tych krajach, gdzie już od dawniejszych czasów gminy czyli gromady w taki sposób urządzone były — nauczyli się ludzie z doświadczenia, jak mają prowadzić interesa gromadzkie; syn słyszał od ojca o sprawach gminnych, młodszy brat od starszego, młodym opowiadali starzy; jedném słowem, każdy gospodarz zaznajomił się już w swej młodości z tem, jak spraw gminnych pilnować należy. U nas ludzie nie mogli się nauczyć w ten sposób prowadzenia spraw gminnych — dlatego też wszystkie gminy starać się powinny o to, aby poznały dobrze przepisy potrzebne. Oto treść ważniejszych przepisów ustawy gminnej.

Gospodarz domu, ojciec rodziny, najwięcej przywiązania czuje do dzieci; o nich stara się bardzo troskliwie, dla nich pozostawi cały zapracowany dobytek, mniej obchodzi go dola lub niedola obcego parobka, który się na rok lub dwa do niego najął, a jeszcze mniej troszczy się o podróżnego, któremu udzielił gościnności w chacie swojej. Podobnie rzecz się ma w gminie, czyli gromadzie. Każda gromada troszczy się najwięcej o tych, którzy w niej dłuższy czas przemieszkują, mniej zaś o ludzi, którzy tylko na czas jakiś we wsi osiedli. Gospodarz gruntowy, rzemieślnik, który tam rzemiosło swe prowadzi, nauczyciel, który uczy dzieci w szkole, dbają najbardziej o tę osadę, z którą ich dola i niedola tak silnie jest złączona. Czy to pożar znaczniejszy kilkanaście chat spali, czy woda wyleje, czy inne jakie nieszczęście gromadę dotknie, najbardziej na tem cierpią stali mieszkańcy gminni, którzy

w niej od młodości przebywają, podczas kiedy przybysze i goście bez trudności się w inne strony przenoszą. Dlatego też słusznie ustawa gminna nakazuje zawiadować majątkiem i sprawami gminnemi stałym mieszkańcom gminy, co się zwą członkami gminy, a wyłącza **obcych** w gminie. Obcy, to jest ten mieszkaniec wsi, co tylko na kilka lub kilkanaście tygodni do gminy przybył, może wprawdzie korzystać z dobrej drogi, jaką gromada wybudowała, może bezpiecznie mieszkać, jak gromada zapewnia, lecz nie ma innych praw, n. p. nie może wybierać do rady gminnej, o o czem później. Z pośród członków gminy, to jest tych mieszkańców, którzy przez dłuższy czas stale w gminie przebywają, odróżnia ustawa przynależnych do gminy i uczestników. Przynależnymi są ci, którzy się w gminie urodzili, lub do gminy przyjęci zostali, dalej kobiety poślubione przez członków gminy, a wreszcie urzędnicy i duchowni nauczyciele, w gminie zamieszkali. Inni członkowie gromady czyli gminy, którzy wprawdzie w gminie stale przebywają, lecz się tam nie porodzili, ani przez gminę przyjętymi nie zostali, zwą się uczestnikami gminy.

Różnica między uczestnikami a przynależnymi do gminy jest ta, że przynależni mają w razie zubożenia prawo do pewnego wsparcia. Jeżeli n. p. gospodarzowi w gminie urodzonemu i osiadłemu spali się chata, tedy winna mu gromada dać wsparcie; nie ma zaś obowiązku dawać mu tego wsparcia w takim razie, jeżeli w prawdzie jest w gminie zamieszkałym, lecz przynależnym nie jest.

Jak ci członkowie gromady radę gminną wybierają i co ta rada załatwia, pomówimy na drugi raz.

MIKOŁAJ BUŃCZUK

Zdarzenie prawdziwe,

opowiedział **Ta. Cza.**

W głębokim jarze, otoczona małym laskiem, spoczęła nad rzeką zaciszna wioska Wilkowce. Spokojni gospodarze,

pracowita młódź, skromne dziewczęta, żyjąc uczciwie z dnia na dzień, nie znali troski o czarny poczciwy chleb podolski, nie trapili się obawą złego jutra, nieszczęść, ani innych dolegliwości. Szczęśliwą włość omijały zawsze grady lub zaraźliwe choroby, wijący się wstęgą Seret, nie zalewał z wiosną przyległych pól, a o pożarze starzy zapomnieli, a młodzież znała tę straszną klęskę tylko z opowiadania.. Gdzie praca i dobra silna wiara, tam zawsze spokój i szęście zagości nie na dzień, nie na miesąc, ale na długie, długie lata.

Dzwonek cerkiewny zwoływał gromadkę na nabożeństwo, wszystko więc co żyło w wiosce, spieszyło w miejsce, gdzie za szumiącemi topolami połyskiwał wysoki krzyż drewnianej cerkiewki. Ksiądz pleban, pasterz tej wzorowej owczarni, pilnie patrzał na to, aby się żadna do niej nie zakradła parszywa owieczka. Po krotkiem nabożeństwie, gdy się cała gromada rozsypać miała po mnogich uliczkach włości, wystąpił nagle czerstwy jeszcze, stary Ołeksa Buńczuk i zdjął kapelusz i tak rzecze do zaciekawionych gospodarzy:

— Przepraszam was poczciwi ludzie i proszę, raczcie się na chwilkę zatrzymać, aby posłuchać skargi nieszczęśliwego ojca.

Gromada zdziwiona tem przemówieniem starego Buńczuka, poczciwego kuma i wzorowego gospodarza, przystanęła, a wójt w te się odezwie doń słowa:

— Z woli Bożej podzielamy z wami szczęście i nieszczęście, a więc opowiedźcie nam wasza sprawę.

— Mój Mikołaj zniknął z wioski od wczoraj, w komorze na jego łóżku znalazłem kartkę, z której się dowiedziałem, iż niepoczciwy chłopak uciekł do miasta, by tam przystać do wojska i puścić się w świat daleko, rzucając sędziwego ojca, wioskę, rodzinę swoją, najdroższą ojcowiznę! Takie to moje nieszczęście, a wy, którzyście skargę ojca słyszeli, ulitujcie się nad moim losem i obdarzcie słowem pociechy i rady.

A jednak nikt na te rozpaczliwe słowa Buńczuka nie dał odpowiedzi. Mikołaj znany bowiem był w wiosce jako psotnik, nieuczciwy, złośliwy, niespokojny chłopak. Ni to do

pracy, ni do książki, ni do zabawy z innemi chłopięty.... Gdzieś po dzikich przepaściach, w najciemniejszych miejscach boru przepędzał dzień cały, wysoki a chudy chłopiec, z włosem nierozczesanym, zjawiał się dopiero wieczorem do chaty i siadał nie mówiąc słowa do wieczerzy, po której zamykał się na noc w swojej komorze. Gdyby choć w nocy spokojnie leżał na miękkiej poduszce, co mu się Bogiem a prawdą za jego lenistwo nie należała — przeciwnie, jak się domyślił, że ojcowie pozasypiali, dalej na strych, a tamtędy przez dymnik na dach, a z dachu jednym skokiem na ziemię, świsnął na psy i nuż w drogę po sąsiedzkich sadach i grządkach.

O tych śmiałych a nieuczciwych sprawkach nikt prócz arendarza nie wiedział; pejsaty Szaja nie myślał też nikomu zdradzać tak dobrego kupca, który mu jarzyny, owoce, czasem kurczę lub gąskę za marnych kilka dudków sprzedawał. Uchodziły więc leniowi te sprawki, ale ten znając dobrze siebie i wiedząc, że się dłużej od większych sprawek nie powstrzyma, drapnął onego wieczora do miasteczka zostawiając rodziców w smutku, a całą wioskę w niepewności i domysłach. Jużto prawdę mówiąc, ani parobczaki ani dziewuchy nie frasowały się zniknięciem Mikołaja, pierwsi nie mieli z niego ani korzyści, ani dobrego towarzysza, z drugich żadna dotychczas za nim oczkiem nie rzuciła, a wszystkie „dzikiego Mikółkę“ jak go nazywano, nie lubiały.

Co się z nim działo?....

Rychło stanął w miasteczku.....

Jeden dzień, drugi, żył jako tako z kalety, co ją napełnił groszem Szai, lecz wnet się te skarby wyczerpały. Do drugiej niedzieli nie miał nic; — cóż miał tedy robić? albo przyjąć służbę, albo się wrócić pod ojcowską strzechę. Pójść w służbę dla pieszczonego chłopskiego dziecka, zdawało się za ciężkie i za proste; wrócić się do domu także nic potem, trzebaby przepraszać rodziców, spuszczać chytre oczy przed ludźmi a może się i spowiadać przed proboszczem!... Nie, nie... inaczej myślał „dziki Mikółka“; jego otumaniła ta piękna muzyka, co to huczała przed karczmą w miasteczku. Tam werbowali do wojska, była bowiem podówczas wojna

z Francuzem, a ludzi dużo potrzebowano. Mikółce podobały się te białe mundury i świecące guziki, nie wiedział bowiem, że za plamkę na mundurze i za rdzę na guziku, tęgo pan kapral grzbiet mierzył trzciną. Długi karabin, wysokie kasko, wszystko to zdawało mu się najwyższem szczęściem, które złapie w swe ręce, skoro tylko przystanie do wesołych kamratów.

Nieśmiało więc wsuwa się do karczmy i pyta jakiegoś wojaka, czyby go nie przyjęto do „regimentu,“ mówiąc dobrze, po naszemu, do pułku....

— Gut! gut! kolega! - krzyknie jakieś pijane żołdaczysko. — My cię wyabrychtujemy i będziesz dopiero fajny cesarski infanterzysta. Jaki ty głupi, żeś dotąd do nas nie szlusował! Co z ciebie teraz? gemajny cywil! co znaczy tyle, co nic... Chodź! napijesz się z nami sznapsa, a potem zostaniesz rekrutem...

Nie wiele tam Mikółka zrozumiał ze słów tego wojaka, jemu się zdawało, że to jakiś wielki oficer, a to tymczasem prosty taki sam jak on chłop, który się tylko swojej wiary wypierał, kiedy takim łamanym językiem do własnego brata przemawiał. Zapomniał on ojców mowy, a z nią razem stracił i poczciwość i prawe serce chłopskie. Odurzony wódką Mikółka w krótce naprężył się pod miarą, a za kilka godzin wraz z innymi równie jak on głupimi, popędzony został jak trzoda do kasarni, gdzie mu rzucono stary podarty mundur, rude buciska i czapkę, którą nie wiedział jak, którą stroną włożyć... O! smutne to były czasy dla Mikółki. Trzy miesiące go męczono, bito, zamykano, nim z rekruta zrobił się jaki taki żołnierz. Nieraz zgrzytał zębami ze złości, gdy mu guziczki, te śliczne guziczki, które dziś przeklinał, czyścić kazano, gdy pan kapral z potężną trzciną na sznureczku nie tylko siebie, ale i innych starszych pucować (jak się to w ich parszywym języku nazywa) mu kazał... A z tą egzecyrką niemała także była bieda. A to habtacht, to presentirt i fajer nie mało mu się dało uczuć. Czego łatwo pojąć nie mógł, to mu pomagał pan kapral trzcinką, a jeżeli co wielkiego zbroił, tedy cała kompania puszczała go ulicą

rózg! Nie godzi się nawet tłumaczyć tego dawnego srogiego zwyczaju, gdzie stu biło jednego. Nareszcie, nareszcie Mikółka po długim przeciągu czasu, znał wojskowy manir, umiał się ubrać, głowę trzymać jak kogut wyciągniętą, nogami ruszać zgodnie z innymi, przyuczył się mustry z karabinem, krzyczał na warcie gweraus i maszerował na paradzie przed jenerałem. Wtedy zapowiedziano mu, że jeżeli się będzie dobrze sprawował, może zostać frajtrem, a kiedyś, kiedyś kapralem!

Tymczasem wojna wrzała coraz goręcej, i pułk, w którym służył Mikółka, musiał także maszerować do obcego kraju, między obcych ludzi, gdzie kulki świszczą i lecą na człeka jak gradem... Choć był zły, ponury i zamiast siebie poprawić, coraz bardziej pomnażał swe błędy, przykro mu się jednak zrobiło, gdy coraz więcej oddalał się od rodziców, którym nigdy nie dawał wieści o sobie. Zapłakać jednak nie zapłakał, trochę pożałował.

*
* *

Biedni rodzice myśleli że zginął gdzieś i przepadł w świecie, aż tu tymczasem w pół roku po jego ucieczce dostali wielki opieczętowany papier, z którego wyczytali co następuje:

Drogie rodzice!

Piszę kurc, że jestem zdrów i get mir gut. Jestem frajtrem w 80 regimencie i zostaję w Italji. Byłem w szlachtunku ze 100 razy i jestem ganc gezund. Przesyłajcie pieniędzy, — ale dużo, bo waś pozwę do Gerichtu.

Wasz syn

Nikolaus Buńczuk

frajter przy 80 regimencie itd. itd.

Tak to napisał syn do rodziców, takim językiem do tych, co go w innej wierze wychowali; tak to nareszcie ośmiela się, grozić siwej głowie ojca ten, który porzucił swój kraj i zerwał z chatą ojców.

Niemało zdziwili się Buńczukowie tym listem. Mieli go prawie za straconego, a tu tymczasem Mikółka daje im

w podobny sposób wiadomość o sobie. Matka — jak zwykle kobieta z natury próżna nieco — chciała się tem przed ludźmi pochwalić, iż jej synek dostąpił tak wysokiego stopnia w wojsku, stary jednak, bywalec po świecie, nie wiele dla siebie pożytku wróżył z tych śmiałych słów syna. Szczególnie ten ustęp, w którym ów dopomina się o pieniądze, a w razie przeciwnym śmie grozić procesem siwej głowie ojcowskiej, zmartwił starego srodze, i na nowo rozranił świeżą bliznę. Wysłał więc Buńczuk synowi 15 złr., a na końcu listu dołożył przebaczenie ojcowskie za te niegodziwe postępki Mikółki. List doszedł w krótce Mikółkę, ten więc ośmielony powodzeniem i względami rodziców, począł coraz uparciej pisać i pisać, a gdy pisaniny jego nie skutkowały, groził procesami i t. p. a raz nawet zapewne w szatańskim obłędzie zemstą.

Tak się działo prawie przez rok cały.

Z początkiem nowego roku, listy stawały się co raz rzadszemi, w końcu przez dziewięć miesięcy Mikółka nie dał ani słówkiem wiedzieć o sobie.

Jak przedtem wielką zuchwałością syna, tak teraz znowu tem upornem milczeniem, sfrasowani Buńczukowie gryźli się i martwili coraz bardziej. Stary często nie wstawał z komory, a matka płacząc ustawicznie za straconym złym synem, pochylała się także co raz bardziej do grobu....

Po upływie dwóch lat, zjawił się w piękną wiosenną niedzielę Mikółka w chacie rodzinnej, ale przebrany i ułożony tak, iż nikt go poznać nie mógł. Nie był to zwykły, jak to nazywają u r l o p n i k, broń Boże! — Mikółka ubrany był w suknie miastowe, buty wysokie do kolan, jakiś surdut niemiecki z długiemi połami i obcisłemi rękawami, z żółtą chustką na szyi i jakiejś nieboskiej okrągłej, a wielkiej jak dno u beczki czapicy.

Ani rodzice, ani nikt z krewnych i znajomych poznać go nie mógł. Dziwnie bo się też teraz odmienił; wszedłszy do chaty przywitał rodziców słowami: Niech będzie pochwalony, upadł do nóg, ściskał ich i całował po rękach, aż się ojcom serce radowało.

Gromadę powitał przyzwoicie, parobczakom skłonił się trochę dumnie, a dziewczętom przyjaźnie z jakimśić uśmiechem na twarzy, które one po raz pierwszy u chłopskiego dziecka zobaczyły. Starsi dopytywali się go o powodzenie, a Mikółka skromnie i cicho o swoich wypadkach opowiadał, z czego się dowiedzieli, że został w wojsku kapralem, że jest na urlopie, a za dobrą i uczciwą służbę, kto wie czy go nawet nie uwolnią.

Rósł więc Mikółka w szacunku u ludzi, i poczęto się trochę szczerzej do niego przyzwyczajać.

Był jednak jeden człowiek, co temu nie wierzył, a to młody Stefan Łuk, chłopak giętki jak trzcina, piękny a młody, dobry i do hulanki i do pracy. Jeszcze kiedy się to razem na cmentarzu bawili, Stefan nie raz z Mikółką się zadzierał, gdy ten gnębił i chytrze podchodził młodszych od siebie. I teraz Stefan tak myślał sobie w duchu:

— Gdzie ten Mikółka tak się zmienił za dwa lata, on co był pierwej taki chytry, taki dziki, a dziś zupełnie inny, i korny i układny choć do rany przyłóż... Coś on knuje, coś chytrze postępuje....

Stefan kochał, a kochał prawdziwie córkę swego sąsiada szwarną Ołenę... Zakochani, jak to zwykle pomiędzy sobą szczersi i nie mający żadnych tajemnic, zgodzili się także na to, że Mikółka coś złego zamyśla; Ołena ostrożnie przeto unikała Mikółki, widząc że ten coś się bardzo koło niej kręci i do uszka radby coś poszeptać, a gdzie tylko może za rękę ściśnie... Stefan widział to wszystko, a tem bardziej się do Mikółki zniechęcił, gdy ten chatę ojców Ołeny coraz częściej nawiedzał; starał się przypodobać.

— Nauczę ja tego włóczęgę, — mruczał wściekły Stefan — nauczę ja go włazić w cudzą kapustę, gdybym tylko gdzie znalazł zaczepkę...

I ta sposobność w krótce nadeszła. Było to w czasie żniw. Wieczorem wracali żeńcy z pola, a u wrót spotkali czekającego spokojnie na Ołenę Mikółkę. Ten zbliżył się i rzekł:

— A cóż to, Ołenka nie pozwoli się odprowadzić do domu?

Usłyszał to Stefan i rzecze w lot:

— Ej mój ty miastowy paniczu, w swoim ciasnym kubraku, czego ty z nami nie wyjdziesz na pole zginać się nad kłosem, a teraz to ci się słodkiego mleka zachciewa? Wara od mojej dziewki, nie wielka sztuka po nią do wrót się potrudzić, pracuj z nami dzień cały, a potem nikt ci uśmiechać się do dziewcząt nie zabroni!

Mikółka poczerwieniał cały.

— Stefanie! Stefanie! nie obrażaj wojskowego człowieka, za mój honor....

— Za twój honor! — przerwał mu Stefan szybko — alboż ty masz honor? Chłopcy! powiedzcie kto się za Mikółką ujmie, niech wystąpi naprzód!

Nikt się nie ruszył. Parobcy z niechęcią spoglądali na Mikółkę, a dziewczęta zerkały przyjaźnie za odważnym Stefanem.

— Ej panie Stefanie! nie żartuj, będzie źle...

— A choćby mi jak najgorzej było, to ci zawsze powiem, żeś próżniak, głupi a nadęty jak paw, a gdy zechcesz, powiem przed gromadą to, co tylko ja i ojcowie twoi wiedzą, a co by wszystkim pokazało, jak jesteś podłym! Nie mam cię za nic! Chodźcie dziewczęta i parobcy. Daj rękę Ołenko!

Z śmiechem oddaliła się gromada żeńców, a Mikółka został sam u wrót, targając ze złości chustkę i gryząc sobie palce.

— O! poczekaj hamie! — mruczał sobie pod nosem, - ty mnie uczyć, mnie cesarskiego żołnierza! Ja się zemszczę na tobie, a Ołena, Ołena będzie moją!

Chyłkiem, gdy się ściemniało wszedł do chaty, a nazajutrz o świcie wyjechał do miasteczka. Wieczorem wrócił z radosną twarzą i starał się koniecznie przydybać gdzieś Ołenę. Znalazł ją koło krynicy, gdzie wraz z dziewczętami o wczorajszym rozmawiała wypadku.

— A dobry wieczór wam Ołeno!

— Moglibyście sobie schować wasze powitanie, panie Buńczuk.

— Ot nie bądz ty taka dumna i pyszna panno Ołeno!

patrz i twój pan Stefan był także dumny i pyszny, a dziś gdym był w mieście, w becyrku, słyszałem jak mówiono coś o brance... o panu Stefanie... a parobek pod miarę .. jak dąb... cha! cha! — i zaśmiał się złośliwie....

Dziewczyna zbladła i z płaczem pobiegła do domu.

W kilka dni rzeczywiście pozwano Stefana do miasta i wzięto go w kamasze. Mikółka cieszył się z tego w duchu, ale ludziom tego nie okazywał.

— Nie wiem jakim sposobem, — mówił on do ojca Ołeny, takiego poczciwego chłopca jak Stefan i jedynaka, zabierają do wojska.... jaka w tem przyczyna?

Znał on dobrze tę przyczynę, gdyż on sam poszedł do powiatu i tam przedstawił Stefana jako buntownika i niebezpiecznego we wsi. Kruczka tego nikt się niedomyślił, a biedny Stefan poszedł w rekruty.

Mikółka teraz co raz częściej oświadczał się Ołence, aż w końcu poprosił i ojców o córkę....

Ojcowie, nie znając go tak dobrze, nie wiedząc, że to z gruntu zły człowiek i nosi tylko przybraną skórę owczą, a sam jest wilkiem, zgodzili się na jego prośbę, ale dziewka ani chce słyszeć o nim.

— Nie pójdę tatuniu za niego, chociażbyście mnie krajali, on to mnie mego Stefana pozbawił, ja go nie kocham, nienawidzę Mikółkę... nie pójdę za niego... nie! I prośby i groźby nic nie pomogły, pan Mikołaj Buńczuk poszedł z kwitkiem, a Ołena także za innego nie wyszła za mąż, postanowiwszy czekeć na Stefanka, a choćby do śmierci.

Mikółka, a raczej już tęgi Mikołaj ze złości i na przekór Ołence, wybrał sobie najbogatszą dziewczynę w całej wsi i w pół roku z nią się ożenił.

Od tego czasu Buńczuk wszedł już pomiędzy gospodarzy i myślał tylko, jakby zostać przysięźnym lub wójtem.

Czy mu się to udało — zobaczymy.

(Dokoń. nastąpi.)

Nad kołyską.

Zielenią się pola, zieleni dąbrowa,
Kołysz mi się kołysz kolebko lipowa!
Kołysz mi się kołysz, od ściany do ściany,
Moja ty gwiazdeczko, syneczku kochany!

Osłonię kolebkę gałązką kaliny,
Będziesz spał jak w gaju zielonym ptaszyny.
Świeci złote słonko na błękitnem niebie,
Jabym to słoneczko zerwała dla ciebie.

Jabym cię chłopczyno jutrzenką odziała,
Całebym się życie w twe oczka patrzała.
Lecz jak smutnie kracze wrona z nad wierzbiny
Ach, nie płacz mi, nie płacz kwiateczku jedyny!

O jak wiatr zadzwonił wszystkiemi szybkami,
Jak żałośnie zawył kruczek za wrotami!
O jakże mi serce wystraszone bije!
Ach! nie płacz mi synku, ja twe łzy wypiję!

Wacław Rzewuski.

Przed kilku laty byłem na Ukrainie, dokąd mię sprawy rodzinne, a przytem także i chętka zwiedzenia świata zagnały. Kraj tam niby podobny do naszego, a przecie trochę odmienny. Ludności bardzo mało, wsie ogromne, ale chaty w nich, jedna od drugiej daleko, i licho pobudowane. Lud mówi językiem ruskim, który mało się różni od mowy naszych Rusinów w Galicyi. Pola uprawionego nie wiele, za to dużo pastwisk, czyli jak tam nazywają stepów. Step taki ciągnie się nieraz mil kilka, nawet kilkanaście, — jedziesz, a przez cały step ani chaty, ani nawet żywej duszy nie spotkasz, — chyba od czasu do czasu jakiego dziada wędrownego, co spieszy na odpust, albo też na koniu jak błyskawica przeleci ukrainiec, albo też gdzie spotkasz samotną chatę, otoczoną kilku drzewami, najczęściej nad źródłem wody; taką osadę nazy-

wają tam futorem. A przecież dawniej lepiej i weselej było na Ukrainie. Dlaczegóż to? bo dawniej Ukraina do Polski należała, i swobodę miała pod polskim rządem. Dziś, tak jak wiele ziem polskich, tak i Ukrainę zabrali Moskale i gospodarują w niej po swojemu. Niegdyś Ukraina była jakby murem, który Polskę i resztę świata od napadów Tatarów i Turków ochraniał. Mało było ludu osiedlonego na Ukrainie, ale



Wacław Rrzewuski.

byli tam kozacy, ludzie wojskowi, nieżonaci, którzy z wojny z Tatarami i Turkami żyli. Do tego wojska kozackiego należeli Rusini i Polacy, a dzielne to i nieustraszone było wojsko. Na stepach ukraińskich, jak dziś, tak i w tenczas wypasały się stadami dzikie konie, bardzo piękne, silne i szybkie.

Kozacy ujeżdżali te konie i na nich cudów wojennych dokazywali.

Gdy nieszczęścia naszą ojczyznę przygniotły, i Moskale dużo kraju naszego pozabierali, wówczas wielu Kozaków biło się przeciw Moskalom i drogo swe życie za Polskę przedawali. Po przegranych bitwach, część Kozaków Moskale ujarzmili, w dalekie kraje wysłali i sobie służyć kazali. Druga część uciekła do Turcyi, bo wolała służyć chociażby Turkom poganom, niż Moskalowi. Między tymi był i Wacław Rzewuski, którego obrazek nasz przedstawia. Przybrał turecki strój, jak to widzicie na obrazku, i w głęboką się puścił Tureccyzznę, bo aż do kraju arabskiego. Tam długie lata żył z Arabami, a wciąż tęsknił do swej nieszczęśliwej ojczyzny, gdzie mu wracać nie było wolno. Pokochał dziewicę turecką, lecz nie mógł się do kraju tego przyzwyczaić, nic mu drogiej Polski zastąpić nie było w stanie. To też na pierwszą wieść o powstaniu w Polsce, o wojne z Moskalem, Rzewuski żegna dziewicę turecką i spieszy do Polski na krwawy bój. Turczynka z żałości chce sobie życie odebrać, chce sobie serce przebić nożem ostrym, co go sztyletem nazywają. Rzewuski wydziera jej ten sztylet ostry, kończasty, — ostatni raz ją uścisnął i poleciał na wojnę. Z nim jego wierni kozacy. Ogromnie przestraszyła się Moskwa, na wiadomość o przybyciu Rzewnskiego. Był to bowiem zuch nad zuchy. W nocy, pocichu podkradał się pod obozy moskiewskie z swoimi kozakami i kropił Moskali co się zowie. Nieraz bywało, każe koniom kopyta płachtami poobwijać, aby się cicho mógł podkraść. I długi czas mu się wiodło; Moskali poturbował nie mało. Aż przyszło i na niego nieszęście. Nadszedł dzień bitwy pod Daszowem. Rzewuski z kozakami cudów dokazywał, — Moskale już prawie pobici byli, — wtem na nieszczęście dowódzca od armat przez pomyłkę zły dał rozkaz, wojsko się źle ustawiło, i bitwa przegrana. Ten sam dowódzca armat, nazwiskiem Orlikowski, gdy zobaczył, że z jego winy bitwa przegrana, zabolał ogromnie, i na armacie się zastrzelił, aby tego wsydu nie przeżyć.

Po przegranej bitwie Rzewuski ostatni opuścił plac boju.

Ze złamanem sercem, sam jeden, na wiernym tylko koniu wracał do Turcyi. Noc nadeszła. Rzewuski zmęczony upatrzył samotną chatę na stepie, — konia uwiązał przed chatą, a sam wszedł, aby snem się pokrzepić, i trochę żalu zapomnieć. Po tylu trudach zasnął twardo. Śpiącego zastał w chacie chłop, — poznał po ubiorze, że to Rzewuski, za którego głowę car moskiewski taką nagrodę naznaczył. I złakomił się niecnota, — szatan mu zawrzał w piersi, a nadzieja pieniędzy przygłuszyła sumienie. Wyrwał sztylet z za pasa Rzewuskiego, ten sam sztylet dziewicy tureckiej — i przebił nim pierś walecznego obrońcy Ojczyzny.

Tak skończył ten dzielny bohater — Moskwa uradowała się jego śmiercią, — a po Polsce całej żal przeszedł i smutek, że znów jednego z najlepszych utraciła synów.

Stach ze Lwowa.

Gospodarstwo wiejskie.

Mięso świeże, dopóty dobre, dopóki nie wydaje cuchnącej woni, a to ma się rozumieć o każdem mięsiwie domowem z bydła, trzody i drobiu, gdy przeciwnie dziczyznę wolą lubownicy skruszałą i trochę już cuchnącą. Wszystkie bez wyjątku mięsiwa można peklować czyli marynować z solą, saletrą i korzeniami, albo wędzić, najlepiej jałowcem, tak przysutym popiołem, żeby jałowiec ogniem się nie palił, tylko ciągły a wolny dym wydawał. Jeżeli mięso wędzone zanadto zeschnie lub woń nieprzyjemną wydaje, trzeba je, obwiązawszy w stare płótno, w popiół albo w ziemię wilgotną do 24 godzin zagrzebać kilka cali głęboko. Doskonale przechowują się wędliny rozwieszone w nieopalanym piecu, założywszy otwór jego cegłami, starannie zalepiwszy wszystkie szpary gliną, żeby powietrze nie miało przystępu.

Dalszy ciąg książek ludowych,

których można nabyć w „Księgarni Polskiej“

we Lwowie.

Niemcewicz. Spiewy historyczne.
— O sposobie poznawania mleczności krów.
— Pielgrzym w Dobromilu, czyli nauki wiejskie z dodaniem powieści.
Piotrowicz. Okólnik o gwałtach moskiewskich w kościele katolickiem.
— Dwa listy o prześladowaniu kościoła katolickiego.
Rarey. Sposób obłaskawienia koni.
Schmitt H. Szkic historyczny dziejów 30letniego panowania Stan. Augusta, popularnie napisany, z 28 rycinami. W książeczce tej opisane życie ostatniego króla Stanisława Poniatowskiego i sposoby, jakich używali Moskale i Prusacy, aby Polskę zgubić i między siebie rozdzielić. Sławny polski dziejopis Henryk Schmitt, który kilka lat poświęcił na zbadanie historyi ostatnich chwil bytu Polski, wydał obszerne dzieło, a na pamiątkę stuletniej rocznicy rozbioru, napisał dla szkółek wiejskich i dla wieśniaków mniejszą książeczkę pod powyższym tytułem, przystępnie zwięźle. Rolnicy, którzy nie mają czasu, ani też tak wielkiej nauki, aby czytać obszerne książki, mogą się ztąd poznajomić dokładnie z historyą rozbioru Polski. Polecamy to dziełko najgoręcej.
Siemiński L. Wieczory pod lipą.
Skoczek. O szkole ludowej.
Smiles. Prawdą a pracą, czyli pomagaj sam sobie. 2 Tomy.
Spiewnik do użytku wszyskich chrześcian.
Szewczenko. Najemnica.
— Kobzarz.
Szkółka niedzielna dla włościan.
Szujski. Obrona św. Częstochowy.
Turkułł. Pędzenie smoły i terpentyny.
Turski. Ostatnia wola.
Zbrożek. Władysław Łokietek.

Od redakcyi.

W W. Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franc Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 tal. 15 sgr., półrocznie 23 sgr., kwartalnie 13 sgr.

Redaktor i wydaw. odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni Karola Budweisera.

Nr. 12. 20. Kwietnia 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje z przesyłką
pocztową w państwie
Austryackiem 2 złr.
rocznie, 1 złr. półrocznie
W Prusach 2 tal.
r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O WYSTAWACH.

W dawnych czasach narody nie znały się nawzajem. Nie było dróg żelaznych i bitych, dobrych gościńców — dlatego podróż do dalekich krajów trudną była i mało kto mógł wybrać się w drogę, aby poznać dalekie kraje. Nie było dawnemi czasy gazet i dzienników — książek nie wiele pisano, a i te, które były, sprzedawano drogo.

Nie mogli więc ludzie przez drukowane książki poznać lepiej oddalone ludy.

Wojny tylko zbliżały do siebie obce narody. I Polak z Niemcem albo Moskalem i Turkiem poznawał się wśród huku strzałów armatnich i blasku łun palonych siół i miast. Nawet synowie jednej ojczyzny nie wiedzieli o sobie. Litwin śpiewał tylko o pięknych Laszkach i murowanych dworach Polaków. Rusin opowiadał o rysich skórach Litwinów, o puszczach ich bezdennych, o wężach, które Litwin czcił jak Bogi domowe.

Powoli zmieniły się czasy i ludzie się zmienili.

Oświata i za nią idące bogactwo wzrosły z postępem czasu, usunęły się przeszkody tamujące zbliżenie się wzajemne narodów, i narody zapragnęły poznać się nawzajem.

Naród — jak człowieka poznasz po pracy jego i po

owocach tej pracy. Jeżeli chcesz poznać rolnika — przypatrz się jego gospodarstwu. Jeżeli rola dobrze uprawiona, jeżeli domostwo schludne i bogate, jeżeli w ręku dzieci zobaczysz książeczkę, a starego gospodarza zastaniesz przy pracy lub uczciwej rozrywce, a nie przy próżniactwie lub hulance, to powiesz, że to dobry gospodarz.

Chcesz poznać rzemieślnika — spoglądnij na jego warsztat.

Kupiec — jeżeli chce, aby u niego kupowano — „wystawia“ towary swoje za oknem sklepu, a ludzie widząc, że dobre ma towary, kupują u niego i chwalą dobrego kupca.

Chcesz poznać nauczyciela dobrego, idź do szkoły i zapytaj dzieci. Jeżeli będą odpowiadały dobrze i przekonasz się, że wiele umieją, powiesz: to dobry nauczyciel.

Widzimy więc, że wartość każdego człowieka poznaje się po dziełach jego — po tem, co własną pracą wykonał.

Tak samo z narodem. Ten naród nazywamy narodem żyjącym, którego synowie i córki pracą swą przyczyniają się do bogactwa i świetności ojczyzny.

Gdzie sioła bogate, pola pięknie uprawne, gdzie miasta wielkie i zamożne, w których huk młotów i turkot maszyn miesza się z głosem nauczyciela uczącego młode pokolenie, gdzie nie widzisz żebrzących tłumów obok rozwiozłych i marnotrawnych bogaczów, gdzie lud wolny, mądry i zamożny, tam mieszka naród szczęśliwy i potężny.

Naród taki szanują obcy. Jak człowieka uczciwego, który pracą swą zdobył sobie imię i majątek — a majątku tego używa dla dobra swych braci, — wszyscy ludzie kochają i szanują, tak samo poważają i cenią narody wszystkie ten naród, który pracą swych dzieci zdobył sobie wielką potęgę i siłę, a potęgi tej i siły używa dla dobra innych narodów. Ale w jaki sposób naród taki da poznać się światu?

Różne są środki po temu.

Dobre drogi i gościnność narodowa zachęcają cudzoziemców do zwiedzania dalekich krajów.

Pożyteczne książki i pisma rozchodzą się w świat i roznoszą daleko sławę narodu.

Naród szlachetny wspiera w niedoli i nieszczęściu obce mu ludy i zyskuje tem sobie w dzięczność i uznanie.

Ale i inny jeszcze jest sposób, którym naród może się dać poznać światu.

Środkiem tym są wystawy powszechne. Już powiedzieliśmy, że kupiec albo rzemieślnik, jeżeli chce się dać poznać ludziom, — wystawia towary i owoce pracy swojej na widok publiczny.

Tak też naród — może urządzić „wystawy owoców pracy swojej.“

Na miejscu przystępnem, do którego dobre prowadzą drogi, wystawiają rolnicy, rzemieślnicy, kupcy, fabrykanci itd. każdy to, co sam wypracował, na widok publiczny:

Cudzoziemcy przyjeżdżają, oglądają wystawę i podług tego, co widzą, sądzą o narodzie.

Przypatrując się jego pracy, uczą się go szanować i cenić, jak na to zasługuje.

Jaką korzyść przynosi takie poznanie się dwóch narodów, zaraz zobaczymy.

Dwa wielkie sąsiednie sobie narody, — Francuzi i Anglicy, — żyły z sobą w wiecznej niezgodzie i walce.

Przed kilkunastu laty urządzili Anglicy pierwszą wystawę powszechną w stolicy swojej, Londynie.

Francuzi odwiedzili gromadnie tę wystawę. Przekonali się, że Anglicy, o których dotąd tak źle myśleli, są narodem bardzo pożytecznym, i że się od nich wiele nauczyć można.

Zapaliła się w Francuzach chęć dorównania Anglikom. Wzięli się więc ochoczo do pracy i w lat kilka urządzili u siebie w Paryżu wystawę powszechną, a świat przypatrując się płodom ich pracy, zdumiewał się i podziwiał ten wielki naród, który w sobie wyrobił tak wielką potęgę i stworzył wiele rzecy pożytecznych całemu światu.

Anglicy i Francuzi poznali się wzajemnie, nauczyli się szanować nawzajem, ustały ich dawne walki, a zapanowała zgoda, dla obu narodów korzystna.

Oto macie dwie wielkie korzyści z wystaw powszechnych, t. j.: pierwszą korzyść, że narody poznawają

się nawzajem; drugą, że narody mniej oświecone uczą się od drugich pożytecznej pracy.

Jest jeszcze wiele innych korzyści z wystaw powszechnych. Wystawcy otrzymują nagrody za przedmioty wystawiane. Sława ich rozchodzi się w kołach szerokich, przez co znajdują pokup.

Otóż nowa korzyść. Do kraju, który wystawił lepsze płody swej pracy, niż inne kraje, zjeżdżają cudzoziemcy i robią zakupna liczne.

Przestajemy na tych kilku uwagach o wystawach.

W przyszłym numerze pomówimy o wystawach krajowych.

MIKOŁAJ BUŃCZUK

Zdarzenie prawdziwe,

opowiedział **Ta. Cza.**

(Dokończenie)

Że się Buńczukowi te zamysły nie powiodły, mówić zdaje się nie potrzebujemy. Zanadto w świeżej pamięci mieszkańców Wilkowiec tkwiła dzika i nieprzyjemna postać Mikółki, kłótnią z Stefanem Łukiem ciągle go drażniono i przy lada jakiej sposobności nawet młode parobczaki, chłystki małe, wyrzucały panu byłemu kapralowi tę wielką przegraną bitwę.

To też zamiary jego spełzły na niczem, ale dumny, chciwy i chytry Buńczuk nie dał się tak łatwo od raz powziętego celu odstraszyć. Chciał dopiąć najwyższego zaszczytu, jakim gromada wzorowego gospodarza obdarzyć może, postanowił to i przysiągł sobie, jakim bądź sposobem dojść do tego koniecznie. Skończyła się ta cała historya na tem, że tylko kilku niebardzo sumiennych a podobno miękkiego serca i słabej głowy gospodarzy, dało swe za nim głosy.

Buńczuk udawał, że nic nie wie o tem, że się tylko przypadkiem dowiedział o wyborach, chociaż niepomyślnych, ale w duchu u siebie klął na czem świat stoi, że go nie wybrano; biedna żona i stary ojczysko — matka już nie żyła — nasłuchali się jego przekleństw i złorzeczeń do syta.

— Ustąpiłem, — mówił do siebie — ale ustąpiłem tylko na chwilę, czekajcie ja was jeszcze wszystkich w pole wywiodę, i radnym i wójtem, a jak zechcę to i posłem zostanę, tak będziecie tańczyć, jak wam zaśpiewam! Wy mnie z młodu dzikim nazywali, stroniliście odemnie, czekajcie! przyjść może czas, kiedy wy do mnie uśmiechać się będziecie, a ja was z nienacka podejdę i tak was wszystkich przewyższę i tak was przerosnę, jak krzyż cerkiewny najwyższą topolę.

Postanowił więc teraz odmienniej działać.

I co też zrobił takiego pan Mikołaj Buńczuk, że w przeciągu dwu lub trzech lat gromada przyzwyczaiła się do niego, a rok za rokiem zaczęła nawet darzyć go łaskawie dobrem słowem, życzliwem spojrzeniem i łagodnem uśmiechem. O! dali się podejść chytremu Buńczukowi. Jak bo też on umiał w cerkwi modlić się przykładnie, pracować na polu skrzętnie i cicho, do karczmy, zda się, nie znał nawet drogi, słowem najpoczciwszy kmieć, człowiek jakich mało, lecz to był tylko fałsz, fałsz, udanie które znało dwoje ludzi, żona i ojciec. Biedna żona, sługa i najemnica tego chytrego człowieka, nie śmiała i lękała się zwierzyć komu serdecznie, a stary przygnieciony tem ciężkiem brzemieniem losu, milczał i tylko wzdychał żałośnie i ciężko.

Przyszła drugi raz kolej wyborów. Wszystkie głosy padły na Buńczuka, gromada tak mu uwierzyła iż wybrała go do koła radnych, a ci zrobili go wójtem. Podniósł już wyżej głowę pan Mikołaj Buńczuk, poufalił się więcej z profesorem, a więcej szorstko odpowiadał tym biedniejszym, których niedawno słodko sam pierwszy zagadywał.

— Zrobiliście mnie wójtem, zrobicie jeszcze czemś więcej.

Tu zaś w miarę zaszczytów, wyrastała jeszcze inna żyłka, chciwość do pieniędzy. Chciwym, niezmiernie chciwym był pan Mikołaj Buńczuk, a chociaż sam miał dobry mająteczek, chciał go jak najrychlej jakim bądź sposobem pomnożyć.

Drugiego więc roku swego wójtostwa, kiedy rozeszła się wieść, a nareszcie i pismo urzędowe uwiadomiło o zbliżających się wyborach, pan Mikołaj zwołał całą gromadę i w długiej

a chytrze ułożonej mowie pierwszy raz podniósł głos przeciw dworowi, mówiąc dobitnie a śmiało: patrzcie tam utonęły nasze lasy i pastwiska!

Otóż i wylazło szydło z wora! A więc widzicie, że w tę strunę uderzył poczciwy pan Mikołaj Buńcznk, w strunę, której dotąd dla zacnych i dobrych państwa, dla świętego spokoju, poszanowania cudzej własności i praw, w Wilkowcach nikt nawet nie tknął.

Pierwszy pan Mikołaj Buńczuk ośmielił się coś podobnego zrobić.

Mało nie omdlał z przestrachu biedny proboszcz, gdy o tej wiadomości usłyszał, począł się trwożyć o swoją owczarnię i rzeczywiście miał przyczynę.

W wiosce działy się niepojęte rzeczy. Gospodarze naradzali się między sobą po całych dniach w karczmie, nie pomnąc, że św. Bartłomiej za progiem, a żyto siać trzeba, parobcy tem próżnowaniem starych ośmieleni, snuli się po wiosce, dziewczęta zaś wyglądały z okienek chaty, czekając ciekawie końca tej całej sprawy. Już nawet krzyki pijących za zdrowie p. Mikołaja i na pomyślność podjętej sprawy poczęły się odzywać, słowem w gromadę jakby kto djabła prost z piekła wypuścił w sam jej środek.

Kłaniano się wtedy co raz niżej panu Mikołajowi, a pan Mikołaj podnosił za to coraz bardziej głowę do góry; raz nawet zdybawszy proboszcza, nie uznał za potrzebne uchylić przed nim czapki. Wtedy to, a było to prawie trzy tygodnie, przed wyborami, wybrał się pan Mikołaj Buńczuk w podróż po całym powiecie, chcąc jak to mówił, „agitować“ czyli mówiąc pd prostu pojechał obałamucać naród.

Zaraz w pierwszej wsi stanął pan Mikołaj Buńczuk obozem, a przedstawiwszy się gromadzie jako „kandydat“ (czyli zdolny na posła) rozpoczął obałamucać ludzi, wystawiając im jakieś lasy, z których krzaka nikt nigdy nie widział i pastwiska, na których nawet gęś trawki nie uskubnęła. I tak od wsi do wsi jeździł pan Mikołaj, wszędzie jednakowo a śmiało rozprawiając.

— Posłuchajcie tylko mnie Szanowni gospodarze, — mó-

wił on, — odbierzmy to co nasze, na co pan ma mieć, a my nie! Widzicie, ja człowiek bywały, nie z jednego pieca chleb jadłem, ja wam oddam, ale wy musicie mnie swoim zastępcą zrobić, musicie mnie posłem wybrać, wtedy pojadę do cesarza, tam mu do nóg padnę i naszą podam prośbę. Więc wszyscy, choćby znakiem krzyża podpisujcie te arkusze a każdy na koszta niech da po dziesięć grajcarów od głowy, a zato będziecie mieli i lasy, i pastwiska, i drzewo, i paszę, a panom od naszego za się!

Nareszcie, kiedy nie tylko pierwszy lepszy ale i wszyscy, cały powiat prawie, dawszy się obałamucić, napełnił kieszeń pana wójta Wilkowiec, ten z pełną kiesą, a dumny, wracał do swojej wsi. Tu gospodarze, słysząc jak to się jemu dobrze powodzi, i jaki on to honor robi gromadzie, co ma takiego wójta, przyjęli go w karczmie, niby na ucztę go zapraszając.

Skorzystał na tem najlepiej Szaja, gdyż nicponie i próżniaki, nie robiąc teraz nic i spuszczając się na jakieś lasy i pastwiska, a chcąc pić, co najlepszego z dobytku pozastawiali, a tak woły, krowy, drób itp. przeszły w garnce, kwarty i kieliszki.

Próżno ksiądz proboszcz wzywał gromadę do pracy i porządku, zły duch ją wyraźnie opętał, a zamiast do cerkwi, już prawie połowa ciągnęła do karczmy.

Nadszedł nareszcie dzień wyborów. Pana Mikołaja już we wsi nie było; uwijał się po miasteczku z pisarzami pokątnymi, z diakami bez służby i z tem śmieciem miastowem, co się to zawsze człowiekowi w mieście natrąca, a które tylko panu Mikołajowi mogło być potrzebne.

I księżom, i gospodarzom, nawet i babom i parobkom kłania się pan Mikołaj, tego za rękę ściśnie, tamtego nazwie kumem, choć mu nigdy do chrztu nie trzymał, z trzecim się poswatał, a innym bardzo wielu zapłaci po jednym i drugim półkwaterku. I czy uwierzycie — kręcił, kręcił i wykręcił sobie poselstwo; wprawdzie zgłosili się tam do protokołu o wyraźne przekupstwo i inne jakieś tam nieczyste sprawy — dość że pan Mikołaj dopiął swego i został posłem.

Gdybyście tylko widzieć mogli, z jaką to twarzą wjeż-

dżał do wsi!... sam Monarcha po konoracyi tak się na swoich pewno nie popatrzył.

— Teraz — myślał — dopiero was za łeb wezmę, zobaczycie chamy, co mogę.

Wjeżdża do sioła, stoją gospodarze, parobki i dziewczęta, a czekają na wójta, bo czekać na siebie rozkazał.

— Jak się macie! — krzyknął nowy pan poseł, — czegóż się nie cieszycie i stoicie jak cielęta!

Poruszyli się na te słowa gospodarze, wtém z grona parobczaków występuje jakiś dzielny chłopak w sukmanie i rzecze:

— Pytasz się panie Mikółka, czego stoimy jak cielęta, nie dziwcie się, bośmy zobaczyli najstarszego woła!

— Co?! co?! coś ty za jeden?

— Nie poznajecie mnie? to ja ten sam, co to pod wrotami.....

— Stefan Łuk?! — krzyknął Buńczuk.

— Ten sam do usług pana posła....

— Ja cię każę szupasem odesłać, ty włóczęgo!

— Ej zwolna panie pośle... zwolna, tylko grzecznie, bo ja tam bardzo na godność nie zważam!

— Ty mi śmiesz grozić? w jaki ty sposób do mnie przemawiasz? kapelusz na głowie?...

— O panie pośle! wy mnie w tém siole witacie, więc powinniście wasze czółenko zdjąć z głowy — to mówiąc zrzucił Stefan Buńczukowi jego szwabską czapkę...

— Podejm włóczęgo!

— Patrzcie tu w moje papiery, a przekonacie się czym włóczęga, a czapkę możecie sobie podnieść sami ...

— Co? ty sierżantem?... a przepraszam, przepraszam... dwa medale.... przepraszam, przepraszam...

— Widzicie więc panie Buńczuku, czem jestem, a teraz pozwolicie, że wam już drugi raz muszę ostrą prawdę powiedzieć, a zarazem całej gromadzie otworzyć oczy. Głupia gromada, co się wam daje oszukiwać; czy to wy może poczciwi, czy pracowici? — to wszystko udane zmyślone, tak jak we wszystkich sprawach waszych prawdy nie ma; wyłudziliście

grosze — na co? oto, żeby wpłynęły do waszej kieszeni, ci co was wybrali, byli odurzeni gorzałką, przekupieni, mówię to wam śmiało, aby się cała gromada przekonała, jaki ją obałamucił człowiek, wy zburzyliście spokój wioski, postawić chcieliście mur między poczciwym panem a ludźmi, to podle, — a człowiek który się tego dopuszcza, jest bez Boga, sumienia, wiary, — podły!

Nie mógł i słowa na to powiedzieć pan Buńczuk; zdawało mu się, że piekło roztwiera się pod jego nogami, pierwszy raz zbudzone sumienie poczęło go trapić, a nie wiedząc co z sobą począć, nasunął czapkę na głowę i szybko uciekał do domu.

— Patrzcie! — mówił Stefan, — to człowiek, któremu zaufaliście! Powiedziałem wam i jemu prawdę, bo miałem prawo, jako syn tej wioski, któremu dobro jej bardzo na sercu leży. Widzicie jak ucieka, tak on myśli, że za nim goni sumienie, złe duchy... czegoż tu stoicie? dajcie sierp, rydel lub cep do ręki, mnie praca nie obcą, ale wy się od niej nie macie prawa odzwyczajać! Tam u obcych ludzi przekonałem się, że pełne złota kieszenie w obcym kraju, więcej ciężą i trudzą, niż praca na własnym zagonie.

Mądre słowo Stefana trafiło do przekonania obecnych, cicho rozmyślając nad mową Łuka rozeszli się do domu, by powrócić do prac i zatrudnień codziennych.

Buńczuk zabiegł wściekły do swojej chaty.

Patrzy, a tam na stogu stoi stary ojciec i poprawia zaniedbane przez syna snopy, co się już psuły.

— Wy tam po co stary? — zapytał Buńczuk ojca.

— Nie pilnujesz synu gospodarstwa, choć stary muszę tak ciężko pracować....

— Wyby może darmo chleb jedli... ej, stary, wypędzę z chaty!...

— Synu! synu! co mówisz, nie boisz się Boga?...

— A niech on was tam pilnuje na górze i pomoże zleść na ziemię, ja drabiny nie dam, skaczcie tatuniu...

Synu! co robisz? Boże? co ci jest?

Co? mnie ludzie dręczą... ja was dręczyć będę... cha.. cha!

I śmiał się tak długo, a poderwawszy drabinę uciekał z toku.

Stary począł wołać o pomoc. Sąsiedzi zbiegli się na ratunek, podali drabinę, nie mając dość słów oburzenia dla nieludzkiego i bezbożnego dziecka.

Pan poseł siedział, a raczej jakby czemś przytłoczony leżał na łóżku w komorze. Tak przesiedział noc całą. Ze świtem zaprzągł konie i jechał do miasta. W tém nad parowem zamyślony Buńczuk wypuścił konie nie uważając, jak nad samym brzegiem pędziły. Jakby ze złości zaciął je silnie; te skoczyły w bok, i wóz stoczywszy się w parów, zniknął w głębokich zaroślach. Na drugi dzień znaleziono Buńczuka zgniecionego i zmienionego do niepoznania.

Tak widzicie zginął ten, który najwyższych dla wieśniaka dostąpił godności, ale tylko przez łatwowierność i niemoc gromady. Ta dostała dobrą nauką i wybrała pewno Stefana na wójta. Takich naczelników wszystkim gromadom życzymy, niech się jednak nie dadzą zwodzić takim Buńczukom!!!

Powitanie Sobieskiego przez cesarza Leopolda.

Wiedeń w r. 1663 w wielkim od Turków był ucisku, wojska cesarskie już go odstąpiły, nie mogąc wytrzymać, bo zaraz w pierwszej potyczce Niemców nacięto, nabrano i z pola zegnano. Wiedeń atakowano, dziury w murach porobiono, szańce minami porozrywano, miny pod miejskie bramy pozaprowadzano, że już Wiedeń ledwie oddychał; właśnie kiedy owo mocny słabego nasiędzie, i za gardło ściśnie, już ów nie myśli, żeby mu się wydarł, ale tylko, żeby u niego wyprosił miłosierdzia. Była prawda w Wiedniu załoga wielka, komendant dobry, armaty i prochów dostatku, żywności też dosyć. Ale cóż, kiedy to przeciw teraźniejszym wynalazkom dobywania twierdz, już nie masz i jednej pod słońcem fortecy, żeby własnem męztwem wytrzymać mogła. Insza to bywało

owych lat, że kamykami, a oszczepami do siebie ciskali; a insza teraz, kiedy to granaty, bomby i kartacze wypuszczą. kiedy z okrutnych kartanów kule jak cebry wylecą, kiedy uczynią deszcz ognisty i przez łosią skórę i przez wszystkie



ubiory ciało aż do kości przenikające, i jak świderkiem wiercące; kiedy na ostatek rozumiesz, że bezpiecznie stoisz na ziemi od Boga i natury mocno ugruntowanej, a nie wiesz, co się pod tobą dzieje, że w tej minucie, i z miejscem, na którém stoisz, i z domami, z kamienicami potężnie wymurowa-

nemi, jak mucha wylecisz z dymem pod obłoki. Już teraz forteca na to potrzebna, żeby furman nie wyjechał przededniem z miasta, w gospodzie nie zapłaciwszy siana, albo, żeby pana burmistrza nie porwał śpiącego; ale, żeby miała która wytrzymać dobywanie, nie masz jej. Tak i wiedeńska forteca. Ktoby spojrzawszy na piękność i fortyfikacyą jej nie pomyślił, że takiemu dziełu chyba Boska, ale nie ludzka dokuczyć może ręka. Oto przez krótkie we dwóch miesiącach oblężenie, jaką poniosła hańbę, kiedy niepokonana, ale ściśniona i już do ostateczności przychodząc, już w swoich zachwiana siłach, już od pana i narodu swego wszelkiej pozbawiona pomocy: bo tak byli Niemcy zhukani, i serce stracili, że się i samym Tatarom założyć nie umieli, nie tylkoby Turkom. Rąbano w każdém porwaniu, jako drwa Niemców nieboraków. Wiednia tedy, jak mówią, już nic nie trzyma, tylko jedna nadzieja posiłków wojska polskiego, o którém przecie miewał wiadomość Staremberg przez skrytych szpiegów, od cesarza posłanych. Już tedy niebożęta owe dziury powybijane i prochami powyrzucane, piersiami tylko swemi zasłaniali, a poddanie odwłóczyli ode dnia do dnia, już dawno postanowione. Wiedzieli i Turcy, że Polacy idą na pomoc, albo raczej na odsiecz, ale temu nie wierzyli, żeby sam król w osobie, żeby całe wojsko, ale sądzili, że pewna część wojska, dlatego sobie powoli poczynali, i nie zbyt spieszyli z wzięciem tej fortecy, mniej się obawiając tych posiłków i biorąc miarę: „jeżeli tak wielkie wojska jak niemieckie pierwszego zaraz natarcia wytrzymać nam nie mogły i teraz w oczy zajrzeć nie śmieją, choć im o stolicę państwa ich chodzi, choć przy swoich śmieciach, pewnie i ta mała garść polskiego wojska nie zwojuje nas.“ Już tam był u cesarza Lubomirski z tymi Polakami, których za cesarskie pieniądze zaciągniono, i dobrze tam stawali. A po staremu, Niemcy dawali im dobre słowa, ale się to działo dobrym wodzem. Kiedy tedy król wybierał się na tę wyprawę, była ochota we wszystkich ludziach taka, że dusznoby było i ptakiem jako najprędzej przylecieć. A znak to już był przyszłej fortuny. Nawet sam król z taką jechał wiarą, jak po pewne

i nieomylne zwycięztwo. W ten dzień, kiedy już miał z Krakowa wsiadać na koń, słyszano z ust jego słowa: „Boga proszę, żebym ich tam tylko zastał, niech nie trudno będzie w Polsce o tureckie konie.“ Znać, że to mówił z ufności w Bogu, kiedy się tak stało. Oczekiwał król na wojsko litewskie długo, a tu lecą od cesarza poseł za posłem, prosząc dla Boga, żeby pośpieszyć, bo Wiedeń ginie. Poszedł król, królowę zaś w Krakowie osadził. Jak król wyszedł za granicę, żywności na wojsko wielkie dawano i wygody czyniono. Szedł jednak król z wojskiem z wielkim pośpiechem, obawiając się, żeby Wiedniowi nie była po wojnie pomoc, któremu też już natenczas Turcy, jak się dowiedzieli o następującém blizko polskiem wojsku, mocno poczęli dogrzewać. Bo dowiedziawszy się cesarz turecki, o wymarszu króla polskiego, posłał emira do wezyra pod Wiedeń, i zaraz mu posłał postronek, i zaraz upewniając go: „że cię ten postronek nie minie na szyję, jeżeli w tych dniach Wiednia nie weźmiesz; bo tobie się zachciało tej wojny, tobie też za to odpowiadać, jeżeli niepomyślnie pójdzie.“ Toż Janczarów przekupował, poił, żeby odważnie stawali; niewolników przodem przed Janczarami gnał do szturmów; sam jak wściekły latał. Ten postronek włożywszy sobie na szyję, zaklinał, prosił przez wielkiego proroka Mahometa, aby pamiętali na sławę niezwyciężonego narodu swego, aby pomnieli na jego zgubę, której nie minie przez ten powróz, który na szyi nosi, jeżeli Wiednia nie dostanie. To te pogaństwo oślep na ogień lazło, a jak snopy padało. Kiedy już król z wojskiem szedł do Tulna, wtenczas oni najpotężniejsze szturmy czynili. Nawet choć już stanęło wojsko, już się pułki nasze zwierały, przecie on Janczarom szturmu poprzestać nie kazał, a konne wojsko Sipahlerów (Szpalierów), Tatarów na nas obrócił. Uderzyli się Tatarowie raz i drugi o naszych, potem stanęli sobie osobno. Posyła po hana i pyta go: „Cóż ty rozumiesz, jeżeli tu jest król polski?“ Han powiedział: „I rozumiem, i widzę, że jest; bo kiedy są ci drążnicy, to i król musi być.“ Rzecze wezyr: „Radź o mnie!“ Han odpowiedział: „Radź ty sam o sobie, a ja też o sobie; wszak ja tobie dawno radził, żeby było

dawno odstąpić od Wiednia, nie czekając Polaków." Skoczywszy od wezyra do swoich: „Allah, allah!" Zaraz jak piłką rzucił poszli Tatarowie; Turcy też poczęli słabieć, a a potem w nogi.

(Dokoń. nastąpi.)

Gospodarstwo wiejskie.

O budynkach. Na początku mieszkali ludzie w jaskiniach i w lochach podziemnych, potem w szopach i pod namiotami, następnie w domach drewnianych, i nakoniec, chociaż jeszcze nie wszyscy, mieszkają już w domach murowanych z kamienia albo z cegły. W Polsce dopiero za Kazimierza Wielkiego, a więc jest temu już lat pół tysiąca, zaczęto stawiać domy murowane; przed tym czasem praojcowie nasi mieszkali w domach drewnianych, mchem pootykanych słomą albo trzciną przykrytych, bez kominów i pieców, tylko była w środku kotlina, na której ogień palono i jeść gotowano. Jeszcze dotąd są takie domy w naszej biednej Polsce; ale, dzięki Bogu, coraz to ich mniej. Przed wiekami nie mogło być inaczej, bo ludzie powoli i stopniowo do doskonałości przychodzą; naszym praojcom ani śniło się, żeby w domu kamiennym lub ceglanym mieszkać można było, tak jak ojcom naszym nie śniło się także, ażeby bez koni lub wołów, ale jakąś tam parą jeździć po kolei żelaznej, że ich synowie i listy telegrafem po żelaznym drucie pisywać będą. Dotąd są ludzie tak w przesądach zajęci, którzy utrzymują, że dom drewniany do mieszkania najzdrowszy. Jest to bajka wierutna; dom drewniany owszem ma wszystkie niedogodności, których człowiek rozumny unikać powinien. Dom drewniany jest wątły, podpada łatwo zgniliźnie i jest gniazdem nieprzeliczonego robactwa; człowiek dusi się w nim jak w zanieczyszczonem powietrzu i przerozmaitym podpada chorobom; dom drewniany prędko się psuje, krzywi, rozwala i niszczy, prędzej jeszcze niknie z dymem pożaru, a kosztuje tyle i więcej nawet, co kamienny albo ceglany, które tych wszystkich przywar nie mają. Gdzie jest kamień i wapno, tam nic łatwiej-

szego jak dom zdrowy, i piękny na długie wieki prędko i tanio wystawić. Gdzie nie ma kamienia a jest glina, a glina bliżej albo trochę dalej jest wszędzie, to trzeba dom ceglany budować, który pod wszelkiemi względami nie tylko od drewnianego, ale i od kamiennego jest lepszy. Nic zaś znowu łatwiejszego, jak samemu cegłę wyrobić i wypalić, i to zaledwo trzecią lub czwartą częścią drzewa tego, które do zbudowania domu potrzebne, a nawet i to drzewo oszczędzać jeszcze można, bo cegła wypala się byle chwastem, krzakami, ostami, trzciną, słomą i to równie dobrze jak drzewem lub ziemnemi węglami. Niechże więc gospodarz ze swą rodziną i czeladką tylko przez lat parę, ten czas w którym w polu i w domu do roboty nic niéma, obróci na wyrobienie i potem wypalanie cegły, a będzie jej miał podostatkiem do wystawienia najpiękniejszego, najwygodniejszego, najzdrowszego, najbezpieczniejszego i najtrwalszego domostwa. Każdy wie, jak się cegła z gliny wyrabia i wysusza, a jeżeli o wypalenie jej idzie, to jak powiadam, lada chwastem wypalić ją można, — i w piecu od chleba, i w piecu do suszenia lnu, i nareszcie, co najlepsze i najłatwiejsze, tak zupełnie jak węglarz wypala z drzewa węgle, tylko rozumie się, że tam samo drzewo się pali, a tu trzeba drzewa, krzaków, chwastów, trzciny, słomy, czyli byle czego, co się pali, i glinę na cegłę, wypala podłożyć i dokładać do czeluści, ułożywszy tak cegły, żeby płomień i gorąco szło wszędzie i ciąg był do wylotu.

Podwórko i zabudowanie zagrody wiejskiej tak urządzone być winno, żeby gospodarz stanąwszy w środku podwórka, wszystko miał naokoło siebie i wszystko mógł wziąć na oko. W około więc podwórka wystawione być powinny: dom mieszkalny od drogi, lub ulicy, a po bokach i naprzeciw w odstępach i poprzedzielane drzewami dla zabezpieczenia się w przypadku ognia, obora ze stajnią i owczarnią, chlewy i kurniki, stodoła, szopa, wozownia i reszta budynków. Podwórko powinno być wybrukowane, żeby można sucho chodzić do stajni, obory, chlewów, stodoły i tam dalej, i żeby je łatwiej utrzymać w czystości. Gnój starannie z podwórka zbierać potrzeba i składać go na miejsce ku temu przeznaczone, a o ile

można takie, żeby smrodliwe wyziewy ani do domu mieszkalnego, ani do obór i chlewów nie dolatywały, bo ztąd powstają choroby ludzi i zwierząt. W tym celu, na uboczu w podwórku należy urządzić dół, czyli gnojownicę ocembrowaną kamieniami albo cegłą wypaloną, do którejby wszystkie odchody spływały, i do której wrzuca się wszystko, co gnije, czyli na gnój lub nawoz się przerabia. Żeby słońce gnojowicy nie wysuszało, trzeba ją obsadzić drzewami, które w sąsiedztwie gnoju prędko i bujnie wyrosną, dla bydła miły podczas upałów chłód dadzą, podwórko przyozdobią, i na opał lub porządek domowy przydatne z czasem będą.

Studnia lub pompa w każdem gospodarstwie wiejskiem jest niezbędnie potrzebna, dla ludzi, zwierząt, roślin i ognia. Każdy więc gospodarz starać się powinien mieć ją pod ręką. Studnia wycembrowana kamieniami daleko smaczniejszą i zdrowszą wodę daje, od studni wyłożonej drzewem, które ciągle pleśnieje i gnije. Wszelka pompa lepsza od studni, bo powietrze przystępu do niej nie ma, i wody nie psuje. Zresztą i dobywanie wody z pompy daleko łatwiejsze i prędsze aniżeli ze studni.

W zakończeniu dodać należy, iż gospodarz codzień powinien obejrzeć całą swoją zagrodę, czy czego naprawić natychmiast nie powinien, tak w dachu, strzechach, ścianach jak płotach. Mały szwank łatwo usunąć można, ale zaniedbany wielkie szkody sprowadza. Przytem, pod noc, zawsze dopatrzyć, czy wszystkie źwierzęta domowe są na swojem miejscu, i czy wszystko dobrze zamknięte, a gdy każdy już w domu do spoczynku się ułoży, psa czujnego jako wiernego stróża spuścić z uwięzi, ażeby złodzieja swem szczekaniem odgonił i gospodarza przebudził, ku pomocy go wzywając.

Od redakcyi.

W W. Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek“ Księgarnia Franc. Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 tal. 15 sgr., półrocznie 23 sgr., kwartalnie 13 sgr.

Redaktor i wydaw. odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni Karola Budweisera

Nr. 13. 1. Maja 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O gminie i urządzeniach gminnych.

Mówiliśmy pierwej, że członkowie gminy wybierają radę gminną, rada zaś gminna wybiera wójta (w miasteczkach burmistrza) czyli naczelnika. Otóż są rozmaite sprawy gromadzkie, któremi zajmuje się sam naczelnik; są zaś i inne, nad któremi radzić muszą wszyscy radni. O tych ostatnich, to jest o tych gromadzkich sprawach, jakiemi się cała rada zajmuje, teraz mówić będziemy.

Do rady gminnej należy zarząd majątku gromadzkiego, zarząd tego majątku, jaki gmina na swe potrzeby obracać może. Majątek ten nie jest po wsiach znacznym, tem większym jest on w niektórych miasteczkach, gdzie gmina ma prawo propinacji, to znaczy, że nikomu nie wolno szynkować wódki, jak tylko temu karczmarzowi, któremu rada gminna karczmę w arendę puściła. Niekiedy należą do gminy domy lub pola; znamy niektóre gminy, które taki majątek posiadają, że z niego mieć mogą ze 20 lub 30.000 złr. — większe miasta posiadają majątek daleko znaczniejszy.

Majątek gminny nie należy do żadnego pojedynczego gospodarza, ale do wszystkich razem; wszyscy razem winni zatem użytkować z dochodów, jakie ten majątek przynosi.

Dochody te winny być zatem używane na takie rzeczy, które całej gromadzie są użyteczne. I tak, powinna gromada z majątku gminnego pokrywać wydatki na drogi, na szkoły, dalej na szpitale, domy przytułku i inne dobroczynne cele.

Drogi, szkoły, szpitale i inne tym podobne zaprowadzenia, są po wsiach i miasteczkach bardzo potrzebne. Jeżeli nie ma dobrej drogi do miasta lub lasu, jeżeli koła aż po wyżej osi w błocie grzęzną, jeżeli przy ladajakim deszczu droga tak się popsuje, że konie wozu wyciągnąć nie mogą, natenczas każdy gospodarz czuje uszczerbek w majątku. Zamiast coby w jednym dniu miał gospodarz pojechać i przyjechać z jarmarku, potrzebuje na to dwóch dni, chudoba jego niszczy swe siły nad miar, na jeżdżenie mitręży dużo czasu, któregoby mógł korzystniej użyć na gospodarstwo domowe.

Nie mniej potrzebne, jak dobre drogi, są szkoły we wsi. Daleko od nas, tam gdzie słońce zachodzi, mają ludzie w każdej wsi szkołę porządną i dobrego w niej nauczyciela. Każde dziecko, chociaż i na gruncie zostanie, wyuczy się dobrze czytać, pisać i rachować, co mu na całe życie bardzo jest przydatne.

Na jarmarku nie oszuka wieśniaka lada okpisz, jeżeli ma sprawę w urzędzie, to wie jak się składnie wytłumaczyć; umiejąc czytać obznajamia się z pismami i książkami, z których się wiele pożytecznych rzeczy dowiedzieć może. Jeżeli jaki uczony a mądry gospodarz wynajdzie dobry bardzo sposób sprawiania gruntu, jeżeli jaki mechanik w mieście wymyśli lepszy pług lub lepszą bronę, natychmiast piszą ludzie miastowi o tem po gazetach, a wieśniak umiejąc czytać, może się o tem bardzo łatwo dowiedzieć i gospodarstwo swoje ulepszyć. To też są ludzie w innych krajach daleko zamożniejsi, mają ładniejsze bydło, lepsze odzienie i mieszkanie, a grunta ich przynoszą w dwójnasób tyle ziarna, co u nas, a to dlatego ponieważ ludzie nie skąpią na szkołę i nauczyciela o oświatę wiele mają starania.

Powinnością każdej Rady gminnej jest nareszcie starać się o szpital i inne domy ochrony. Przypadki chodzą po ludziach — nieraz może człowiek nieszczęśliwym trafem

stracić rękę lub nogę, lub w inny sposób okaleczeć— nieraz przyjdzie na niego lekka słabość, która może i śmierć sprowadzić, jeżeli się prędko nie zaradzi. Biedny, który żyje z pracy rąk swoich, w żaden sposób nie może podczas słabości mieć dobrego starania o swezdro wie, jeżeli nie ma szpitalu, gdzieby go na koszt gromady wyleczono.

Nie wyleczywszy się dobrze, pozostaje słabym na siłach, a zatem nie może tyle zapracować, aby wyżywić rodzinę, a jeżeli umrze przedwcześnie, to pozostałe dzieci czeka nędza okropna, która ich częstokroć prowadzi do nieporządnego, występnego życia.

O te wszystkie rzeczy starać się ma rada gminna, obracając na to te fundusze, jakie dadzą się zebrać z majątku gminnego. Nie potrzebujemy dodawać, że powinnością jest świętą członków rady gminnej zarządzać majątkiem gromady tak dobrze i starannie, jakby swoim własnym zarządzali, a wszyscy członkowie gminy baczyć na to winni, aby do rady gminnej wybrać jeno takich, którzy dobrze gospodarować będą.

Ustawa nakazuje, aby każda rada gminna z początkiem każdego roku uchwaliła budżet, to znaczy, aby uchwaliła, wiele pieniędzy na co potrzeba i jakich dochodów spodziewać się można. Rada zatem winna uchwalić, wiele może dać na szkołę, na szpital, na stróża nocnego, na policyanta w miasteczku, i na inne wydatki. Nąkaz ten ustawy powinny wszystkie gminy jak najdokładniej wypełniać, jeżeli nie chcą swej własnej szkody. Słowa bowiem zapominają się łatwo, to zaś co napisane, to pozostanie, a przecież radni gminy starać się o to winni, aby sumiennie majątkiem gminy zarządzali, o niczem nie zapomnieli, niczego nie przerachowali. Źle jest co prawda, jeżeli gospodarz o własnych pieniądzach nie ma starania — stokroć gorszą jest rzeczą, jeśli nie zajmuje się sumiennie majątkiem gminnym, powierzonym mu przez członków gromady.

Lecz nie zawsze wystarczy majątek gminy na pokrycie wydatków — w takim razie ma prawo rada gminna nakładać dodatki do podatków. Każdy mieszkaniec gminy opła-

cający podatek w gminie, bądźto z gruntu lub z domu, bądźto od zarobku, płaci od każdego guldena 10 centów, a od podatku konsumcyjnego 20 centów — jeżeli zaś więcej pieniędzy na wydatki gminne potrzeba, natenczas winna rada gminna prosić radę powiatową o zezwolenie do nakładania większych dodatków. Ustawa dlatego wymaga tego zezwolenia, ponieważ wydarzyćby się mogło żeby rada gminna zanadto nieoględnie majątkiem szafowała i zbyt mocno gromadę obciążała. Jeżeli zaś rada powiatowa ma prawo wglądania i zezwalania, natenczas musi rada gminna więcej się oglądać się i namyślać.

Wreszcie ma rada gminna prawo domagać się od członków gminy rozmaitych świadczeń w naturze, to znaczy, ma prawo żądać, aby ci członkowie robili około drogi, mostów i t. d. Kto nie chce lub nie może sam pracować, winien postawić zastępcę lub zapłacić odpowiednią ilość pieniądzmi.

Do rady gminnej należy także coroczne sprawdzanie rachunku. Z końcem każdego roku winna rada gminna obrachować, wiele było pieniędzy, wiele z tego wydano i wiele zostało. Jeżeli co zostało, może gmina, o ile nie potrzeba na bieżące codzienne wydatki, oddawać resztę do kas oszczędności. Do tego wszystkiego potrzebnem jest wielce porządne prowadzenie rachunków; wprawdzie każda gmina trzyma sobie pisarza, umiejącego pisać, lecz każdy człowiek przyzna, że jest bardzo nieładnie dla pana naczelnika gminy, jeżeli nie umie tego przeczytać, co mu jego podwładny urzędnik napisze.

Rada gminna ma dalej prawo przyjmować ludzi, którzy w gminie się na stałe mieszkanie osiedlili do związku gminy, to znaczy nadawać im prawo przynależności. Jest to ważnem dlatego, ponieważ członka mającego przynależność winna jest gmina w razie znacznego zubożenia utrzymywać.

Bardzo ważnem jest prawo rady gminnej, dawania prezenty na nauczyciela. Wyższe władze szkolne sporządzają spis ludzi, którzy porobili egzamina na nauczycieli, wybór jednak, który z nich w pewnej gminie ma uczyć — należy do rady gminnej. Ustawa wychodziła z tego przypuszczenia, że ojco-

wie rodzin, których dzieci do szkoły chodzą, najwięcej o to starać się będą, aby wybrać dobrego nauczyciela, nie próżniaka, nie tego, który wódki radnym kupi, lecz takiego, który ma najlepsze świadectwa, i o którym mądrzy ludzie, jakich się rada gminna radzić winna, mówią, że jest człowiekiem porządnym. To też powinni radni jak najsumienniej zajmować się tą sprawą i jak mówiłem zasięgać zdania ludzi rozumnych.

Do rady gminnej należy wreszcie wybór zwierzchności gminnej, o czem później pomówimy.

Wystawy krajowe.

Wystawy krajowe pod jednym tylko względem różnią się od wystaw powszechnych.

Na wystawy powszechne przysyłają ludzie z całego świata owoce swojej pracy; przedmiotów na wystawy krajowe dostarczają tylko mieszkańcy pewnego kraju.

Takie wystawy mieliśmy w roku przeszłym 1871 w kraju naszym. Jedna odbyła się w Przemyślu, druga w Rzeszowie, trzecia na granicy Galicji i Szląska, w miastach Biała - Bielsk.

Były to wystawy krajowe, gdyż przyjmowano tylko takie rzeczy na wystawę, które w kraju zrobione były.

Na wystawach tych znajdowały się najrozmaitsze przedmioty. Próbki zboża i jarzyn, drzewa i owoce, bydło, ptactwo domowe i t. d. wystawiali gospodarze wiejscy.

Fabrykanci machin rolniczych przysłali na te wystawy pługi, siewniki, kosiarki i t. p. narzędzia, pożyteczne w gospodarstwie rolnem.

Rzemieślnicy współzawodniczyli w wystawianiu rozmaitych robót swoich na widok publiczny.

Fabrykanci rzeczy służących do codziennego użytku, równie liczny wzięli udział w wystawach tych. Niemniej przysyłali tam produkta swoje ci, którzy zajmują się wy-

rabianiem rzeczy zbytkowych, służących tylko do przyjemności.

Mianowane przez urządzających te wystawy komisye, oceniały wystawione przedmioty i rozdawały stosowne nagrody.

Wystawy te przyniosły już pewne korzyści.

Najpierw samo zebranie się wielkiej liczby ludzi i nagromadzenie skarbów całego kraju na jednem miejscu, przynosi tę korzyść, że ludzie ze sobą bliżej się zapoznają i wielu rzeczy uczą się przez samo przypatrywanie.

Dawniej całe życie minęło, a człowiek nie miał dobrej sposobności dowiedzieć się, jak ludzie w dalekich miejscach pracują, i nie mógł widzieć owoców ich pracy.

Dziś niech tylko pojedzie na jedną wystawę, a zapozna się z swymi braćmi z stron dalekich i przypatrzy się ich robotom.

Nauczy się ztąd wiele dobrego i nabierze wiadomości, którychby nigdy nie miał, gdyby został na zawsze w swoim kącie i nigdzie głowy nie wychylił.

Rolnik widząc, że pszenica przysłana z dalekiego jakiego miejsca lepszą jest od tej, którą on sam zebrał z własnego pola, uprawianego tak, jak go jeszcze dziad jego nauczył— rozciekawi się i zacznie się dopytywać, jak to tam rolę uprawiają, gdzie się taka dobra pszenica rodzi?

Zaraz znajdą się ludzie chętni i życzliwi, co mu to wytłumaczą. I dadzą mu książkę, z której coś wyczyta o dobrej uprawie roli i pokażą mu narzędzia rolnicze, których dawniej nie widział i nie znał wcale.

Wszędzie zobaczy się coś nowego, przypatrzy się temu, a jeżeli się pokaże, że rzecz nowa dobrą jest i pożyteczną, to ją zakupi i nauczy się, jak jej używać.

A jeżeli ktoś ma do sprzedania takie rzeczy, na które kupca w domu trudno znaleźć, to niech je zawiezie na wystawę. Gdzie więcej ludzi, tam łatwiej spotkać takiego, co się na dobrem pozna i lepiej za nie zapłaci.

Widząc takie korzyści z urządzania wystaw, postanowiło

kilku ludzi pragnących rozbudzenia w kraju ruchu pożytecznego, urządzić i w tym roku wystawę krajową.

Miasto Tarnów, — po Lwowie i Krakowie największe z miast w kraju naszym, będzie tem miejscem, gdzie się odbyć ma tegoroczna wystawa.

O tej więc wystawie pomówimy w przyszłym numerze „Dzwonka“.

Powieść o Piotrze Duńczyku.

Na dworze Bolesławów z Danii przybyły
Był podówczas Piotr Duńczyk rycerz doznany,
A jako był samemu królowi miły
Wierzę, iż go szacował nad swe dworzany.
I z nim pijał, z nim jadał, rady się badał,
Na nim rękę łuskowaną bezpiecznie składał.
I onego Duńczyka przyjmał gościnnie,
I obdarzyć go raczył hrabstwem na Skrzynnie.
A niedosyć ono pięknie oprawne Skrzynno,
Lecz i ruską dał mu księżnę, swoją powinną;
A co odeń posłyszał chował w pamięci,
I tak mieszkał Piotr Duńczyk do lat dziesięci.
A po latach dziesięciu wdziawszy one zbroje,
Poprowadził Bolesława we strony swoje.

Polska była bez kościołów albo coś mało,
A tam złoto Duńczykowe w skrzyniach leżało,
K' temu zwarli z tym Duńczykiem taką umowę:
Że królowi na kościoły odda połowę,
Jeśli skarby tyranowi odejmie z mocy,
Co nad niemi by smok leży i dnie i nocy,
I ojca mu Świętosława zamknął we wieży,
I może mu zdrowie psowa może co gorzej...
Zaduma się Krzywousty, gdy męża slucha,
Król żelazny, a odważny, wielkiego ducha
I prawda weń jakby w ziemię rozprzalą wsiąka,
A pobije, wpierw nim słowo jedno wyjąka.
A że król miał do wpływania wielką zaprawę,
K' temu sobie a rycerzu zgotował nawę;
Jedną nawę, drugą nawę, męże pancerne,
I pływali dwaj przez wody morskie niezmierne.

U Norwegów święty Olaw pogrzebion gruby,
Olawowi się pokłonić uczynią śluby.

Jakie przeszli ci na morzu znaczne przygody,
O kęs co nie poginęli od morskiej wody.
I złe duchy pomagały, okrutne czarty,
Mało odeń nasz Bolesław nie był rozdarty.
Lecz król stoi w stalnej zbroi, a Piotr we smoczej,
A mrugają ku Duńczykom w spłukane oczy:
Pomóż, pomóż święty Olaw przeciw złej wodzie.
A wszakć i my na tureckim bywali Wschodzie.
Jeślić miecza dobywałeś, i my nie gorzej,
Ani Bogu wymawiając, ni Matce bożej.
Ode wieże podciągniętej mocnemi głazy,
Godziliśma w Saraceny słusznemi razy.
A wszakć nasze poczynanie wiadome światu,
Wzdy cię proszę święty Olaw pomóż jak bratu.

Święty Olaw w grobie leży, pobok z Kanutem,
Co się rady przyodziewał przędzonym drutem.
Rozbudzi się Kanut stary po mieczu plaśnie,
Po słupach się kęs popatrzy, westchnie i zaśnie.
Obudzi się święty Olaw, słucha a duma,
Skoczy z grobu święty Olaw z złotego tuma:
Idęć, idęć, dobrej myśli bywaj mi bracie,
Obaśma to żywot cały na krucyacie.
Jedną nogę na ląd stawił, na morze drugą,
Z nieczystemi się duchami nie bawił długo.
One smoki, co już nawę żarły, już żarły,
Porozcinał precz na boki święty umarły.
One grzbiety najeżone pian złotych sierci,
Porozpraszał, poroznaszał, pociął na ćwierci.
I za drzewo jednym palcem jąwszy by pierze,
Na niebieskiej cichej wodzie ustawił w mierze.
Potem wiatru sprosił z nieba, by w nawę dmuchał,
Tak to głosu Bolesława Olaw wysłuchał.
A gdy czarci uciekali, aźć nowa bieda,
Na morzu im przegrodziły mocne Norwegi,
Mieczmi sieką, strzały wloką, lecz się król nieda,
I wysadzi swe żelazne Lachy na brzegi.
I wywiedli Świętosława z wieżyce onej,
Gdzie Piotrowy ojciec pędził żywot mierziony.
I wywiedli Świętosława do swych korabel,

K' czemu się przeciwić nie mógł ów zły król Abel.
Na rycerskich go ponieśli rękach miast łoże,
Wiedząc jako słab staruszek iść nic nie może.
Gdy się stawił król ze swymi w rękach szerszuny,
Z pancernymi zbrój do ziemi, zchwiały się Duny.
Bo też było patrzeć na co, a dziwu zażyć,
Młot królewski roztłukł wieżę, musiałć dość ważyć:
Lita zbroja okrywała oną moc mężą,
Trzech siłaczy nie sprostało ruszyć pawężą.
Przy nim, za nim, tejż urody stoi Lach w Lacha,
A rumaki piany sieką, złoci się blacha,

Ony starzec wybawiony przyjrzy się słońcu,
A tu morze, a tu zorze po świata końcu.
A tu jego skarby niosą stu męży pono,
A co dwoje to ze skrzynią ciągnie złoconą.
A co dwoje srebrne zbroje, aż słońce lata,
Ode skrzynie jedwabnista buja makata.
Jak Duńczyki zobaczyły, że król mur tłucze,
Znieśli mu na złotogłowiu od grodu klucze,
Berło białe wyrabiane, starce na czole,
I stolice, gdy na duńskim raczy sieść stole.
Nasz Bolesław spuścił miodu w gardło spragnione,
Rzucił czaszę, starcom zsunął berło, koronę.
Ciężyć krajom tym dalekim wszem się nie zdało,
Niech Duńczyka Duńczyk sprawia, sytemci chwałą.
I klucze im odda złote, grać sobie każe,
Więc mu grali do okrętu starcy arfiarze.
Kto się patrzal od wieżyce z brzegu, kto z dachu,
Biegła nawa, pieśń i sława o mocnym Lachu.
Siedzi starzec na okręcie szczęsny przy synie,
Pod nim, za nim, w koło niego złociste skrzynie.
I po czystej po głębinie nawa het płynie,
Matka Boża, gwiazda morza, wiedzie przez morze,
Wszakć na lądzie szatan psoci królu nieboże.
Nie mógł nawy pozatapiać on duch nieczysty,
To po ziemi z paszczy puścił płomień ognisty.
Zgorzały tam nasze chaty, przecie nie wiele;
A tymczasem jużć się kończą morskie topiele,
Skaczą wały na brzeg biały, gdzie sosna krzywa,
Dziwują się ludzie z brzega i morskie dziwa.

Kiedy ściągnął on Piotr Duńczyk złota komięgi,
Jak się jeno okręt otarł o polskie brzegi,

Wnetże Panu kościół stawi w Chełmnie, w Babinie
W Strzebnie, w Skrzynnie i w Chlewiskach, w Ru-
dzie, w Koninie,
Już do Tyńca, do Pajęczna, już do Sieradza,
Cięt w kawały marmur biały wołmi sprowadza.

A kiedy mu złośne Niemcy oczy wybrali,
Duńczyka się Panna Święta w niebie użali.
I dwa oczy przenadobne, Goplana woda,
Marja weźmie oczy swoje Piotrowi poda.

I dwaj oni z Bolesławem w pamięci człeczej,
Jeden słynie od kościołów, drugi od mieczy.
Tego zwaćby ręką bożą z mieczem w zamachu,
Tego oczkiem Matki Boskiej nazwałeś Lachu.

Gdzieżeś, gdzieżeś Bolesławie, gdzie Piotrze miły?
Nie kościoły, grody, sioły, gruzy, mogiły,
Jeno z zieli u topieli gęsto wynika
Ona niezapominajka, oczko Duńczyka.
A po królu Bolesławie w dalekim jarze,
Oracz znajdzie grosik czasem przy wołów parze.
Świeci grosik odłożony z ziemią oraną,
Przystanieć tam człowiek ony, woły przystaną.
Niewyraźne tam litery stoją w około,
Na nieznane patrzeć lice zbieży się sioło.
Ani liter nie wyczyta, ni pozna lice,
Jak nie dźwignie Bolesławów ciężką zbroicę.

Ksiądz Dzierżon.

Ileż to częstokroć narzekań, ile skarg słychać od biednych gospodarzy i i zagrodników, na złe czasy na wysokie podatki i brak pieniędzy. A przecież, gdyby zamiast narzekań wziął się człowiek do pracy szczerej, gdyby umiał pracować i wiedział jak zarobić, wieleby złego ominęło. I znów powtarza się tu po raz setny, iż aby zaradzić biedzie, potrzeba nietylko pracy, ale i nauki.

Dla małego gospodarza dochód kilkudziesięciu reńskich jest wielkiem dobrodziejstwem. On ma często pod ręką gotowe skarby, ale nie umie ich wydobyć. Biedzi się i płacze

i przymiera z głodu, choćby mógł i dzieciaki okryć i soli i okrasy sobie kupić, gdyby tylko należycie z darów bożych korzystał. Takim dochodem, takim skarbem, między innemi mogą być także pszczoły, może być pasieka należycie i umiejętnie prowadzona. Ale u nas pożal się Boże, choć ludzie poczciwi, a mądrzy, nawołują do nauki, choć radzą i upominają do dobrego — bardzo jeszcze mało widać poprawy w pszczelnictwie. Gospodarz, co miał kilkanaście ulów, zaledwie czasem garniec miodu może podebrać, zaledwie na gromnicę wosku przetopi. Przyjdzie lekka, słotna zima, albo słotne lato, to już i pożytku żadnego i pszczółka w zimie ginie, i pasieka pustką się staje.

Jeszcze gorzej gospodarują z pszczołami na Rusi, w Galicyi wschodniej. Tu dla wybrania miodu wybijają roje, jakby takie okrucieństwo nie było obrazą Boga, jakby to nie stokroć większy był pożytek zostawić pszczółki pracowite do wiosny. Tak to przez głupotę i sobie szkodzą i grzech śmiertelny popełniają.

Ale w innych krajach ludzie, a zwłaszcza mali gospodarze, szanują bardzo pszczoły i mądrze się z niemi obchodzą. To też i pożytek z pszczół wielki mają, tak iż im i na podatek i na sól i na okrasę owe pracowniczki zarabiają. I tam było dawniej źle, i tam nie umieli chodzić około pasieki, dopiero niedawno wyuczyli się tej sztuki. A któż ich to wyuczył? zapyta nie jeden.

A już też nie kto inny, tylko Polak, ks. Dzierżon. Był on plebanem we wsi, co się nazywa Karlsmarkt na Szlązku pruskim. Przez całe życie swoje chodził około pszczół, przypatrywał się ich życiu, i ich pracy, myślał i zastanawiał się, jakby tu największy pożytek osiągnąć. I doszedł nareszcie do tego, iż wynalazł ul najwygodniejszy dla pszczół i najlepszy sposób, jak się z niemi obchodzić, jak je chować. Ks. Dzierżon nie pracował dla siebie, nie badał dla własnej przyjemności, ale dla pożytku wszystkich, a mianowicie dla mniejszych gospodarzy.

Toć niedługo wydał książkę: „Nowe ulepszone pszczelnictwo“, a w niej spisał on wszystko, czego się

nauczył, co zbadał i jak najlepiej i najkorzystniej chodzić około pszczół. Zaraz też Niemcy rozchwycili książkę, poczęli się uczyć i teraz z pszczół wielkie mają pożytki, i odtąd wiele bardzo ludzi i pracuje dalej nad udoskonaleniem



Ksiądz Dzierżon.

pszczelnictwa, i gazety nawet osobne w tym celu wydają. Wszyscy uczeni i rządy nawet uznawały pożyteczność pracy Dzierżona i nadawały mu nagrody i honory.

U nas najlepszym i najwięcej zasłużonym około pszczelnictwa był Julian Lubieniecki. Założył on nawet szkółkę

dla pszczolarzy i wielu ztąd wyszło dobrych i pożytecznych ludzi, a pilny gospodarz może się nauczyć chodowli pszczół, jeśli tylko zechce. Każdy nauczyciel wiejski może pszczelnictwo pokazać i nauczyć, jak to około pszczół chodzić potrzeba, aby z nich mieć prawdziwy pożytek.

O ogrodach.

Ileż to jest biedy i nędzy na tym bożym, a jednak bogatym świecie. Tu chodzą żebraki od wsi do wsi, od domu do domu, i proszą o kawałek chleba. Tam uboga wdowa płacze w osamotnionej chatce, bo nie ma co dać jeść osieroconym dziatkom. Tam znowu, na przednówku, zgłodniałe biedactwo szuka po gołem polu pokrzywy lub lebiody na wyżywienie. Ówdzie zgrzybiały starzec, rozciągnięty na nagich deskach, wyczekuje głodnej śmierci, bo nie ma czem się posilić, on co całe życie na wyżywienie drugich pracował. Wszystko to prawda, istna prawda, tylko jeszcze nie cała prawda, lecz zaledwie pół prawdy, czyli pół tej biedy i nędzy, jakie lud Boży trapią. — A wiecież, skąd tyle biedy i nędzy na ziemi? — Oto ztąd, że tej biedy i nędzy człowiek z domu nie pędzi na wszystkie wiatry.

Piękna rada, powiecie, ale jak to zrobić czyli: Jak tę biedę i nędzę z domu pędzić? — Odpowiedź krótka: Pracą! Zawsze pracą! Zawsze i wszędzie pracą!

Ot naprzykład, już nie każdy gospodarz, kmieć, sołtys ale każdy zagrodnik, komornik, włodarz, wszelki człowiek, choćby tylko parobek żonaty, dostaje kawałek ziemi na ogród; więc nietylko ze służby ma wyżywienie, ale może mieć jeszcze i dochód z ogrodu, byle chciał a umiał w nim jak należy pracować.

Popatrzmy tylko na te piękne a bujne oziminy i jarzyny na polu! Co za rozkoszny i pocieszający ich widok! A jednak byłyby to pustkowia, żeby człowiek tych obszarów nie uprawił, nie zorał i nie zasiał. Ten sam kawał ziemi. pozostawiony odłogiem, ledwoby jedno bydlę wyżywił, a teraz

całą licznę rodzinę z całym jej inwentarzem żywi, i jeszcze grosz do skrzyni sprowadza.

Otóż jak z rolą, tak podobnież z ogrodem. Ten sam ogród, z którego jak komornik powiada, jedna kura się nie wyżywi, może przy nauce, starunku i pracy nie jednego, ale dwóch i trzech komorników z ich rodzinami wyżywić.

Bo zauważmy tylko, ile to przymnożyłoby się wyżywienia, gdyby wszyscy mieszkańcy wsi i miast, wieśniacy i mieszczanie, gospodarze i komornicy, dbali o swój kawałek ziemi, a wszystkie zaniedbane miejsca około mieszkań swoich zagrodzili, skopali, doprawili i zasadzili drzewami, albo zasiali roślinami warzywnemi, użytecznemi. Miałyby całe wiejskie rodziny pożywnych potraw na rok cały dostatek, miałyby sprzedać co jeszcze, a z małego kącika na kwiatki, miałyby dziewczęta czem przystroić głowy w niedzielę i na targu sprzedać nie jeden bukiet i nie jedną doniczkę rozmarynu lub mirtu.

Kto więc ma kawałek ziemi próżnującej przy domu, niech ją zaraz ogrodzi, z kamieni i ze śmieci uprzątnie, potem skopie głęboko, bryły pokruszy; jeżeli grunt piaszczysty, niechaj gliny na niego, potłuczonych rumowisk, przegniłej ziemi z podwórka, albo ziemi i mułu z rowów, oraz gnoju nawiezie, a ziemia miejscowa z tem wszystkiem pomięszana; niezawodnie rodzić będzie.

Ziemię pod ogród najlepiej w powyższy sposób przygotować na zimę, ażeby mięszanina miała czas się przyprawić. Na wiosnę trzeba tę ziemię dobrze skopać, porobić na niej zagonki i stosownie do pory roku siać i sadzić rozmaite rośliny i warzywa, a mianowicie: ogórki, sałaty, kapusty, marchew, rzepę, kalarepę, brukiew, rzodkiew, buraki, groch, bób, fasolę, kukurydzę, kartofle, pory, cebulę; pod ścianami domostwa chrzan, pietruszkę, selery, kwiaty i tam dalej; a wszystko to głód pewnie z domu wypędzi i grosz jeszcze do kieszeni sprowadzi.

W końcu dodać trzeba uwagę, iż kto zakłada ogród przy domu, ten może łatwiej go ogrodzić, aniżeli ten, kto ma ogród w polu, albowiem pobudynki tworzą najlepszy płot

i przytem chronią rośliny od zimnych wiatrów. Ogród przy domu łatwiej także od szkody ustrzedz, doprawić, podlać, opleć; i pięknięszy też widok sprawia wieś, w której widać ładne sady i ogródki między zabudowaniami. O gnój do ogrodu skrzętna gospodyni bardzo kłopotać się nie ma potrzeby; niech tylko sama i każdy, kto jest w domu, składa na jedną kupę do tego przeznaczoną wszelkie zielsko, perz, liście, darninę, mech, muł, skrobowiny, śmieci, wióry, trzcinę i wszystko co gnije; niech dzieci zbierają gnój po drogach i na tę kupę go znoszą; niech wszystkie odchody domowe ludzkie, ptasie i bydlęce idą też na tę kupę, a będzie na wiosnę nawóz do ogrodu, na którym wszystkie rośliny, warzywa i kwiaty wybornie się udadzą.

Co się dzieje w świecie.

Moskale nie przestają uciskać naszych braci z tamtej strony Wisły. Zakazują mówić po polsku, nie pozwalają chodzić do szkół, zmuszają na prawosławie. Ale nie dość na tem. Zdaje się, że nie wszyscy u nas wiedzą, jak to oni tam gospodarują, jak srodze prześladują. Więc podłych ludzi przekupili, a ci przychodzą do naszego kraju i opowiadają o dobrodziejstwach cara-Boga, chwalą pogańską wiarę moskiewską, mówią, że nigdzie nie ma tak dobrze jak w kraju pod rządami moskiewskiemi. Są to szpiegi moskiewscy, a takich dużo uwija się między nami. Nie wierzcie im, bo to podli ludzie, co za pieniądze sprzedają nietylko ojca i matkę, ale i wszystkich swoich braci. Chwycili teraz kilku w Galicyi i oddali ich pod sąd. Spodziewać się należy, że ich zasłużona nie ominie kara.

Niemieckie gazety opowiadają, że sejm nasz galicyjski ma być rozwiązany. Chcieliby Niemcy, abyśmy do Wiednia wybrali samych Niemców, aby ci o nas radzili i gospodarowali jak dawniej. Spodziewać się należy, że się te niemieckie zamysły nie udadzą. Opowiadają także te sa-

me gazety, że grunta duchowieństwa naszego są własnością rządową. Ma to niby znaczyć, że się im zachciewa, aby je zabrać. I do tego jednak nie przyjdzie.

W kraju naszym w ostatnich dniach popełniono trzy morderstwa. W Czerniowcach zamordował niejaki Weich, jak mówią, syna kupca lwowskiego Knauera.

W Podwołoczyskach zamordowano na stacji kolejowej także jakiegoś kupca nieznajomego, a około Jarosławia zabili zbójcy rodzinę żydowską z 5 osób.

Wszyscy Polacy Wielkiego Księstwa Poznańskiego wysłali pismo do księcia Bismarka i powiadają w nim, że chcą mówić po polsku, a nie myślą nigdy przerobić się na Niemców.

We Włoszech (w Italii) jest góra, co się nazywa Wezuwiusz, niedaleko miasta Neapolu. Od niepamiętnych czasów wydobywa się z niej dym z ogniem i siarką. Wiadomo, że takich gór jest więcej na świecie, a nazywają się wulkanami. Otóż wyrzucają one zawsze dym, kamienie i siarkę, ale nikt się tego nie obawia i mieszkańcy orzą i sieją w poblizkości góry. Ale zdarza się, że czasem mocno zaczyna góra huczeć, daje się słyszeć podziemny grzmot, góra się trzęsie, wyrzuca ogień i lawę, która niszczy i pali wszystko w około. Taka lawa zalała niegdyś dwa miasta ogromne. I teraz także nieszczęście takie spotkało okolicznych mieszkańców. Kilka wiosek zasypały kamienie i lawa — kilkudziesięciu ludzi ludzi utraciło życie.

W Hiszpanii wybuchło powstanie. Na czele stanął Don-Karlos, który powiada, że ma większe prawo do korony, aniżeli teraźniejszy król Amadeusz.

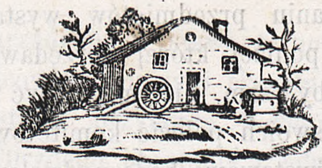
Od Redakcji.

Z tym numerem skończyły się wszystkie zaległości. Przyszły numer 14 wyjdzie dnia 10 maja i odtąd „Dzwonek" regularnie wychodzić będzie.

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej."

Nr. 14. **20. Maja 1872.** **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Targowa wystawa rolnicza w Tarnowie.

Wystawa rolnicza rozpocznie się dnia 27. Czerwca r. b. i trwać będzie dni 6., t. j. do 2. lipca wieczór. Miejsce obszerne, przeznaczone na wystawę, znajduje się blizko dworca kolejowego.

Wystawa ta będzie targową; to znaczy: że wszystkie przedmioty wystawione tylko wtedy mogą się ubiegać o nagrody rozdawane przez komisyę wystawy — jeżeli wystawcy przeznaczą je na sprzedaż. Można jednak przysyłać na wystawę i takie rzeczy, których właściciel pozbyć nie chce. Za takie okazy, nie otrzymują wystawcy nagród — mogą jednak dostać pisemne pochwały i uznanie, jeżeli na to zasłużą.

Wystawcy muszą najdalej do 15. czerwca zawiadomić komitet wystawy — wiele i jakie przedmioty na wystawę przyszlą. List adresować należy: „Do biura Rady powiatowej w Tarnowie.“

Przedmioty wystawowe muszą byc dostawione najdalej do 25 czerwca. Komitet wystawy postara się o zniżenie opłat przewozowych na kolejach żelaznych.

Wystawcy, którzy wcześniej nadeszlą swoje okazy, mogą wyrazić życzenie co do miejsca ustawienia okazów.

Przy oddawaniu przedmiotów wystawowych — należy wymienić cenę, poniżej której sprzedawane być nie mogą. Właściciel, któryby sam nie mógł być na wystawie, może sprzedaż okazów swoich polecić komitetowi wystawy.

Przedmioty wystawowe będą podzielone na klasy i podług klas ustawione. Nas szczególniej zajmować muszą płody rolnictwa i rolniczego przemysłu, ogrodnictwa, pszczelnictwa, jedwabnictwa, leśnictwa i górnictwa Osobną klasę zapełnią maszyny, przyrządy, narzędzia i sprzęty przydatne dla gospodarstwa rolnego, lasowego, ogrodowego i domowego. Osobne miejsca zajmą konie, bydło rogate rozpłodowe, jałownik i i cielęta, woły tuczone, owce, świnie i drób wszelaki.

— Będziemy mieć również osobny dział dla zbiorów naukowych i dla wszystkiego w ogóle, co ma jakikolwiek związek z gospodarstwem rolnem i t, d.

Z wystawą tą połączoną będzie w y s t a w a n a b i a ł u a w szczególności masła i séra — tudzież narzędzi i sprzętów w gospodarstwie nabiałowem używanych.

Dla przyjemności i korzyści gości zwiedzających wystawę, komitet urządza losowanie, czyli loteryę rozmaitych przedmiotów — zakupionych na ten cel.

Losy będą dwojakie: po 50 ct. i po 2 złr. w. a. Kupując losy pierwsze, można wygrać rozmaite sprzęty i narzędzia w gospodarstwie rolnem, lasowem i domowem używane; na losy po 2 złr. można wygrać zwierzęta lub machiny.

Urządzenie takiej wystawy wiele kosztuje pieniędzy.

Ażeby pokryć wydatki, komitet pobierać będzie opłaty za miejsca na placu wystawy zajęte okazami wystawowemi przez czas trwania wystawy.

Opłaty te tak ustanowił komitet: od konia, buhaja lub wołu 2 złr., od świni 1 złr., od krowy, jałówki lub barana 50 ct., od cielęcia i owcy 25 ct., od każdej sztuki drobiu 10 ct.

Szóstego dnia wystawy odbędzie się uroczyste rozdawanie nagród i losowanie wygranych.

Czytelnicy nasi przypomną sobie to, cośmy o pożytkach wystaw pisali w dwóch ostatnich numerach. Dziś opisaliśmy

wam, jak będzie urządzoną wystawa tarnowska. Mamy nadzieję, że nasi pracowici rolnicy i skrzętne gosposie uznają korzyści, jakie wystawy przynoszą, i chętnie przyjmą nasze słowa zachęty do licznego obesłania i odwiedzania wystawy tarnowskiej.

Pogadanki.

Walenty choć się zawstydził z początku, powiedział jednak szczerze to co myślał. Gospodarze inni jedynie z obawy przed Marcinem nie śmieli mówić tego, co czuli. Teraz kiedy Walek wystąpił ze swojem zdaniem, nabrał śmiałości Wojciech Rzepka i cicho powiada:

— Oj tak to Marcinie i nam się wydaje, że to słusznie Walek powiedział, ot bylebym tylko miał w stodole, oborze i komorze, a reszta mnie nie obchodzi. Co tam nam do Ostrowa się mięszać, choć im tam Niemcy dokuczyli, to nam nie dokuczą. A gdybyśmy nawet wszyscy w naszej gromadzie razem trzymali, to innych nie nawrócimy.

Gospodarze, choć tak samo myśleli, nie dali jednak po sobie poznać, że się zgadzają, żaden nawet głową nie kiwnął; czuli, że niesprawiedliwie i nie dobrze myślą, i bali się przyznać do tego.

Poznał to przecież Marcin, zasmucił się szczerze na taką ślepotę, westchnął i po chwili powiada:

— Słyszeliście już odemnie, że miłość ojczyzny, miłość całego kraju, to nic innego, jak miłość swoich własnych dzieci, jak miłość wiary i Boga; bo jak ojczyźnie się dobrze dzieje, to i nam także dobrze, to i wiary naszej nikt nie prześladuje, to i Bóg się cieszy, że ludzie tacy dobrzy i uczciwi i sprawiedliwi. Ale aby kochać kraj sprawiedliwie i szczerze, trzeba go umieć kochać, trzeba wiedzieć, co dla niego dobre, a co złe, co mu pożytek przynosi, a co nieszczęścia sprowadza. Otóż pierwszym takim obowiązkiem miłości względem kraju jest jedność, zgoda. Jedność w gromadzie wtedy istnieje, kiedy jeden gospodarz za drugim obstaje, kiedy

mu dopomoże w nieszczęściu, wesprze w biedzie, poradzi w kłopocie; jedność w narodzie jest wtedy, gdy wszyscy co jednakowo mówią i czują, wzajemnie się wspierają, wzajemnie walczą przeciw nieprzyjaciołom, wzajemnie bronią się od napaści i upadku. Znaliście zapewne nieboszczyka Warzechę; zostawił on grunt nielada i grosza w skrzyni nie mało i dwóch synów Antka i Michała. Podzielił ich równo i gruntem i pieniądzmi. Ale Antkowi starszemu zachciało się całego gruntu, a młodszemn zdawało się, że część Antkowa lepsza aniżeli jego. Dalejże tedy w proces. Poszła naprzód gotówka po ojcu, poszedł potem dobytek, a wreszcie i całe gospodarstwo. Oba poszli w służbę do dworu, a na gruncie osiadł żyd i śmieje się teraz z głupców. Oba służą w jednym dworze, ale się już nie kłócą, bo nie mają o co Widzieliście, jak się śmiał Kuba Baniak z Szczepana Rachwy, kiedy mu grunta woda zalewała i nie chciał mu dopomódz do naprawy wału, bo jego grunt wyżej był położony. Ale przyszła na drugi rok większa woda, przerwała źle naprawiony wał i zalała cały grunt Baniaka i Rachwy, — i oba omal z głodu w tym rokn nie pomarli, i dotąd jeszcze bieda daje się im we znaki.

Tak i z narodem, gdy razem nie trzyma, musi ubożeć i ginąć.

Wiedzą o tem Niemcy doskonale, ale my nie wszyscy wiemy. Toć nam już odebrali ogromny kawał kraju i nadal odbierać będą coraz dalej, i my gospodarze albo nasze dzieci pójdziemy służyć za parobczaków lub gdzieś za góry uciekniemy, jeśli złemu zawczasu nie zaradzimy. Jak złemu zapobiedz i co robić wypada, o tem już było wspomnienie krótkie na początku. Więcej opowiem wam kiedyindziej, a teraz chciałbym abyście posłuchali, co tu w tej książce napisano o starych dziejach, a przekonacie się, że od więcej jak tysiąca lat Niemcy gnębią nas i dotąd nie przestają, i że już ogromny kraj zdobyli jedynie z powodu naszej ślepoty i że to, co wam mówię, najszczerszą jest prawdą.

Po tych słowach wyjął Marcin z szuflady ładną książkę i począł czytać, a gospodarze ciekawie słuchali.

— Tam gdzie teraz Berlin, stolica cesarstwa niemieckiego, daleko od nas na zachód, mieszkały przed tysiącem przeszło lat ludy, co taką samą mową jak i my mówiły, choć miały rozmaite imiona, jak i u nas dotąd jednych nazywają Mazurami, drugich Góralami, innych Kaszubami, Szlązakami, choć przecie wszyscy po polsku gadają. Otóż te ludy miały rozmaite dziwne nazwania, i tak: byli tam Obotryci, Lutycy, Redarowie, Lingowie, Heweldowie, Serbowie, Daleminćy, Luzacy, Ukrowie, Licykawicy i inni.

Wszystkie te ludy były wystawione na ciągłe najazdy Niemców. Już w roku 918, a więc przeszło tysiąc lat temu, rozpoczęli Niemcy wojnę z owemi ludami i po czterdziestu latach prawie zupełnie je podbili. Nad Niemcami panował wówczas król Henryk, nazwany Ptasznikiem, srogi dla obcych a dla Niemców łaskawy. Mieszkał on po większej części w mieście, co się nazywa po niemiecku Merzeburg. Owóż gdziekolwiek zobaczył złodzieja albo rozbójnika silnego w ręku, a przydatnego do wojny, uwalniał go od kary, osadzał na przedmieściu w Merzeburgu, nadawał rolę i broń i nakazywał mu ostro, aby wprawdzie Niemców nie napastował, ale za to owym Obotrytom, Wilkom, Lutykom, co to jak powiedziałem jednako z nami mówili, wszelkie jakie tylko chce łotrostwa wyrządzał. Z wojskiem całem, złożonem z takich właśnie łotrów, uderzył wśród najtęższej zimy na Stoderanów, pokonał ich w kilku bitwach, postąpił po lodzie pod ich warownię (fortecę) co się nazywała Branibor, otoczył ją dokoła i zmusił głodem do poddania się. Potem obrócił się przeciw Dalemińcom, obległ ich miasto Grona i po dwudziestu dniach zdobył je szturmem. Zdobycz miejską, t. j. wszystkie sprzęty i kosztowne rzeczy oddał owym łotrom, wszystkich dorosłych rozkazał ściąć, chłopców i dziewczęta zabrał w niewolę. Kiedy po takich okrucieństwach w powrocie podstąpił pod Pragę, poddał się natychmiast król czeski Wacław, i poprzysiągł, że będzie Niemcom corocznie płacił ogromny podatek.

W ten sam sposób okrutny przymusił ten król niemiecki do posłuszeństwa: Lutyków, Stoderanów, Dalemińców, Redarów, a nad temi krajami ustanowił namiestnika, co się z nie-

miecka margrabią nazywał. Nawet Niemiec, co opisywał jego życie powiada „że król Henryk srogie łupieztwa czynił.“ A był to król chrześcijański, obrońca wiary, a owe ludy były jeszcze pogańskiemi. Ale przecież religia chrześcijańska nie pozwala rabować i zabijać. Zresztą między owymi poganami było już wielu chrześcijan, nawróconych przez pobożnych apostołów, biskupów i księży. I wszyscy byliby się dobrowolnie nawrócili, gdyby nie król okrutny. Bo kiedy widzieli, że on ich zabija, łupi, rabuje, napada na spokojnych mieszkańców, aby im zabrać cały dobytek, sądzili, że to wiara chrześcijańska tak nakazuje, a to tymczasem nie wiara, tylko chciwość niemiecka była przyczyną owych grabieży. Toć rozumie się, że i owi pobożni księża, co to już wielu nawrócili między owymi ludami, stracili zaufanie i nikt im nie chciał wierzyć Zamiast tedy prawdziwej zasługi, szkodę wyrządził ów król niemiecki chrześcijaństwu, bo utwierdził owe ludy w pogaństwie.

I rzeczywiście, zamiast nawrócenia, myślały te narody tylko o zemście, i zrzuceniu ciężkiego jarzma niemieckiego. To też już w następnym roku 929 Redarowie uwolnili się z pod panowania Niemców, a nawet zdobyli miasto niemieckie Walisleben. Nabrały przez to odwagi i inne sąsiednie ludy pokrewne: „a nuż spróbujemy, może i nam się uda“ i zewsząd poczęły wyganiać Niemców. Henryk wyprawił przeciwko nim wojsko, rozumie się takie samo, jakie w przeszłym roku wojowało. Oblęgli znów Niemcy miasto Lunkini i otoczyli je dokoła. Inne narody posłały miastu pomoc. Była to prawie sama piechota i garstka mała konnicy. Nieszczęściem w czasie marszu była wielka ulewa i nie mogli niespodzianie napaść na oblegających. Niemcy uderzyli na nich nazajutrz, zmęczonych marszem pobili i wytopili w poblizkiem bagnie. Miasto owo Lunkini musiało się poddać. Obrońcom miasta odebrali Niemcy broń i wycięli ich za miastem co do jednego. Czeladź zaś i króla Redarów zabrali w niewolę. To skłoniło i inne ludy, że się poddały i przyrzekły płacić daninę Niemcom. Znów tedy posunęli się Niemcy o krok dalej w naszą ziemię, podbili bowiem Ukrów czyli Ukranów.

W Niemczech pełno było dzieci i kobiet zabranych u zwyciężonych ludów — pełno żałoby i smutku u podbitych.

Tu zamknął książkę Marcin; poczęli rozmawiać o innych rzeczach i rozchodzić się pomału do domów. Widać było jednak, że już na pół byli przekonani o prawdzie słów Marcinowych.

WIELICZKA.

O milę od Krakowa, dawnej stolicy królów polskich, w stronie południowo-wschodniej, na pierwszych przedgórzach wielkiego pasma gór, co je ludzie uczeni nazywają Karpatami, leży miasteczko Wieliczka, sławne z kopalni soli. Takich kopalni nigdzie na całym bożym świecie nie ma, takiej soli czystej i zdrowej nigdzie na całym świecie nie znajdziesz. Toć wszystkie narody zazdroszczą nam tego skarbu, wszyscy podróżnicy zwiedzają Wieliczkę i podziwiają bogactwa, jakie Bóg w naszej ziemi złożył. Niewiedzieć, kiedy sól ta została odkrytą, niewiedzieć kiedy pierwszy kruch soli z pod ziemi wydobyto. Dotąd jednak w okolicy opowiadają powiastkę o królewnej Kunegundzie, że to ona nam przyniosła te skarby, a taka sama powiastka utrzymała się w najdawniejszym opisie Wieliczki z roku 1543. Bolesław Wstydliwy miał poślubić królewnę węgierską Kunegundę, czyli Kingę. Oblubienica nie chciała wziąść od ojca swego, króla węgierskiego, żadnego wiana w złocie i srebrze, i prosiła go tylko na wyjeździe, aby jej to drował, coby rownie bogaczom i ubogim służyć mogło. Chętnie zezwolił jej na to kochający ją ojciec. Kunegunda pojechała więc do żup (kopalni) węgierskich i tam w jednym z szybów, czyli otworów w ziemi, kędy sól wydowają na wierzch, wrzuciła obrączkę ślubną. Przyjechała nareszcie do swego oblubieńca Bolesława Wstydliwego do Krakowa, i poniejakim czasie wyjechała do Wieliczki. Tu rozkazała kopać ziemię jak najgłębiej. Usłuchali ludzie rozkazu królowej, i oto znaleźli sól, a w pierwszym kruchu solnym ślubną obrączkę królowej.

Tę piękną powiastkę tak opisuje wierszem Adam Gorczyński:

„Głośne po całem mieście nowiny:
Przybyli wielcy panowie;
Po ich odzieży poznać i mowie,
Że z obcej jadą krainy.“

„Stoją na rynku, nieś skorą nogę,
Nieś tę nowinę staroście; —
Jeden do zamku pytał o drogę,
Może do króla to goście?

„Bo zacni jacyś — ten co na przedzie,
Mnogo ma srébra na sobie;
A koń, na którym ten starszy jedzie,
Godzien przy króla stać żłobie.“

Takiemi słowy gwarzą mieszkańce
Budy, Węgierskiej stolicy,
Biegnąc na zamek, kędy wysłańce
Polskiej jechali ziemicy.

Kiedy tak gwarzy ciekawy lud,
Tymczasem zacne te goście
Stara ulicą w królewski gród
Wjeżdżali bramą po moście.

I po stolicy biegą nowina:
Księcia Polskiego to posły,
Wysłał ich książę, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.

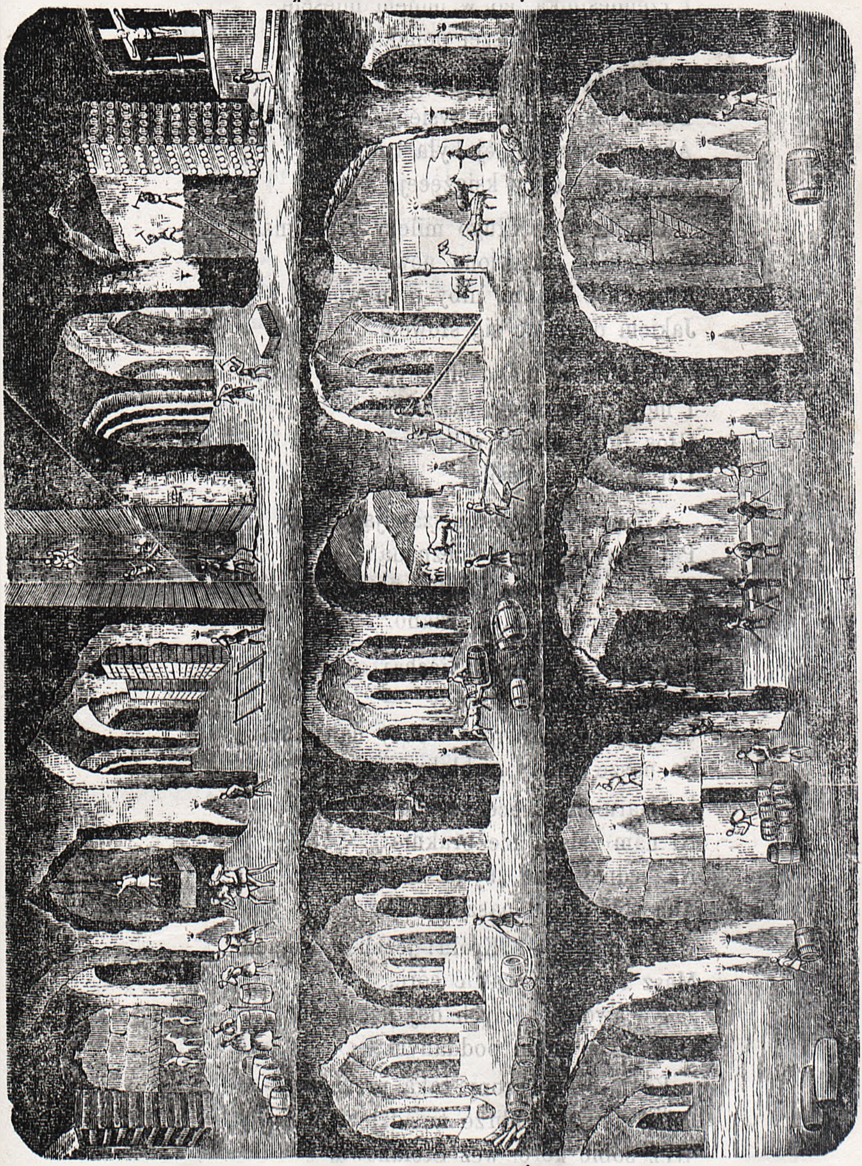
Król Bela zasiadł w złotej stolicy,
Młodziuchny przy nim królewic,
Śliczna królewna w ojca lewicy,
Kinga z orszakiem swych dziewic.

Zasłona z miękkich snuła się włosów
Na twarz myślącej dziewicy;
W ręku paciórki miała z kokosów,
Z obrazkiem Boga-rodzicy.

Weszli posłowie — schyleniem głowy
Oddali pokłon monarsze,
I łacińskiemi przemówił słowy
Poseł, co lica miał starsze.

Król Bela dobrą dał im odprawę,
Tém się niemało radował,

Że mir z sąsiadem krajowi sławę
I bezpieczeństwo rokował.
Więc do królewnej czoło swe nagnie,
I rzecze: „Boska w tem wola;



Bolesław ciebie za żonę pragnie,
Dobra z nim czeka cię dola.
„Liść dziewiczego zamienisz wieńca
Na dyamenty korony;

Poseł nawiastkiem*) dziś nowożeńca,
Z tobą on będzie złączony.

„Zatem wyprawę dłonie niewieście
Niech szyją we dnie i w nocy —
I rzemieślnika, co w mojem mieście,
Przydać ku prędszej pomocy.

„I miła córo, w posagu tobie
Dam srebra siedem tysięcy,
Abyś w przystojnej była ozdobie
W nowej stolicy książęcej.“

Umilkł — i długo milczy królewna,
Zdarzeniem zdziwiona nowem,
Niby chce mówić, niby niepewna,
Jakiem odezwać się słowem.

Utkwiła w niebo ślicznych ócz dwoje,
I mówi: „Stań się twa wola —
Głos Boży płynie w to serce moje
Ustami ojca i króla.

„Więc ja ojcowską szanując wolę,
Pojdę w tę ziemię nieznaną,
Aleć nie srebrem jaśnieć na czole,
Inne przystało mnie wiano.“

I posłów wzywa: Niechaj ogłoszą
Swojego kraju potrzeby. —
Ci mówią: „Srebro — obcy nam znoszą
Za nasze miody i chleby; —

„Garniem owoce z sadów i roli,
Ni nam żelaza nie braknie:
Na jednej jeno zbywa nam soli,
Ach soli naród nasz łaknie.“

A Kinga: — „Królu! jeżeli z wianem
Masz twoję wyprawić córę,
Z gór twoich solnych daj jedną górę,
Oddam ją moim poddanym.“

Król rozśmieszony taką przemową
Odpowie: — Dobrze me dziecię,
Weź sobie górę, weź Stefanową,
W niej to sól leży obficie.“

Na to królewna pierścionek zdjąwszy
Daje ten posłu znak niby,

*) Ten co w zastępstwie króla brał ślub.

By na Stefana górze stanąwszy,
Pierścionek w dno wpuścił szyby.

Odjechał poseł — nim zaszedł dzionek,
Wypełnił ten rozkaz Pani,
Cechę królewnej, złoty pierścionek,
Wpuścił do solnej otchłani.

Z tém gdy się sprawił, wracał do Budy
Tak myśląc: „Będzie miał król
I koszta wielkie, i wielkie trudy,
Z dala przewozić tę sól.“

Wraz się odbyły zwykłe obrzędy —
A Kinga z dziewic orszakiem,
Na koniu strojnym w bogate rzędy,
Polskim puściła się szlakiem.

Przebywszy wielkie góry i wody,
W mieście Wieliczką nazwanem
Witał się z żoną Bolesław młody,
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń z rękawiczki,
Niby szukając pierścionka,
Rzecze: „Tu kopcie w rynku Wieliczki.
Kopcie do zachodu słonka.“

Bolesław lubo nie pojął z razu
Słów wymówionych znaczenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
I kazał szukać pierścienia.

A lud jął kopać, worów niemało
Ziemi wyciągnął ze studni;
Gdy się motyka otarła z skałą,
I kamień pod nią zadudni.

Po ciężkiej pracy już z głębokości
Wydobyta na wierzch bryła:
„To sól!“ wykrzyknął naród z radosci:
Bo solna to skała była.

Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę, i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci! —

A Kinga rzeknie: „Węgierski król
Srebra i soli jest Panem;

Chciał córę z śrebrnem wyprawić wianem
Kinga prosiła o sól.

„Król solną górę dał swojej córze,
Dziś matce chrobrych Polaków;
A Bóg rozkazał tej solnej górze,
By sól przeniosła pod Kraków.

„Składając Bogu dzięki powinne
Naród niech dzisiaj się szczyci:
Solą żywiły go kraje inne,
Dziś solą inne nasyci!“ —

Gospodarstwo wiejskie.

O chowie zwierząt.

Gospodarstwo bez zwierząt jest to dzwon bez serca. Dobry więc gospodarz starać się musi o inwentarz żywy, czyli: o konie, bydło, owce, świnie, drób, pszczoły, ryby, słowem o wszystko, co żyje a pożyteczne, bo bez tego ani gnoju na rolę, a więc chleba, kaszy, warzywa i owoców, ani mięsa, mleka, masła i séra, ani jaj, pierza, wełny, kożucha i obuwia, ani piwa, ni miodu, ni w kieszeni przychodu nie będzie. Ale jak roli nie należy uprawiać więcej, tylko tyle, ile jej ugnoić i zasiać można, tak podobnież taką tylko ilość żywego inwentarza trzymać wypada, jaką wygodnie pomieścić, pielęgnować i wyżywić jak siebie samych, a nawet lepiej jak siebie samych da się; bo każdy rodzaj zwierząt naraża gospodarza na straty, jeśli nie jest dobrze karmiony, czysto, ciepło i odpowiednio utrzymywany.

W przypadku choroby zwierząt, nie spuszczając się na znachorów i zażegnywaczy, posłać zaraz po zwierzęcego lekarza, bo on przecież na to uczony, żeby umiał co do niego należy, jak doktor od zdrowia ludzkiego ciała, a ksiądz od duszy.

Ważną jest rzeczą starać się o wybór dobrych zwierząt domowych, bo wyżywienie złych, tyle co i dobrych kosztuje, a pożytku z nich mało

Konie dwa dobre i silne daleko więcej znaczą, jak trzy, cztéry, i więcej nędznych i słabych.

Osioł i *Muł* mało są u nas do roboty używane, a są

to jednak bardzo pożyteczne zwierzęta w gospodarstwie, jako wytrwałe i byle czém wyżywić się mogące.

Woły przeznaczone do uprawy roli, im są silniejsze, tem lepsze.

Krów tyle trzymać tylko, ile ich dobrze wyżywić można, i tylko wiele mleka dające. Każda dobra mleczna krowa przedstawia cechy i przymioty następujące: *Łeb* wyrazisty jak u koni czystej krwi, suchy, powleczony skórą cienką, oczy wydatne, wklęsłość na środku czoła, oraz nad każdą z powiek na górze i pod każdą na dole. — *Kark* bardzo ruchômy, czyli do części przyległych nieprzymocowany. — *Rogi* drobne, cienkie, spiczaste, lekko przypłaszczone, jasne, połyskujące i z cienką tkanką. — *Uszy* cienkie, przeźroczyste, wewnątrz żółtawe, niby warstwą otrębów lub kamyczków pół perłowych, a pół złotawych pokryte. — *Szyja* bardzo wązka. — *Łopatki* krótkie, łękowate, chude niby bez mięsa, ku końcowi z dołkiem dosyć głębokim. — *Podgardle* rozszerzone, wysmukłe, — *Pierś* wązka, krótka, na pozór utrudniająca oddychanie. — *Lędźwie* długie z głębokiemi wklęsłościami międzypacierzowemi. — *Boki* obszerne, — *Brzuch* szeroki, obwisły, fałdzisty, klapowaty. — *Biodra* szerokie. — *Krzyż* mocny. — *Ogon* długi, cienki, przy osadzie, nienabrzmiały i niestożkowaty. — *Żyły* w ogóle wydatne, na wymionach kończące się dołkiem. — *Pępek* ze znacznym fałdem skórnym. — *Wymiona* pokryte szerścią długą, jasnoplamistą, a pomiędzy udami pokryte jak wnętrze uszu. — *Skóra* cienka, miękka i wolna.

Owce najlepiej utrzymywać do powietrza naszego przyzwyczajone. W ogólności wszystkie zwierzęta domowe najstosowniej i najpożyteczniej poprawiać te, które mamy we własnym kraju. Owca prócz wełny i nawozu daje nadto mleko bardzo pożywne i sér wcale smaczny, który tym samym sposobem się wyrabia jak sér z mleka krowiego.

Kozy rzadko gdzie u nas są chowane, w wielu jednakże innych krajach dla obfitości mleka i łatwego wyżywienia w każdem prawie są gospodarstwie, mianowicie uboższem.

Świnie wszelkiego gatunku dobrze u nas się utrzymują; z dużemi uszami i grubemi kośćmi mniej są korzystne.

Drób, jako zasób podręczny należy utrzymywać w ilości, jaka utuczyć się da na gnojowiskach i odchodami, których sprzedać nic można; gdzie wody dostatek, tam kaczki i gęsi w większej ilości trzymane być mogą; gołębie zjadają więcej niż korzyści przynoszą, i często stają się przyczyną zwaśnień między sąsiadami, z powodu szkód, jakie w zasiewach sprawiają.

Pszczoły w każdem gospodarstwie wiejskiem utrzymywać należy, bo wszędzie są łąki i kwiaty, i mało wymagają starania, a z miodu i wosku dobry dochód dają.

Ryby nakoniec i *raki*, gdzie są wody, stawy, jeziora i rzeki, mogą być obfitem zródłem dochodu i wyżywienia. Kto ma w ogrodzie lub przy domie sadzawkę, ten małym kosztem, zakupiwszy małe karpie lub karasie, utrzymywać je w niej może, równie na domową potrzebę, jak na sprzedaż.

Fałszywe wieści.

Jedną z szkodliwszych wad ludzkich, jest łatwowierność. Łatwowierny wierzy każdemu i w wszystko, co mu się powie; zapomina on, że są ludzie na świecie, którzy dla własnego interesu, lubią wprowadzać drugich w błąd, rozsiewać szkodliwe kłamstwa.

Najczęściej ofiarą takich ludzi padają nasi poczciwi rolnicy.

Ciekawość jest wrodzoną każdemu człowiekowi — toż nie dziw, że i wieśniak chętnie ucha nastawia, aby usłyszeć jakieś nowinki ze świata. Każda nowa wiadomość szybko rozchodzi się po wioskach; od komina do komina, od chaty do chaty, roznoszą gadatliwe języki zasłyszane gdzieś na jarmarku nowiny, a ludzie nie pytają, kto je przyniósł, czy można im wierzyć, jeno przyjmują je za święte, i wierzą w kłamstwa, jak w ewangelię.

W ostatnich czasach na jarmarkach i odpustach w okolicy Rzeszowa — wiele opowiadano baśni, wymyślonych w celu obałamucenia ludu wiejskiego. Toż musimy wspomnieć o tem, aby uchronić czytelników naszych przed takiem obałamuce-

niem szkodliwem, bo zasłaniającem prawdę i zdrowy pogląd na świat i to, co się na nim dzieje. A te fałszywe wieści są tem szkodliwsze, że rozeszły się już daleko po za granicę powiatu rzeszowskiego, i dziś wszędzie się z niemi spotkasz.

Taką to często opowiadano bajkę:

Nasz cesarz uważał, że ludowi naszemu źle się dzieje i zapragnął polepszyć dolę jego. Zwołał więc radę panów do Wiednia i pytał, jakim sposobem można pomódz biednym chłopkom. W radzie tej był też pan hrabia z Tyczyna pod Rzeszowem. Na zapytanie cesarza, wstał pan hrabia z krzesła i powiedział: „Najjaśniejszy panie — potrzeba przywrócić pańszczyznę — to będzie dobrze w kraju.“ Cesarz mu odrzekł: „Dopóki ja żyję, nic z tego nie będzie.“ Pan hrabia oburzył się tą odpowiedzią, zerwał się z krzesła, wyciągnął szablę z pochwy i uciął cesarzowi ucho. Za to skazał go cesarz na śmierć, i pozwolił zadarmo jechać do Wiednia wszystkim chłopkom, którzyby chcieli widzieć, jak pana hrabiego będą karać śmiercią. Cesarz zturbowany niby tym wypadkiem, postanowił oddać Galicyę Moskalom.

W całej tej bajce nie ma ani słowa prawdy. Nie było takiej rady w Wiedniu — i pan hrabia tyczyński nie chciał zaprowadzić. pańszczyzny, — bo jest człowiekiem uczciwym i rozumnym. Ani więc cesarzowi ucha nie ucinał, ani go też śmiercią karać nie będą, a najmniej nie chce oddać kraju naszego Moskalom.

Ale zkądże taka gadka między ludem? zapytają pewnie mili czytelnicy.

Poszukajmy zkąd się wzięłą.

Często można widzieć człowieka — co z niczego nie zadowolony chciałby niszczyć szczęście ludzkie i zgodę, jaka między braćmi, jednego narodu synami, panuje.

U nas, dzięki Bogu — od lat już wielu znikła ta nienawiść ludu do dworu, która była powodem wielu nieszczęść.

Nienawiść ta była dawniej sprawiedliwą — bo chłop był prawie niewolnikiem pana — pracował na niego w pocie czoła, a co dostawał w nagrodę? Najczęściej musiał zno-

śić nędzę i głód, a nad zgiętemi przy pracy w polu plecami trzymała ręka ekonomska nahajkę i zachęcała nią do pracy. Często wśród narzekań i przekleństw, lud nasz biedny opłakiwać musiał krzywdy swoje.

Ale zmieniły się czasy.

Oświata i wolność zeszły na naszem niebie. Zrównano ludzi wszystkich ze sobą i dziś chłop i pan, bogacz i biedak jednakowe mają prawa. Jeden drugiemu krzywdy zrobić nie może jeżeli nie chce popaść w ręce karzącej sprawiedliwości. Dziś więc zgoda u nas panować może i musi. Bo tylko w zgodzie i w pokoju możemy być szczęśliwymi, — tylko kochając się jako synowie jednej kochanej ojczyzny, możemy myśleć o wolności, bogactwie i szczęściu.

Ale gdzie w zgodzie żyją wszyscy mieszkańcy kraju, tam ludzie źli a głupsi, co chcą drugim przewodzić i żyć cudzą pracą, nie znajdą chleba i gościny. Umyślnie więc starają się rozbudzić nienawiść ludu do panów, aby z tego korzystać.

A korzystać mogą wiele. Bo prócz tego co sami zarobią, zapłacą im jeszcze wrogi nasze. Sąsiad nasz kochany Moskal, chciwy na cudze dobro, co to wytępia wiarę katolicką, dobrze płaci takich, co mu się wysługują i idą z wieściami fałszywemi między lud polski. Opowiadają o Moskalach, że przyjdą naszym chłopkom na pomoc i dadzą mu wolność i bogactwo, mówią, że nas Moskal będzie bronił od panów i żydów.

Ale źle się wybrali ci mądrzy ludzie. Zapóźno dziś bałamucić poczciwych wiosek naszych mieszkańców. Dziś lud polski już nie jest tak ciemny, żeby nie rozróżnił światła od ciemności i od kłamstwa, prawdy.

Dziś w szkole nauczyciel i ksiądz w kościele więcej znajdą prawdy, i „Dzwonka“ ludek nasz prędzej posłucha, — niż snujących się po wioskach naszych tych fałszywych bajarzy, co umyślnie i za pieniądze od wrogów naszych otrzymane — rozsiewają bezczelne kłamstwa.

Redaktor i wydaw. odpow. **Kazimierz Okaz.** — Z drukarni Karola Budweisera.

Nr. 15 16. Z 10. Czerwca 1872. Tom V.

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1., 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje z przesyłką
pocztową w państwie
Austryackiem 2 złr.
rocznie, 1 złr. półrocznie.
W Prusach 2 tal.
r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pogadanki.

W nasze wiekowe siedziby
Szarańczy tabor nadchodzi,
Zgłodniały rodzajne skiby,
Schnie każda ziemi piędź,
Nim się osiedli — rozrodzi,
Boże, szarańczę spędź!

Wierszyk ten — mówił innego wieczora Marcin, napisał Krakowianin Wasilewski. I wielka to prawda, co napisał. Podobnie bowiem jak szarańcza wciskają się wrogowie zewsząd w naszą ziemię. Z jednej strony Prusacy, z drugiej Moskale odbierają nam ziemię. Prusacy wprawdzie pomału, zwolna i niby to tak od niechcenia kupują grunta, ale za to tem silniej je w ręku trzymają i coraz liczniej ściągają się do nas; Moskale zaś gwałtem, przemocą rabują i odbierają grunta. Głupcy niektórzy opowiadają, że oni odbierają grunta panom, a rozdają chłopom. Niechno się który dobrze przypatrzy tej gospodarce moskiewskiej, tam na miejscu. Zobaczy, że powypędzali wszystkich chłopów z całych wiosek i wysłali ich w Sybir, a na ich miejsce sprowadzili kacapów.

— Oto mi dopiero chytry naród ci Moskale, powiada Walenty, a jak oni się to przed nami składają, niby jak

baranki niewinne, powiadają, że to dla chłopów obdzierają panów. Teraz i ja się przekonałem niedawno, że te wszystkie obiecanki, to tylko dla oszukaństwa i zdrady. Bo to wiecie, że przed dwoma laty sprzedał grunt swój Wojciech Kawka i poszedł tam pod Moskala, jak go namówili. Widać, że źle wyszedł na tej spekulacyi, bo niedawno widziałem go na jarmarku w podartych butach i połatanej płóciennicy, wyglądał, jakby go kto z trumny wyjął. Powiadał mi, że Moskal tylko lutrom lub kacapom sprzedaje grunta, a katolikom wara.

— Tak jest istotnie, mój Walenty, tylko że tu nad granicą, to jeszcze łagodniej postępuje, ale tam dalej i głębiej w kraju, okropne dzieją się rzeczy,

— Mnie się zdaje, powiada Sobek Gajda, że Niemcy nie wiele lepsi, bo to coście nam kiedyś czytali, to także nie bardzo świadczy za nimi. Możebyście nam dzisiaj coś dalej opowiedzieli, co się to z tymi narodami stało. I tak są tu ci sami prawie, co byli poprzednio.

— Zgoda, odpowiedział Marcin, książkę mam w pogotowiu.

Okrutny Henryk Ptasznik umarł, (r. 936) — następca jego Otto, zajęty był sprawami na przeciwnym końcu Niemiec. Świeżo ustanowiony margrabia wschodni Gero, czychał na ostateczne podbicie owych ludów. Przekonały się przecież owe narody, iż cząstkowe ich usiłowania były nieudolne, i postanowiły teraz działać według powszechnego porozumienia. Najprzód wystąpili Obotryci, wymordowali wojsko niemieckie. Wszelako Gero wyprawił sutą ucztę, na którą trzydziestu książąt pogańskich zprosił. Pod koniec nczty, kiedy goście upojeni winem, ręką już władać nie mogli, wypada zasadzka niemiecka i wszystkich w pień wycina. Jeden tylko młody książe Heweldów czyli Stoderanów, uszedł szczęśliwie. Wróciwszy do swoich, podniósł wraz z sąsiednimi Lutykami mściwą broń przeciw Niemcom, podczas gdy w tej samej chwili toż samo u Obotrytów się dzieje. Margrabia Gero nie mógł podołać i samegoż króla Ottona w pomoc przywołać musiał. I ten jednak nic nie mógł wskórać. Knują tedy Niemcy powtórnie zdradę, mnogiemi pieniędzmi i większemi

jeszcze obietnicami przekupują Tugomira, aby im zdradą swój dziedziczny kraj poddał. Niby więc potajemnie z niewoli, przybywa Tugomir do miasta Braniboru i poznany od swego ludu i za pana przyjęty, wkrótce co przyrzekł, dotrzymał Niemcom. Przyzwał bowiem do siebie synowca, który sam jeden z owej morderczej uczty uszedł, i zdradą pojął go i zabił, a miasto z całą krainą niemieckiej poddał zwierzchności. Poczem wszystkie ludy aż po rzekę Odrę podobnym sposobem do danin Niemcy zmusili.

Margrabi Geronowi roiło się o osobnej koronie dla siebie lub dla syna swego Sigfrida, a dla osiągnięcia tego celu były niczem wszelkie mordy, jak ów mord trzydziestu książąt na uczcie. Skoro więc narody te po niedawnej porażce upadły na duchu, rozpuścił margrabia znowu zagony w głąb ich krain i Ukranów zawojował. Niezmierna zdobycz u nich zabrana. Ci przebudzeni tym nowym ciosem ze swego wysilenia, rzucają się jak zwierz zraniony na gnębicieli, i z ślepą zemstą już rok po roku przeciw coraz sroższym zamachom coraz wściekłej się miecą, wyjarzmić się lub do reszty upaść gotowi. Skoro Gero nieco swobodniej im odetchnąć dozwolił, a oraz wiadomość o nastającej wojnie Niemców z Węgrami gruchnęła, wybuchnęli przeciw jednemu ze swoich ciemięzców, margrabiemu Teodorikowi. Walcząc z nim, dali się raz do pewnego bagnami otoczonego miasta przezeń zapędzić. Zamknąwszy się tam w grodzie, poczekali aż Teodorik przez moczary przeprawiać się do nich zacznie. Wtedy widząc Niemcow niełądem przeprawy porozdzielanych i w miejscu, ani do walki ani do ucieczki nieprzydatnem, zawieruszonych, rzucają się z wielkim okrzykiem na nich.... i haniebną zadają im klęskę.

Panujący u Obotrytów bracia Nako i Stojgniew podnoszą bunt, tj. wyganiają załogę niemiecką, wędrownych księży niemieckich, poborców i tak dalej, zamykają się w mieście Światłastrona, gdzie Herman na próżno ich oblęga, mimo iż mnogich i walecznych ma wojowników. Wreszcie musi ustąpić.

Działo się to wszystko w nieobecności Gerona, podczas gdy cesarz Otto stanowcze zwycięztwo nad domowymi nie-

przyjaciołmi i jeszcze większe nad Węgrami u rzeki Lechu (r. 955) odniósł. Zgromadzeni pod bronią: Obotryci, Cyrcypani, Lutycy, Redarowie i Dalemińcy wyprawiają poselstwo do cesarza, i opowiadają, iż będą płacić dań po zwyczaju, ale zresztą chcą w swoich krainach sami się rządzić. Tylko pod tym warunkiem przystają na pokój; jeźli nie, tedy bronią wolności swojej dobijać się będą. Na to odpowiedział cesarz: iż pokoju im nie odmawia, lecz inaczej go nie dozwoli, aż póki popełnionej zniewagi należną czcią i wynagrodą nie naprawią. Poczem kraje ich ogniem i mieczem spustoszył, i stanął z wojskiem obozem nad rzeką Raksą (w Meklemburskiem), gdzie mu sprzymierzeni, ani bić się, ani dalej iść nie dopuszczali, i między gęstym borem a rzeką i bagniskiem wojsko jego zamknęli. Nadto panowały jeszcze głód i mór w wojsku cesarskiem. W tak niebezpiecznem położeniu wysłał cesarz Gerona do naczelnego wodza obotryckiego, księcia Stojgniewa. Geron lubił raczej chytrym czynem niż słowy roztropność okazywać, chytrze rozsiewał od dawna niezgody między wolnemi ludami. Wyprawiony od cesarza do Stojgniewa — pozdrowił go przez rzekę i bagno. Ten począł urągać margrabi i cesarzowi i wojsku całemu, gdyż wiedział, w jakim wszyscy znajdują się kłopocie.... Wrócił więc Gero z niczem do Niemców i sprawił cesarzowi, co słyszał. Tymczasem Gero z zdrajcami Rugianami, ukradkiem trzy mosty na rzece zbudował i gońcem wojsko cesarskie w tę stronę zwołał. Widząc to Obotryci i ich sprzymierzeńcy chcieli zabiedz Niemcom drogę, ale gdy po długim biegu piesze ich roty do boju wystąpiły, nie stało znużonym sił do walki, musiały pierzchnąć przed rycerstwem niemieckiem, i krwawą klęskę poniosły. Stojgniew otoczony jeźdźcami, przypatrywał się z wyniosłego wzgórza kolejom walki. Na widok rozsypki towarzyszy, umknął także z pobojowiska i w jakimś gaju z dwoma wiernymi dostrzeżony, długą walką zmęczony i z broni wyzuty, śmierć poniósł. Tegoż dnia obóz zdobyty. Wiele ludu wycięto lub pojmano. Aż do poźnej nocy rzeź trwała. Nazajutrz głowa książęcia Stojgniewa w obozie na widok wystawiona i siedmset jeńców w około

niej wyrzniętych. Książęcy zaś rajca z wyłupionemi oczyma, z wydartym językiem, żywy pomiędzy trupami pozostawion.

Zdało się to ostateczną zagładą. Wszakże i teraz jeszcze przez trzy łata przeciągnęła się wojna między cesarzem a Redarami i Stoderanami. Aż wreszcie musieli wszyscy upokorzyć się. Za każdym razem zabory niemieckie o krok głębiej się posuwały. Taki krok uczynił główny teraźniejszy wróg margrabia Gero. A postąpił on sobie przy tem z zwykłą chytrością, używając pomocy zdrady Wichmana. Wichman chętne przyjęcie znalazł, i rozpoczęły ludy owe między sobą uporczywą wojnę, a mianowicie z dalej mieszkającymi braćmi, i pod wodzą Wichmana porazili dwa razy króla Mieszka. Jednocześnie uderzył margrabia Gero z drugiej strony na tenże głębszy zakątek, i pogromił Luzyków i krainę Selpuli, a nareszcie samego Mieszka.

Dopieroż to dotarcie Niemców do samych granic Polski, ten podwójny przez Gerona i Wichmana wymierzony zamach przeciw Mieszkowi polskiemu, jest ostatecznym kresem ówczesnych zdobywczych wojen niemieckich. O Polskę, która pod tem uderzeniem jak iskra od uderzenia stali o krzemień do życia wzgore, szczerbi się zaborczy oręż niemiecki.

W ostatniej wojnie margrabiego Gerona z polskim książęciem Mieczysławem, poległ syn margrabi Sigfried, dla którego to właśnie ojciec tyle krwi przelał. Śmierć walecznego syna, mającego kiedyś koronę w podbitej krainie piastować, a dziś przez zaczepionych po raz pierwszy Polaków zabitego, zadała też ojcu cios śmiertny. Starzec z zasmuconą duszą ustępuje z pobojowiska i pielgrzemuje do Rzymu, gdzie składa zbroję zwycięzką i z całem swojem mieniem do Boga się ucieka. A powróciwszy do ojczyzny, buduje grób dla siebie i syna swego.

I jego pomocnika Wichmana mściwa dosięga kara. Wezwany przez xięcia Zelibora przeciw obotryckiemu Mściwojowi, rozniecił Wichman nową wojnę domową, a pobity, uciekł do ludów nadbałtyckich, Wilinów. Tam znowuż głównie w myśli mu było, jakby Mieszkowi polskiemu wojną mógł

szkodzić. Jakoż wyprowadził Wilinow (r. 969) w pole przeciwko niemu, ale z przodu i z tyłu od Polaków osaczony, począł o ucieczce przemyśliwać. Natenczas towarzysze jego zaczęli lżyć go, że ich do boju poduszczył, a teraz z pola umyka. Musiał więc Wichman zsiąść z konia, i wraz z resztą pieszych do boju stanąwszy, przez cały dzień odważnie się potykał. A przez noc uciekając, zaszedł nad ranem drogą i głodem unużony, z kilką towarzyszami do jakieś zagrody. Dopadło go tam przedniejsze rycerstwo polskie i poznało po zbroi, ile że był wysoki. Zapytano go więc, kto jest. Odpowie że Wichman; lecz na żądanie złożenia broni nie chciał się poddać, oświadczając, iż tylko w ręce samegoż księcią Mieczysława broń złoży. Zaczem rycerze do księcia Mieczysława z tem odeszli. Tymczasem jednak niezliczona zgraja pospólstwa otoczyła zagrodę i natarła na niego. Po krwawej walce wziął nareszcie ranny Wichman swój oręż i oddał go możniejszemu z nieprzyjaciół, mówiąc: Weź ten miecz i odnieś go twemu panu, niech go przyjmie na znak zwycięstwa i odeśle swemu przyjacielowi cesarzowi. . . Co rzekłszy obrócił się ku wschodowi, i ostatnie siły zebrawszy, po niemiecku do Boga się pomodlił, i duszę grzeszną wyzionął.

Roku trzeciego (r. 965) wyprawił Mieczysław poselstwo po córkę czeskiego książęcia Bolesława, Dąbrówkę, żądając jej w małżeństwo. Książęta czescy byli już od stu lat chrześcijanami, i kilkakrotnie przez królów niemieckich w własnej stolicy podbijani, znajdowali się w tym właśnie stanie niewolnym, którego nasz Mieszko chciał uniknąć.

Wdziała Dąbrówka czepiec małżeński, żądając nawzajem, aby on swoich siedm żon pogańskich, jakie książęta według bałwochwalczego obyczaju miewali, niezwłocznie od siebie oddalił. Książę przyzwolił na ten pierwszy warunek chrześcijanki; księżniczka z okazałym dworem świeckich i duchownych dostojników do Polski weszła, i nie pierwej do łoża małżeńskiego się skłoniła, aż małżonek obyczajowi chrześcijańskiemu i obrzędom stanu duchownego pilnie się przypatrzywszy, pogańskich błędów się wyrzekł. Gorliwie ważyła Dobrówka w swojej dostojnej głowie i ciągle nad tem

przemyśliwała, jakby małżonka wiarą sobie przyswoić i wszelakim sposobem skruszyć, nie tak dla grzesznej świata tego pożądliwości, jako raczej dla pomyślnego na przyszłość skutku i wielkiej ztąd wszyskim chrześcijanom pociechy. Jednem z najgłówniejszych przykazań ówczesnego chrześcijaństwa, pojmowanego zupełnie powierzchrwnie, nie mogącego wykorzenić pogańskiego zwyczaju kupczenia jeńcami wojennymi, było przykazanie zachowywania postów. Owoż i Dąbrówka zachowywała bardzo sumiennie posty. Atoli ten obyczaj chrześcijański, przestrzegany przez bawiących pomiędzy pogańskimi ludami chrześcijan, mieszał nieraz towarzyską wesołość, gdy oni przy swoich godach obecnego chrześciańskiego gościa surowym obowiązkiem postu od podzielania powszechnej uciechy wykluczonym widzieć musieli. Wystawmyż sobie przy jednej z takich częstych zapewne na dworze gnieźnieńskim biesiad niechęć Mieszka na widok poszczącej żony i usiłowania jego gościnności ku nakłonieniu Dąbrówki do spółudziału w godach. W takiejto chwili — postanowiła ona do czasu uczynić źle, aby tem dłużej czynić mogła dobrze. Bo gdy w pierwszym wielkim poście, który po jej zaślubieniu z Mieszkiem nastąpił, wstrzemięźliwością od mięsiw i katuszą ciała przyjemną Bogu ofiarę ze siebie oddać chciała, małżonek jej błagał ją słodkiem przyrzeczeniem, aby od tego zamiaru odstąpiła. Ona zaś usłuchała prośby na ten raz, aby na przyszł ść sama tem łatwiej od niego wysłuchaną być mogła. Niektórzy powiadają, że Dąbrówka tylko w ciągu jednego postu z mięsem jadała, inni zaś mówią, że we trzech. Wymogła tedy na mężu słodkie przyrzeczenie wzajemnego kiedyś zadośćuczynienia jej woli, napominała go tak często do przyjęcia wiary Chrystusa, aż on chrztem św. pierworodny grzech z siebie obmył (r. 966). A za głową i ukochanym swym panem, poszły też i członki narodu, i weselną szatą odziane, w poczet reszty zwolenników zbawcy wstąpiły. Jordan, pierwszy ich biskup, wielce się z niemi napocił, zanim ich gorliwem słowem i czynem do wiary chrześcijanskiej przywiódł. Wraz z tem przyjęciem nowej religii nastąpiło powszechne zburzenie dawnych świątyń i bożków.

W miejscu ich obalonych świątyń stanęły chrześcijańskie kościoły, a głową nowego duchowieństwa ustanowiono owego Jordana, mianując go biskupem poznańskim. Gdy Dąbrówka, powiwszy mężowi dwóch synów, Bolesława i Włodoweja, po jedenastoletniem małżeństwie umarła, książę polski upodobał sobie mniszkę w klasztorze Kalwe i ożenił się z nią.

Poswatawszy się z książęty czeskimi, wydaje Mieszko swoję siostrę, ową Biełokniginię, czyli Adelaidę, za węgierskięgo książęcia Gejzę, również osobliwszego człowieka. Był on jak i Mieczysław nowo ochrzczony, i zarazem panu Bogu wszechmogącemu, jakoteż różnym bałwanom ofiary czynił. A gdy go biskup o to zagadnął — „Jestem dość bogatym i możnym — odpowie Gejza — aby jednemu i drugiemu Bogu zadość uczynić.“ Córkę zaś niewiadomego imienia, ożenił Mieczysław z duńskim królem Swenonem i miał z niej wnukiem jednego z najmędrszych i najpotężniejszych monarchów owego czasu, duńskiego i angielskiego króla Kanuta wielkiego. Spowinowacone tak kraje wchodziły w wielorakie z Polską stosunki. Zaczepiony przez Gerona, wolał Mieczysław przyznać się do uległości względem królów niemieckich, niż na ciągłe niebezpieczeństwo ich najazdów być narażonym. Jako nowy chrześcijanin wstąpił on w poczet książąt europejskich.

Jak się Polska broniła od tych rozbójniczych napadów, o tem usłyszycie innym razem, kiedy się znów zejdziemy, powiedział Marcin i zamknął książkę. (Dok. nast.)

Zawiślak.

(Ciąg dalszy).

Tak, to prawda, — powiada Podrywka — jest z czego i za co — bo człek i pracuje i rolę ma ładną. Ot pan wójtowa, nie ma to jak zasobny gospodarz na wsi! Jest z czego i pohulać i napić się i zabawić. Nie prawda Marysiu — mówił zwracając oczy na wójtównę, — nieprawdaż, żebyś i ty chciała wnet zostać gospodynią na własnym grun-

cie. Oj! wiem ja wiem, że ci się nie jeden podoba parobczak, ale cię matusia trzyma ostro i żałuje jedynaczki. Wiesz Marysiu, mam ci coś powiedzieć do ucha.

— Dajcie pokój, panie podwójci — mnie u rodziców tak dobrze, tak miło, że i w raju nie miałabym lepiej. Ja się też z niczem przed matusią nie kryję, a jak chcecie mi coś powiedzieć, możecie mówić głośno.

— To nie uchodzi — bo o tem, co powiem, sama naprzód wiedzieć powinnaś.

— Musi to być coś niedobrego, kiedy się z tem kryjecie przed matusią moją.

— Ale gdzie tam, broń Boże — chciałbym tylko, aby ci naprzód powiedzieć miłą nowinę — potem powiem i ojcu i matce, i całej gromadzie.

Marysia zarumieniła się, spuściła oczęta ku ziemi, ale kiedy się Podrywka zbliżał, aby jej szepnąć ową nowinkę do ucha, odepchnęła rękę — podniosła znów oczy do góry i udała, jakby się nie domyślała niczego.

— Co mi tam bajecie, panie podwójci — ja nie chcę od was żadnych nowin, powiedziała z przekąsem.

Po tych słowach zamyśliła się mocno i posmutniała. Matka nie wtrącała się do tej całej sprawy — wiedziała, że tu o Szymka chodzi, a co do tego trzymała się słów męża.

— Ładny to i pracowity chłopiec, ten wasz Szymek; ma grunt kmiecy, chatę porządną i pieniądze po nieboszczyku ojcu, mówił Podrywka do wójtowej. Jakaby to była para, gdybyście mu chcieli oddać Marysię. Nie brakło by im niczego, chyba ptasiego mleka.

— Na gościńcu nie będziemy przecież odprawiać swatów — przyjdźcie jak się należy w inny dzień do domu — to o tem pomówimy — odezwała się wójtowa.

— A widzisz — nie mówiłem ci — na boku mówił Podrywka do Szymka — Marysia będzie twoją — zobaczysz będzie twoją — zaczekaj tylko do niedzieli — pójdziemy w swaty.

Wieczorem wójt z żoną swoją długi czas rozprawiał coś osobno. Oboje postanowili wydać Marysię za Szymka,

jeśli się tylko poprawi i zaprzestanie bywać i przyjaźnić się z Podrywką. Chcieli zaś tem bardziej przyspieszyć dzień zaślubin, gdyż Marysia na prawdę coraz więcej zajmowała się rannym. Siedziała wieczorami w jego izdebce, podawała mu lekarstwa, przygotowywała szarpie i sama gotowała dla niego jadło i sama chodziła do miasta, do apteki. W pierwszych tygodniach pozwalał na to wójt — później, kiedy ranny odzyskał przytomność i zdrowie wracać mu poczęło — albo sam z Marysią przesiadywał wieczorami w jego izdebce, albo robiła to jego żona. Widzieli oboje, z jakiem zajęciem z jakiem zachwytem słuchała Marysia opowiadań młodego, powstańca. Z początku sądzili, że to tylko ciekawość niewieścia i litość nad nieszczęśliwym. Marysia bowiem miała serce miękkie, litościwe i czułe. Później obawiali się, aby litość ta nie zamieniła się w miłość dla panicza, jak go nazywali, i odtąd strzegli Marysię, bo i cóżby jej mogło przyjść z takiego kochania — nieszczęście tylko i nic więcej. Marysia nie wiedziała z początku, co to znaczy, że jej tak tęskno, smutno i niemiło, kiedy nie widzi tego, którego odszukała na kępie. Nie umiała nazwać tego nowego uczucia, jakie się w jej piersi obudziło. Zdawało się jej, że go kocha jak brata, jak matkę lub ojca. Dopiero po ostatniej owej rozmowie Podrywki posmutniała, zrobiło się ciężko i przykro w sercu, jakby jej czegoś brakowało. Niespokojnie oczekiwała niedzieli i swatów Szymkowych.

Ranny tymczasem ani jednem słówkiem nie wspomniał Marysi o miłości, ani razu nie dał jej poznać, że ją kocha. Tymczasem tak było w istocie. Marysia była ładną i dobrą dziewczyną. Jej troskliwość, łagodność, szlachetność we wszystkich uczynkach naprzód zachwyciły rannego, następnie zupełnie skłoniły jego serce ku niej. Był wszakże za nadto uczciwym, nadto cnotliwym, aby nadużyć gościnności i bałamucić dziewczynę. Józef — tak mu było na imię — był synem ubogich rodziców, z miasteczka w Królestwie polskiem. W Lublinie chodził do szkół i wraz z innemi wyszedł walczyć za wiarę do powstania. Sprawie, której się poświęcił, chciał służyć aż do ostatniego tchu życia. Toż gdy pomału wra-

cały siły i zdrowie, myślał tylko o tem, aby jak najprędzej wyruszyć na wojnę z Moskalem. I opawiadał często Marysi, że wyjedzie wkrótce i cieszył się, że niedługo już wyzdrowieje.

Ale Marysia nie rada słuchała podobnej rozmowy. Spuszczała oczęta ku ziemi, smutniała, zamyślała się głęboko, i rozmowa nie szła jej widocznie, czasem jakieś słówko powiedziała, ni to ni owo, — widać, że myśli jej były gdzieindziej. Zauważał to wkrótce i ranny. Wiedział od razu, że Marysia się w nim zakochała i to go tem bardziej zaniepokoiło. I on bowiem od pierwszego już poznania szczerze ją polubił, a gdy codziennie przypatrywał się jej pracowitości, dobroci, serdeczności, gdy widział, jak jej wszystko i składnie i zgrabnie, i tak jakoś bez przymusu się wiedzie, tak się do niej przywiązał jak do matki, a nawet jeszcze więcej. I on również od dawna pokochał Marysię, ale jako człowiek i szlachetny i uczciwy, widział, iż z miłości tej nie byłoby szczęścia. Obowiązki powoływały go gdzieindziej, a obowiązki te przyzwyczaił się wypełniać święcie i stale. Był przytem biednym, nieszczęśliwym, w kraju nieznanym choć polskim, ale pod innem panowaniem. Mogli go w każdej chwili wydać, zdradzić i porwać do więzienia. Na cóż dziewczynę niewinnie narażać na strapienie i smutek — pomyślał nieraz w duchu. Jakażby to była wdzięczność, gdybym poczciwemu Zawiślakowi córkę bałamucił? Postanowił zatem stłumić uczucie w sercu, wyjechać gdzieś jak najprzędzej — może Marysia zapomni o nim i będzie szczęśliwą z innym. Sam nie zdradził nigdy ni słówkiem, że ją kocha.

Wieczorem w niedzielę siedzieli oboje w izdebce, on czytał coś z książki, Marysia słuchała. Wreszcie, kiedy skończył jakąś smutnę historyę — położył książkę i poczęli jak zwykle rozmawiać. Nareszcie zeszli na pogadankę o odjeździe Marysia była smutna zarumieniona i bardzo niespokojna.

— Czas — już powiada ranny — porzucić waszą chatę, gdzie doznałem tyle dobrodziejstw, gdzie mnie przyjęto i pielęgnowano jak własnego syna. Nigdy się nie spodziewałem że znajdę tu tyle szlachetności, gościnności i dobrego serca.

Mogę już nieco chodzić — a wkrótce i na konia wsiąść potrafię. Za kilka dni nie będę ci już czytał z tej książki.

— A zawsze ten odjazd, zawsze ta podróż panu na myśli. I czy wam tu źle, czy wam czego brakuje? — przerwała Marysia.

— Toż właśnie dla tego odjeżdżam, że mi nic nie braknie.

— A dziwny z was widzę człowiek — odjeżdża dla tego, że mu na niczem nie zbywa, odjeżdża dla tego, że go wszyscy kochają i szanują. Ale czy wam tu tak niemiło, czy nikogo żałować nie będziecie paniczu?

— Marysiu — nie mów tak, bo to mnie bardzo boli — odjeżdżam, bo muszę odjechać.

— A zawsze swoje muszę i muszę — a tu nikt nie musi. Toć ani ojciec, ani matka, ani ja nie chcemy, abyście od nas uciekali, bo tam strasznie źle na świecie, wszędzie pełno wartowników i zdrajców, gotowi was schwytać i do aresztu zamknąć, albo oddać Moskalom, a jabym bardzo żałowała i płakała, gdyby się tak stało.

— Ale broń Boże — nic się mi nie stanie — powrócę tu jeszcze, zobaczymy się — tylko się wojna skończy.

— Powrócę, powrócę, tak to się mówi ładnie, ale ja nie wierzę — powiada Marysia — o bo wy paniczu nie wiecie, co się w duszy mej dzieje. Ja was polubiłam jak matkę, jak ojca, a może i więcej jeszcze, boście taki dobry, miły a nieszczęśliwy; kiedy chcecie odjeżdżać, to mnie się wydaje, jakby mi kto nożem serce krajał. O wy paniczu nie wiecie i nie pojmujecie tego, co mi się dzieje — wam się tam jakaś pani spodobała i tak do niej spieszycie.

— Marysiu — przestań — bój się Boga przestań narzekać i płakać powiadał ranny, chwycił ją za ręce i począł całować — przysięgam ci, że nikogo bardziej nad ciebie w życiu nie kochałem i nie kocham, ale to właśnie ta miłość — bo ci prawdę teraz muszę wyjawić, ta miłość przymusze mnie, abym odjechał. Rozważ Marysiu, czy możemy się pobrać? Ja biedny bez chaty i bez gruntu, a ty bogata

dziedziczka. I cóż bym mógł powiedzieć ojcu? Tobym się tak wywdzięczył za jego poczciwość?

Długo jeszcze rozprawiał i tłumaczył Marysi, że to nie może być, aby dłuzej pozostawał, że nie może nadużywać gościnności ojca. Zapewnił ją, że nigdy nie zapomni o niej, że ją kocha nad życie i dla tego opuścić musi, że Marysia może jeszcze zapomnieć i być szczęśliwą.

— Tak to się wam wydaje, boście tam w mieście takie panie widzieli, co to dzisiaj tego a jutro nowego kocha, ale dla mnie już nie ma nic na świecie, kiedy wy jedziecie od nas.

(Dokończeni nastąpi).

Szkoła wiejska.

Na końcu naszej wioski stała się nowina,
Starzy nie wiedzą: płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie pokrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, coś na kształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano.
Tu będzie szkoła!..
A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta,
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni nie warta.
Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu jak miotełka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym —
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan?.. nie pan, bo nie hardy; chłop?.. nie chłop, bo czyta,
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta.
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora.
Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy
I spędza do roboty mularzy i szklarzy,
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się,
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.
Pobudowano szkołę — ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany.
Pospędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,

I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada,
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź duchu przenajświętszy!“ A ty ucz się dziatwo.
Ot i szkoła . aż dziwo!... czysto, jak w miasteczku.
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
Dzieciom rozdali książki, papiery, tablice,
Patrzym co z tego będzie. Matko miłosierna!
A co z miasta przyjechał ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły,
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
I tak sam sobie pod nosem plecie:
Mówił ksiądz pleban, chłopskieś ty dziecię,
Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę,
Rozwielmożnicie waszą potęgę.
Jeśli to prawda, mocny mój Boże!
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień i w nocy, wieczór i rano,
Aż wszystko poznam, co napisano,
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał jak sztych litery
Lecz czemże będę na bożym świecie?
Pozostać chłopem, — nie można przecie.
Tego nie warto... Ot na zamianę,
Ja ekonomem sobie zostanę,
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracią znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano,
Będę miał dla nich i miód i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach na żniwo.
Zapuszczę wąsy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I kupię brykę i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łajać męża przez cały dzionek,
Pan łaje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie.
Nie, ekonomstwo dla mnie nie w porę,

Inne rzemiosło sobie obiorę.
Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy,
Tacy wąsacze! przy Pańskim grobie,
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Lecz mieli serca nielitościwe;
Pana Jeznsa męczyli srodze,
Malarz im za to dał nogi krzywe,
I stoją teraz na jednej nodze.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, zółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą,
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą,
I będzie brzmiała z mojego płótna,
Starej żebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundle, kłócą się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby,
A nad tem wszystkiem obłok poranny,
I widać postać najświętszej Panny;
Jak błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościółek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę kwiatami krytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który z bliska, czy też z daleka.
Oj, tam z za góry ledwie widzianej,
Z chorągiewkami jadą hułany,
Boże mój, Boże! co za koniska
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska,
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej.
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w hułany,
Gdy z krzyżem wrócę ku swojej strzesze,
Toż to rodzicom radość przyniesie.
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamie.
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże!
Na bojowisku strach mię przemoże,
I zemknę z placu gdzieś między jodły,
A ludzie krzykną: „Podłyż ty, podły!“
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,

A dla mnie hańba na całe życie.
Nie, choć w hułanach dobrze się zdawa,
A piękny mundur i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy,
Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem,
A mnie tak pilno zostać człowiekiem.
Człowiekiem trudno.. trudno hułanem,
A więc.. cóż robić? zostanę panem.
Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią,
Za to odpiszę wszystkie szarwarki,
I dam każdemu wódki dwie miarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Każe nazwozić czerwonej cegły
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszył obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chłopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Będę miał sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy.
I będę gadał po europsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku.
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jadł marcypany z kwaśnem ogórkiem.
A jak mi matka w starej siermiędze,
Przyjdzie załośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
„Daj mi paneczku, daj zapomogę!"
Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z mego dworu wypchnąć ich każę.
  Och! co ja bluźnię, Jezusie Chryste!
Oddal odemnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy
Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy.
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada,
Jam grzech mój ciężki, pogardę wami,
Gotów opłakać krwawemi łzami.
Niech rowiennicy, a swawolnicy,
Błotem obrzucą mnie na ulicy.
Toć to nakupię elementarzy,

Tu mnie uściskiem pleban obdarzy,
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecze: Mój mały, widać, żeś człowiek!
Idź uczłowieczać rodzinną wioskę,
Idź gładko orać skibę ojcowską,
Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
Ze starą matką sadzić buraki,
A wśród buraków rzuć jej nieznacznie
Nasienie słońca*, co rodzić zacznie.
Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha,
Idź w imię Ojca, Syna i Ducha.
Otóż polecę, toż będą radzi,
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siać je będę na naszej niwie.
Pan Bóg pomoże, wzrośnie szczęśliwie.
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosy aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości,
Nakarmi chłebem aż do sytości.
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Spłacze się ojciec, spłacze się matka,
Taka łza w serce perłą powraca,
Toż moja książka, toż moja praca.
Chciało mnie zrobić natchnienie wieszcze
Panem, hułanem i czemś tam jeszcze,
Ja choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!

* Pod nasieniem słońca rozumie tutaj poeta naukę, bo ta duszy, podobnie jak słońce roślinom, daje życie prawdziwe. *W. S.*

Kalwarya Zebrzydowska i Lanckorona.

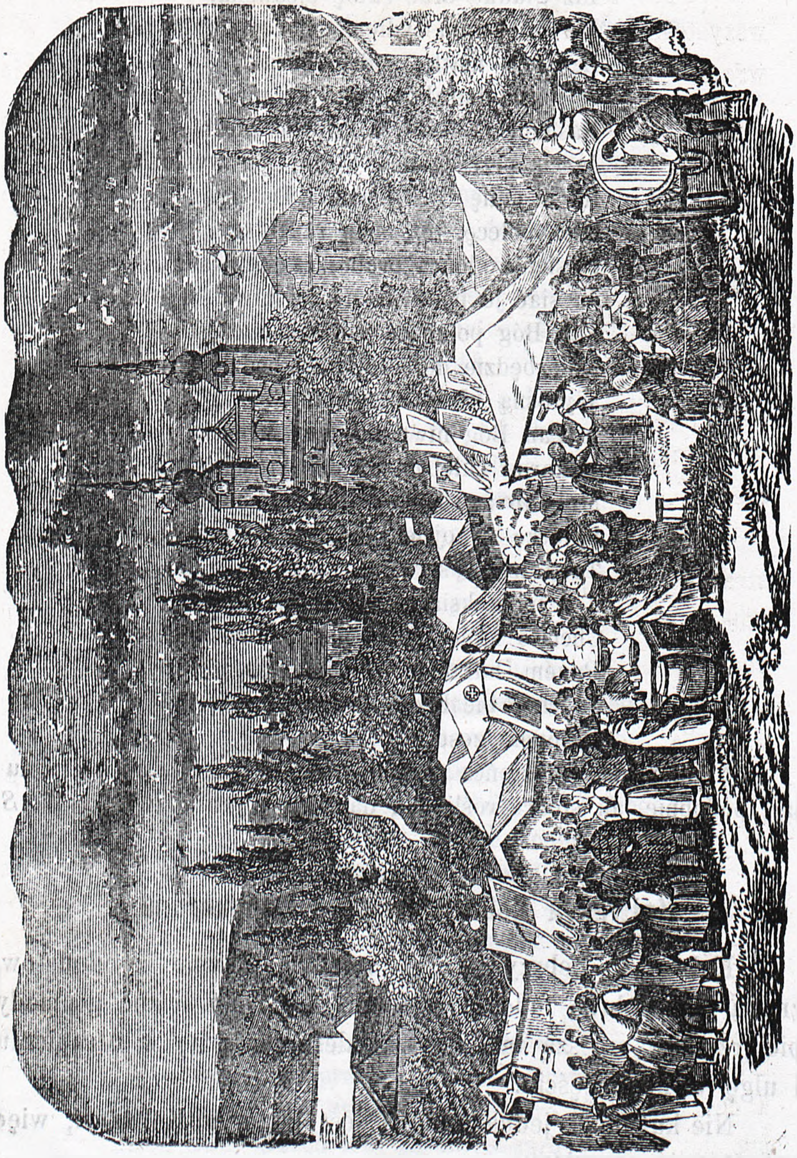
Kalwarya Zebrzydowska, miejsce sławne z odpustów, znana jest dobrze ludowi naszemu. Co roku liczne gromady pielgrzymów spieszą tam, aby znaleść pociechę w utrapieniu i ulgę w nieszczęściu.

Nie każdemu jednak znana jest historya Kalwaryi, więc pokrótce ją opowiemy.

Już blisko trzysta lat dobiega, jak na tronie polskim zasiadał Zygmunt trzeci. Był to król niedołężny a dumny i chciwy zaszczytów i chwały. Źle było w Polsce za jego pa-

nowania; wewnątrz nie było ładu i porządku, a nieszczęśliwe wojny niszczyły urodzajny kraj nasz ojczysty.

Pomiędzy szlachtą polską rej wodził potężny wojewoda i starosta krakowski, Mikołaj Zebrzydowski. Sławne było



imię jego po wszech ziemiach ojczyzny, bo on to, pokłóciwszy się z królem, podniósł rokosz i zapalił w ojczyźnie pochodnię wojny domowej. Wojna ta skończyła się zwycięstwem

króla, a Zebrzydowski musiał się ukorzyć i ustąpić królowi liczne swoje zamki i włości. Był on także panem Lanckorony, miejsca sławnego w dziejach naszych.

Lanckorona leży pod samemi Karpatami, na wysokiej górze. Dziś sterczą tylko ruiny wspaniałego zamczyska, który kiedyś zamieszkiwał ów wojewoda krakowski.

Naprzeciw ruin tych, z zieleni lasów, na niewielkim pagórku niegdyś Zarkian zwanym, pokazuje się klasztor, a u stóp jego mieścina.

Wojewoda Mikołaj, chcąc uświetnić pamięć swoją, wysłał dworzanina Hieronima Strzałę do Jerozolimy, aby zwiedził wszystkie pamiątki tego miejsca świętego, gdzie pierwszy kościół katolicki powstał, gdzie każdy krok przypomina chwile z życia Jezusa Chrystusa.

Za powrotem, Strzała podał plan wybudowania przybytku świętego, któryby był we wszystkiem podobny do kościoła Jerozolimskiego. W roku 1603 założono fundamenta pod budowę, a skończono ją dopiero w roku 1617 Papież Paweł piąty, nadał odpusty zwiedzającym to miejsce, którego widok przedstawia obrazek.

Nazwisko „Kalwarya“ nadał lud okoliczny świątyni tej i mieścinie, choć fundator chciał je nazwać „Jerozolimą polską.“ Lud jednak chcąc uczcić także pamięć założyciela, dodał Kalwaryi przydomek „Zebrzydowskiej.“

W świątyni znajduje się wiele obrazów pięknych i starożytnych. Między innemi, obok głównego ołtarza, obraz zawieszony na pamiątkę odwiedzin Kalwaryi przez króla Władysława czwartego, który wracając z wojny tureckiej, odwiedził to miejsce święte i hojne dary złożył kościołowi.

Kalwarya nie wiele nam przypomina chwil świetnych z dawnych czasów. Legenda ludowa tylko wiąże z nią powieść o rycerzu Włodku, herbu Łabędź, który z żoną swoją trudnił się rozbojem, wypadając z zamku swego na tej samej górze stojącego, gdzie potem wybudowano świątynię Pańską. Włodek zginął podczas jakiegoś napadu, a Włodkową król pojmał w niewolę i ściąć kazał.

*

Daleko więcej wspomnień wiąże się z Lanckoroną Za onych czasów, kiedy to Szwedzi kraj nasz pustoszyli, a na tronie siedział niedołężny król Jan Kazimierz — Lanckorona była bardzo ważnem miejscem. Jenerał Szwedów, Duglas, zajął zamek po krótkiej walce i ztamtąd zaczął szerzyć mordy i pożogę na całą okolicę. Cały rok trwały rabunki i mordy, aż ocknął się naród polski z zapomnienia i utworzywszy związek, zwany konfederacyą, wypędził wrogów z kraju.

W sto lat po tych wojnach z Szwedami jeszcze gorzej było w naszej ojczyźnie. Na tronie siedział Stanisław Poniatowski, którego nam na króla dała caryca moskiewska Katarzyna. Wojska tej carycy moskiewskiej zalały kraj cały, a sąsiedzi z innych stron czekali tylko chwili dogodnej, aby Polskę rozedrzeć na części i łupem się podzielić.

W kraju rozbrat i niezgoda, nie dozwalały obrony skutecznej. Wtedy to niewielu szczerze miłujących ojczyznę obywateli, zawiązali konfederacye w mieście Barze i wierząc w sprawiedliwość, i pomoc Bożą wydali wojnę wszystkim wrogom ojczyzny.

W r. 1768 Beniowski, wysłany przez wodzów tej konfederacyi Barskiej, zdobył Lanckoronę. Zamek ten wzmocniono i uzbrojono. Lanckorona stała się ważną twierdzą dla walczących wojsk polskich; dlatego broniono jej wytrwale. Dopiero w cztery lata, gdy w r. 1772. austryckie wojska pod dowództwem jenerała Haddika wkroczyły w kraj polski, Lanckorona poddać się musiała.

Z obronnego niegdyś zamku, pozostały dziś tylko szczątki. Drogie nam te ruiny, bo przypominają nam dzieje przeszłe. Były one świadkiem walki przodków naszych z wrogami, sterczą dziś jako pomniki zgasłej przeszłości, przywołjując wspomnienia świetnych czynów ojców naszych.

Sznyps, pisarz gminny

Zdarzenie prawdziwe

opowiedział Ta. Cza.

Jak ja wam co powiem — to tak, jakby ksiądz przeczytał z ewangelji w kościele, wszystko rychtyk prawda, a nie ma nic oszukaństwa. Ja człowiek bywały po świecie, i tu i tam,

i tędy i owędy, a wszędzie mówią: Sznyps, to mądra głowa — wielki rozum; i wy mi nie wierzycie, myślecie, że was chcę w pole wyprowadzić? O ciemny narodzie! ja gdybym chciał, mógłbym was drzeć ze skóry, ale co mi potem, ja mam zawsze swój grosz, od mojej siostry obywatelki, co jest taką panią, jak ta wasza we dworze — ja nie chłopski syn, nie!

Tak to w karczmie za stołem, zastawionym kwartami i kuflami, długo a zamaszyście gadał pan Sznyps, pisarz gminny, na oko wielka figura, ale właściwe: nic. Pana Sznypsa musieliście gdzieś już widzieć, bo ich więcej na świecie. Przypatrzcie się tylko jak wygląda.

Mała główka, a ociśnięta w szerokę obróżkę, jakiś worek, co to ni wieśniacza koszula, ni żadna kapota, wąskie rękawy, a ręce wyglądają z nich długie i kościste, chude nogi a na nich buty, których kroju żaden szewc nie dójdzie Sznyps wszędzie wściubi swoją główkę ubraną w kawałek niby to dawnej wojskowej czapeczki — a śmieszna to główka! Oczka małe, świdrowate, nos czerwony, usta wielkie jak wrota, zęby jak u psa — do tego niby zarost jakiś — otóż i cała figura.

Pan Sznyps od półtora roku gości już w łanowieckiej gromadzie. Zkąd przyszedł, nie wiadomo; szedł gościńcem, wstąpił do karczmy, poszwargotał coś żydem po niemiecku, na drugi dzień wstąpił do wójta, pokazał mu jakieś papiery — a trzeciego dnia wziął na siebie obowiązek gminnego pisarza, którego kancelarya w karczmie się znajdowała.

Trzy miesiące było w gromadzie spokojnie — bez procesów, bez zatargów, pana Sznypsa szanowano, pomimo tego, że tam w karczmie przy kuflu za długo coś przesiadywał.

— Może się kiedyś przepije, prawili gospodarze, i dopiero będzie z niego porządny pisarz, bo ma rozum, a szkoda by go było, bo dobry do rady.

I rzeczywiście pan Sznyps umiał się wkraść do łaski gospodarzy, udawał cichego i potulnego, wszystkim, jak to mówią, bębenek podbijał, że każdy był z niego zadowolniony.

Wreszcie pan Sznyps uznał, że czas do robót już nadszedł.

Postanowił więc wybrać sobie jaką tłuściejszą ofiarę.

Ot pan Łacheta, możny gospodarz, idzie ze zwieszoną głową — zobaczył to pan Sznyps przez okno karczemki i nuż wyskoczył za nim.

— Dobry wieczór kumie, rzecze do pana Łachety pisarz, a coście tak markotni, co to was boli...

— Ot bieda, panie Sznyps, na stare lata człowiek kawałka chleba zjeść spokojnie nie może...

— Miałażby wam stać się jaka krzywda?

— Jeszcze się nie stała.. bo są te djabelskie sądy, ale Bóg widzi, jak się nie chcę prawować, a zwłaszcza.

— Macie proces, poderwał żywo Sznyps, macie proces, ja wam dopomoge, a zobaczycie, jak te rzecy prowadzić umiem.. Ho! ho! wielu to ja już sprocesował, że bez koszuli poszli od sądu...

— Otóż widzicie panie Sznyps, tego się boję.

— Nie — ja was będę bronić — ja poprowadzę sprawę, ja pokażę temu... a jakże się właściwie nazywa ten wasz przeciwnik?

— Piotr Mazur, zabrania mi paść na przyległej do mego gruntu łączce, mówiąc, że te dwa morgi, to jego własność, podczas kiedy to jeden morg jego, jeden mój!

— Obydwa będą wasze — jakem Sznyps, ja wam wyprocesuję. — Ale może byśmy wstąpili do karczemki, ot tak na ochotę, po kieliszku, to nie zaszkodzi, a doda kurażu Pociągnął więc pan Sznyps pana Łachetę. Na progu krzyknie pisarz:

— Hej Icek! kwartę gorzałki, a tej mojej, rozumiesz, na początek sprawy pana Łachety z Mazurem.

— Aj waj! podskoczy Icek, będzie proces, aj waj, u nas już tak dawnego nie było procesu — to bardzo doskonal.. Rifki, gibże dem goim a kwarte, co znaczy w naszej mowie: Ryfko, daj tym chamom kwartę — tak to nas żydzi nazywają.

— A! wyborny sznaps, extra fein, mówi pan Sznyps, podchmielony już nieco, wygracie proces panie Łacheto,

i nietylko jemu ten morg weźmiecie, ale i cieląt parę i woły i pług i kożuch, to wszystko pójdzie na sprawę... wszystko...

— Oto! żeby mi tam taki Mazur śmiał w drogę włazić — mnie Łachecie, krzyczał ten, bo mu we łbie szumiało, nie dam się, nie! zagrabię go całego!

Po tej pijatyce odprowadził Sznyps pana Łachetę, który już prosto chodzić nie umiał, do domu, sam zaś przeszedłszy uliczkę, zapukał silnie do chaty gospodarza Mazura...

— Niech będzie pochwalony, zawołał Sznyps,

— A kto tam? ozwał się głos z chaty...

— To ja, Sznyps, dobry przyjaciel...

— A proszę, wejdźcie z Bogiem — rzecze pan Mazur otwierając drzwi chaty — ale co widzę, wy bo jakoś nieprzystojnie wyglądacie, za wiele podobnoś gorzałki użyliście... przychodzicie o tak późnej porze.

— Cyt! sza! mruknie pan Sznyps, weźcie no kapelusz i chodźcie do karczmy, opowiem wam coś bardzo ciekawego. Mazur zamknął chatę — wychodzą.

— Widzicie mnie, mówi Sznyps idąc, że ma pałka trochę gorąca, a wiecie kto temu winien.

— Kto?

— Łacheta, Łacheta, on to mnie spoił, abym przeciw wam jemu proces prowadził, ale ja wasz szczery przyjaciel, ja nie mogę tego zrobić — ja bym wam tylko chciał szczerze służyć...

— Łacheta, hm! a jaki on prędki... chce mnie zaraz procesować... i pisarza sobie najmuje... ale wy mu sprawy nie będziecie prowadzić, panie Sznyps. — Broń Boże, żebym się w świder skręcił... ja wasz przyjaciel...

— No! to wam powierzam całą sprawę, a grubo wam w kieszeń wpadnie — niech tylko wygram...

— Tfu! panie Mazur, to nie ma ani na paznokieć wątpliwości, musi przegrać ten Łacheta, a wy mu wtedy zabierzecie nietylko ten morg, ale i cieląt kilkoro i parę wołów, i pług...

— A niech mnie jasny! tak mądrze mówicie panie Sznyps... Icek! daj no to pół kwarty na początek procesu...

— Aj waj? co to pół kwarty! na taki proces to i garniec zamało... jak wy panie Mazur wygracie, to będziecie panu Sznyps winni — i wy teraz tylko pół kwartę każecie dawać? pfuj!

— Daj kwartę, nic nie żałuję, tylko żebym wygrał...

— Wigracie, kiedy Icek wam mówi, że wygracie, to zupełnie prawda... aj... pan Sznyps, to taki mądry człowiek, win jeszcze nigdy nie przegrał procesu...

— Tylko was proszę panie Mazur, abyście o tem nikomu nie powiadali, że ja wam sprawę prowadzę — bo to ludzkie języki — a potem Łacheta możeby mnie chciał przekupić, a wy wiecie...

— O! nie bójcie się! Ja wam dobrze zapłacę! dam wam pięćdziesiątkę, a oprócz tego na papier, na stęple...

— No! choć to mało, przystaję, bo jestem waszym dobrym przyjacielem — teraz jeszcze kieliszeczek na dobranoc! Szedł zatem kieliszek po kieliszku. Pan Sznyps odprowadził i Mazura, wykrzykującego ciągle: wygram! wygram! ze skóry go obedrę, zabiorę wszystko Łachecie! Nareszcie zaś, gdy i tego dowlókł do chaty — powrócił jeszcze do karczmy i tam z Ickiem konszachtował, zmawiając się z nim razem na zgubę biednych gospodarzy... Zamiast ich pogodzić, on jeszcze oliwy dolewał do ognia.

Stanęła więc między nim a żydem tajemna umowa, że wszystko dziać się będzie w karczmie, że gospodarze od żyda pożyczać będą pieniędzy na proces, gdy im gotówki zabraknie, że Icek będzie ich nawzajem podżegał, a każdemu jak najbardziej Sznypsa zachwalał... Na drugi dzień Sznyps wziąwszy od obu gospodarzy pieniądze, niby to na stemple i papiery — pojechał do miasta. Wróciwszy zapewniał każdego z osobna o wygranej, mówił o terminie sądowym, a na końcu spoiwszy ich w karczmie, od każdego wyłudził pieniądze.

Tak ciągnęło się przez dwa miesiące. Stateczniejsi gospodarze łanowieccy chcieli waśniących się pogodzić, ale ci podżegani przez Icka i Sznypsa, tych djabłów prawdziwych, ani słyszeć nie chcieli o zgodzie...

Sznyps pokazywał im jakieś papiery, nibyto chodził za nich do sądu, a ustawicznie wyciągał od nich nowe pieniądze, na koszta procesu, to na drogę do urzędu, na papiery a nawet po 25 złr. od każdego na kubana, jak on mówił, dla pana urzędnika.

Łachecie i Mazurowi wkrótce pieniędzy zabrakło, za radą Sznypsa zaczęli zastawiać się i zapożyczać u Icka — w kilka miesięcy nie mieli czem orać w co się odziać i do ust włożyć...

Tu tymczasem terminu sądowego jak nie ma tak nie ma...

Sprzykrzyło się im wreszcie, że pan Sznyps, widząc, że nic nie mają, zaczyna się z nich naśmiewać, sam nie wiedzieć skąd grube ma pieniądze, a końca sprawy nie widzą jeszcze.

Poszli oba do sądu.

W sądzie wypatrzyli się na nich, jak na pomięszanych, przeżegnali się, nie słysząc nic o żadnym procesie...

Wściekłość opanowała procesujących. Opowiedzieli więc całą sprawę, z czego ich pan urzędnik objaśnił, że Sznyps jest oszustem, którego od dawna szukają, że musiał się z Ickiem namówić, aby ich zniszczyć i do takiej nędzy doprowadzić i na końcu, że wyda rozkaz aresztowania tego oszusta, co papiery sądowe podrabiał i jego wspólnika. Pojechał więc razem z nimi do wsi... Wszedł do karczmy, za szynkwasem siedział Icek, trzymając jakiś papier w ręku...

Urzędnik odebrał trzęsącemu się ze strachu żydowi ów papier, który był podrobiony i zawierał rachunek sądowy procesu Łachety z Mazurem... Pan urzędnik był pewnym fałszerstwa Sznypsa, ale jako wspólnika zaaresztował żyda, czekając na przemyślnego ptaszka...

Wkrótce wchodzi śmiało pan Sznyps. — Czapka na bakier, fajczysko w ustach, a cała mina wielce odważna... lecz gdy zobaczył urzędnika, Icka między żandarmami, skręcił się do drzwi — drogę zastąpili mu Łaaheta i Mazur, i oto pan Sznyps, nazywający się także trzema innemi nazwiskami, trzy razy posądzony o rabunek, skazany na dziesięć lat więzienia, fałszerz, oszust, został wzięty pod karabiny, a jako niebezpieczny aresztant, okuty. Znalezioną przy nim

i w jego pomieszkaniu gotówkę rozdzielił pan urzędnik między Łachetę i Mazura, którzy pomimo tego ani połowy swoich pieniędzy nie odebrali.

Tak się skończył szczęśliwym wypadkiem ów pierwszy, a spodziewamy się i ostatni proces w gminie łanowieckiej.

Podżegani przez tych szatanów niebacznie doznali straty, ale wziąwszy się do pracy, mogą w lat kilka wynagrodzić st acony przez pieniactwo dostatek. W gminie nie przyjmują odtąd takich Sznypsów — chociaż w niejednej gromadzie znaleść ich możemy. . .

Bodajby to był taki Sznyps ostatni!

KRAKUS.

Pod Krakowem trzy kurhany,
Niby trzy przedmurza:
Patrzą na kraj ukochany,
Czy nie grozi burza?

Oj, zawyła burza wściekła,
Od wschodu, do wschodu...
I całunem przyoblekła,
Krwawą pierś narodu!

Oj, zawodzą w płacz serdeczny,
Nieszczęśliwe matki:
Do pościółki wiodąc wiecznej,
Ukochane dziatki.

W niebo okrzyk zgrozy bije,
Żałośnie, grobowo:
Czyje ręce pomszczą, czyje,
Krzywdę narodową?

I posłyszał to z ukrycia,
Mąż z ducha i kości,
Co nie szczędził nigdy życia,
Za sprawę wolności,

Co za bisior miał siermięgę,
A burkę za łóżko,
Miłość ludu za potęgę:
A zwał się Kościuszko!

Od okrzyków, od radości,
Znowu drżą niebiosy:
Gromadzą się ludzie prości,
Wyostrzają kosy!

O, niech wróg się nie poważy,
Kusić o zwycięztwo...
Gdzie narodu duch na straży,
Tam siła i męztwo.

Choć niewola — niby ołów
Ciężka, na pierś lęże:
Wstają iskry z pod popiołów —
A z narodu męże!

Zbrojne w kosy i kłonice,
Poszły nasze chwaty,
Poszły, het, pod Racławice
Zdobywać armaty.

I zdobyli — i przywlekli,
Armat jedyneście:
„A wrogowie niby wściekli,
„Pierzchli przez przepaście!

„Hej!—gdy nam tak poszło z chwałą
„Kościuszko zawoła:
„Trzeba przelać jedno działo,
Na dzwon do kościoła!

„Niechaj jego głos spiżowy,
Płynie co dnia z wieży:
„I o chwale narodowej,
„Gada do młodzieży.“

Potem rzuci okiem czule,
Na Wawelu mury:
„Tam gdzie nasze leżą króle,
„Stanie moździerz wtóry!

„Gdy na naszą dolę krwawą,
„Padł ucisk tej ziemi:
„Narodową chociaż sławą,
„Podzielmy się z niemi!

„Trzecie działo niechaj stanie
„Na mojej mogile...
„By ostatnie pożegnanie,
„Oddać mi za chwilę!“

Skąd te wodzu myśli czarne,
Skąd ten smutek powiedz:
Czyś ty wieszczym przeczuł duchem,
Klęskę Maciejowic.

Niewiem z jakich przeznaczenie,
Wódz tam czytał znaków;
Czy w snach zoczył tę mogiłę,
Którą wzniósł mu Kraków.

Ale widzę, jak nad Polską,
Duch jego jaśnieje...
Trwogę budząc w piersiach Moskwy
W ofiarach — nadzieję!

Mrówki.

Kiedy się zastanowimy z uwagą nad sposobem życia i zadziwiającą zmyślnością mrówek, przychodzi nam uwielbiać wszechmocność i mądrość Boga, nietylko w stworzeniu ogromnych zwierząt, ale i w stworzeniu najmniejszych istotek.

Mrówki żyją w wielkich towarzystwach, i składają jakby naród, co się rządzi pewnemi prawami: budują one, jak wiecie, sztuczne mieszkania zwane mrowiskami, jużto w ziemi, już też w wypruchniałych drzewach. W mrowisku trojakie znajdujemy mrówki, to jest: *samce, samice* i tak zwane *bezpłciowe*, czyli ani samce, ani samice. Te bezpłciowe nie mają nigdy skrzydeł; samce zaś i samice przez krótki czas opatrzone są cienkiemi skrzydełkami, które im wkrótce odpadają. Samice i bezpłciowe mają żądła, albo brodawki, z których się sączy ostra, kwaskowa ciecz, zwana *kwasem mrówczanym.* Samce tego nie mają.

Mrówki u nas znane są dwojakiego koloru: *brunatno-czerwone*, inaczej zwane borowemi, które zazwyczaj po lasach przebywają, i jasno *czerwone*, ktore najwięcej po polach żyją, i są mniejsze o połowę od pierwszych.

Mrówiska zakładane w ziemi składają się z sosnowych igieł, z drobnych drzazg, włokien, odłamków kory, okruszyn

żywicy sosnowej, ziemi i t. p. Budowa ich na pozór tak prosto prowadzona, godną będzie podziwienia, jeżeli się bliżej tym niekształtnym na oko kopcom przypatrzymy. Ujrzymy, jak w nich wszystko ma swój cel; zobaczymy tam tysiączne bramy strzeżone we dnie, a na noc zamykane; liczne sionki prowadzą tam do nierównie liczniejszych, większych i mniejszych komórek, które się mieszczą na wielu piętrach, zbudowanych już to nad ziemią, już też w jej głębi. Prócz tego ujrzymy tam jeszcze mnóstwo krętych ścieżek, schodów, podpór i t. p. Kopce te tak szczególnie są zbudowane, iż największy deszcz nie przesiąknie do ich wnętrza.

Lecz jeżeli godną jest podziwu zmyślność i pracowitość mrówek w budowaniu mieszkań swoich, nie mniej uderzającą jest ich troskliwość w wychowaniu potomstwa. Po złożeniu jajek, gdy gąsienice (czyli liszki) z nich wyjdą, zatrudniają się one starannie ich wyżywieniem i troskliwie pielęgnują. Liszki te przemieniają się potem na białe poczwarki, podobne do ziarnka kaszy owsianéj. Te poczwarki we dnie wynoszą mrówki często na słońce lub w cień, a wieczorem znowu do mrowisk znoszą. Dosyć jest, dla przekonania się o tej troskliwości, rozrzucić jakie mrowisko, a spostrzeżemy, jak tysiące mrówek skrzętnie się uwija, rozrzucone poczwarki troskliwie znosi, i w mrowisku przechowuje, a zapewne żadna obcej nie zabierze. Poczwarki te białawe, mylnie są nazywane *jajami mrówczemi*, bo jajka mrówek są drobne, zaledwie wielkości ziarna piasku dochodzące. Z poczwarek dopiero wychodzą mrówki.

Mrówki należą do owadów użytecznych, z ich kwasu, robi się *spirytus mrówczany*, używany na lekarstwa, lub też przyrządza się ocet mrówczany; poczwarki mrówek, (owe niby to mrówcze jajka) są ulubionym pokarmem słowików; prócz tego w ich mrowiskach znajdujemy *mirę krajową*, której się używa do kadzenia, a którą w święto Trzech-Kroli lud nasz przynosi do święcenia, na pamiątkę ofiarowanej niegdyś miry nowonarodzonemu Zbawicielowi naszemu. Mira nasza składa się z okruszyn sosnowéj żywicy, która przesiąkłszy kwasem mrówczanym, w zapaleniu dość przyjemny i zdrowy zapach wydaje. Po wsiach używają także mrówek do wytępienia li-

szek objadających kapustę, a to rozsypując po zagonach zebrane z pól lub lasów mrowiska.

W bardzo ciepłych krajach żyje mrówka wędrowna, która i do cala długości dochodzi. Robi ona mrówiska do 4ch łokci głębokie, i wyściela je liściem. Dla zebrania zaś liści udają się te mrówki gromadnie do lasów i tam jedne włażą na drzewa i obgryzają liście, drugie zostają pod drzewem i przecinają na drobniejsze części spadłe z drzewa listki; nareszcie i tamte z drzewa spadają, i wspólnie zanoszą do mrowisk zebrane zapasy. W czasie długotrwałych deszczów, gdy im braknie pokarmu, wędrują one tam w odległe strony, i wciskają się do wszystkich zakątków mieszkań ludzkich. Mieszkańcy tamtejsi chętnie ustępują tym przyjaźnym gościom swoich domów i pozostawiają je otworem, bo w krótkim czasie oczyszają im mieszkania z myszy, szczurów, i innych owadów, które się tam zagnieździły. Wędrówki te odbywają nawet przez małe strumyki, a do przebycia ich szczególny most przyrządzają. Jedna z silniejszych mrówek siada na kawałku kory przy brzegu, podczas gdy druga mrówka jéj się czepia, téj znowu inna i t. d. Potém pierwsza siedząc na łódce, robi nogami jak wiosłami i płynie ku drugiemu brzegowi; gdy tym sposobem most mrówczany przeciągnie, wtedy wszystkie mrówki, przechodząc po towarzyszkach swoich, jakby po łódkach, przeprawiają się na drugą stronę.

Mrówki wędrowne napadają i w polach na myszy i szczury, nasze zaś mrówki objadają je tylko, gdy je napotkają nieżywemi, a chrabąszcze i bąki-końskie są największemi zwierzętami, na które się u nas odważają.

Utrzymują, iż owad ten stosunkowo jest najmocniejszy ze wszystkich, albowiem odrobinę, choćby ołowiu, tak wielką jak sama mrówka, unieść może, a czego żadne stworzenie stosunkowo do swéj wielkości nie dokaże; bo niechnoby na konia włożono tyle ołowiu, jak sam jest duży, a pewnieby go nie uniósł. Powiadają iż mrówka zebranym w lecie zapasem w zimie się żywi; lecz gdy wiadomo jest, iż ona w zimie żyje w odrętwieniu, tedy sądziéby należało, że i

mrówka podobnie jak i inne odrętwiałe w zimie zwierzęta, np. niedźwiedzie, niepotrzebuje w tym czasie pokarmu.

Jakkolwiek pomiędzy mrówkami nic, prócz miłości, zgody i równości dostrzegać się nie daje, jednakowoż wytępiają się one pomiędzy sobą, gdy się zanadto rozmnożą; ale nie zdradziecko i nie chytrością, i nie podejściem to czynią, jak wiele innych owadów, tylko spotykają się z sobą w otwartém polu, jak dwa regularne wojska. Ich bronie stanowią: małe żądła, pyszczki i kwas ostry, który lekkie zaczerwienienie na ciele człowieka sprawia. Do wojny są jednak tylko zdatne robocze mrówki; inne uciekają, gdy im się pora wydarza.

Bezżądłowe to jest samce ukąsiwszy drugie, szybko się tyłem obracają, aby w ich rany swój kwas ostry zapuścić. Jeżeli zaś nieprzyjaciel jest oddalony, to stawiają się w szybki, przechylają brzuchy pomiędzy nogi, i pryskają kwasem, jak tylko zasięgnąć mogą; często téż widzieć można, jak z wierzchu ich kopca deszcz mrówczanego kwasu w górę pryska, wydając woń podobną spalonéj siarce. Nad wszystkich nieprzyjaciół lękają się najbardziéj innych mrówek, nie wyłączając i najmniejszych, bo tych zaraz mnóstwo się do nóg większych czepia, wkoło niemi kręci, i do ucieczki przeszkadza. Podczas walki zdumiewać się przychodzi nad ich odwagą, bo rozjątrzywszy się w boju, dozwalają sobie raczej nogi oberwać, niż się poddać, często téż oberwane głowy, albo całe nieżywe mrówki wiszą u nóg uchodzących mrówek.

Między mrówkami równéj wielkości, żądłowe, to jest samice i bezpłciowe są najgroźniejsze.

Większe napadają na mniejsze nieubłaganie: ujmują je wpół i duszą pyszczkiem; ale jeżeli się wprzód małe spostrzegą, wtedy kupami przyprowadzają sobie inne na pomoc.

Brunatno czerwone t. j. większe mrówki, wyszedłszy z swego mrowiska, podchodzą aż do bram jasno-czerwonych, które choć o połowę od nich mniejsze, ale też są daleko liczniejsze, i także się odważnie bronią; jednakże po większéj części pobite bywają, i wtedy często o 50 stóp od mieszkania swego się oddalają, zabierając z sobą wszystko, co tylko im może być przydatném. Po drodze rozstawiają małe oddziały

na straży, które zbliżającą się wielką mrówkę zaraz aresztują; jedna wskakuje jej na kark, okręca się około głowy i zlewa ją kwasem, przytem mocują się z sobą; inne, przybywszy jej na pomoc, zagryzają ją lub biorą w niewolę.

(Dok. nast.)

Rozmaitości.

Gdy Filip V, król hiszpański przejeżdżał przez jedno miasteczko, burmistrz miejscowy tak go powitał: Najjaśniejszy Panie! długie przemowy utrudzają mowcę i nudzą słuchacza. Pozwól więc, abym ci zaśpiewał piosneczkę! A otrzymawszy pozwolenie, śpiewać zaczął ułożone na cześć monarchy wiersze, które się tak Filipowi spodobały, że zawołał: Da Capo! Burmistrz nie dał się prosić i piosneczkę z jeszcze większym zapałem odśpiewał.— Ucieszony król kazał mu dać 10 luidorów: Da Capo! zawołał na odwrót burmistrz; a rozweselony przytomnością umysłu Filip, kazał mu za ten żart wyliczyć drugie 10 luidorów.

Sen i śmierć. Braterskо ujęci, wędrowali z sobą anioł snu z aniołem śmierci. Było to w wieczór. Siedli na pięknym wzgórku niedaleko mieszkań ludzkich. Cichość panowała w około; odgłos wieczornych dzwonów przebijał tylko kiedy niekiedy powietrze. Spokojnie i milcząc, (jak to obyczajem bywa) siedzieli dwaj bracia, a noc zbliżała się. W tem powstał anioł snu z miękkiej darniny, i jął sypać dary swoje z rogów, które trzymał w ręku. Wieczorne wietrzyki rozniosły je na skrzydłach po mieszkaniach strudzonych rolników. Wnet sen słodki wszystkich ogarnął od starca, który na kiju się wspiera, do niemowlęcia w kołysce. Chóry zapomniał o bolach, nieszczęśliwy o smutku, ubogi o nędzy. Powieki wszystkie oczy przykryły, wszystkie stany się zrównały. Dopełniwszy obowiązku swego dobroczynny anioł, sam się położył obok czuwającego brata. Gdy zorza zajaśniała, podniósł się i zawołał radośnie: błogosławią mnie teraz ludzie, jako przyjaciela i sprawcę dobrego. O jakaż to rozkosz, niewidzialnie dobrze czynić! Posłańce wielkiego ducha, jakże szczęśliwi jesteśmy! jak piękne, ciche powołanie nasze! Tak mówił anioł snu. Spojrzał na niego anioł śmierci z boleścią i przyćmione już czarne oko łza jeszcze bardziej przyćmiła. Ach, czemuż wyrzekł, i ja myślą o wdzięczności synów człowieka cieszyć się nie mogę? mnie ludzie swym nieprzyjacielem zowią. Co wówisz? bracie! powiedział anioł snu; czyż i ciebie sprawiedliwy przy wielkiem ocknieniu swojem dobroczyńcą nie uznaje? czyż cię nie błogosławi? nie jesteśmyż braćmi

i posłańcami jednego ojca? Tak powiedział, i oko anioła śmierci błysnęło także radością.

Pewien bogacz pytał się ubogiego człowieka, z czegoby żył? ubogi mu odpowiedział: gdybyś mnie się raczej pytał, z czego umieram? wtenczasbym ci odpowiedział, że z głodu.

Wsiadającego na okręt żeglarza spytał się filozof: mój kochany, powiedże mi, gdzie twój ojciec umarł? Utonął, odpowie żeglarz. A twój dziad i pradziad? — Także. Jak więc, rzecze filozof, śmiesz puszczać się na morze? — Na co żeglarz: Powiedzże mi także panie filozofie, gdzie twój ojciec umarł? Spokojnie na łóżku, tenże odpowiedział. A twoi przodkowie? tymże samym sposobem. Jakże ty tedy, zawołał żeglarz, śmiesz się kłaść codziennie w łóżko.

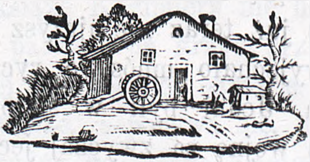
Śmierć żołnierza.

Hanka polewa w swym ogródku róże,
Aż tu przybiega konik na podwórze,
Koń białonogi, oko ma sokole,
Swietną maść gniadą i gwiazdę na czole.
Patrzy się Hanka, to konik Stefana,
Gdzieżeś, koniku, podział swego pana?
Mojego brata z jasnemi oczami,
Co miesiąc temu, jak się żegnał z nami!
Pośród łez rzewnych, pośród broni szczęku,
W rycerskim stroju, z chorągiewką w ręku.
Ty to pamiętasz koniku Stefana,
Lecz gdzieżeś, gdzieżeś podział swego pana?
Ale kasztanek smutnie zwiesił głowę,
Jakby pojmował tkliwą Hanki mowę!
Bił nogą w ziemię, jaky mówić żądał,
I wciąż za siebie z żałością poglądał.
Przejrzyj się Hanka aż on krwią zbroczony.
Tu już żalowi wytrzymać nie może,
I zacznie wołać: nielitośny Boże!
Więc mi zabrałeś, com najdroższe miała
To, com po tobie najwięcej kochała.
Więc i mnie zabierz w jasne progi twoje,
Bo się na ziemi dłużej nie ostoję.
Niedługo potém przy księżyca blasku
Grzebali mężnych na raszyńskim piasku,
A w pięknej wiosce, kędy Hanka żyła
Świeża mogiła w cmentarzu przybyła.

Redaktor i wydawca odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni K. Budweisera.

Nr. 17. 18. **20. Czerwca 1872.** **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Jak Warszawa powstała.

Był pewien książę Mazowiecki i miał się nazywać Kazimierz. Niektórzy nawet powiadają, że on był królewiczem Polskim. Ten tedy książę, czy tam królewicz, a zawsze Kazimierz z imienia, lubił łowy i polowanie. Zwyczajnie to z dawna dawności już taka rozrywka pańska. Bo kiedy w czas spokojny nie ma wojny i nie można bić nieprzyjaciela, to trzeba się czem trudnić, co jakby wojną było. Zamiast jako rycerz z rycerzem, spotkało się z dzikim zwierzem, a zamiast gonić Turka lub Tatara, goniło się tury, jelenie i łosie. Teraz ma się rozumieć, kiedy już takiej zwierzyny tak dobrze jak niema, radzi są panowie, kiedy się na koniu z harapem za nieborakiem-szarakiem puścić mogą z kopyta. A kiedy im się lisek zdarzy, to już jakby ich kto na sto koni wsadził, choćby go też i pieszo gonili.

Ale książę Kazimierz byłby się za tak marną zwierzyną i krokiem z miejsca nie ruszył. Po owe czasy było to coś dla psów, ale nie dla szlachetnych rycerzy. Jeżeli nie mogli uderzyć na wielkiego zwierza, co był większy i silniejszy, niż oni, to małemu dali święty pokój. Wszakże i teraz dobry strzelec do wróblików nie wypali, ale swoje naboje na stada cyranek i żurawi zostawi.

I wyjechał książę Kazimierz na wielkie źwierzę do borów, jakich pono już teraz nie ujrzysz tak gęstych i starych. A z nim wyjechało mnóstwo rycerstwa i dworzan i sług przeróżnych. Jedni byli w stalowych pancerzach, jakto rycerstwo na wojnę za zwyczaj jechało; drudzy byli tylko w kurtkach z grubej jak podeszwa skury, a najodważniejsi mieli na sobie leciutkie ubranie z aksamitów i materyi kosztownych. Żadnemu zaś nie brakowało strusiego pióra nad czołem, ni trąbki lub rogu przy boku. Jak się bowiem wesoło na łowy jechało, tak też wesoło i pióra powiewać miały. — A trąbka to i do tego była potrzebna, aby dać znak, gdyby się gdzie w głuchym boru zbłąkano. Wszakże po owe czasy jeszcze prochu i strzelby pukającej nikt nie znał, i tylko łuki z wiśniego dębczaka albo ze sprężystej stali służyły do strzelania. Lecz ani książę Kazimierz, ani jego towarzysze z łukiem nie wyjechali, ale tylko z długim, jak włócznia, oszczepem albo też nawet z kordem tylko dość krótkim.

I wjechali nasi łowcy w dzikie knieje. Lecz nie było to na tej stronie Wisły, gdzie teraz Warszawa, ale na tej, gdzie teraz Praga. Tam ci i dzisiaj jeszcze pod Ostrołęką takie bory, jakich może drugich w całej Polsce nie znajdziesz.

I rozdzieliło się szlachetne i świetne rycerstwo na kilka gromad, i jedni się udali w tę, drudzy w ową, a inni w inną stronę. Książę zaś Kazimierz udał się manowcami, gdzie się największego zwierza spodziewał. I jedzie i jedzie, a z nim gromadka najwierniejszych i najmilejszych dworaków, ale źwierza co nie widać, to nie widać.

Wreszcie trzeszczą gałęzie i słychać szum w gęstwinie, jakby się co przez drzewa przedzierało. I nic nie mówiąc, da książę Kazimierz znak ręką, i rozstrzelą się rycerze na obie strony, aby zwierza swemu panu pod oszczep napędzić. I w samej rzeczy wystraszyli ogromnego jelenia. Co gdy go książę Kazimierz spostrzegł, to aż mu się oczy zaiskrzyły z radości. I dalejże teraz za nim, co tylko włosy koło uszu gwizdały. Ale choć konik gładki jest chwatki, to jeleń równie szybki.

I byłby go książę Kazimierz nie dognał żadną miarą. Aż tu się dwie parowy na krzyż przerzynają, a wielka zaspa śniegu w tej poprzecznej parowie. I utyka jeleń, że mu ledwie rogi widać, i porywa się, i znowu utyka głęboko. W tem dojeżdża go książę Kazimierz i wepchnął mu oszczep między same łopatki. Potem zatrąbił na trąbce, i przyskoczyli rycerze i słudzy i zabrali jelenia i nieśli na oszczepach, jak na marach, ze sobą.

A książę Kazimierz, szczęściem zachęcony, dalej się puścił. I nie jechał daleko, aliści mu się straszliwy niedźwiedź nawinął.

„Hola, bratku“ pomyślał sobie książę Kazimierz. „Jeżeli nie na więcej, to przynajmniej na skórę pod nogi posłużysz.“

I ledwie to pomyślał, wymierzył do niego oszczepem i ubił go na miejscu, jak się właśnie na niego na tylne łapy wspinał.

Potem zdarzył mu się dzik a stary. Tenby go był powalił i z koniem zarazem. Ale książę Kazimierz zeskoczył na ziemię i nadstawił mu tak oszczepu, ze dzik zaślepiony sam się nadział na oszczep. I wykrzyknął książe: „Widzisz, dziku, żem przecie mocniejszy! Jeżeli nie na więcej, to przynajmniej na oprawę do ksiąg prawnych posłużysz!“

A co ubił, to zaraz dworzanie i słudzy na swoje oszczepy lub na drągi z drzew ściętych zabrali.

A że książę co ducha, dalej się puszczał a przy każdym źwierzu po kilku towarzyszów zostawiał, więc pędził w ostatku sam jeden.

Aż tu nagle najeżdża na żubra. Ten mu zaś narobił nie mało kłopotu, a nawet mu się stawił rogami i uderzył na niego obcesem. Przecie i tego pokonać się księciu udało. Bo jak mu wparł oszczep między same rogi, to aż mu ostrze karkiem wyglądało.

I obejrzy się książę, czy służby nie ma, coby żubra zabrała; ależ tu żywej duszy nie widzi! I wypadało mu wrócić do swoich; lecz cóż? Ochota go wzięła, aby jeszcze

choć jedną sztukę powalić. Więc mało myślący, puścił się w głąb boru.

I pędzi i pędzi i ogląda się za zwierzem, i pędzi i pędzi i słucha; ale teraz to całkiem na próżno. A że się wreszcie już zmierzchać zaczyna, staje na miejscu i nazad się puszcza.

I dziwno mu, że nigdzie nie spotyka rycerzy ni żadnego ze służby. Lecz już to nie od chwili pruszy. Więc łatwo im było ślad zgubić. A teraz jeszcze wicher powstaje i rwie ze ziemi i sypie w oczy, gdzie się tylko przez drzewa przedrzeć może.

Nie miło to księciu Kazimierzowi. I zatrąbi na trąbce, i znowu zatrąbi, i jeszcze zatrąbi; ale nikt się nie odzywa a tem mniej jeszcze przybywa! Dla tego zrobiło się księciu jakoś ckliwie-lękliwie na sercu. Lecz pociesza się, że przecie w końcu kogoś spotka i że z boru, z boru-lasu wyjedzie.

Ale choć znowu trąbi i trąbi, że aż się trąbka roz grzała, i choć jedzie i jedzie, że aż z konika pot kipi, to nikogo w koło. Śnieg zaś pada i pada, i kurzy się z nieba i ziemi, i noc ciemna zapadła. Koń bucha po kałdun, a przecież tak w boru zanocować nie można! Książę tylko w kurtce aksamitnej, a choć sobolami podszyta, to przecie nie tak w niej, jak w szubach dostatnich. Przytem wilków nie mało tam w kniei!

Wreszcie się las nieco wyjaśnia, i patrzy książę: jakieś światełko tam w dali! „Boguż dzięki!“ zawołał. „To przecię teraz nadzieja!“ I folguje konikowi i wolniej jedzie na owo światełko.

Lecz nowy tu smutek, bo oto koń stanął, jak wryty. I dopiero poznał książę Kazimierz, że się nad jakąś wodą znajduje. A że szumi, musi to być rzeka. A że szeroka i nie zamarzła, musi to być Wisła!

Były nie małe mrozy a i Wisła już stanęła, lecz i w najtęższą zimę są niektóre miejsca na Wiśle, co nie zamarzają. Więc cóż tu robić i cóż tu począć? Oto udać się w prawą lub lewą, to przecie będzie gdzie przejechać

można! I tak też zrobił nasz książę i co prawda, choć szum był z tej i tej strony jednaki, skręcił konikiem w prawą, bo ją miał za szczęśliwszą, i niezadługo jechał jak po stole, bo wiatr zmiótł śnieg z lodu jak miotłą, a slizko wcale nie było, bo chropowato umarzło.

I podjechał książę pod górę i blizki już onego światełka. I patrzy: chata dosyć porządna, a kilka wioseł o dach opartych.

„Ha, to tu rybak znać mieszka!“ pomyślał sobie książę. „Jakoś bardzo wysoko! Więc pewno to lichy sprawca na ryby, kiedy tak daleko od wody! Lecz może też za to cieplej będzie u niego, niż u tych innych bywa. Bo wszakże u rybaków to za zwyczaj, jak w lodowni jakiej. O gdybym był raczej gdzie do borowego zabłądził! Przecie i w najgorszym razie będzie tam milej, niż w zawieruchę na polu!“

I zagląda książę oknem, ale nic nie widzi jak tylko, że alkierz otwarty i że skorupka na stole w nogach przy łóżku się pali. I kołace książe w okno, i pyta się z łóżka głos kobiecy na poły z jękiem: „A kto tam?“ Ale książe nie daje się poznać i odpowiada: „Otwórzcie tylko, kobietko, otwórzcie! Jestem podróżny a ieziąbłem, że aż zębami szczękocę, i jestem tak głodny, żebym kamienie połykał.“

Na to odezwał się z łóżka ów głos kobiecy: „Wejdźcie tylko, przyjacielu, bo sień nie zaparta! Ale jakżeż się zdziwiła, kiedy zamiast prostego podróżnego jakiegoś pana w kurtce aksamitnej i w czapce z piórem ujrzała! I byłaby się może ze strachu na głowę pierzyną przykryła, ależ tu wszedł jej mąż z nadworza.

Ukłoniwszy się, zawołał on śmiało i przywesoło: „Gość w progi to skarb drogi! Witajcież zatem, Wielmożny Panie! Nadzwyczajne szczęścia dzisiaj Bóg na mnie zlewa! Otóż jeszcze przed świtem żona mi moja kochana pareczkę: syna i córeczkę powiła; a teraz powracam ze szopki, gdziem się właśnie od mojej granoszki byśka i jałoszki jednej godziny doczekał! Jeszcze podobało się Panu Bogu, żebyście Wy się, Wielmożny Panie, do nas zabłąkali! O

jakaż radość, o jakaż szczęsna dola dla mnie ubogiego człeka!“

A że właśnie matka jego weszła, kazał jej co tchu rozniecić ogień. Sam zaś zaczął księcia otrząsać ze śniegu, otarł mu rękawem obmarzłe buty, i nalawszy mleka i miodu w naczynie, kazał je grzać jak najprędzej. Potem wystawił jeszcze na misce solone już ryby i rzekł: Już wam pomagam, jak mogę, moja Matko kochana! Ale przyrządźcież też wszystko, jak tylko najlepiej! Rybki toby pono smażone najsmaczniejsze były! Ja tymczasem wprowadzę konika Wielmożnego Pana do szopy. Bo jak go pogłaskałem, to mokry, jak myszka zmęczona, a pewnie i zębami dzwoni za obrokiem!“

Lecz kiedy i księcia ze śniegu otrząsał i kiedy mleko nalewał, to ciągle coś prawił. A nie raz to obrócił tak mowę, że chciał się dowiedzieć, ktoby to był ów pan tak bogato ubrany. Ale książę nie dał się poznać. A kiedy rybak znów wrócił do izby, odważył się wręcz zapytać, mówiąc: „Przepraszam Wielmożnego Pana, ale jabym też z duszy rad wiedział, kogo mój domek ubogi jako gościa przyjmuje! Nie jest-że może Wielmożny pan jakim Wielmożnym Panem od książęcego boku?“

„No i cóż?“ rzekł na to książę łaskawie.

„Ach w takim razie,“ ciągnął rybak dalej w swej mowie „w takim razie tobym upraszał Wielmożnego Pana, aby się też Wielmożny Pan do naszego Jaśnie księcia za mną raczył przyczynić. Otóż śniło mi się raz, że byłem w Płocku czy Czersku u księcia na zamku. Po co i na co, to mi się wcale skleić nie chce w głowie. Było to tak jakoś, jakbym tam z deszczem spadł z nieba albo też wyrósł jak grzybek ze ziemi. Dosyć na tem, że mię Jaśnie książę] dobrotliwie-miłościwie przyjmuje, a potem mi sporą miarę buraków dać każe. Ale zamiast buraków nasypano mi pełną czapkę czerwonych złotych. Potem kazał książę coś przynieść na oślej skurze, a musiało to być nic lichego, bo tak się śmiałem z radości, że ażem się sam obudził.

Pewnego razu łowię w nocy na ryby. I czekam i cze-

kam, ażeby mi co w nie wlazło, zdrzymnąłem się przytwardo. W tem śni mi się, że jadę z żagielkiem, że potem na czółnie na tę górę wjechałem i że sie na tej wyżawie chałupka ze żagielka zrobiła. A potem plusnęło — niby to ryba wielka. I widzę we śnie, że jakaś panna wypłynęła. Myślałem z początku, że to syrena, gdyż to do prawdy pół ryby i pół panny było. Ale kiedy się lepiej wpatrzyłem, poznaję, że to moja najmilejsza, którą po raz pierwszy w świecie pokochałem.

„Raz w Zielone-świątki, po południu, wystroiłem najzgrabniejsze czółenko, zieloniutkim majem, i wprawiłem maszcik i zaciągnąłem żagielek, i z lubą moją zacząłem się wozić po Wiśle. Aż tu niespodzianie zaszumiało, i szarpnął wicher żagielkiem i przewróciło się czółenko, żeśmy i ja i moja jedyna w straszny odmęt wpadli. Schwyciłem ją w poły, ale mi ją woda zręki wykulnęła; schwyciłem ją za sukienkę, ale sukienka była tak cienka, że szmatka mi tylko w prawicy została. Utonęła, poszła z wodą, i aż jej przez trzy dni tu wszyscy szukali!

Ale we śnie ukazała mi się, wróżyła, że jeżeli się przeniosę z dołu z nad Wisły, na tę tu górę, to mię na tej górze, spotka szczęście wysokie.

Tutaj klasnąło, jakby mi serdeczny pocałunek dała. A nie było to tylko snem próżnym, bo gdybym się był od owego pocałunku nie przebudził, toby mię ogromny jesiotr i z czółnem mojem razem pod wodę był wciągnął.

W kilka dni potem pokazała mi się znów we śnie i wyprowadziła mię jakoś jakby z mojej chatki, i pokazała jedną ręką na chatkę, jakby się spalić miała, a potem na wisłę, jakby woda straszliwie rosła, i kazała mi się niby na tę górę schronić. Ja się też miałem na ostrożności; ale na górę się wynieść, to dla rybaka ciężej, niż się samochcąc utopić. W tem niewiedzieć, zkąd, powstał ogień w chatce i tylko popioły zostały. Szczęściem, że wszystką chudobę w pogotowiu miałem i wynieść ją zdążyłem.

Od tego czasu to już ślepo wierzę we wszystkie sny i przestrogi, które od mojej pierwszej najmilejszej pochodzą.

Wybudowałem też sobie nową chałupkę, na tych tu górach.

„Z początku naśmiewali się ze mnie drudzy rybacy i mówili, że zamiast ryb to szyszki w krzewinie będę łowił; ale kiedy Wisła straszliwie wezbrała i tam na dole wielkiej szkody narobiła, to się pokazało, że mię moja najmilejsza znowu dobrze przestrzegła.

„Stał mój nowy domek gdyby pieścidełko, i na niczem mi nie zbywało.

I wpraszali mi się sami rodzice z córkami swemi, abym ich zięciem został; ale ja już żadnej nie chciałem. Lecz kiedy mi znowu moja najmilejsza we śnie] inną za siebie stręczyła, to się ani chwili nie namyślałem.

I wziąłem też dziewczę prawie tylko w jednej sukience. Była ona sierotą, bo matka już dawno umarła, a ojciec utonął; i powodzi mi się z nią tak dobrze, że już mi tylko nieba pono trzeba.

Dziwno mi tylko, że się ów większy posag nie spełnia. A zdałby mi się teraz na te moje niebożątka-bliźniątka! Lecz dopraszam się tu niziutko Pana, aby się też Pan za mną do księcia przyczynił. Możeby mi się też i ten większy posag i owe krązki z buraków wyśniły!

Tak prawił rybak i prawił, a książę mu nie przerywał, bo tak cudnych rzeczy już od maleństwa nie słyszał. Stara matka szepnęła właśnie rybakowi do ucha, że już posiłek gotowy. Dla tego to też rybak nie czekał i odpowiedzi od swego gościa, lecz go czemprędzej poprosił do stołu.

Gość też dalejże siadać, dalej duchem zajadać, jakby się jak najciężej spracował i jeszcze ze trzy dni wypościł. A kiedy się już do woli nasycił, tak rzekł do rybaka: „Oj będę ja pamiętał, jakeś to mnie uraczył, mój poczciwy rybaku! A tem smaczniej mi smakowało, gdyż widzę, że to ze szczerego serca pochodzi! Widzi Bóg, że ani grosza nie mam przy duszy ze sobą! Ale jeśli chcesz, to ci do tych bliźniąt będę stał w komotry. Może się też później i wią-

zarek znajdzie. A przynajmniej rzecz pewna, że sny twoje księciu opowiem.“

Książę Kazimierz chciał spocząć, stara matka powlekła też zręcznie pościel świeżą bielizną i posłała łóżko miękuchno.

Wieszcie obudził się książę, a kiedy wstał, czekało już na niego sute śniadanie. A kiedy się gość posilił, przypomniał rybakowi, że czas się wystarać o komoszkę, bo on dziś jeszce przed księciem stanąć musi. Dopiero to tu rybak w kłopocie.

Byłby sobie nie mało nasuszył głowy, aż tu się książe odzywa: Zapewno nie wiesz, kogoby dla mnie na komoszkę wybrać. Oto idź do jakiej rybaczki tam na dół, a skoro z poczciwych najpoczciwsza, to mi najmilsza będzie.

Rybak zaprosił w komotry najpoczciwszą rybaczkę z dołu, matkę jego najmilejszej, najpoczciwszą ze wszystkich.

Tej zaś pierwszej najmilejszej było na imię Sawa.

Syn zaś nowonarodzony miał dostać imię Wawr czyli Wawrzyn, a to na pamiątkę, że się rybak sam Wawrzyńcem nazywał.

I ochrzczono więc bliźnięta w poblizkim kościele i dano chłopcy na imię Wawrzyniec, a córce Sawa.

A że książę był na łowy wyjechał, więc nie miał pieniędzy przy sobie. Zdjął przeto sygnet złocisty z palca i powiedział: „Nie mam co dziś dać na podarek, bom nigdzie wstąpić nie myślał; ale weźże ten pierścień, mój kumie rybaku, i idź z nim na dwór książęcy. Tam mnie już jutro znajdziesz. Wykupi, bo on i ja to jedna dusza i jedno ciało!“

I jeszcze się chrzciny całkiem nie skończyły, a już książe Kazimierz w drogę wyruszył. Chciał-ci on jeszcze tegoż dnia stanąć u siebie na zamku.

Za trzy dni rybak przybył na zamek i kiedy go dworacy do księcia wpuścili, to jakże się zdumiał, gdy na krześle książęcem i w książęcej koronie ujrzał tego samego pana, któremu dał nocleg u siebie i który za to Wawra jego i Sawę do chrztu mu był trzymał! Książę zawołał

wesoło i dobrotliwie: „Zapewno przychodzisz z pierścieniem, abym zastaw wykupił!

Dał znak książę Kazimierz i kazał jakiemuś panu, aby przyniósł miarę buraków I nie zadługo wrócił podskarbi i nasypał rybakowi pełną czapkę czerwonych złotych.

A kiedy rybak osłupiał, nie wiedząc, czy to we śnie, jak dawniej, czy do prawdy na jawie, zawołał książę Kazimierz: „Nie dziwuj się, panie komotrze, bo i więcej się wyśni!“

Tutaj znowu dał znak i kazał innemu panu, aby coś na oślej skórze wyorał i przyniósł. I nie zadługo wrócił kanclerz nadworny i oddał rybakowi kartę pargaminową.

Książę zaś rzekł: „Jest to dokument z wiszącą w słojcu pieczęcią, żem cię zrobił szlachcicem i z twoją żoną i dziećmi i żem ci zapisał na wieczne czasy tyle roli, ile w dzień najdłuższy w parkę od twojej granoszki i w parę twoich bliźniąt na owych górach oborzesz. Bo i na cóżby ci się przydało być szlachcicem, gdybyś nie był dziedzicem.

A co ci może najmilsze, to że za znak twego szlachectwa, że za herb twój szlachecki, którym się będziesz pieczętował, pół panny i pół ryby obrałem, aby ci się twoja najmilejsza tem bardziej przypominała.

I padł rybak przed księciem na twarz, i ucałował mu nogi i jak najweselszy wrócił do domu.

A kiedy owe cielaczki wyrosły na bydlaczki, zaprzężono je do pługa, a Wawr i Sawa, trzymając się każde swojej sochy, oborali nawkoło chatki swoich rodziców taki kawał pola, że jeszcze dzisiaj Warszawa nie taka wielka.

Ponieważ to zaś stara przypowiastka, iż takiego miejsca morowe powietrze nie naruszy, które przez dwoje bliźniąt i bydląt płci różnej oborane, więc już od razu zaczęło się tam nie mało ludu sprowadzać. Każdy zaś musiał kupować rolę od rybaka Wawra, co mu nie mało pieniędzy przyniosło. Kiedy zaś wkrótce morowe powietrze panować zaczęło, to się nawet panowie na owo miejsce uciekali.

Przez to zrobiło si ę z czasem z owej jednej chałupki

rybakiej nie tylko wioska, ale i miasteczko, a z miasteczka to nawet miasto.

A że książęta Mazowieccy i na zamku w Czersku i w mieście Płocku mieszkali, a między obydwoma Warszawa była, więc przenieśli się wreszcie do Warszawy, co więcej w środku ich ziemi leżała

Odtąd stała się Warszawa stolicą całej ziemi Mazowieckiej, całego Mazowsza. Lecz i tu jeszcze nie koniec sławy tego miasta. Kiedy się zaś Polska coraz bardziej powiększała, a z Krakowa do niektórych granic królestwa, szczególnie do Prus i Litwy, za odległo było, została stolica Mazowiecka oraz i stolicą całej korony Polskiej.

Mrówki.

(Dokończenie.)

Jeśli kto chce widzieć regularne mrówek wojny, niechaj się uda do lasu, gdzie brunatno-czerwone mrówki swoje panowanie rozpościerają nad wszystkiemi mimo przechodzącemi owadami i z podobnemi sobie z różnych mrowisk wojny toczą, jakto w dawnych czasach sąsiednie miasta czyniły.

Nieraz z dwóch kopców, które przeszło 100 kroków oddalone od siebie leżą, posuwają się przeciw sobie wojska tak liczne, że całą drogę na pół łokcia szeroko pokrywają, i w połowie drogi z sobą walczą. Tysiące idzie w zapasy pojedynczo, i każda stara się drugą pyszczkiem zawlec w niewolę.

Właściwe pole bitwy ma półtora łokcia w kwadrat (to jest wszerz i wzdłuż), i wonieje mocno kwasem mrówczanym; w około leżą trupy pokryte tą cieczą, podczas gdy całe oddziały, lub pojedyńcze mrówki trzymają się za nogi i głowy lub tu i owdzie rozciągają się martwe. Walka rozpoczyna się zazwyczaj między dwiema mrówkami idącemi z otwartemi pyszczkami; te stawając przeciw sobie, pryskają na siebie swój kwas ostry na przemiany, potém przypadają do siebie z boku i pasują się z sobą dopóty w kurzu, dopóki trzecia

nie nadejdzie i zwycięztwa nie rozstrzygnie; czasami téż przybiega ich tam mnóstwo, i przyczepia się nogami do nieprzyjaciela tak, że często 6 do 10 trzyma się jednéj mrówki. Pod noc odciągają oba wojska zawsze do swoich siedzib, pozostawiając tylko trupy, jeńców zaś zabierając z sobą. Ale przed wschodem słońca występują na nowo i to jeszcze zawzięciej przeciwko sobie, a pole bitwy staje się do 6 stóp długie i szerokie; około południa zwyciężająca strona może już pole bitwy o 10 stóp ku nieprzyjacielskiemu kopcowi posunąć. Żądza boju tak jest gwałtowną, że choćby im kto przeszkadzał, to go nie obleząą, ani się nie cofną. Najdziwniejszém jest to, że mrówki się poznają nawzajem, i umieją przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnić; idą one wprawdzie z otwartemi pyszczkami, i napadają na siebie nieraz, ale zaraz puszczają się i głaszczą *mackami* (to jest wąsikami czułemi, służącemi im zamiast wzroku), jeżeli do jednego mrowiska należą. Podczas walki jednak wszystkie zatrudnienia w kopcu idą swoją drogą, i zawsze jedne ciągną jeńców do domu, podczas, gdy inne są w boju, a znowu inne w las idą, aby pożywienia dostarczyć. Jeżeli deszcz spadnie, to wojska powracają do siebie, a następnie unikają sąsiedztwa z drugim kopcem.

Inaczéj przedstawiają się wojny mrówek brunatno-czerwonych z jasno-czerwonemi. Te ostatnie oczekują tamtych w małych oddziałach, w pobliżu swego kopca, pomykają się potém w mocno ścieśnionych szeregach, nie rozłączając się jedna od drugiéj na chwilę, i biorą w niewolę każdego pojedynczego nieprzyjaciela, gdy się zdaleka od swoich wysunie. Ta wojna jest bardzo zabawną. Obie strony usadawiają się w zasadzkach, i starają się podejść znienacka; lecz jeżeli czerwono-brunatne idą wstępnym bojem, wtedy zagrożone małe mrówki, zaraz proszą domowych na pomoc i w okamgnieniu liczne wojsko wypada z bramy, aby pojedyncze hufce nieprzyjaciela otoczyć. Potyczki te, wznawiając się codzień trwają i cały tydzień między dwoma dość odległemi kopcami, i to najczęściej, jeżeli na jednym nasypie lub wale ziemi leżą, lub ich drogi krzyżują się z sobą.

Zdaje się, że brunatno-czerwone mrówki umieją się także bawić. Podczas dnia pogodnego zdarza się nieraz widzieć tłumy mrówek ogólnie poruszających się na kopcu, na podobieństwo wrzącéj wody; każda trzepie wąsikami z zadziwiającą szybkością, to głaszcze jedna drugą po głowie przedniemi nóżkami; to ustawiają się potém parami, pasują się z sobą, przewracają i t. p. Potém obejmują się swym widełkowatym pyszczkiem to za szyję, to z tyłu, nie pryskając jednak kwasem, i nic złego sobie nie wyrządzając; następnie puszczają się, dopadają drugie, aby się z niemi pasować i t. d. U innych nie daje się spostrzegać tych wojowniczych zabaw. Widać to wybornie na takich kopcach, które dogodne położenia mają, i znajdują się w bliskości pożywienia lub wody, i gdy są nieco nasypem ziemi od nieprzyjaznych odwiedzin zabezpieczone.

Czasami widać na kopcu mrówki, które się kręcą wkoło przez 2 lub 3 minuty, jakoby zawrót miały; potém pędzą do drugich, chwytają je za nogi lub za macki, i puszczają się, aby biedz do innych. Bawią się także z sobą jak psy, już to czając się, już wykręcając się, aby się nie dać złapać, lub téż udając, jakby się chciały kąsać, przewrócić i t. p. Nieraz też podpadają szczególnéj chorobie; nie mogą prosto chodzić, ale biegają ciągle w kółko i krążą w niem jakie 100 razy na godzinę i to przez 6 dni, dniem i nocą czynią. Czasami przyjmują nieco miodu, gdy go im kto porzuci, ale zaraz uchodzą. To jednak spotyka tylko pojedyncze mrówki; innych słabości u nich nie zauważano.

To bliższe obznajmnienie się z tém zmyślnem stworzeniem, niechaj posłuży dla wielu z was bracia moi! za wskazówkę, iż człowiek, jeżeli rozum swój odłogiem zostawi, a pracy swojéj święcie i z chęcią nie wypełnia, mało co wyżéj stoi nad najmniejsze stworzenia, naprzykład mrówki, które bez przymusu i żadnego dozoru, oddają się ciągłéj pracowitości, tak przy sztucznéj budowie swych mieszkań, jako też troskliwości około wyżywienia siebie i swego potomstwa.

Powitanie króla Sobieskiego przez cesarza Leopolda.

(Dokończenie.)

Uporczywie i mężnie bronili się Turcy, ale im to nie wiele pomogło. Z jednej strony nasi z walecznym królem na czele dojeżdżali im do żywego, a z tyłu znów Niemcy widząc, że nasi mężnie stawają, jęli się wyprawiać za mury, tłukąc co wlazło tylko pod rękę. Całe jedenaście godzin trwała ta uporczywa bitwa; ważyło się na obie strony, aż ci w końcu Turcy tył poddali; 40 tysięcy legło na miejscu, bardzo wiele potopiono w rzece Dunaju, który popod Wiedeń płynie, reszta rozleciała się na cztery wiatry, zostawiwszy dużo jeńców w rękach zwyciężców. I otóż tego samego dnia wieczór rozłożyło się polskie wojsko w tureckim obozie, a sam król nocował pod namiotem tureckiego wezyra. Nie potrzeba i wspominać, jaka była radość nazajutrz między Niemcami nieborakami, skoro ujrzeli, że już nie ma pogan pod murami miasta; przedniejsi ich jenerałowie i książęta zeszli się do królewskiego namiotu, i tam całując ręce naszego Sobieskiego sławili jego serce szlachetne i męztwo dzielnych Polaków. A była też i naszym radość nie mała, jużto z chwały że wroga zwyciężyli, jużto z bogactw, jakie w obozie tureckim znaleźli. Było tam złota i kosztowności co nie miara, a były też różne specyały do jedzenia i pachnidła, jako że z wielkiemi wygodami wyprawili się Turcy na wojnę.

Król Sobieski z radością przyjmował podziękowania i pokłony Niemców, ale sam jak zawsze zaszedł myślą do Boga bacząc, że Jemu się największa podzięka należy, więc że to był właśnie dzień niedzielny, siadł na koń i wraz z innymi panami pojechał do miasta na nabożeństwo. Witały go tu wielkie okrzyki ludu i wielkie tłumy towarzyszyły mu aż do kościoła św. Szczepana, kędy krzyżem leżąc mszy świętej wysłuchał.

Nie było jeszcze tylko samego cesarza niemieckiego, bo to pan pyszny, dopiero trzeciego dnia przyjechał, a i to się wprzód naradzał, czy ma naszego króla witać i dzię-

kować, czy nie. Zrzucił wreszcie pychę z serca i zjechał się konno z naszym Sobieskim na polu pod Wiedniem. Tu jakoże niby starszy nie chciał cesarz zdjąć pierwszy kapelusza przed królem; Sobieski też hardy za swoją grzeczność czapki zdejmować nie myślał, a widząc tak cesarza zafrasowanego, uśmiechnął się i podniósł rękę, by podkręcić sumiastego wąsa. Cesarzowi się zdało, że król chce czapkę zdejmować, i zerwał czemprędzej swój kapelusz z głowy, co też ujrzawszy Sobieski ukłonem ukłon odpłacił. Śmieszna to rzecz, kto przed kim ma czapkę zdejmować, a oto przecie widno już i w tem, jaka była niewdzięczność niemiecka ku Polakom, za tak rozliczne ich dobru poniesione trudy a nawet krew przelaną.

Wielkie miało znaczenie w świecie to świetne zwycięztwo Sobieskiego na Turkami. Kto wie, gdyby nie pomoc polska, toby dziś Niemcy a może i inne narody nie mogły żyć w świętej wierze chrześcijańskiej; możeby na ich kościołach zamiast krzyżów rogate księżyce były pozatykane; możeby ich córki i żony musiały dziś Turkom za podłe nałożnice służyć. Polacy przyczynili się najwięcej do odwrócenia tej wielkiej klęski od świata, ale zwykłym trybem nie doczekali się wdzięczności, lecz niewdzięczność musieli przyjąć w zamianę!

Pogadanki.

(Dokończenie)

We cztety lata później, margrabia Odon, pościągał zewsząd wojska i wyruszył przeciw Mieszkowi. I stoczywszy w dzień św Jana Chrzciciela bitwę z Mieszkiem, zwyciężyli go zrazu; ale potem natarł na naszych brat jego Cydebor i wszystkich walecznych rycerzy ze szczętem zgładził, w miejscu, które się zwie Cydini. W święta wielkanocne (r. 973) stanął Mieczysław, jak się zda, po raz pierwszy, w obec całego zgromadzonego dworu rzymskiego, który w Kwendlinburku bożą chwałą i światowemi uciechy paskę odprawiał.

Liczne poselstwa cesarzów greckich, których siostrę Teofanię przed rokiem z następcą tronu, Ottonem II. poślubiono, tudzież posłowie książąt bułgarskich, węgierskich, sławiańskich, duńskich, powiększały okazałość uroczystości. „Na wezwanie cesarskie przybyli tamże Mieszko i Bolesław (czeski) książęta ze wszystkiemi państwa całego dostojnikami. I po spokojnem odprawieniu świąt, wielkiemi poczczeni dary, radośnie do siebie powrócili.“

Po śmierci Dąbrówki i zerwaniu ztąd dawnych związków powinowactwa z Czechami poróżnił się był Mieszko z książęciem Bolesławem i zabrał mu jakieś włości. Przezco wielce sobie wzajem szkodzili (r. 968), zwłaszcza że Bolesław Lutyków, swych dawnych sprzymierzeńców w pomoc przywołał, a Mieszko od cesarzowej Teofanii posiłków zażądał. Cesarzowa, bawiąca natenczas w Magdeburgu, wysłała mu ku pomocy Gisylera, tamecznego arcybiskupa i hrabiów: Ekharda i Ezykona, Binizona tudzież jego imiennika, Brunona, Dedona i bardzo wiele innych, którzy z czterma zaledwie legionami wyruszywszy, w ukrainie Selpuli, nad wielkiem bagnem niespodzianie z Czechami się zetknęli. Bolesław chciał otwartego boju uniknąć, i przedłożył więc naczelnikom niemieckim, aby zamiast występowania przeciw niemu do walki, która Niemcom, z powodu ich słabych sił zdała się grozić niebezpieczeństwem, — udali się owszem wraz z nim do Mieczysława i pomogli mu nakłonić go do dobrowolnego zwrotu zaboru. Pochwalili to zdanie Niemcy, i natychmiast Gizyler arcybiskup z hrabiami Ekhardem i Binizonem w drogę z Bolesławem wyruszyli, a wszystka reszta do dom wróciła... Bolesław zaś przyszedł nad Odrę, i wyprawił posła do Mieczysława z oznajmieniem, że sprzymierzeńców jego ma w ręku. Jeźli Mieczysław zwróci zabrane ziemie, Bolesław wypuści ich bez szwanku; jeźli nie, tedy wszystkich ze świata zgładzi. Na to Mieszko mu odpowiedział: Jeźli król (Otto) zechce, to sam zwoich cało od Bole-

sława odzyszcze; albo też każe ich pomścić, gdyby Bolesław ich zgładził. A chociażby ich nawet król Otto III. nie pomścił, ja dla niczego tracić nie myślę. — Usłyszawszy Bolesław tę odpowiedź, żadnego z, naszy nie skrzywdził, tylko wszystkie przyległe miejsca splondrował i spalił. A w powrocie wziął jedno miasto, którego pan, bez sprzeciwiania się mieszczan, Lutykom na stracenie wydany został.

I umarł król Mieczysław powiada Marcin zamykając książkę, i minęło lat blizko tysiąc, a Niemcy nie posunęli nie posunęli się dalej, nasze kraje tylko tamte zabrane do reszty zniemczyli.

Dopiero kiedy polskę rozebrano, hurmem zwalili się w nasz kraj Niemcy i nuż wypędzać, wykupywać i grabić. I w dość niedługiem czasie tyle się ich namłożyło, że prawie wyrównują liczbę polaków, pierwotnym mieszkańców tej ziemi.

Ale i polacy nie długo zostawali w oderwaniu po owej strasznej klęsce rozbioru. Lun wiejski widząc, jak mu się ziemia z pod nóg usuwa uwierzył, że coś wiecie jedynie jego zbawienie, że ztąd tylko oczekiwać może zbawienie. To też w księstwie najwięcej ludzi umiejących czytać i pisać, najpiękniejsze chaty, najładniejszy dobytek — słowem najzamożniejsi gospodarze. I dają się zjeść Niemcom bo lepsi i poczciwsi i da Bug żz odzyskają nawet to co utracili.

Nie bardzo dobrze dzieje się i wnaszym kraju. Co dzień przechodzi jedna rola, jeden zagon w ręce żyda lub obcego przybysza a nasi idą na tułaczkę lub na zarobek.
więc i nam całem sercem wypada usunąć się z uśpienia nie żałować niczego na naukę, na oświatę, a z pewnością i zamożni i szczęśliwi będziemy, czego wam wszystkim życzę z całego serca, — zakończył Marcin a Gospodarze rozeszli się do domów i głęboko pojęli naukę i wzięli się do pracy poczeła i uczyć i teraz Podwale jest najpiękniejszą i najzamożniejszą wioską na całem Podwiślu.

Posłowie Polscy w klasztorze Kluniackim.

Narzekała Polska na Ryksę królowę — i sprawiedliwie! bo w niej uznawała nie matkę ale srogą macochę, krzywdzicielkę swoją, co się gdzie jeno mogła, zdziwiała nad biednym narodem i źle mu czyniła. Ale o Kazimierzu zawsze dobrze mówiono, bo chociaż to był chłopiec jeszcze nie letni, a już bywało nieraz, iż za pokrzywdzonym się ujmie i nie jednego ubezpieczy przed matką, aby mu się nic złego nie stało.

Narzekała Polska na Ryksę królową — i znowu sprawiedliwie! bo kiedy przyszła bieda na Polskę — za co kiedyś przed Bogiem ciężko odpowiadać będzie właśnie ona królowa — to żeby choć była pożałowała jak się godziło, a ona nic, jeno patrzyła, gdzieby tu się jeszcze co urwać dało i spakowawszy co żywo swoje i nie swoje, pognała za dziesiątą górę, i ani się nawet nie obejrzała za tą biedną Polską. Ale za Kazimierzem wszyscy żałowali, bo wiedzieli dobrze jak przykro mu było z kraju uchodzić, i jak często oglądał się poza siebie, niby to dziecko za matką tęskniące.

Toć kiedy już przybyli na miejsce, do onego kraju gdzie się rodziła królowa Ryksa i jej cała rodzina, i już tam w jednym zamku zamieszkali na stałe — to matula gdyby nigdy nic, hula sobie po dawnemu, a zaś Kazimierz jak ta wierzba, co się pochyla ku wodzie, taki zawsze smutny był i zadumany.

Zrazu jeszcze nie bardzo na to zważała matka, bo myślała sobie: Ot jakoś to przejdzie. Dalej kiedyć nie ustawało, radziła się przeróżnych doktorów, by mu co na ten smutek pomogli. Ale i to na nic się nie zdało. Więc połowę złota ze skarbca swego ofiarowała na mszy święte, ta żeby się pan Bóg ulitował nad jej dzieckiem i wesołem go uczynił Ale znać taka była boska wola, aby syn pozostał w smutku, a matka dzieckiem niepocieszona była za grzechy swoje. Już bo nareszcie sama nie wie co począć?... gdyby choć raz weselszą twarz jej pokazał, choć jeden raz! a tu nie, i nie,

już prawie zapomniała, jak się dziecko uśmiecha. Toć straszno dla matki, choćby i dla takiej Ryksy!...

Tak-ci się tam działo przez niejaki czas. Aż tu razu jednego, szukają Kazimierza — nie ma go. Gdzie dla Boga! Królowa w lament — przerzucili cały zamek do góry nogami, przepatrzyli najmniejszy kącik w zamku i do koła zamku, zbiegli całą okolicę, wypytali wszystkich ludzi od najmłodszego do najstarszego, czy go kto nie widział... nadaremnie! gdzieś przepadł jak kamień w wodę Dopiero w kilka dni potem królowa włócząc się, jak mara nocna, po całym zamku — bo sobie z wielkiej żałości nigdzie spokoju znaleść nie mogła — przyszła też przypadkiem do małej izdebki, gdzie jej syn najczęściej przebywać lubiał. W pośrodku ustawiony był stolik nie duży.. patrzy jakiś tam papier leży niby liścik, którego w pierwszym pospiechu nie zauważano. Więc bierze go do rąk... aż tu pokazuje się, że to pismo do niej od syna. I stało tam tak napisane: „Kto przyprowadził Polskę, moją ojczyznę na taką biedę?... moja matka! — Przez kogo mój biedny ojciec Mieczysław tak srogą niewolę znosi u Czechów?... przez moją matkę!... Tak powiadają ludzie — i za to ja taki smutny był, i już mi za życia nie zaznać wesołości. Idę do klasztoru na pokutę za matkę, aby jej Bóg tego wszystkiege niepopamiętał. Boże! bądź miłościw.

Tymczasem w Polsce po śmierci Mieczysława II — niedobrze się działo. Bardzo wielu już zgoła straciło nadzieję, żeby miało być lepiej. — Ale znalazła się garstka walecznych i prawych mężów, którzy gwałtem przemyśliwali nad tem, jakby to ojczyznę ratować. Więc rada w radę między sobą — i uradzili, ażeby koniecznie wyszukać Kazimierza, któremu wszyscy z duszy serca byli radzi, i wywołać go królem.

Tedy jednego dnia na zamku królowej Ryksy pojawili się panowie z Polski. Zapytano ich: za czem przychodzą? — Odpowiedzieli, że po Kazimierza, bo go sobie Polacy za króla obrali. A królowa rzekła: Szkoda czasu i waszego trudu — mój syn królem polskim nie będzie! — Dla czego?

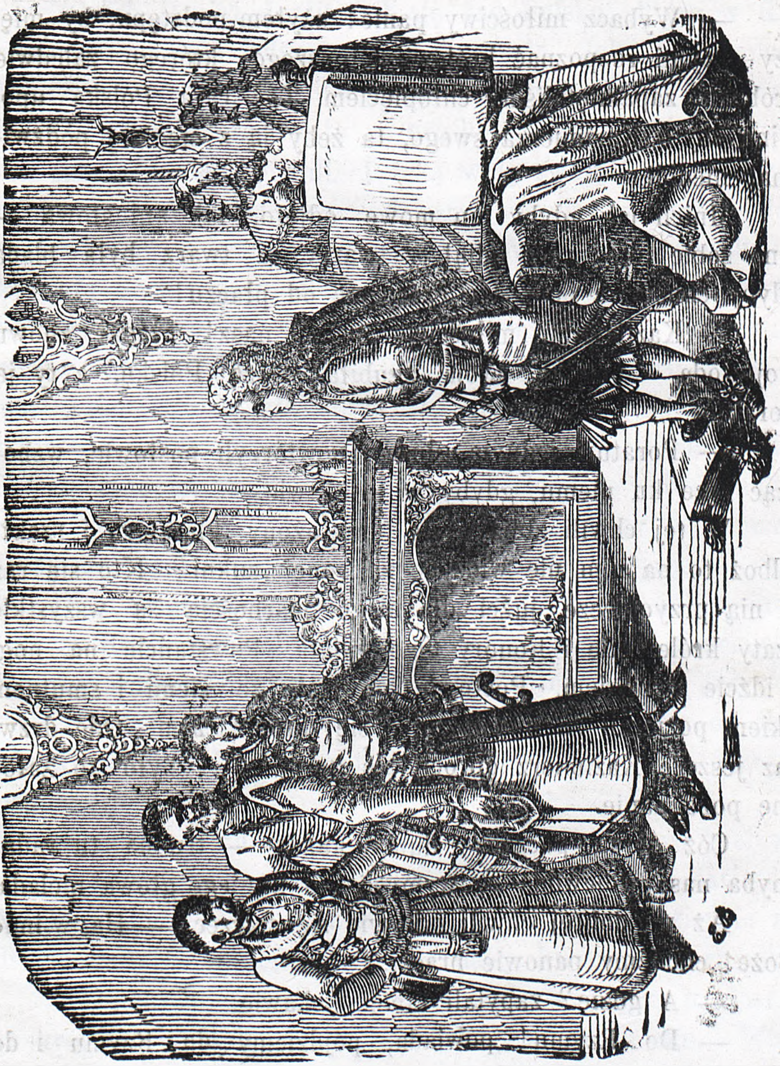
pytają posłowie. Królowa po dobrej chwili zdobyła się na odpowiedź: — Jużci przepadło wszystko, panowie posłowie! Kazimierz, mój syn, panu Bogu ślubował i został mnichem. Skoróć to posłyszeli, ten i ów opuścił głowę na piersi i załamał ręce. Jeden tylko stary wojewoda między nimi nie stracił głowy. I zapytał królowę: w którym klasztorze jej syn Bogu ślubował? — Otóż to właśnie, odpowiedziała królowa, że sama nie wiem doskonale; ale podobno ma się on znajdować w *Kluniackim* klasztorze u OO. Benedyktynów.

Więc posłowie czemprędzej wybrali się w drogę do onego klasztoru. Gościnnie otworzono im bramę klasztorną — ale kiedy zapytali: ażali nie tu przebywa Kazimierz królewicz? — przełożony klasztoru jeno pokiwał głową i nic im na to nie odpdwiedział.

Co go się nie naprosili posłowie! nie i nie. — Jeden tylko stary wojewoda i tą razą głowy nie stracił, ale przemyśliwać począł, jakby tu prawdy dociec. Nareszcie nic nikomu nie mówi, jeno poprosił przełożonego, żeby im przez noc pozwolił zabawić w klasztorze. Trudnoć było obcym odmówić gościny. — Ledwo co słonko zapadło, w klasztorze dzwonią na wieczerzę. Zebrali się wszyscy zakonnicy pospołu w jednej wielkiej izbie. Byli tam i nasi posłowie. Kiedy drudzy zajęci byli jedzeniem, sędziwy wojewoda mało co tknie z jadła, a jeno ciągle poziera po mnichach, i każdego z osobna pilnem uważa okiem. W końcu spochmurniał i jakoś się zadumał. Dopiero się ocknął, gdy już wszyscy powstawali od stołu. Po modlitwie prosił, ażeby mu dozwolili przed całem zgromadzeniem opowiedzieć króciuchną historję o tem, co się w tych czasach podziało w Polsce. Przełożony nic nie miał przeciwko temu. Wojewoda powiadał, jak srodze się był król odmienił w owej czeskiej niewoli, że go już prawie nikt odpoznać nie mógł — jak podupadł na duchu i na ciele, jak na tem cały kraj cierpiał, a wrogi sie z tego cieszyli, aż król nieborak z umartwienia, żeć już złemu zaradzić nie może, obłąkał się i niebawem też umarł. I opowiadał, co się tam nie nadokazywali Czechy i inne nieprzyjaźne Polsce narody! że dzisiaj ich łaski cały kraj wygląda

jak jaka pustynia; popalone wsie i miasta, nie znajdziesz tam dachu całego, wszystko zwalone i poniszczone, a lud częścią zabrany w srogą niewolę, albo błąka się jak ta biedna sierota po pustych polach i lasach.

Na izbie cicho było jak makiem zasiał. W tem nagle



coś tam zajęczało, niby płacz rzewny z czyjejś piersi gwałtem się dobywał. Wojewoda zaraz urwał mowę i żywem okiem przemknął po całem zgromadzeuiu. Tam stał jeden z odwróconą teraz twarzą ku oknu, był on mocno wzruszony i zaniósł się tak wielkim płaczem, że aże nim całym zatrzę-

sło. Dopieroż wojewoda rzucił mu się plackiem do nóg wołając: — Kazimierzu królewiczu nasz! otom cię odpoznał po tym płaczu!

A stało się to tak nagle, tak niespodzianie, aż się wszyscy pozapominali z podziwu. A prawił ci on dalej:

— Wybacz miłościwy panie! użyłem podstępu, by między obcymi rozpoznać królewicza naszego, którego zaledwie drobnem zapamiętaliśmy chłopięciem. Toć cała Polska upomina się o Kazimierza swego, ta żeby ją z ciężkiej podźwignął niedoli.

Mnich jak gdyby mu mowę odjęło, tak ani słowa — jeno sobie teraz ręce odjął z twarzy, a twarz była blada gdyby chusta, a oczy aże czerwone od płaczu!

— Kazimierzu miłościwy panie nasz! błagał znowu wojewoda — matka twoja zgubiła naszą Polskę, a ty ją poratuj.

— Poratuj! jednym głosem powtórzyli posłowie, wznosząc ręce ku niemu, gdyby w modlitwie.

W tej chwili zbliżył się przełożony klasztoru i rzekł: Alboż to na nim nie widzicie zakonnej sukni? Kto się raz w nią przyoblecze, jużci dla niego marnością są wszystkie szaty królewskie i honory tego świata. Powstańcie na nogi i idźcie z Bogiem. Posłowie powstali ze ziemi i smutnem okiem pozierali za oddalającym się królewiczem Ode drzwi raz jeszcze Kazimierz obrócił się ku nim — było to żałośne pożegnanie.

Cóż teraz począć? duma każdy — trudna tu rada! chyba nasz wojewoda co wymyśli, bo u niego głowa nielada.

Aż po dobrej chwili odezwie się starzec: — Ha, w imię Boże! chodźmy panowie bracia.

— A gdzie? zapytali tamci ciekawie.

— Do Rzymu! powiada, pójdziemy do Rzymu i do Ojca świętego, On jeden mocen jest rozwiązać te śluby i wydać nam Kazimierza na króla.

Skoro przybyli do pysznego pałacu, kędy mieszkał Papież uczuli niejaką trwogę w sercu: — Anuż, myślą sobie, i tutaj nam się niepowiedzie?... a to już nasza ostatnia ucieczka!

ha, niech się dzieje wola Boże!! — Wprowadzono ich do jednej wielkiej izdy na posłuahanie. Niebawem obaczyli Ojca świętego — twarz Jego łagodna dodała im ducha.. więc naprzód w pokorze pochylili czoła przed głową kościoła, a potem śmiało wystąpili z prozbą swoją. Dziwnie łaskawie wysłuchał ich Papież, i ulitował się nad Polską, która w Kazimierzu widziała jedyne swoje zbawienie. Jako więc mocen był rozwiązać śluby kościelne i uwolnić królewicza z klasztoru, i tak uczynił właście a to na prośbę posłów, którzy w imienia całego narodu prosili. I taką wolę swoją kazał na tych miast wypisać na papierze i doręczyć naszym posłom z błogosławieństwem na drogę? za co znowu oni ofiarowali na kościoły bogate dary w złocie i w srebrze. Potew na chwilę już nie zatrzymywali się w miejscu, jeno co tchu pospieszali z powrotem do Francyi i do kluniackiego klasztoru.

Tymczasem w klasztorze ani się komu śniło, żeby po takiej odprawie, posłów jeszcze kiedyś zobaczyli u siebie. Jakież było ich zdumieeie, gdy razu jednego widzą znowu onych gości z dalekiego kraju. Zkąd znowu? pytają mnichy Dopiero zrozumieli rzecz całą, skoru posłowie wręczyli rozkaz Ojca świętego dopominając się teraz na prawdę o królewicza Kazimierza, aby go puszczono na wolność. Przeciwko takiemu rozkazowi nikt nie śmiał ani pisnąć Tedy przywołano Kazimierza i opowiedziano mu, ze jest wolnym od ślubów kościelnych i że teraz może już robić co mu się żywnie podoba.

Zmierzajóc ku Polsce, chaiał jeszcze Każimierz królowę matkę odwiedzić na jej zamku, i obrał sobie drogę tamtędy. Matka płakała kiedy syna zobaczyła, i długo spozierała na drogę, kędy się puścił Kazimierz dalej ku polskiej granicy.

Tymczasem już w Polsce rozeszła się była pogłoska, że król przebywa do kraju i że już jest nie daleko. Wiadomość ta sprawiła wielką radość w narodzie. ze wszystkieh stron gromadziły się tłumy wdzięcznego ludu na granicy. Skoro się tam pojawił Kazimieız, powitano go serdecznie nie jako króla, ale raczej miłego ojca.

Zawiślak.

(Dokończenie.)

Nie pomogły przedstawienia Marysi, nie pomogły nawet prośby ojca. Ranny choć z bolem serca opuścił gościnne progi Zawiślaka i wyjechał do Krakowa. Tam wyleczył się do reszty z ran, ale już do powstania nie wyjechał a natomiast dostał się do więzienia, bo jak to więcie, w roku 1864 i 1865 był stan oblężenia, i wszystkich, co brali udział w powstaniu, pozamykano.

Smutna była Marysia — co dzień mizerniała, że aż żal było i ojcu i matce, że tak nieszczęśliwą. Szymek przyszedł w zaloty i otrzymał od ojców przyrzeczenie, ale Marysia ani słyszeć o nim nie chciała. Dowiadywał się pilnie wójt o dalsze losy swego gościa i nareszcie się dowiedział, że siedzi na zamku w Krakowie. — Cóż robić, myśli sobie, trzeba pocieszyć Marysię. Wchodzi więc do chaty i powiada.

— Marysiu, Marysiu — oj nie pamiętasz ty o mnie, kiedy się tak o tego rannego smucisz i dręczysz. Nie mówiłem ci, że to panicz i nie ożeni się z tobą. Nieszczęście, nieszczęście spadło na moją głowę. On żyje — dodał nareszcie — otrzymałem list od niego — patrz i czytaj.

Marysia ucałowała serdecznie ojca — i szybko wyrwała list i poczęła czytać.

— Opisywał ranny o dalszych swoich losach, jak w Krakowie zdradzony od szpiegów musi teraz szlachetność swoją i poświęcenie więzieniem odpłacać; powiadał, że mu tęskno za Podwalem, że musi się jeszcze choćby raz ze swojem dobroczyńcą zobaczyć i pożegnać — może na zawsze. Pozdrawiał Marysię i powiedział pierwszy raz Zawiślakowi — bo do niego list był pisany, — że ją kocha nad życie i dlatego właśnie ich dom tak niespodzianie opuścił.

Nie mógł się wójt patrzyć, jak codziennie jego jedynaczka mizernieje; serce mu się krajało i nie wiedział co począć. Wtem otrzymał nowy list z Krakowa, że za tydzień z więzienia będzie wypuszczony i musi wyjechać za granicę, że mógłby w Galicyi pozostać, gdyby kto poświadczył, że jest tutejszym.

Zaprzęgnął koniki Zawiślak i z Marynią wyjechał do Krakowa. Długoby było opowiadać, co i jak rozmawiali i o czem radzili z Józefem — dość, że w rok niespełna dawny gość był nauczycielem na Podwalu – a niedługo potem Zawiślak sprawiał sute wesele swojej jedynaczce i nowemu nauczycielowi.

Odtąd, wszystko jakby cudem zmieniło się na Podwalu. Chłopi z ochotą posyłają dzieci do szkoły, założyli u siebie i kasę pożyczkową, aby [się wspierać wzajemnie i czytelnię i szkołę wybudowali, gdyby dwór jaki. Co niedziela schodzą się u nowego nauczyciela, słuchają jego opowiadań lub czytania, idą za jego radą jakby za radą, ojca swego i szanują go jak księdza, bo na to zasługuje najzupełniej.

Jeden tylko Podrywka stracił znaczenie i powagę w gromadzie. To też począł się coraz więcej rozpijać, coraz częściej przesiadywać w karczmie, tak że w końcu prawie już żtamtąd nie wychodził. Gospodarstwo jego stopniało prędko jak śnieg, wdał się w przyjaźń z tymi, co to bez pracy i trudu chcieliby używać tego świata, więc w cudzą zaglądają kieszeń lub komorę.

Nie długo potem żandarmi odprowadzili go w kajdanach do miasta i odtąd go więcej nie widać. Powiadają, że należał do bandy rabusiów, co to niedawno w kraju naszym tyle popełniła zbrodni.

Najlepiej na tem oddaleniu podwojciego z wioski wyszedł Szymek. Był on z gruntu serca dobrym, tylko słabym chwiejnym i nie bardzo roztropny. Toć kiedy wyszedł z pod opieki Podrywki, zmienił się do niepoznania. On to najczęściej bywa u nauczyciela, najpilniej się wypytuje o rzeczy pożyteczne, gospodaruje już od roku z żoną skrzętnie i pilnie, dziękując Bogu, że go wybawił od złego towarzystwa, a może i zbrodni, bo go Podnywka mógł do wszystkiego namówić.

O kometach.

Wielu z was pamięta, bracia moi, jak przed kilku laty świeciła wieczorami ognista kometa, to jest gwia-

zda z wielką miotłą czyli ogonem. Wielu wtedy myślało, że straszna ta kometa ma się zderzyć z ziemią i sprawić koniec świata. Zawsze to tak ludzie przewrotni albo ciemni i zabobonni opowiadają, nie zaszkodzi więc przeczytać tę pogadankę, bo to szczera prawda.

Powiadał raz chłopek:

— Bieda podobno, proszę pana, wszystkich nas czeka! Gazety piszą o jakiejś strasznej komecie, a ludziska gadają coś niedobrze...., podobnoć to doczekamy się w tym roku skończenia świata!

Pan Jan, rośmiał się z tej mowy, i tak zaczął:

— Oj! stary, stary! myślałem że macie więcej rozsądku od tych, którzy to niedorzeczne zmyślnie rozszerzają? Wierzycie takim rzeczom, które tylko zupełnie ciemni i zabobonni ludzie powtarzają, a z których, doprawdy! naśmiaćby się trzeba.

— Mój panie! rzekł stary Tomasz, już to panowie z nas się śmiać gotowi, ale powiem bez urazy, że nadto daleko rozumem sięgać chcecie. Ja, przyznam się panu, nie wierzę lada jakim słowom, ale kiedy już wszyscy prawie o czems z pewnością mówią, toć trudno znowu być niedowiarkiem. I powiem prawdę, że nieraz się już śmierci zajrzało w oczy, ale teraz, to strach mnie przejmuje na myśl, aby ludzie czegoś nie wygadali.

Pan Jan nie uraził się bynajmniej ostrą przymówką starego i gadatliwego wiarusa, który mówił, jak czuł, ale owszem spoglądając nań łagodnie, tak się do niego odezwał:

— No! mój Tomaszu! nie sądźcie tak żywo o nas uczonych, i my mamy serca, i my wierzymy w to, co jest niezawodnem, ale łatwiej też odróżnić możemy prawdę od fałszu. Żeby was więc wywieść z błędu i śmiesznego przestrachu o tém skończeniu świata, muszę z wami, Tomaszu! pomówić, żebyście wy znowu ciemniejszych od siebie na dobrą sprowadzili drogę. Usiądźcie więc i posłuchajcie:

Zapewne zgodzicie się ze mną na to, że nic tak ludzi nie trwoży, a przynajmniej nie zadziwia, jak to, co się bardzo rzadko przytrafia. Gdybyśmy naprzykład to słońce

nasze nie codziennie, ale co kilka lub kilkanaście lat widywali, to niezawodnie wieluby z nas na nie z takim przestrachem spoglądało, jak te ogniste komety, które tak rzadko i w tak dziwnym kształcie nad nami się pojawiają. Aby was więcej z niemi zapoznać, muszę was wprzód jeszcze w krótkości objaśnić o słońcu, gwiazdach i o ziemi naszej.

Uczeni ludzie oddawna już przekonali się, że w tej niezmierzonej przestrzeni świata, którą niebem nazywamy, słońce, które jest przeszło milion razy większe od ziemi, obraca się od wieków w miejscu, a naokoło niego ziemia w raz z księżycem i z wielu gwiazdami ustawicznie po różnych kołach krążą, o czem już nieraz w „Dzwonku“ czytaliście.

Pan Bóg, ów najmędrszy budowniczy świata całego, rozkazał tym wszystkim ciałom niebieskim, ziemi, księżycowi i wielu innym podobnym planetom krążyć tak, aby jedno drugiemu na zawadzie nie stało. Podobne drogi około słońca, z których zboczyć niewolno, mają i komety, które od tysięcy lat pojawiają się śród nieba, i zawsze w porządku im przepisanym opuszczają nas, idąc w dalszą przestrzeń, która jest niezmierzona.

— Tak, proszę pana, odezwał się z namysłem stary Tomasz, dobrzeby to temu było wierzyć...., ale bez urazy, spytałbym pana, któż to tam o tém wszystkiem z pewnością wiedzieć może?

— Ludzie wiele już rzeczy śród nieba odkryli, i wiedzą mniej więcej, jak się co dzieje, a możecie się przekonać z tego już tylko, gdy wspomniecie, jak na całym świecie ludzie uczeni przed kilku laty naprzód przepowiedzieli, co do minuty nawet, owo pamiętne nam całkowite zaćmienie słońca. Komety, których jest tysiące, są o miliony mil od nas odległe i dlatego, choć bardzo wielkie w rzeczywistości, nam wydają się małemi; co rocznie też po kilka krąży nad nami i zachodzi dalej w przestrzeń świata, a z nich my tylko bliższe niekiedy gołem okiem dojrzeć możemy. Lecz uczeni, co się trudnią nauką o gwiazdach, czyli

astromowie, widzą po kilka komet co rok przez bardzo powiększające szkła.

— Przepraszam, odezwał się Tomasz, że przerywam, ale zkądże to ludziom przyszło do głowy, że miała być kometa, co się o ziemię uderzy, i czyto mogą także ludzie naprzód o tém wiedzieć?

— To też posłuchajcie, do tego właśnie zmierzam. Nikt jeszcze nie doszedł, wiele milionów mil zawierają kołowate drogi komet, bo my tylko małą cząsteczkę ich dróg nad sobą widzimy, gdy przechodzą blisko słońca; ale doszli już uczeni przez ciągłe zapisywanie tego, co widzieli, że jedne komety pojawiają się co lat kilka, inne co kilkanaście, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset lat. A mogli dojść tego, jeżeli powiększającemi szkłami przekonali się naprzykład, że kometa jakaś, która już raz kiedyś była widzianą, pojawiła się znowu w tym samym kształcie, naprzykład co lat 6, i tak samo zawsze wyglądała. Otóż więc przepowiedzieli że w 1857 roku pokaże się bardzo świetna kometa, widziana już nieraz dawniejszemi czasy.

Jak wam już powiedziałem, Pan Bóg wszystkiemu na świecie najmędrzej przeznaczył od tysięcy lat jeden i ten sam porządek; boć widzimy, jak regularnie dzień po nocy i nawzajem, jak znowu wiosna po zimie, lato po wiośnie następują. Tak samo też i kometom z wytkniętych im dróg przez Przedwiecznego zejść nie wolno, lub stać innym tworom niebieskim na zawadzie; a tém samem i ta kometa która miałaby się pokażać, a która już od wieków pojawiając się, o miliony mil była od ziemi odległą, nie może się tak zbliżyć do ziemi, aby w niej zniszczenie, o jakiem ludzie gadają, sprawić mogła.

— Mój panie kochany! rzekł Tomasz, nie umiem nawet podziękować panu za tę łaskawość w tak jasném objaśnieniu mnie o tém wszystkiem, na co my prości ludzie dziwnemi spoglądamy oczyma; a choć przyznaję już teraz że inaczej być nie może, ale jeszcze jedno zapytanie ośmielę się zadać panu. Oto, dla czegóż-to komety poprzedzają zawsze wielkie niąszczęścia na świecie, bo zdawien-dawna

mówią, że one są znakiem i przepowiednią kary Bożej, i dla tcgo też jak rózgi ogniste nam się pokazują ż

— Posłuchajcież Tomaszu, mówił pan Jan, komety, podobnie jak nasza ziemia, księżyc i wiele innych ciał niebieskich, zwanych planetami, nie] mają własnego światła, ale tylko wydają się nam jasnemi, że je światło słońca oświeca; podobnie jak przedmioty różne na ziemi, świetnemi się nam wydadzą, gdy do nich światło słoneczne dochodzi. Komety niektóre (bo i to wam trzeba wiedzieć, żc nie wszystkie) odróżniają się jeszcze tém, że mają tak zwane ogony, czyli miotły w jedną stronę zwrócone. Te miotły zdają się być w massie swojej podobnemi do chmurnego powietrza otającego ziemię, z tą jednak różnicą, że nasze powietrze jest nierównie gęstsze, jak owa mgła otaczająca komety. Że mgła, co jak miotła się ciągnie, jest niegęstą ztąd wnosić można, że jeżeli za ową miotłą komety znajduje się jaka gwiazda na niebie, to tę gwiazdę doskonale przez tę mgłę widzimy.

Że komety większe rzadko są widzialne, że są szczególniejszego kształtu i zawsze się różnią od innych ciał niebieskich, to jest, od słońca, gwiazd i księżyca, na które co noc patrzymy; ztąd poszło, iż ludzie patrzeli na nie z podziwieniem jako na szczególne zjawiska. Gdy znowu trafiło się często, że razem z okazaniem się takiej komety, mogło i na ziemi zajść jakie większe zdarzenie np, wojna, susza, mór i różne choroby, ztąd to lud nieoświecony nie umiejąc naznaczyć tym zdarzeniom innej przyczyny, przypisywał je zjawionej komecie.

— Ale nim skończę opowiadanie, rzekł dalej pan Jan, zwrócę się jeszcze do waszego zapytania i do owej przepowiedni o końcu świata, bo mnie to z jednej strony bawi, a z drugiej znów strony zasmuca, zważając, że z tego kłamstwa mogłyby wyniknąć nieraz nie dla jednego złe skutki. Otóż przytoczę wam, ze zawsze, a mianowicie dawniej, gdy więcej ludzi zabobonnych było, pojawienie się ognistej komety z ogonem, strachem przejmowało lud ciemny, a to tem więcej, im dłużej błyszcząca kometa nad ziemią przecho-

działa. Przed 400 naprzykład laty trwoga taka na świecie z tego względu powstała, że lud opuściwszy ręce, oczekiwał przez kilka miesięcy w odrętwieniu końca świata, i z bojaźnią spozierał w górę, rychło li kemeta nadzwyczajnem swem światłem, bo przy nim w nocy czytać można było, spadnie na ziemię i spali ją do szczętu. Ale cóż za skutki z tego się okazały? Oto kometa poszła sobie dalej, a lud spędziwszy czas drogi na próżnowaniu, opuściwszy warstaty i zaniedbawszy rolę, marł z głodu, który sprowadził gorszą jeszcze klęskę, bo mór powszechny.

— Ale pewnie ja wam zadługo już prawię, mój Tomaszu, rzekł pan Jan, a wy może tylko jednym uchem mnie słuchacie?

— A! uchowaj mnie Boże, odpowiedział z zajęciem Tomasz; przyznam się, że trzebaby chyba niemieć piątej klepki w głowie, żeby jej nie zrozumieć. A tożto lat sześćdziesiąt kilka kończę, a jeszczem nie słyszał takiego jasnego opowiadania o tych wielkich stworzeniach niebieskich, na które my ciemni więcej nic, tylko patrzeć umiemy. Bo to zwyczajnie, my prości, jak wiemy, tak gadamy, ale teraz to i ja się z tych naśmieję, co nas straszą owym ogonem komety, i choć w części rozpowiem im to, com od pana usłyszał.

— Tak, mój Tomaszu, kończył pan Jan, Pan Bóg nie dla strachu naszego stworzył komety. Ma ten Pan Wszechmocny prostsze środki do ukarania nas za złe życie, czego zawsze doświadczamy, jak źle żyjemy. A jak wszystko na świecie zacząwszy od najdrobniejszej trawki ma swój cel i przeznaczenie, tak też i komety nie dla tego krążą w przestrzeni niebieskiej, aby nas straszyły, a tem więcej zaczepiały ziemię naszą.

Złote ziarna.

Ten ciężar, który niesie twój ojciec, a którego możesz mu ulżyć, a nie chcesz, będzie ciężarem twoim na całe życie.

Kto umie znieść cierpięnie, ten jego ciężar o połowę zmniejsza.

Wstydliwość jest najbogatszym strojem kobiety.

Mądry jest stały, a nie uparty.

Dobry uczynek nigdy nie zginie.

Kto uczciwie żyje, ten długo żyje.

Słówko raz wyrzeczone, nigdy nie przywrócone.

Niewieścia ozdoba: cnoty i dobre obyczaje.

Posag bardzo piękny pannie, jest cnotliwe wychowanie.

Poprawić się nie sromota.

Zły poradnik gorszy niż krzywdziciel.

Łaskawością rychlej ujmiesz człowieka niż surowością.

Rozmaitości.

Diogenes przyszedłszy do małego miasteczka, w którym bardzo wielkie były bramy, zawołał: obywatele zamknijcie bramy aby miasto wasze nie uciekło.

Ubogi prosił marnotrawcę o złoty pieniądz. Gdy się tenże spytał, dla czegoby innych o szeląg, jego zaś o daleką większą summę prosił. — Dla tego, odpowiedział, ponieważ od tamtych spodziewam się później jeszcze co dostać, ale od ciebie już podobno więcéj nie dostanę.

Mędrzec pewien dał skępemu, który wiele obiecywał, a mało dawał, taką naukę: iż lepiejby uczynił, gdyby zamiast worka usta swe miał zamknięte.

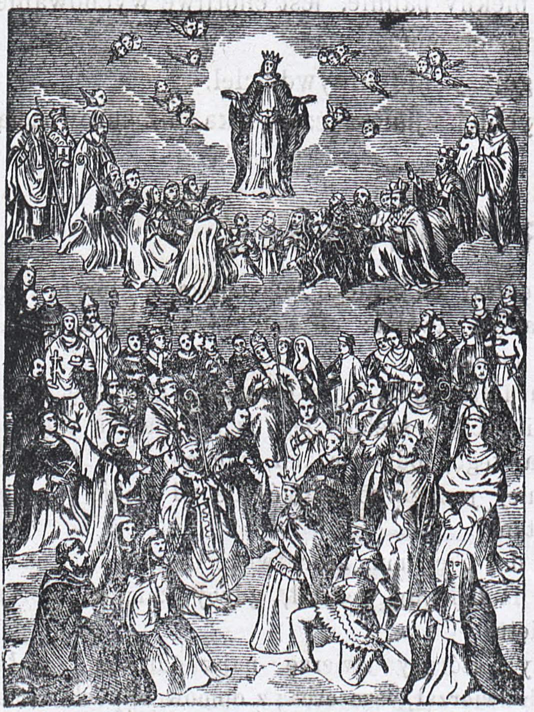
Mędrzec spytany: któreby zwierzę najszkodliwiej kąsało, odpowiedział: z dzikich zwierząt, oszczerca; z domowch, pochlebcaa.

Za dawnych czasów, kiedy budowano pierwsze miasto na ziemi, zdarzyło się, iż wszczął się w mieście onem pożar. Powstali niektórzy ludzie i spojrzeli w okno, a widząc ogień daleko, poszli znowu spać i usnęli. A drudzy, widząc ogień bliżej, stali we drzwiach i mówili: będziemy gasić, kiedy ogień do nas przyjdzie. Ale ogień wzmógł się bardzo i pożar domy tych, którzy we drzwiach stali, a tych którzy spali pożarł z domami ich. A byli zaś niektórzy ludzie poczciwi; ci widząc ogień, wybiegli z domów do ratunratunku; ale że ich mało było, uratować nie mogli. A gdy miasto zgorzało, owi poczciwi ludzie odbudowali je i pomagał im lud całej okolicy, i stanęło miasto większe i piękniejsze, niż pierwsze. Ale tych, co niebyli u pożaru, a tylko we drzwiach domów stali,

z miasta wypędzono i pomarli głodem W mieście zaś ustanowiono takie prawo: iż w czasie pożaru wszyscy z wodą, z drabinami i z hakami do ognia biedz muszą.

Zenon rzekł do młodzienca gadatliwego: dla tego mamy dwoje uszu, a jedne usta, abyśmy więcej słuchali,a mniej mówili.

Pytającemu się, o której godzinie obiadować należy, rzekł mędrzec: jeśliś bogaty, jedz, kiedy ci się chce; jeśliś ubogi, kiedy masz.



Od redakcyi.

Wszystkie reklamacye, które redakcyę doszły zostały załatwione. Komu z szanownych czytelników brakuje numerów, zechce się zgłosić najdalej do końca miesiąca lipca.

Pieniądze prenumeracyjne najlepiej przesyłać za przekazem pocztowym, chociaż z numerem pierwszym tomu VI. roześlemy i listy zwrotne.

Redaktor i wydaw. odpow. **Kazimierz Okaz.** — Z drukarni Karola Budweisera.